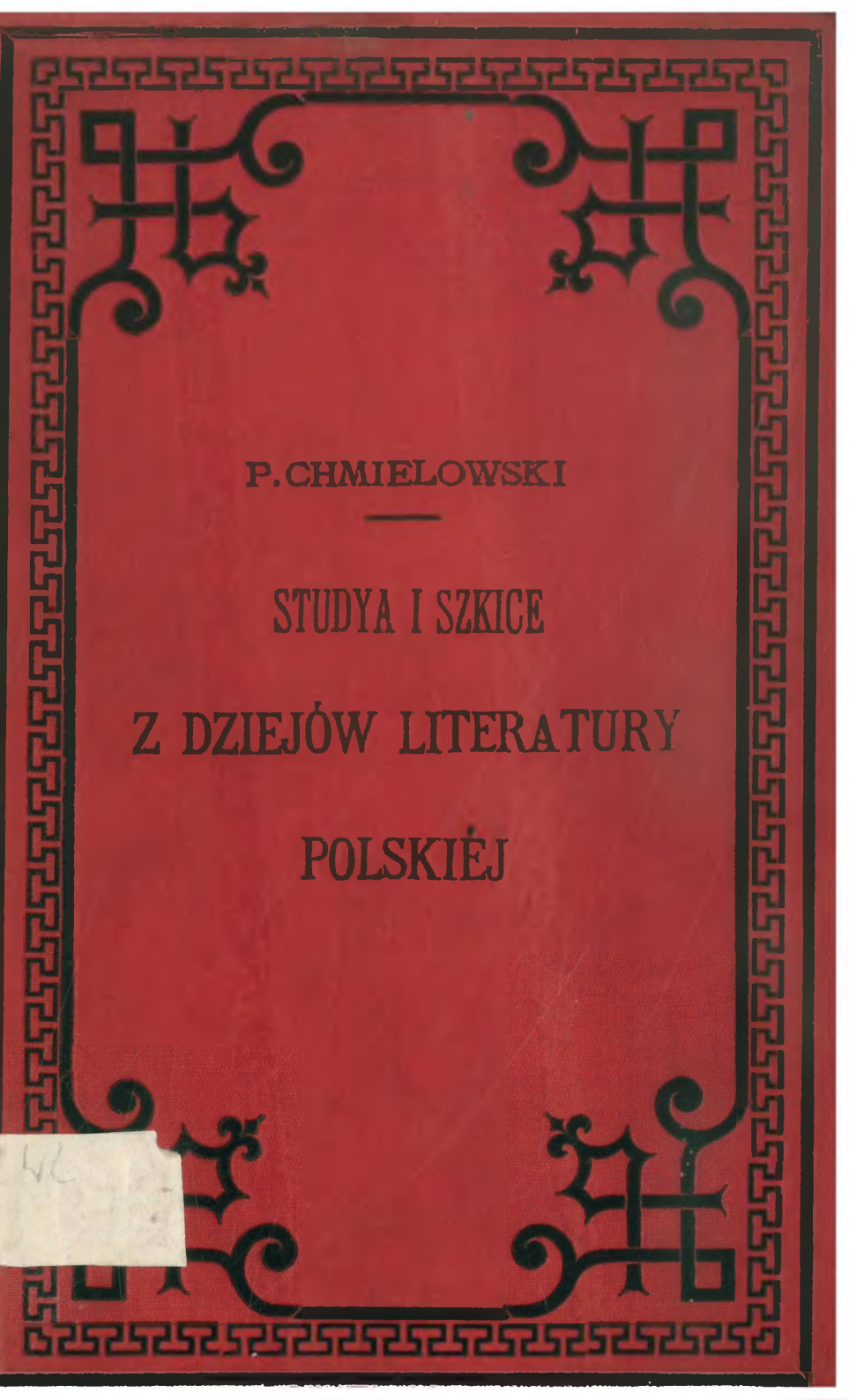


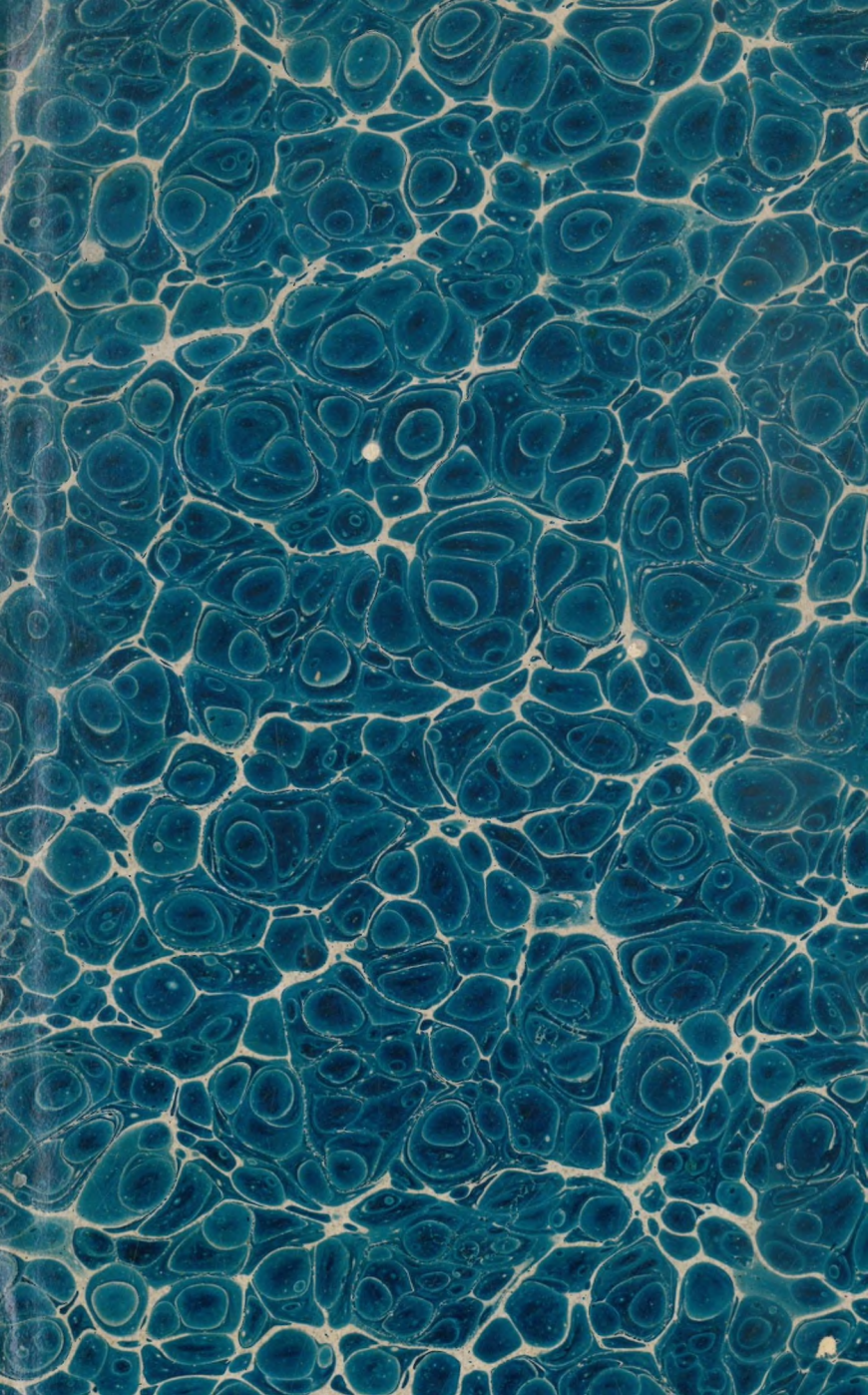


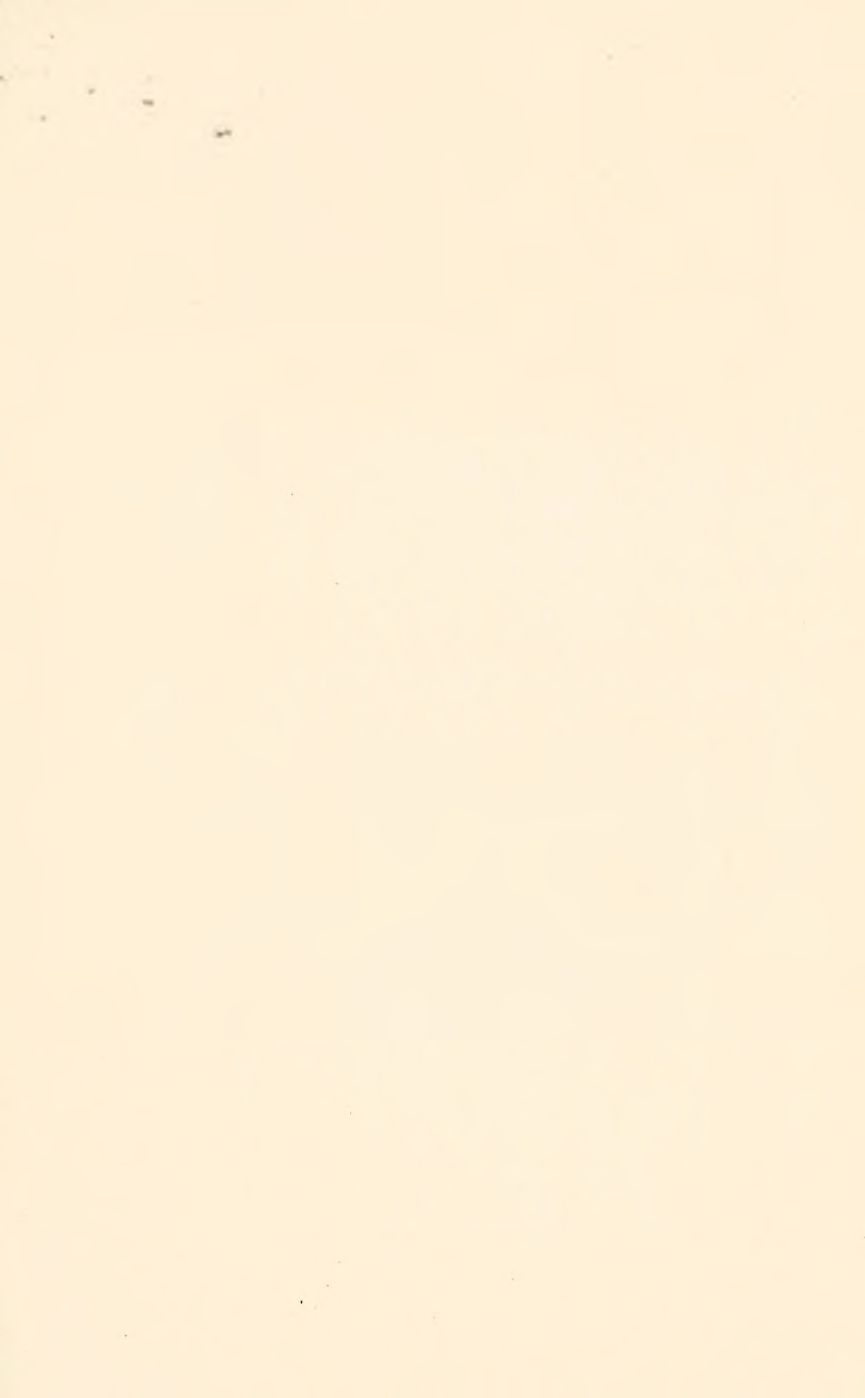
P. CHMIEŁOWSKI

STUDYA I SZKICE
Z DZIEJÓW LITERATURY
POLSKIEJ

52







STUDYA I SZKICE
Z DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ.

„NOWA BIBLIOTEKA UNIWERSALNA“.

STUDYA i SZKICE Z DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ

SKREŚLIŁ

Piotr Chmielowski.

Z księgozbioru
WŁADYSŁAWA GRABOWSKIEGO
W KRAKOWIE.

SERYA I.

Artyści i artyzm. — Sobótki. — Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego. — Zapomniany poemat Wacława Potockiego. — Epopcja z czasów saskich. — Charakterystyka Ignacego Krasieckiego.

KRAKÓW.

NAKŁAD KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA.

1889.



234(09)
Chimie
Stu

W drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Nr. Inw. 2334



261988

Książka, którą obecnie czytelnikom przedstawiam, składa się z zarysów literackich, kreślonych w przeciągu lat 14. Podjmwalem pracę koło nich nie w myśli powtórzenia tylko innemi słowami tego, co dawniej w tym względzie powiedziano, ale ażeby wiedzę o dziejach literatury naszej choć w części przynajmniej rozszerzyć lub pogłębić. Stąd mówiłem o takich przedmiotach, do których znalazły się nowe, dotychczas wcale nieznane lub mało zużytkowane materyały; stąd tam, gdzie kreśliłem szczegóły działalności autorów nieraz opracowywanych, pomijałem z umysłu rzeczy dobrze już przez innych opowiedziane, albo też zaledwie napomykałem o nich; szerzej natomiast rozwodziłem się o takich stronach w ich zawodzie piśmienniczym i obywatelskim, na które dotąd uwagi nie zwracano, lub téż które zbywano słowy pobieźnemi.

Ponieważ od czasu, kiedy rozprawki te pisałem pierwotnie, niewiele pojawiło się materyałów nowych lub studyów krytycznych, któreby spowodować mię musiały do zmian ważnych, mogłem więc jedynie zaprowadzić w nich małe, raczej stylowe niż rzeczowe, poprawki. Tylko studyum o Brodzińskim uległo znacznemu rozszerzeniu, a do rozbioru pism zgasłego w roku obecnym Bohdana Zaleskiego dodałem wspomnienie biograficzne, na jakie przy obecnym stanie wiadomości naszych w tej mierze stać mię było.

W zbiorze niniejszym starałem się skupić zarysy działalności osób na jednem mniej-więcej polu; wybrałem więc

poetów, albo takich autorów, którzy obok innych dzieł poetyckie również pozostawili po sobie. Poprzedziłem je uwagami nad artystami i artyzmem, ażeby dać teoretyczne uzasadnienie niektórych przynajmniej sądów, jakie o poetach i poezyi w dalszym ciągu książki wypowiadam. Uwagi to luźne na-
pozór, lubo wewnętrznym węzłem myśli połączone; nie wy-
czerpują one przedmiotu, ale są dostateczne dla celu, jaki im
naznaczyłem.

Jeżeli ten zbiór zarysów literackich znajdzie wśród ogółu
czytającego uznanie pójdą za nim i inne, poświęcone rozbio-
rowi różnych stron piśmiennictwa naszego.

Warszawa, 13 kwietnia 1886 r.

Siótc Chmielowski.

Z kolekcji
WŁADYSŁAWA GABOWSKIEGO
W KRAKOWIE.

I.

ARTYŚCI I ARTYZM.

→ 115164

I.

Wyznania artystów.— Świadomość i bezwiedza.— Teoretycy.

Jeżeli się zapytamy wykształconego rzemieślnika albo konstruktora maszyn, *jakim sposobem* dochodzi on do ułożenia wielolicznych szczegółów w pewną całość, celowi swemu odpowiadającą, odrzeknie nam bez wahania i bez zająknięcia, opisując wszystkie przygotowania, wszystkie fazy powolnej formacji przedmiotów do jego fachu należących. On wie doskonale, *jak* robi i *jak* robić powinien.

Jeżeli zaś takie samo pytanie wystosujemy do któregoś z poetów, do artysty wogóle t. j. do kapłana sztuki, to on (darujcie czytelnicy porównanie, które się wam może niestosowne wydać) znajdzie się w położeniu rzemieślnika wykonywającego *mechanicznie* swoją robotę, rzemieślnika, który daleko lepiej potrafi objaśnić rzecz w czynie, natychmiastową robotą, niż ją *słowami* bliżej określić. Całość złożyć umie, ale ze związku szczegółów sprawy innym zdać nie jest w stanie. Zastosowując w tym względzie słowa Mochneckiego, który powiada, że w literaturze naród dochodzi „do uznania się w jestestwie swoim” (t. j. do świadomości), możnaby twierdzić, że poeci i artyści nigdy „do uznania się w jestestwie swoim” nie dochodzą...

Że tak jest po większej części, możemy się przekonać zarówno z codziennego doświadczenia, jak i z tego wszyst-

kiego, co nam dzieje o artystach przekazały. Zazwyczaj artyści umieją tylko powiedzieć, kiedy mają najlepsze usposobienie do tworzenia; umieją np. nas poinformować, że w jesieni i zimie więcej i łatwiej tworzą niż na wiosnę i w lecie (jak Słowacki), lub, że natchnienie przychodzi im przy dźwięku pewnej melodyi (jak Mickiewicz), albo na spacerze, przy uczcie (jak tylu innych)... Jedni pracują najchętniej w samotności, inni wśród przyjacielskiego otoczenia; jedni rano, inni wieczorem... i t. p. i t. p. i t. p.

Każdy widzi, że są-to rzeczy całkiem zewnętrzne, okoliczności uboczne, mogące mieć wpływ, nieraz nawet bardzo znaczny, na cały proces tworzenia, ale nie objaśniają bynajmniej jego gruntu, jego podstawy. Niema tu nawet różnicy pomiędzy gieniuszami, talentami i talencikami: wszystkim nieświadomość albo zamyka zupełnie usta albo też wkłada w nie dźwięki pompatyczne, górnołotne, które słuch łechcą i duszę w krainy nadziemskie unoszą, lecz istotnego poznania sprawy wcale nie dają.

Odważniejsi i śmielsi mówią oczywiście o natchnieniu, gdyż z powodu elastyczności swojej jestto wyraz mogący być nazwą niezmiernie wielkiej ilości działań i zjawisk. a zatem sam nieobjaśniony, używać się może dla objaśnienia wielu innych... Szczersi zaś przed sobą i przed ludźmi wyznają najskromniej, na wzór Sokratesa, że *nic nie wiedzą*... Niema może dobitniejszego na to przykładu, nad prostoduszne wyznanie Mozarta w liście pisanym do uczonego przyjaciela, który go badał o tajniki jego twórczości. „A teraz — pisze autor Don Juana ¹⁾ — przychodzę do

¹⁾ *Jahn*: Mozart, t. III, str. 423 do 425, cytowane u Hartmana: *Philosophie des Unbewussten*, 5 wyd. 1873 str. 242. Wiele właściwości poufatego sposobu wyrażania się Mozarta musiało zniknąć w przekładzie; radzimy odczytać w oryginale.

najtrudniejszego punktu w twoim liście, którybym nawet chętnie pominął, bo mi pióro dla czegoś podobnego (*für so was*) posłuszeństwa odmawia. Ale spróbuję, choćby na to, żebyś się miał z czego uśmieć. Pytasz się, *jak* ja się biorę do pisania i wypracowywania wielkich i porządnych rzeczy? Ja sam doprawdy nic więcej nie wiem i nie mogę się niczego doświadczać nad to, co ci zaraz opowiem. Kiedy mi jest dobrze i znajduję się w dobrym humorze, np. jadąc powozem, albo przechadzając się po dobrém jedzeniu, albo też w nocy, kiedy spać nie mogę; wtedy jak potok przypływają mi myśli i to najlepsze. *Skąd i jak — tego nie wiem i nic na to poradzić nie mogę.* Te, co mi się podobają, zatrzymuję w głowie i nucę je sobie pod nosem, jak mi przynajmniej inni powiadali. Jeżeli je dobrze zatrzymam, to przychodzą mi zaraz jedna po drugiej, podług kontrpunktu, podług dźwięku różnych instrumentów i t. d. i t. d., jakby tylko okruszyny jednej potrzeba było, ażeby z niej pasztet zrobić. To mi rozgrzewa duszę, zwłaszcza gdy mi nie przeszkadzają; wówczas stają się one coraz większe, a ja rozszerzam je coraz dalej i coraz jaśniej i cała rzecz staje w głowie prawie gotowa, choćby była długa, tak, że ją potem w duchu przeglądam jednym rzutem, jakby piękny obraz jaki albo pięknego człowieka, a w wyobraźni słyszę nie tak jak przychodziło jedno po drugiem, *lecz odrazu wszystko w połączeniu.* To mi to dopiero biesiada! *Cale owo wynajdywanie i robienie odbywa się we mnie jakby tylko w pięknem silnem marzeniu sennem;* ale przestuchiwanie owej późniejszej całości jest przecie rzeczą najlepszą. Co się już tak stało, tego już łatwo nie zapominam, i to może najlepszy dar, jakim mię Pan Bóg ubłogosławił. A kiedy następnie zasiądę do pisania, wydobywam z torby mojego mózgu (*aus dem Sack meines Gehirns*), com tam poprzednio wpakował. To też później dosyć szybko przechodzi to

na papier, bo, jak powiedziałem, wszystko już jest właściwie gotowe i rzadko inszêm się staje, niż było wprzód w głowie. Stąd to mogą mi przy pisaniu przeszkadzać, i może się nie wiem co dziać koło mnie, ja wciąż piszę; mogę nawet przytêm gadać, zwłaszcza o kurach i gęsiach i t. p. *Jak* zaś przy opracowywaniu moje rzeczy przybierają właśnie *tę* postać czy manierę, że są mozartowskimi, nie zaś manierowanemi na wzór kogoś innego, to chyba tak samo jak to, że mój nos jest właśnie tak wielki i tak wygięty, iż się stał mozartowskim, nie zaś czymś innym. Nie poczytuję tego za coś szczególnego, nie umiałbym têż swojej właściwości bliżej określić. Ależ to rzecz naturalna, że ludzie mający rzeczywiście jakąś powierzchowność, inaczej têż od innych wyglądają tak zewnêtrznie jak wewnêtrznie. Wiem przynajmniej, że ani jednego ani drugiego sam sobie nie dałem. Stąd têż daj mi już raz nazawsze z têm pokój, najdroższy przyjacielu, i nie myśl, że z innych powodów na têm poprzestaję, jak tylko dlatego, że nic wiêcej nie wiem. Ty, jako uczony, nie możesz sobie wyobrazić, jak mi już i to obrzydło (*wie sauer mir schon das geworden ist*)⁴.

Słowa te są tak proste i tak jasne, że nie potrzebuję do nich dodawać żadnego komentarza. Czytelnik może się dokładnie i naocznie niemal przekonać, że Mozart nie był świadom tego procesu psychicznego, jaki się w nim odbywał podczas tworzenia genialnych pomysłów muzycznych.

Tak samo artyści wszelkiego rodzaju, wielcy i mali, europejscy i prowincjonalni, tworzą bezświadomie, nie pojmując, *jak* robią. Wiedziano o têm oddawna. Platon w jednym dyalogu swoim („Jon“) przedstawia cały szereg ironicznych uwag Sokratesa, które tenże miał wystosować przeciwko wêdrownemu rapsodowi (rodzaj egzekutora utworów poetycznych), wykazując mu, że na żadnêj z tych rzeczy, które opiewa, najzupełniej się nie zna i że cała jego sztuka

polega na *bierném poddaniu się* wpływowi duchów, wytwarzających w nim najprzeróżniejsze kombinacye idei... Sokrates atoli nie uważa tego rapsodowi za złe, bo rozumienie wszystkich specjalnych przedmiotów, jakie do poezyi wchodzi, bynajmniej nie należy do zakresu działalności rapsoda. Jest on maszyną kierowaną ręką cudowną...

Rzecz istotnie godna uwagi, że to, co w rzemieślniku np. poczytuje się za pewną, dosyć nawet znaczną niedoskonałość, u artysty staje się zaletą, podziwem śmiertelnych przejmującą. Na rzemieślnika, mechanicznie odrabiającego swoją pracę, patrzymy z pewnem politowaniem nad upośledzoną stroną umysłową; artystę, ulegającego stokroć wyższej bezwątpienia maszyneryi, bo duchowej, ale zawsze maszyneryi, uwielbiamy. Różnica sfer działania zdaje się znosić zupełnie głęboką sprzeczność sądów, jakie w tych dwu wypadkach mimowolnie wydać jesteśmy zmuszeni.

Więcej nawet można powiedzieć. Owę nieświadomość, owo bierne poddawanie się wpływowi bogów czy wpływowi natchnienia uważają pospolicie za niezbędny warunek każdej gienialnej twórczości. Kto czytał szóstą księgę Enejdy, przypomni sobie owe konwulsyjne drgania Sybilli, mającej wydać wyrocznię, owe przygotowywania do przyjęcia Boga — *Deus, ecce Deus!*... Wyrażenia łacińskie *deum pati* t. j. poddawać się pokornie wpływowi bogów, *furor poëticus* (szaleństwo poetyczne), mogą służyć za przykłady takiego zapatrywania się na działalność poety-artysty. Wszak Platon, ów boski Platon, w *Fedrusie*, gdzie swoją teorię piękna przeprowadza, powiada wyraźnie: „Co wykonywa człowiek doskonały w boskiem szaleństwie, które jest lepsze od trzeźwego zastanowienia, mianowicie rzecz boską, w tém poznaje nanowo dusza, jakby w świetnym obrazie, to, czemu się w godzinie zachwyty przypatrywała, idąc za Bogiem; a patrząc na to, napełnia się z konieczności rozkoszą i miło-

ścią!!... I dalej: „*Szaleństwo nie jest złem* zwyczajnem, bo *przez nie spłynęły największe dobra na Helladę*“.

Większego uwielbienia dla bezwiednej bierności trudno się drugi raz w dziejach spodziewać. Platon łączy to uwielbienie ze swoją nauką o ideach, które od wieków na łonie Boga spoczywały a w duszy ludzkiej stopniowo tylko i bardzo niedokładnie się odbijają... Zaiste taki pierwowzór piękna odwiecznego, gdyby był możliwym i gdyby schodził do duszy śmiertelników w godziny zachwyty, możeby był godnym ubóstwienia, bo dawałby odrazu i bez pracy to, za czem ludzkość goni od lat tylu tysięcy...

Lecz, niestety! ludzkość skazana jest na pracę, a jeden z jej synów, sławny poeta i krytyk niemiecki Lessing, był dotyla zarozumiałym, że przenosił pracę i badania nad używanie swobodne ich owoców. Gdyby mi Bóg, powiedział on, dał do wyboru dwie rzeczy: prawdę zupełną, gotową i pociąg do jej badania, odpowiedziałbym: zatrzymaj sobie pierwszą, o Boże, bo to jest cechą twojej wszechwładzy, ja wezmę drugą.

A chociaż nigdy i nigdzie nie brakło i nie brakuje ludzi, którzy przeciwnego niż Lessing są zdania, to przecież rzeczywistość, nauczająca wielu nader przykrych ograniczeń się, zmusza ich do oględniejszego wygłaszania przekonań, tak jaskrawo przez Platona wypowiedzianych. Myśl pozostała wprawdzie do dziś dnia całkiem niemal nienaruszona, forma jedynie nieco się zmieniła. Gdybym chciał cytować wszystkich autorów, którzy pod tym względem zdanie swe objawili, musiałbym gruby tom zapisać. Odsyłając więc ciekawych do teoryj estetyki: Vischera. Zimmermana. Schaslera a choćby tylko do ustępu w dziele *Aleksandra Baina*: „*Mental and Moral Science*“ (str. 304 do 315); ograniczę się na dwu najnowszych, jakkolwiek niejednokowo głośnych przykładach.

Jeden wezmę z naszej własnej literatury.

A. Tyszyński, znany i powszechnie poważany krytyk literacki, w dwutomowym swym dziele p. n. „Pierwsze zasady krytyki powszechnej“ rozwija między innymi myśl, że człowiek składa się właściwie z trzech części: z ciała, z myśli i z *ducha*. Jako jeden z dowodów, mających uzasadnić różnicę pomiędzy *duchem* a *myślą*, przytacza, „iż są nieraz wypadki, w których jednocześnie *co innego działa duch a co innego myśl*... dosyć dla objaśnienia tu wspomnieć na stany *artyzmu*, prorocтва i t. p. *Wieszcz* i prorok nieraz *co innego myśli* wyrażać a *co innego wyraża*“ (str. 62). Jako przykład działania *ducha* niezależnie od myśli, opowiada dalej zdarzenie z własnego życia, które tu dlatego tylko powtarzam, ażeby lepiej uwydatnić naturę *owego ducha*, co to jest także natchnieniem artystów. „Znajdując się na dni kilka w obszernym a nieznanym mu mieście — opowiada A. T. w 3-iej osobie — odwiedzał w nim codziennie w wieczór jednego ze swoich znajomych daleko mieszkającego. Pierwszego dnia, *zamyślonym* będąc, wrócił prędko i bez omyłki do siebie, nazajutrz kiedy się *zastanowił* której ma iść, błądził: i tak bywało co dnia: ciało *wtedy* wykonywało zamiar *ducha*, kiedy nie *przeszkadzała* mu *myśl*“ (tamże, w przypisku).

Otóż taki-to *duch*, któremu *przeszkadza* myśl, jest sprawcą, oprócz wielu innych rzeczy, wszystkich utworów artystycznych (str. 63 i we wszystkich wogóle ustępach, gdzie mowa o sztuce). Duch ten nie może się rozwijać, nie może się zwiększać ani pomniejszać: „jestto pierwiastek *rządca*, jest-to ta część człowieka, która mimo odmiany myśli, pozoru, jest w nim wewnętrznie niezmienna i jest głównie nim samym, to jest stanowi znaczenie, charakter, zasługę lub hańbę(?) jednostki“. Jak coś, co jest *wewnętrznie niezmiennym*, może stać się zasługą lub hańbą, nie

wiemy; lecz tém lepiej się przekonywamy o zasadniczym owego ducha przymiocie, który ma się przenosić i na dzieła sztuki, t. j. o zupełnej jego bezświadomości. Taki przynajmniej wyciągnąć musimy wniosek, według prawideł zwykłej logiki.

Drugi przykład wezmę z rozstawionej od lat kilku w Niemczech „*Philosophie des Unbewussten*“ Edwarda Hartmanna, którego poglądy, z powodu zainteresowania się niemi i u nas nawet, dokładniej przytoczyć zamierzam.

Hartmann wychodząc z zasady, że wszystkiem na świecie *rządzi* i kieruje zasada bezwiedna (*das Unbewusste*), ¹⁾ nie mógł oczywiście pominąć tak obfitego w plon odpowiedni pola, jakie się w artyzmie szeroko przed nami rozciąga. To też poświęca rozwiązaniu zasady bezwiednej *w sądzie estetycznym i artystycznej produkcyi* rozdział osobny (str. 233—253).

Walczy on przeciwko idealistom, niechęcącym przyznać ważnej roli, jaką odgrywa w utworach artystycznych doświadczenie i obserwacya, zgadza się z realistami, że nawet w najwyższych, najbardziej powikłanych utworach fantazyi „nie napotykamy nic, czegośmy nie poznali przez

¹⁾ Przy rozbiorze filozofii Hartmanna nie zwrócono u nas uwagi, że „Duch“ Tyszyńskiego ma niezmierne podobieństwo do „*das Unbewusste*“ będącego w mowie pesymisty. W szczególach mianowicie, w dowodach różnicy „ducha“ od myśli, napotykamy mnóstwo przykładów, które Hartmann zapomocą zasady bezwiednej a Tysz. zapomocą „ducha“ wyjaśnia. Różnica na tém polega, że „duch“ Tysz. ma swój początek w Twórcy wszechrzeczy a ostatecznie w Bogu chrześcijańskim, *das Unbewusste* zaś Hartmanna jest siebie samego przyczyną. Pierwsze wydanie teoryi Hartmanna wyszło 1868, dzieło Tyszyńskiego 1870; lecz zdaje się, że wówczas nie znał jeszcze T. filozofii zasady bezwiednej, pomysł więc jego jest zupełnie oryginalny, tém bardziej, że podobne myśli wypowiedział już w 1854 r. w pierwszym tomie „*Rozbiorów i krytyk*“.

zmysłowe doświadczenie i nie przechowali w pamięci“, że „wszystko ogranicza się na rozdzielaniu znanych wyobrażeń i na *kombinacji rozdzielonych kawałków w sposób zmieniony*“; mówi nawet, że „kto tylko ma żywą wyobraźnię“ i „zmysł dla piękna“ — ten przy pracy może tworzyć dzieła artystyczne. Zaraz jednak filozof nasz dodaje, że taki tryb pracy znajduje się tylko u „zwyczajnego talentu“, że „*rozumny wybór i kombinacja, kierowane sądem estetycznym*“ są przymiotem dyletantów jedynie i większości *artystów fachowych*... „Wszyscy oni — powiada Hartmann — nie mogą jeszcze pojąć, że te środki, wsparte techniczną rutyną, mogą zdziałać coś porządnego, ale nie dojdą nigdy wielkości, nigdy deptaka naśladownictwa nie przekroczą, nigdy nie będą w stanie stworzyć czegoś *oryginalnego*; — gdyż z takiem przekonaniem musieliby porzucić swój zawód i życie swoje za chybione uważać. Tutaj wszystko robi się jeszcze *świadomie*, brak *boskiego szalu*, brak *ożywiającego tchnienia bezwiedzy*, przedstawiającego się świadomości jako *wyższy, niewyjaśniony wpływ*, który uznać potrzeba za fakt, nie mogąc nigdy odgadnąć, *jak on przychodzi do skutku*“...

„Świadomą kombinację — mówi dalej Hartmann — można sobie wreszcie przyswoić zapomocą natężenia świadomej woli, pracą, wytrwałością i wprawą tym sposobem zdobytą; pomysł gieniusza jest bezwolnem biernem *poczuciem*, nie przychodzi mu, gdy go najusilniej poszukuje, ale całkiem niespodziewanie jakby z nieba spadając, w podróży, w teatrze, w rozmowie, wszędzie, gdzie się go najmniej spodziewa, a zawsze nagle i na chwilę tylko. Świadoma kombinacja wypracowuje mozolnie z najdrobniejszych szczegółów i buduje całość powoli, wśród mąk, wśród zwątpienia i łamania głowy, zarzucając nieraz i znowu ujmując pojedyncze kawałki; pomysł genialny otrzymuje całość z jednego odlewu jako podarunek bogów, *żadnych* trudów niewymagający;

i właśnie szczegółów mu brakuje i już dlatego brakować musi, że w większych kompozycjach (obrazach grup, poematach) duch ludzki jest zaszczupły, ażeby mógł objąć jednym rzutem więcej nad najogólniejsze wrażenie całości. Kombinacja stwarza sobie jedność całości zapomocą mozolnego dopasowywania i doświadczania w szczegółach, stąd też pomimo całej pracy nie dochodzi do niej nigdy w zupełności, lecz w robocie swojej daje rozpoznać konglomerat wielu szczegółów; gieniusz, mocą pomysłu poczerpniętego ze źródła nieświadomości, otrzymuje tak doskonałą jedność pod względem konieczności, celowości i wzajemnego stosunku wszystkich pojedynczych części, że ją można jedynie porównać z jednością organizmów w przyrodzie, jednością wypływającą również z zasady bezwiedzy¹⁾.

Po takiej charakterystyce pracy zwykłego talentu i gieniuszu, Hartmann chcąc uniknąć zaczepek ze strony estetyków, którzy piękna i warunków twórczości chcieliby się dopatrzeć trochę bliżej niż w obłocznych sferach nieświadomości zasady, podaje kilka ograniczeń ze względu na swoją daleko sięgającą tezę. Zwraca on mianowicie uwagę, że gieniusz potrzebuje również ćwiczeń i wprawy, że oprócz idei ogólnej, zarodkowej, potrzeba mnóstwa pojedynczych pomysłów, ażeby stworzyć jakieś wielkie dzieło, że nie może przyjść gienialna kompozycja do głowy, kiedy duch w jakimkolwiek oznaczonym kierunku jest już zajęty, że do *wprawy w ruch nieświadomości (!)* potrzeba jakiejś *pobudki zewnętrznej lub wewnętrznej*, że wreszcie nawet w pracach zwykłego talentu nigdy nie brakuje zapładniającego pomysłu, przychodzącego ze sfer bezwiednych, tylko, że te sfery są dla podobnych umysłów bardzo niełaskawe i takie *mi-*

¹⁾ Hartmann: Philos. des Unbewussten, wydanie 5, str. 241

nima owych pomysłów im udzielają, iż pospolita obserwacja samego siebie zauważyć ich nie może... ¹⁾).

Ustępstwa te i omówienia nie znoszą jednakże zasady. Bezwiedność zostaje zawsze na wierzchu i odbiera hołdy najwyższe. Zaledwie się powie, że rozum jest potrzebny, ażeby zaprowadzić pewien ład i porządek wśród chaotycznie napływających „konceptyj“; zaledwie się pochwali energią, wytrwałością, pilnością i sądem zdrowym; zaraz należy zastrzedz sobie, żeby to nie ubliżało, broń Boże, wszechmocnej bezwiedności. I tak np. stawia sobie Hartmann pytanie: jak daleko sięgać winna *praca rozumu*, ażeby nie przeszkodzić „konceptyi nieświadomości“ — i odpowiada, „że tego sam rozum oznaczyć nie może, lecz tylko *smak estetyczny* czyli *takt sztukmistrza*, to jest poczucie piękna *nieświadomie w nim ustalone*“. I dlatego też — dodaje — podczas *całego trwania* pracy rozumu musi znów „bezwiedność jako strażnik graniczny *czuwać (!)* (Wache halten) nad *świadomym siebie rozumem*“ ²⁾. Widocznie podług pana Hartmanna strażnicy powinni *spać, ażeby czuwać*...

Tak tedy po więcej niż dwu tysiącach lat wracamy do platońskiego szafu, ubranego wprawdzie podług ostatniej mody w szmatki nauk przyrodniczych i rezultaty ścisłej nauki, ale niemogącego wykazać w swém drzewie genealogicznem nic innego prócz *bezwiednego wyobrażenia i woli bezwiednej*. Smutna byłaby perspektywa przyszłości, gdyby się tylko *takie* poglądy w dziejach rozwoju umysłowego napotykały; doszlibyśmy w końcu do przekonania, że lepiej było żadnych badań nie podejmować, lepiej było wcale się nie trudzić i nie mozolić

¹⁾ Hartmann: *Philos. des Unbewussten*, str. 244 — 245.

²⁾ Tamże, str. 240. Że wiele rzeczy ludzie wykonywają bezświadcem, nie myślimy przeczyć; tylko objaw ten tłumaczymy sobie inaczej. W dalszym ciągu pracy będziemy mogli jeszcze o tém wspomnieć.

nad rozwiązaniem zagadki, bo wyobrażenie bezwiedne i wola bezwiedna mogą się bez tego obejść, a co mają zrobić, to zrobią...

Szczerściem tak nie jest; i dawniej, przed dwoma tysiącami lat, i dzisiaj są ludzie, którzy usiłują wyjaśnić sobie wszystko na podstawie *wyobrażenia świadomego i woli świadomej*... Ale o nich później; obecnie musimy jeszcze na chwilę zatrzymać się nad tą dziedziną ciemną i chmurną, która jest ulubionem miejscem pobytu artystów i większości estetyków europejskich.

Wprzód nim system zasady bezwiednej został rozwinięty do tego stopnia, że całość wszechprzyrody i wszechludzkości objąć w swe ramiona zamierzył, istniały w wykształconém społeczeństwie pokrewne mu pojęcia, na innéj drodze rozumowania zdobyte. Wyrażały się one w tém przekonaniu, że *refleksya, zastanowienie rozumne* wpływają szkodliwie na proces twórczości artystycznej. Innemi słowy: artysta, zastanawiając się, jak ma wykonać swoje pomysły, byłby w położeniu, o jakim wspomina Tyszyński: myliłby się i robiłby źle. Jak Tyszyński nie mógł trafić do domu, kiedy się zastanowił, którędy miał iść; tak artysta nie mógłby trafić do ładu, gdyby się zastanawiał nad sposobem wykonania swéj pracy...

Mniemanie to jest bardzo rozpowszechnione i, co więcej, ma wszelkie pozory prawdy za sobą. Przypomnijmy tylko sobie dane historyczne — powiadają zwolennicy anty-refleksyjnej sztuki — a znajdziemy stwierdzenie powyższego poglądu. Przecież-to wraz z Arystotelesem, który był pierwszym uczonym greckim w ścisłym słowa tego znaczeniu, który pierwszy napisał *teoryę* poezyi, znika istotna twórczość poetycka. Czasy Homerów, Pindarów i Sofoklesów stają się bezpowrotną przeszłością; swobodne, wielkie, świeże i oryginalne poczucie artyzmu przechodzi w zakres podań, ule-

gając dysekcji w szkolarskich, suchych i bezdusznym podręcznikach. Poezja dydaktyczna, gramatyka rymowana, urzędowe kadzidło hymnów śpiewanych na cześć bogów, w których poeta wierzyć nie chciał i nie mógł — oto są przedmioty zajęcia dla tych, co skrzywione i wypaczone uczucia swoje w równo odmierzoną sukienkę przystrajać pragnęli.. A jeżeli się kiedy odezwie jędrniejsza i zdrowsza myśl, jeżeli wśród jednakowo płaskich i jednakowo ulanych szeregów wyrazowych postłysz się dźwięk przypominający lepsze czasy twórczości, to chyba tylko w rodzaju satyrycznym, zgryźliwym i nienawistnym, który z natury rzeczy najmniej czynników poetycznych w sobie zawiera. Przykład Hellady, której synowie z urodzenia już byli artystami, najlepiej dowodzi — powiadają — że sztuka i nauka, natchnienie i rozważa zostają w stosunku wzajemnie sobie nieprzystajnym.

„Wdając się w refleksyę — mówi jeden z najbystrzejszych psychologów niemieckich, W. Wundt — i poddając krytyce swoje własne utwory, sztuka traci tę naiwną bezpośredniość, wskutek której utwory jej stają się podobne do utworów przyrody. Skoro tylko sztuka zaczyna tworzyć świadomie, z zamiarem, wówczas zamiar ten staje się widocznym, a dzieła sztuki dają już karm' nie dla uczucia, nie dla instynktowego poznania, lecz zajmują wyłącznie rozum, zamieniają się w zagadnienia umysłowe. Stąd-to krytyk tak rzadko bywa artystą, a *czasy krytyki w dziejach sztuki bywają często najbezpłodniejsze*¹⁾).

¹⁾ W. Wundt: Vorlesungen über die Menschen und Tierseele. Lipsk 1866 r., t. II, str. 52. „Deshalb ist der Kritiker so selten ein Künstler und die kritischen Zeiten in der Geschichte der Kunst sind so häufig die unfruchtbarsten“. Zresztą muszę dodać, że Wundt stwierdza tylko fakt, że tak było dotąd, na przyszłość zaś inny stawia ideał; o czém później.

Zwolennicy sztuki anty-refleksyjnej z lubością cytują te dane, z zapalem podnoszą samotwórczą stronę geniuszów, ukrywając o ile możności wszystko, co zbyt wyraźnie zdradza pracę samowiedzy, nabytki doświadczenia i nauki. Z uniesieniem mówią o fakcie, że Homer w żadnych szkołach się nie kształcił, że Szekspir uniwersytetu nigdy nie kończył, że Dante po grecku nie umiał; lękają się atoli wspomnieć o naukowém znaczeniu Goethego, albo o wszechstronném wykształceniu Mickiewicza. „Szkoła dla geniusza — to klatka dla orła!“ — wołali zapaleni romantycy, kontenci, że wynaleźli frazes, rozgrzeszający ich od znajomości wielu przedmiotów, będących podstawą każdego naukowego myślenia. Wielcy ludzie, ludzie wogóle zdolni, którzy później w życiu odznaczyli się szczególnymi talentami i wiele dobrego dla społeczeństwa zrobili, mieli częstokroć w szkołach najgorsze stopnie i byli uważani za tępych... Jest-to również fakt, który udowodnić można licznemi (a choćby kilku) przykładami... Romantycy na poparcie swego założenia i ten fakt również przytaczali. Stąd mogła powstać nader wygodna maksyma, że, ażeby zostać geniuszem, trzeba tylko być najleniwszym uczniem, bo nauka i natchnienie znoszą się nawzajem...

Les extrêmes se touchent... Nieuctwo i najwyższa twórczość artystyczna, *podług teoryi, o której mówimy* (kładziemy na to nacisk, lękając się nie bez powodów, żeby nas źle nie rozumiano), muszą sobie podać ręce, bo oba te stany wyznają jedne i te same zasady. Oczywista rzecz, że zarówno zwolennicy teoryi bezświadości, jak i sztuki anty-refleksyjnej usiłują wyrzec się podobnego braterstwa; zdaje się przecież, że bezskutecznie, bo logika domaga się wykonania nieubłaganych praw swoich. Trzeba wyciągnąć konsekwencje z postawionych założeń, chociażby konsekwencje te nie-
zbyt pochlebnie dla miłości własnej wypadały.

Pytaliśmy się tedy artystów o sposób wykonywania ich prac; odpowiedzieli nam, że *nic o tém nie wiedzą*.

Pytaliśmy się również o to samo kilku teoretyków, których można uważać za najjaskrawszych przedstawicieli większości dzisiejszych estetyków; odpowiedzieli nam, że wytlómaczenia tej zagadki szukać należy w *szale boskim*, w *zasadzie bezwiednej*, w *nieświadomości*, w *uchylaniu się wreszcie od wszelkiej refleksyi*, od *wszelkiego rozumowego zastanowienia*.

Jak widzimy, od teoretyków otrzymaliśmy gorszą odpowiedź niż od samych artystów, bo nas chcieli poprostu oszołomić dźwiękiem niezrozumiałych frazesów. My pytaliśmy się ich w dobrej wierze o wytłómaczenie procesu artystycznej twórczości, a oni, jakby drwiąc, odpowiadają nam: szukajcie wytłómaczenia w *nieświadomości*!! Ależ my, dlatego właśnie że *nieświadomi*, prosiliśmy was o objaśnienie. Nie, panowie, nie godzi się żartować z uczciwych ludzi. A toż gdybyśmy się w *nieświadomości* zatopili, tylebyśmy wiedzieli, co i przedtem. Byłoby to trochę zamało... Na nic nam wasza odpowiedź...

Więc w drogę... Zapukajmy do przybytku dziejów sztuki, śledźmy jej początek; — może w ten sposób dowiemy się czegoś więcej...

II.
Sztuka Parweniuszem.

Wszystkie objawy na świecie najlepiej się objaśniają, jeżeli zdołamy osiągnąć ich początek, jeżeli wysledzimy ten mikroskopijny kłębuszek, z którego ciągnie się nić wzorzysta poprzez całe stulecia. Zastanawiając się zaś nad początkiem sztuki, musimy się udać po radę do *paleontologii* i *etnografii*.

Nauki te młode a więc ochocze i żwawe poodkrywały w ostatnich czasach niezmiernie mnóstwo wielce interesujących rzeczy, które jakby jasna pochodnia rozświecają pomrokę dziejów przedhistorycznych, ukazując nam albo całkiem nowe przedmioty albo w zupełnie innem niż przedtem oświeceniu.

Jedna z tych nauk — paleontologia, uzbroiwszy się nie tylko w cierpliwość ale w rydel i świder, przedziera się w głąb ziemi, zapuszcza się w jaskinie, pluszcze się po jeziorach, zapiera w sobie oddech w podziemiach, — i szuka śladów, choćby okruchów śladów z życia, które już dawno przebrzmiało, a o którym kroniki ani słowa nie wspominają. Szuka i znajduje.

Druga nauka — etnografia ubrała się w płaszcz podróżny i gotowa na ofiary, zwiedza kraje dalekie, skwarne albo lodowate, tryskające bujną wegetacją albo połyskujące drobnym rozpalonym piaskiem; zachodzi do papuasów, botosudów, do malajczyków i bantu-negrów; przypatruje się im, jak żyją, co robią, czem się bawią, co czczą i czego nienawidzą. A wróciwszy do starej Europy, dumnej swoją tradycyjną cywilizacją, powiada jej: Patrz, taką i ty byłaś przed laty; nie wstydz się swego pochodzenia; nazywaś tamtych barbarzyńcami, a sama niczem więcéj nie byłaś; wiedza cię podniosła, uszlachetniła, starajże się innym do tego dopomagać.

Obie zaś nauki podają nam nieocenione wskazówki co do początku wszystkich ludzkich dorobków, a więc i co do sztuki.

Oto pod lasem wśród bujnych traw siedzi przy ognisku mężczyzna napół nagi i na piersiach ma wyrżnięte dziwaczne kreski i kółka w przeróżne zygzaki i kulasy pokombinowane, farbą czerwoną napszczane, tak, że właściwego ciała ani się domyśleć; na głowie ma kitę z różnokoloro-

wych piór ptasich, jaskrawo przy ogniu połyskujących. Koło niego drużyna, podobnie choć nie tak *wspaniale* (!) ustrojona, gwarzy wesoło, dzikimi okrzykami często sobie przerywając. Kobieta niepozorna, wybladła, z dzieckiem u piersi stoi zdala i nie śmie przerywać rozmowy, nie śmie się mieszać do zabawy swego pana... Mężczyzna ów obtarł toporek kamienny, którym dopiero co rozłupywał kości jakiegoś zwierza, ażeby się dostać do *szpiku* zjedzonego z wielkim apetytem; odłożył go na bok, wzięwszy w rękę coś nakształt niezgrabnego dłuta; zaczął nim suwać po najgrubszej kości tego zwierza, który stanowił jego pożywienie. Robił tak samo jak student, gdy go lekcya nie bardzo zajmuje. Coś wyrzynał. Student zazwyczaj wyrzyna swoje nazwisko albo imię swojej kochanki. Ów dziki wyrzynał obraz zwierza; on go najwięcej obchodził: dając mu jadło, utrzymywał go przy życiu; on najwięcej zajmował jego wyobraźnię, bo nieraz stał mu przed oczyma, nieraz mu uciekał, nieraz może go skaleczył; jakżeby go nie miał zapamiętać! Wyrzeźbił go też dokładnie; w grubych wprowadzie i niezgrabnych zarysach, ale zawsze wyrzeźbił.

Prosty obrazek... nieprawdaż? Zdawałoby się, że tak być już musiało od początku ludzkiego istnienia na ziemi: że człowiek chcąc stanąć na tem stanowisku, na którym się znajdował ów dziki, nie potrzebował robić żadnych wysiłków, nie potrzebował ponosić żadnych trudów: przychodziło mu to łatwo, do czego stworzonym być się zdawał. A jednak — zapytajcie paleontologów, ile to tysiący nie lat lecz wieków upłynąć mogło od czasu pojawienia się człowieka na ziemi, aż do tej chwili, w której ów dziki mógł jako tako rzeźbić na kości zwierza, którego zabił i zjadł...

Naprzykład. Dowiedziona jest dziś rzeczą, że człowiek istniał już w *trzeciorzędowej* epoce, to jest przed jakimi tam paru milionami lat. Otóż *Desnoyers* w trzeciorzędowym pia-

sku na dolinie Sommy znalazł kości słonia południowego (*elephas meridionalis*) z wyraźnemi *narznięciami*, które uważał za dzieło ręki człowieczej. Tymczasem Karol *Lyell* dowiódł przekonywająco, że podobne narznięcia dokonywane bywają w tamecznej okolicy przez pewne zwierzęta gryzące (tak zwane gryzonie¹⁾). Można sobie wyobrazić, co to były za narznięcia, jeżeli równie dobrze ręką ludzką jak zębem zwierza do bytu powołane być mogły!.. Od prostych kresek, linii łamanych i kółek do jakiego-takiego *obrazu* zwierzęcia, choćby najniezgrabniej wykonanego, przestrzeń olbrzymia. A przecież tak jak dziecko, które się uczy rysować, musiał człowiek w najodleglejszych czasach zaczynać od owych kresek, linii łamanych i kółek, ażeby z biegiem czasu po wielolicznych trudach i próżnych wysiłkach dojść do jakiegokolwiek choć cokolwiek zadowalniającej całości, pewną postać przedstawiającej. Ile zaś czasu było potrzeba ludziom, ażeby od tych pierwiastków, od tych elementarnych początków przejść wyżej, na to niekoniecznie wśród epok geologicznych grzebać nam odpowiedzi wypada; dosyć spojrzeć po dzisiejszych ludach barbarzyńskich, których ucywilizować dotąd się jeszcze nie udało. Wszak na niektórych wyspach oceanu Wielkiego dziś jeszcze broń kamienna jest w użyciu obok żelaznej; co więcej, można tam nawet mówić o epoce kościanej, jaką wogóle *Combos de Fumel* jako poprzedniczkę epoki kamienniej ustanowić usiłował. Na wyspach Karolińskich jeszcze w końcu zeszłego stulecia mieszkańcy budowali swe domy przy pomocy siekier kamiennych²⁾. Naturalnie wraz z temi narzędziami związane są ściśle i owe rzeźby na kościach zwierzęcych...

1) Zob. Vierteljahres-Revue der Fortschritte der Naturwissenschaften. Cöln und Leipzig, 1873, tom I Nr. 1, str. 77.

2) Vierteljahres-Revue, str. 95.

Rzecz dziwna i godna uwagi, że wśród obrazów niedzwiedzia jaskiniowego, jelenia, rena i t. p. nigdzie nie napotkano dotąd obrazu samego człowieka... Na plastyczną fantazją ówczesnych więcej widocznie działała natura zewnętrzna, aniżeli on sam lub do niego podobni. Żył on w nader ścisłych stosunkach z matką-przyrodą; cierpiał od niej dużo, ale też i przyjemności mnóstwo doświadczał... Czy ją kochał, czy nienawidził, nie możemy rozstrzygać, bo są zarówno ślady jednego jak i drugiego uczucia, we czci błogich jak i okropnych objawów natury; dosyć, że się od niej oderwać nie mógł, że ona mu ciągle stała na myśli i nakłaniała go niemal przemocą, żeby ją sobie uzewnętrzniał. Nawet potęgi natury tajemnicze, które go wdzięcznością i przestachem napełniały, a które on wraz z postępem rozwijającego się myślenia za bóstwa poczytywać zaczął, przybierały u niego postać albo rzeczy martwych albo też zwierząt. Prawie niepodobna wątpić, że u wszystkich narodów pierwotną formą kultu religijnego był *fetyszyzm* t. j. cześć przedmiotów nieożywionej natury. Cześć zwierząt była i jest również rozpowszechniona na całej kuli ziemskiej. Jeżeli zaś w późniejszych czasach napotykamy postaci ludzkie, to przedewszystkiem w karykaturze: z kilku głowami, z kilku ramionami i t. p. Dopiero powoli człowiek uznał w sobie najwyższą formę istnienia, i bogom, których czcił, postać tę nadawał, postać, co w nieśmiertelnych dziełach rzeźby greckiej nadziemskim niemal zajaśniała blaskiem.

Zanim się jednak człowiek wzniosł do tych wyżyn, poprzestawał na przedmiotach otaczającego świata. Musiał zaspakajać najbliższą swoją potrzebę, potrzebę pożywienia: łapał mięczaki i zjadał je¹⁾; dla ulżenia sobie pracy przy

¹⁾ Że istotnie jednym z najdawniejszych pokarmów ludzkich były muszle, świadczą tak zwane *Kjökkenmøddingi* t. j.

ich otwieraniu, brał leżące napodórędziu kawałki ostro zakończonych krzemienia, który mu musiał zastępować nóż przy otwieraniu ostryg. Ale mięczaki i owoce wystarczyć mu nie mogły; zapragnął innego pokarmu; musiał wynaleść stosowne narzędzia, ażeby ten pokarm (zwierzęcy naturalnie) mógł sobie zdobyć. Siekiera, którą wkładano pierwiastkowo w rozłupane drzewo, nie umiając przedziurawić kamienia; łuk z elastycznych gałęzi i strzała z drzewa, z kamienia albo też z zębów i kości: oto środki, któremi od zwierząt się bronił i zwierzęta zabijał, ażeby je następnie pożyć...

Przy dalszém ulepszeniu pożycia pokazała się potrzeba *naczyń*. Z początku znowu matka-natura była tu przewodniczką i nauczycielką. Twarde łupiny ze świata roślinnego, muszle i skorupy żółwie ze świata zwierzęcego stanowiły dawniej wszędzie a obecnie u wielu narodów dzikich naturalny środek przechowywania rzeczy płynnych. Ale bardzo wczesnie pokazują się już naczynia gliniane. Dzisiaj powszechnie przyjmują, że pierwszą ku temu myśl mógł podać taki np. wypadek. Na gliniastym gruncie rozkładały częstokroć hordy ognisko, po większej części w najniższych miejscach; gdy się to powtarzało kilkakroć, najwyższa warstwa gliny przemieniała się na zbitą twardą masę. Z téj masy robiono naczynie na podobieństwo łupin lub muszli, wypalano ją jeszcze raz i robiono miskę i t. p. Niekształtne z początku naczynie udoskonalało się z postępem czasu.

Po zaspokojeniu najpierwszych potrzeb zjawiała się chęć *przyozdobienia* zarówno siebie jak narzędzi i naczyń, któremi się człęk posługiwał i potrzeby swoje opędział. Tak powszechne u ludów żyjących w sferach gorących *tatuowanie*,

ogromne, murawą pokryte, kupy skorup muszlowych, kości zwierzęcych i naczyń kamiennych, jakie w ziemi napotyamy.

przystrajanie głowy w różnokolorowe pióra ptasie, przekłówanie nozdrzy i zawieszanie w nich jakichś świecących przedmiotów, noszenie kolczyków i bransolet przez płeć piękną: w owej właśnie chęci ma swój początek; a widocznie chęć ta była nieprzeparta, kiedy dotychczas przedmiotów, zadowoleniem jej będących, nie brak nawet u cywilizowanych narodów... Człowiek sam był pierwszém płótnem, na którem występowały pierwotne dzieła malarskie, a ich wykonanie połączone, niestety! było z bólem niemałym. Tatuowanie bowiem nie jest zwykłym malowaniem. Skóra nacina się ostrym narzędziem, punktuje się niejako w nader małych odstępach, a powstałe w ten sposób otworki napuszczają się barwnym sokiem roślinnym. Jestto małżeństwo rzeźby z malarstwem.

Podobnie jak ze sobą, postępował człowiek i ze swemi narzędziami.

Kto zwiedzał jakie zbiory etnograficzne choćby w Berlinie a nawet w Dreźnie, gdzie w muzeum historycznym jest mały pokój etnograficznym okazom poświęcony; niezawodnie wpadły mu w oko jaskrawe barwy maczug, pałek, łuków, zbroi i t. d. Wszystkie one są malowane, niektóre nawet (np. z wysp malajskich) wcale nie brzydko się prezentują. Gdy się tym malaturom bliżej przypatrzymy, łatwo będzie odkryć, że one po większej części nic więcej nie przedstawiają prócz kresek długich i krótkich, kół i kółek w rozmaity sposób pokombinowanych. Inne, dalej już w postępie posunięte, przedstawiają albo usiłują przedstawiać liście, drzewa, ptaki i czworonogi. Egzemplarze tych wszystkich narzędzi są najpospolicij z czasów bardzo niedawnych, i dlatego właśnie zwróciłem na nie uwagę; przypominają one nam bowiem wyraźnie owe kreski, co mogły być przez gryzoniów zrobione i owe reny i niedźwiedzie jaskiniowe, jakie na ich własnych kościach napotykamy.

Nic sobie człowiek pomyśleć, nic wyobrazić nie może, czegoby nie było w naturze. Owszem dowiedziona jest rzeczą, że nawet w rozwiniętym wysoko budownictwie wszystkie pierwiastki składowe z natury są wzięte. Znany artysta budowniczy *Semper* wyznaje np., że kształt kolumn na grobowcu w Beni Hassan jest wyraźnym powtórzeniem czterech połączonych łodyg roślinnych; że dalej kapitel w Karnaku przedstawia szeroko roztwarty kielich kwiatu lotosu, co nawiasem mówiąc, było zwykłym strojem główek u pięknych pań egipskich ¹⁾. Tak samo sądzi znany powieściopisarz i znawca sztuki Teofil *Gautier*. Wspominając o ograniczonej sferze twórczości fantazyi ludzkiej, powiada: „Najbardziej cudackie pomysły są rzeczywiste; wydają się one nam napozór dziwnymi, ale dlatego jedynie, że części prawdziwe oddzielnie połączone są w jedną całość. Lew, koza i wąż mogą się upomnieć o jeden ze swych członków u okropnego zwierzęcia, zabitego przez Bellerofonta. Megaloniksy, ichtyozauury, pterodaktyle, mamuty, paleonterye w epoce przedpotopowej; a w bliższej dla nas, dziwaczna fauna Nowej Holandyi, nie licząc już owego mrowiego świata odkrytego pod mikroskopem, zadowolniły zgóry wszystkie zachcianki ołówka i dłuta. Gryfy, hydry, smoki, harpije, meduzy, syreny, trytony należą do historyi naturalnej. Na polu zaś *ornamentacyi*, które, jakby się zdawało, nie ma żadnych granic, roślinność wraz ze swemi liśćmi, kielichami, gałęzmi, pączkami — dostarcza motywów do wszystkich zagieć, do wszystkich zaokrągleń, do wszystkich rozgałęzień... Owe cudowne jeziora wężykowato spływające po murach Alhambry, owe stalaktyty zwieszające się ze sklepień sali Abenseragów i Dwu-

¹⁾ Semper: *Der Stil in den technischen und tektonischen Künsten*. Monachium 1860 do 1863, t. I, str. 13 i n. Cytow. u *Neumann'a*: *Die Kunst in der Wirtschaft*. Wiedeń 1873, str. 19.

Sióstr, nie zawierają ani jednej formy, z którejby nie mogła zdać sprawy trygonometria albo krystalografia. W urabianiu naczyń typów dostarcza jajko próżne, kielich kwiatu i właściwość tego, co ma naczynie wypełniać. Największy nawet artysta nigdy jeszcze nie stworzył nowej formy; a kiedy chcemy przedstawić przedmioty oderwane jak Bóg, duchy niebieskie, musimy się zwrócić do typów ludzkich, gdyż wynalezienie innej postaci jest rzeczą niemożliwą¹⁾.

Cokolwiek moglibyśmy myśleć o pochodzeniu ludzkich pojęć, cokolwiek o zdolności twórczej; to jednak faktów powyższych zaprzeczyć nie możemy. Sąto rzeczy wykryte zarówno przez paleontologią i etnografią jak i przez głębsze wniknięcie w rozwój sztuki takiej, jaką się nam wśród biegu dziejów przedstawiła. O pojęcia i poglądy można bardzo długo się sprzeczać, zacięte nawet i długotrwałe walki na arenie literackiej lub salonowej staczać, a jeszcze nie przyjsć do żadnego, kojarzącego dwie przeciwne strony, rezultatu. Przeciwnie rzecz się ma z faktami. Tu nie może już być mowy o żadnych wykrętach dyalektycznych, o żadnych naciąganych lub przewrotnie tłumaczonych figlach krasomówstwa: fakty przemawiają za siebie i stają we własnej obronie.

Czegóż nauczają nas powyżej przytoczone fakty? Odpowiedź, zdaje się, dwuznaczną być nie może. Pokazują nam one, że w *pewnych* gałęziach działalności ludzkiej, które później z biegiem czasu i postępem rozwoju umysłowości ludzkiej, na osobne sztuki piękne się przetworzyły, *zarówno pomysł jak i środki, do urzeczywistnienia tego pomysłu służące, były wprost z natury brane.* W tych gałęziach działalności ludzkiej najbliższą i bezpośrednią *pobudką* skłaniającą ludzi do zajmowania się niemi była *chęć zwiększenia własnej przyjemności.*

¹⁾ *Th. Gautier: L'art moderne. Paryż 1856; str. 155—6.*

Powtarzamy z naciskiem: w *pewnych*, bo dotąd przywiedzione fakty nie pozwalają nam uogólnić naszego zdania i powiedzieć: *we wszystkich*. Byłby to wniosek zanadto pośpieszny i niedający się usprawiedliwić. Zarazby nam można było zarzucić: a wszakże są inne sztuki, do których powyższe dane bynajmniej się nie odnoszą; cóż powiedzieć o muzyce, o poezyi? toż to są najwyższe objawy ducha ludzkiego w artystycznej dziedzinie; one się podciągnąć nie dadzą pod powyższą formułę!

Zarzut byłby zupełnie słuszny. Nie można nic wypowiadać napewno, jeżeli się na to nie ma dostatecznych dowodów.

Rozejrzyjmy się więc w tej nowej dziedzinie.

Przedewszystkiēm uprzedzić muszę, że mówić tylko będę o poezyi, gdyż traktowanie o muzyce z wielu względów przedstawia trudności, a nigdy tak jasno i zrozumiale nie da się sformułować jak w tej sztuce, której za materiał służy dźwięk, słowo, ludzka mowa.

Ta mowa ludzka sama w sobie — to najszczytniejszy utwór sztuki, jaki ludzkość wogóle stworzyć potrafiła. W niezliczonych stopniowaniach, od bełkotu dziecka do najszczytniejszego poematu, przedstawia nam ona usiłowanie przyodziania w zewnętrzną formę tego, co wewnątrz nas, w duszy naszej i sercu zachodzi, wszystkich naszych myśli i uczuć. Każdy wyraz jest pomnikiem stawianym dla jakiegoś wyobrażenia czy pojęcia, jest obrazem uczucia i poezią naszej duszy, która inaczej objawiłaby się w całej swj doskonałości nie mogła. Jeżeli ktoś uważa sztukę za urzeczywistnienie idei albo też za uwydatnienie najcharakterystyczniejszych cech pewnego przedmiotu, ten mowę za dzieło sztuki poczytać musi, bo w niēj także jest urzeczywistnienie idei (myśli lub uczucia) i uwydatnienie cech najbardziej stanowczych.

Jak długo ludzie pracowali nad wytworzeniem języka, niepodobna oznaczyć. Niektórzy, jak np. znakomity lingwista *August Schleicher* ¹⁾, naznaczają osobną epokę w rozwoju ludzkości, nazywając ją epoką *formacyi mowy*. I pogląd ten ma nadzwyczaj wiele za sobą, a głównie tę okoliczność, że język nadzwyczaj powoli się kształcił i bogacił w wyrazy. Jeżeli dowiadujemy się (od Maksa Müllera), że dzisiaj wieśniak irlandzki obchodzi się 200 do 300 wyrazami w życiu swojem zwyczajnem, a bądźco bądź wysoko nad poziom dzikości wzniesionem, to możemy sobie wyobrazić, jak szczupłym zapasem słów posiłkował się człowiek pierwotny, dziki. Z drugiej strony wiemy, że języki z małej stosunkowo liczby *piérwiastków*, t. j. takich dźwięków mających pewne znaczenie, które już na mniej proste lingwistycznie rozłożyć się nie dają, potrafiły rozwinąć się do 60 a nawet 100 tysięcy *wyrazów*!... To nam pokazuje, jak wielka przestrzeń czasu leżeć musi pomiędzy małym początkowo zasobem a późniejszem niezmiernie rozrośniętym bogactwem. Zdaje się, że nazwa epoki dla owego stopniowego rozrastania się mowy nie będzie nieodpowiednią.

Badacze języka, począwszy od Boppa aż do Maksa Müllera, wszyscy bez wyjątku zgadzają się na to, że wszystkie pierwiastki, a zatem i wszystkie złożone z nich wyrazy, miały początkowo znaczenie *zmysłowe* t. j. przedstawiały w sobie, odbijały niejako przedmioty i zjawiska przyrody. Króciutkim przykładem postaramy się to wyjaśnić. Weźmy najabstrakcyjniejsze wyrazy t. j. takie, którym nie odpowiadają nigdzie w przyrodzie zmysłowe przedmioty, mogące podlegać naszemu doświadczeniu zapomocą zmysłów. Takie wyrazy są np. *duch*, *Bóg*, *anioł*. Bezwątpienia nikt i nigdy

¹⁾ Ueber die Bedeutung der Sprache für die naturgeschichte des Menschen 1865.

ducha, Boga, anioła, nie widział, nie słyszał, nie dotykał się, ani wogóle nie doświadczał żadnym ze swoich zmysłów. Pytamy się, skąd te wyrazy powstały. Językoznawstwo odpowiada: *duch* ma ten sam pierwiastek co i *dech* (tchu); gdyż prawdopodobnie ludzie oddawna zrobili spostrzeżenie, że to, co zewnętrznie charakteryzuje istoty żyjące, jest oddychanie, które zupełnie ustaje, jak tylko istota żyjąca umiera. Dech zaś, jak każdemu wiadomo, jest rzeczą dającą się zmysłowo zaobserwować zarówno na sobie jak i na innych. *Bóg* ma w zendzkim (t. j. staroperskim) języku odpowiednie słowo a nawet pojęcie: *bagas*, co znaczy: *jaśniejący, świecący*, przymiotnik, odnoszący się przedewszystkiem do *słońca*, które u staro-persów (pod nazwą *Mithra*) a prawdopodobnie i u Słowian czci boskiej doznawało. Zarówno słońce jak i światło, jego przymiot, są rzeczami zmysłowymi. *Anioł* wreszcie jest przepolszczeniem greckiego wyrazu: *angelos*, co znaczy poprostu *poseł*, którego zmysłowość (bez kalemburu...) każdemu jest znana.

Oczywiście jak na tych trzech wyrazach, tak i na wszystkich innych prawdy powyższego twierdzenia z łatwością dowieść można. Jestto zresztą pewnik lingwistyczny, fakt językowy, który trudno przemienić.

Język był początkowo wynikiem potrzeby czy porozumienia się z ludźmi, czy z wyższymi jeszcze potęgami; w dalszym swoim rozwoju, po zaspokojeniu potrzeb, służył do uprzyjemnienia życia towarzyskiego, do opowiadania wzajemnych radości i smutków, wzajemnych przygód łowieckiego, pasterskiego, rolniczego i wojowniczego (a względnie rycerskiego) żywota. Opowiadania te, przechodząc z pokolenia na pokolenie, olbrzymiały dodatkami, które każdy opowiadacz niejako z obowiązku dotwarzać z własnego doświadczenia musiał; a łącząc się z pieśniami na cześć bogów, otaczały się świętością i urokiem tajemniczym. jaki ma za-

mierzchła przeszłość rodzinna, a w dalszym rozwinięciu narodowo-dziejowa. W ten sposób w ogólnych rysach możemy sobie tłómaczyć powstanie zarówno drobnych jak i wielkich poematów ludowych.

Zastanówmy się pokrótce nad jednym z nich, który był księgą mądrości jednego ludu najbardziej może wrażliwego na piękno, a który z powodów cywilizacyjnego znaczenia stał się własnością wszystkich narodów ucywilizowanych. Mówimy o „*Iliadzie*“. Wiem, że są inne dawniejsze płody piśmiennictwa zwłaszcza w literaturze indyjskiej, zendzkiej (staro-perskiej) i egipskiej; lecz ponieważ utwory te mało komu są znane, wolę zatrzymać na chwilę uwagę czytelnika na zbiorze pieśni, których wprowadzie sam może nie czytał, ale przynajmniej z ich treścią bliżej jest obeznany.

Treść Iliady rozpada się na dwa niejako, odrębne wprowadzie, lecz ściśle ze sobą nierozzerwalnemi węzłami spójone światy: świat ludzi i świat bogów. Świat ludzki przedstawia oczywiście osoby i zdarzenia, jakie nieraz nawet za czasów piewcy miały miejsce; a chociaż uidealizowane t. j. podniesione nad zwykły poziom śmiertelników, co nawet wyraźnie w pieśniach niejednokrotnie zaznaczono: — trudno atoli nie uznać w nich naszych sióstr i braci, naszych wypadków z życia codziennego i z życia ogólnie-dziejowego.

Świat bogów jest — jak wiadomo — jedną świetną tkaniną mitów. Homer i Hezyod, powiadali niektórzy mężowie greccy, stworzyli bogów dla Hellady. Czyż-to prawda? Nikt teraz nie wątpi, że tak nie jest. Mity brali piewcy z wyobrażeń ludowych, a zatem i ze swoich własnych, gdyż sami spośród tego ludu wychodzili. Skąd zaś lud czerpał? jestto inne pytanie, na które nie tu miejsce odpowiadać. Można sobie wyobrażać, że były one ludom wrodzone, można mniemać, że powstały z powolnego rozwijania poglądów na zjawiska przyrody; kwestya czysto teoretyczna, nie zmieniająca

w niczem istoty rzeczy, o którą tu idzie. My tylko wiemy, że w mitach greckich najwięcej się uwydatnił tak zwany *antropomorfizm* bogów t. j. wyobrażanie sobie istot wyższych pod postacią ludzką. Sam ten fakt, powszechnie uznany, wskazuje, że bogów wyobrażano sobie jako ludzi, w stokrotny sposób zolbrzymionych, wprawdzie nie pod względem zewnętrznej postaci, lecz pod względem przymiotów takich jak potęga, mądrość i t. p. Wszystkie czyny bogów wyobrażano sobie i tłumaczono w sposób zupełnie ludzki: miłość, nienawiść, zazdrość, gniew, lubieżność, kłamstwo, wiarołomstwo, krzywoprzysięstwo i cały szereg cnót i występków przypisywano bogom taksamo jak i ludziom. Nawet nieomyślność, wszechwiedza nie były przymiotem każdego boga w szczególności; tak jak pomiędzy ludźmi byli tacy i owacy: jeżeli który czego nie wiedział, pytał się drugiego, a ten trzeciego i t. d., dopóki nie natrafił na właściwego znawcę pewnego przedmiotu: wtedy ten ostatni odkrywał całej rzeczy zgromadzonej wszystko, co się do jego fachu odnosiło. Co do innych własności bogów np. niewidzialności, to przenoszono tylko na większą skalę to powszednie zjawisko, jakie w życiu zwyczajnem nieraz zaobserwowano. Jak jeździec, tumanami kurzu zasłonięty, ginie dla naszych oczu, tak Zeus gromowładny, otuliwszy się obłokiem, ukrywa się przed oczyma śmiertelników, jeżeli przez nich widzianym być nie chce, np. kiedy swe miłostki ze śmiertelniczkami do skutku doprowadzić się stara. Zresztą pospolite, codziennie widziane zjawisko *zachodu słońca* mogło podać pierwszą myśl o władzy bogów stawania się niewidzialnymi. Cała tajemniczość, jak zawsze i wszędzie, polegała na niemożności wytłomaczenia sobie pewnego zdarzenia na mocy faktów, które wchodzą w zakres wiadomości pewnej jednostki albo pewnego społeczeństwa.

Z takich pierwiastków złożona i takimi wyobrażeniami

przepełniona Iliada może być uważana jako utwór, do którego z przyrody i ze społeczeństwa brano wzory i obrazy. Nam przyzwyczajonym do innego szeregu myśli, do zupełnie innych wyobrażeń, dziwném może się wydawać, jak takie cudowne rzeczy o stosunkach bogów z ludźmi, o ich istotném przedstawianiu z niemi i t. p., mogły być wpływem *naturalnego* t. j. z natury branego poglądu. Ale pomyślmy, że piewca czy piewcy Iliady żyli w czasach, kiedy w te cudowne rzeczy najmocniej *wierzono*, kiedy one były tak popularne i tak zwyczajne; że zatém opiewając je, byli zupełnie w zgodzie ze stanem umysłowym swego ludu i z poziomem jego wykształcenia. Dziś wiele scen z Iliady śmieszy tylko, niegdyś przejmowały one uroczystym nastrojem wszystkich, co je słyszeli śpiewane lub sami czytali. Nigdy nie należy zapominać o względności naszych wyobrażeń, o tém np., że *naturalném* jest to, co się z danymi pojęciami o naturze i społeczeństwie zgadza, co nie stanowi z niemi przykrą dysharmonii umysłowej.

I znowu muszę zrobić nacisk na okoliczność niezmiernie ważną a tak łatwo pominąć się dającą. Od pierwszego opowiadania przy ognisku o wyprawie na jelenia lub niedźwiedzia, od pierwszego wyobrażenia o hóstwie jako o czémś co przechodzi siły zwykłego człowieka, do tego szeregu skombinowanych opowiadań, do tych szeroko i cudownie rozwiniętych mitów, jak je w Iliadzie napotykamy, naród grecki przeżyć musiał lat setki i lat tysiące. Jak poprzednio od kręsek i nacięć na kościach zjedzonego rena, od niezgrabnych fetyszów do nieśmiertelnych utworów *plastyki* greckiej; tak i tu od prostej opowieści albo też od prostego frazesu („byłem tam i zrobiłem to“) do olbrzymiego eposu, przestrzeń ogromna, przestrzeń wypełniona ciągłą, nieustającą *prometeuszowską* pracą ducha ludzkiego, który pod przewodnictwem mistrzyni przyrody, biorąc z niej wzory

i materyały, ucząc się od niej sposobu wykonywania swych dzieł, dąży ku uwiecznieniu swęj pamięci i ku przymnożeniu ogólnego, powszechnego zasobu szczęścia...

III.

Kiedy się ludzie sztuką zabawiają.

Kiedy się człowiek może *bawić*?

Gdybyśmy pytanie takie rzucili wśród naszego salonowego towarzystwa, połowa nie zrozumiałaby nas, a połowa rozśmiałaby się naiwnie zdziwiona.

Kiedy się można bawić?... Cha, cha! w każdej dnia porze, w każdym stosunku życiowym, byleby tylko służyło zdrowie i dopisywał humor; damy nawet nie bardzo potrzebują mieć dobry humor, mogą go tylko udawać... dla jakiegokolwiek powodu. Po co się o takie rzeczy pytać; nad rozwiązaniem podobnych zagadnień niech sobie głowy suszą ci, którzy się *nie mogą bawić*; ale dla nas *c'est une question oisive*.

Tak: wśród naszych wyrafinowanych obyczajów, wśród naszej cywilizacyi, nie zawsze i nie wszędzie można poruszać kwestyę zabawy. Taki, co nie ma grosza przy duszy a tylko frak i lakierki, tańczy do upadłego i bawi się nazzabój. Taki, co należy do kategorii „błyszczącej nędzy“, co straciwszy majątek, wypożycza swe imię, swe ciało lub swój honor, zabija się zabawą, przechodząc od jednej do drugiej — od nocnej do południowej i znowu do nocnej.

Tak wśród naszych obyczajów i wśród nader złożonych żywiołów, tworzących społeczeństwo, powstają nieraz bardzo dziwne stosunki. Np. kiedy nie było dobrego podręcznika historycznego, kiedy uczeń z trudem musiał na cudzoziemskich atlasach geograficznych odgrzebywać krajowe nazwy; kiedy drzeworytnictwo nasze krztusiło się jeszcze

w pieluchach: wtedy wychodzić u nas mogły *wzory sztuki średniowiecznej* przewyższające *przepychem i wykwintem paryskie* tego *rodzaju* wydawnictwo, choć mu pod względem *naukowym* bynajmniej nie wyrównywało.

Tak wśród dzisiejszych, po większej części nienormalnych kierunków duchowych, wytworzonych przez wieki całe cywilizacyjnego pochodu, możliwe są skoki wszelkiego rodzaju. Teraz mogą artyści umierać na poddaszach zimnych i brudnych, pozostawiając w spadku płótno, na którym wymalowana śmiejąca się rozkosznie bachantka lub piwosz zasypiający nad dwunastym kufelkiem. Teraz może literat w wytartym tużurku wypracowywać iskrzące się dowcipem i tryskające humorem feljetony, spoglądając z apetytem na kajzerkę i serdelek — jedyny wieczorny posiłek. Teraz można rzeźbić cudowny nagrobek z kararyjskiego marmuru dla śp. nieboszczki żony jakiego magnata, nie mając pięćdziesięciu tysięcy na kupienie rękawiczek, ażeby móżdżek pójść i upomnieć się o honorarium u tegoż samego magnata... Tak... teraz wszystko być może.

Istotnie, społeczna kultura i cywilizacja nie nadaje się wcale ku temu, ażeby się można było zapytać o warunki, wśród których zabawa jakakolwiek — wyższa czy niższa — jest możliwa. Postawisz jakąś odpowiedź ogólną, którą w zrozumieniu swoim uważasz za prawo, a tu ci przytoczą tyle faktów bijących w oczy, takie spustoszenie robiących w gmachu twego prawa, że wpadając z jednej ostateczności w drugą, zmuszony będziesz zawołać: świat ten — to chaos, cywilizacja nasza — to galimatyas; ładu ni składu w nich nie dopatrzysz.

Cóż to znaczy?.. To znaczy, że cywilizacja nasza nie przedstawia stosunków prostych; nie przedstawia widocznego związku przyczyny i skutku z niej wynikającego; nie przedstawia, słowem, prawidłowości odrazu namacalnej. Tysiące

przyczyn i tysiące stosunków tak się splątały, tak się pokrzyżowały, tak się rozdrobniły; że trudno je teraz rozplątać, trudno je wyprostować. trudno na jaw wydobyć. Dużo też jeszcze czasu upłynie, zanim będzie można ułożyć i usystematyzować wszystkie objawy naszej cywilizacji i wogóle każdej cywilizacji, długim szeregiem lat przygniecionej.

Przekazy jednak na przyszłość są bardzo zawodne. Co będzie za lat kilkadziesiąt, to może wchodzić w sferę bardzo pouczających może przypuszczeń, ale zawsze... przypuszczeń tylko. A tymczasem każdy człowiek pragnie jakiejś pewności, bez której żyć nie może, jakiejś podstawy do wydawania sądów, bez której umysł jego pozostawałby w stanie wcale niemiłej chwiejności.

Cóż trzeba zrobić, ażeby sobie zdobyć taką podstawę i taką pewność?

Jeżeli ktoś uważnie śledził poprzedzający bieg rozumowania, łatwo odpowiedzieć może: potrzeba poszukać zupełnie innych stosunków aniżeli te, jakie się wśród naszej obecnej cywilizacji widzi powszechnie. Potrzeba poszukać stosunków prostych, więcej ustalonych. nie szybujących po zmienną fali czasu, zapadłych w przeszłość i skamieniałych niejako; stosunków, którymbyśmy swobodnie przypatrzeć się mogli, obejrzeć ze wszystkich stron, nie spotykając się ciągle z zagadką jakąś, z jakimś nagłym poruszeniem życia, które wszystkie nasze dotychczasowe wnioski w niwecz obraca, bo wskazuje nową powikłaną przyczynę.

Spróbujmy tak zrobić.

Dwu bardzo wiarogodnych mężów starożytności, którym większość naszych wspomnień dziejowych z tamtej epoki zawdzięczamy, Herodot i Dyodor sycylijski. opowiadają nam, że w Egipcie 2000 ludzi *przez trzy lata* pracowało nad tem, ażeby *jeden-jedyny* kamień przewieźć z Elefantyny do Sais;

opowiadają nam dalej, że budowa *jednej piramidy* wymagała pracy 360.000 ludzi *w przeciągu 20 lat!*..

Zapewne, dla tych trzystu sześćdziesięciu tysięcy ludzi nie było wcale zabawa. Pocili się oni i wytężali siły, co się zowie; pracowali straszliwie. Ale pocóż pracowali? Ażeby jednemu jakiemuś Ramzesowi czy Cheopsowi sprawić przyjemność, ażeby zadosyć uczynić jego dumie, ażeby uwiecznić jego pamięć w *dziele sztuki*. Zbudować piramidę znaczyło: uwiekopomnić się. A uwiekopomnienie się — toćto zadowolenie nielada.

3 Ażeby więc jeden Ramzes lub Cheops mógł być zadowolnionym, ażeby mógł się bawić, potrzeba było pracy 360.000 ludzi w przeciągu 20 lat; czyli innemi słowy: ażeby *jeden* Ramzes czy Cheops mógł się bawić, potrzebaby było, ażeby *jeden* zwyczajny człowiek ciężko pracował przez 7,200.000 (siedm milionów, dwakroćstotysięcy) lat!... Jeżeli wiadomości podane przez Herodota i Dyodora sycylijskiego są prawdziwe (a za takie wszyscy je przyjmują), to nasze obliczenie jest najzupełniej ścisłe... Warto się nad nim zastanowić. Nie nasza rzecz wchodzić w stosunek Cheopsa do 360.000 ludzi; to zupełnie inna kwestyja; my się tylko przypatrzymy zajęciu tych właśnie 360.000 ludzi.

Ażeby oni mogli przez 20 lat zajmować się obciosowywaniem i układaniem brył kamiennych w pewną oznaczoną formę, a wskutek tego nie wytwarzać pod względem ekonomicznym, bo nie sieli, nie orali, nie piekli chleba, nie krajali mięsa, nie uprawiali ogrodów; to inni ludzie musieli przez ten czas wytworzyć tyle, ażeby nakarmić, napoić, przydziać i schronić pod dachem i Cheopsa i siebie i te 360.000 ludzi, co obciosywali i układali bryły kamienne.

Stąd wniosek: ażeby Cheops mógł się bawić, potrzeba było: nie tylko pracy 360.000 ludzi przez 20 lat, ale także pracy kilkunastu milionów innych ludzi, gdyż inaczej ani

Cheops bawić się, ani 360.000 ludzi pracowaćby nie byli w stanie, z tej prostej przyczyny, że z głodu-by pomarli.

Gdybyśmy rozumowanie, w tym przykładzie przeprowadzone, zastosowali do większej liczby ludzi i do większej liczby krajów, otrzymalibyśmy cyfry coraz pokąźniejsze. Cyfry te możnaby było uszeregować w dwie kolumny: jedna z nich przedstawiałaby liczbę ludzi *mogących* się bawić, a druga liczbę ludzi *zmuszonych* pracować. I tak byłoby zawsze i wszędzie; napróżnobyśmy usuwali daty w ciemną głąb' przeszłości, napróżnobyśmy wynajdowali coraz to inne stosunki.

Ale tu właśnie zjawia się wątpliwość i zarzut. Przypuśćmy na chwilę, że tak jest rzeczywiście; jakiż stąd należałoby wyciągnąć wniosek? Inny, zdaje się, jest niemożliwy jak tylko ten, że niektórzy ludzie *z przeznaczenia* (z predestynacyi) są skazani na zabawę, inni zaś (w ogromnej większości) na pracę. Oczywiście określenie takie byłoby bardzo wygodne i usuwałoby wiele trudności, ale niczegoby nas nie nauczyło. Przeznaczenie samo jest rzeczą ciemną i niewyjaśnioną; zamiast więc istotnego rozwiązania kwestyi, postawilibyśmy sobie tylko nierozwiązalną zagadkę. Każdy, kto lubi badać, będzie usiłował albo obejść tę zagadkę albo też wykazać, że jest niedorzeczną; bo samą zagadką zadowolnić się w żaden sposób nie potrafi.

4 Potrzeba więc raz jeszcze poszukać przyczyny.

U ludów dzikich, żyjących w małych hordach, zabawa następuje zazwyczaj dopiero wtedy, gdy naglejsze potrzeby zaspokojone już zostały. Kiedy dzicy najedzą się i napiją (a w klimacie zimnym ciepło się okryją), zaczynają dopiero skakać, tańczyć, krzyczeć, wyć, tatuować się, rzeźbić kości, malować strzały i t. p. Taki stan rzeczy bardzo długo nie zmienia się w krajach, gdzie pożywienie zdobywa się z wielką trudnością i mozolnej wymaga pracy. W krajach zaś, gdzie

ziemia obfitszego i łatwiej zdobywanego dostarcza pokarmu, stosunki po pewnym przeciągu czasu zmieniają się. Nie możemy się wdawać w obliczenia, chcąc wskazać, jakiegoto mia nowicie potrzeba na to przeciągu czasu; bezwątpienia wyraża się on w cyfrach dość pokaźnych, ażeby nakazać poszanowanie; w każdym jednak razie ma on swoją granicę dosyć widoczną. W takich bowiem krajach ukazuje się *naprzód* to, co nazywamy *cywilizacją*.

Postaramy się rzecz tę wyjaśnić na kilku przykładach.

Najdawniejsze pomniki sztuki znajdujemy w tak bogatych, tak płodnych, tak świetnie przez naturę uposażonych okolicach jak dolina eufratowa, dolina nilowa, dolina pendżabu (w Indyjach wschodnich), meksykańskie wreszcie równiny, które w całej Ameryce przedstawiają największą płodność i największą łatwość zdobycia pożywienia i nagromadzenia bogactw.

Na dolinie Eufratu napotykanymy prawdopodobnie najstarszytniejsze zabytki sztuki architektonicznej. Cytowany już przez nas *Semper* opowiada nam o tarasach z cegły, podobnych do skał, z właściwem upiększeniem mas budowlanych zapomocą różnego rodzaju inkrustacyj; i dodaje zarazem, że budowle te sięgają daleko po za dziejową epokę państwa babilońskiego i asyryjskiego ¹⁾. W późniejszym czasie świątynia Baala wspaniałością swoją przewyższała nawet piramidy egipskie; pałace królów asyryjskich pełną smaku formą i bogactwem ozdób i rzeźb zdumiewały widza; zwaliska zaś Persepolidy i perskich grobów (królewskich) „są niemymi świadkami rozrzutnego zamiłowania sztuki“ ²⁾.

Wśród wspaniałej delty nilowej wznoszą się ku niebu

¹⁾ *Semper*: Der Stil in den technischen und tektonischen Künsten. str. 223 do 337, u *Neumanna*: Die Kunst in der Wirthschaft, str. 25.

²⁾ *Neumann*: die Kunst in der Wirthschaft, str. 26.

memfiskie piramidy, będące pierwszym *wykonczonym* pomnikiem architektonicznym na ziemi. Piramidy w Gizeh i mnóstwo wielkich budowli (jak obelisk w Heliopolis, groby w Beni Hassan ze świetnej epoki rozwoju państwa egipskiego, epoki przypadającej na 300 lat przed Chrystusem, wykazują najdobitniej, że tam musiał być już nagromadzony dostateczny zapas bogactw, łatwą pracą zdobytych, jeżeli na takie przedsięwzięcia dostateczne już było przygotowanie. Na dowód zaś, jak małym kosztem zaspakajano potrzeby, jak wiele przyroda dostarczała zadarmo, niech nam posłuży wiadomość, podana przez Dyodora sycylijskiego, że wychowanie dziecka na człowieka *nie więcej kosztowało jak 20 drachm* to jest około 12 (dwunastu) *złotych* (!), na nasze pieniądze. Chcąc mieć wyobrażenie, co to za bajeczna była taniość, potrzeba ją tylko porównać z dzisiejszemi wydatkami. Jeden ekonomista angielski, *Senior*, piszący w roku 1835, obrał sobie koszta łożone na wychowanie dziecka z najniższej klasy społeczeństwa angielskiego na 1600 złotych (40 funtów szterlingów), a na wychowanie szlachcica (gentlemana) 81600 złotych (2040 funtów szterlingów). Francuski zaś ekonomista, *Maurycy Block*, piszący już w r. 1869, licząc podług cen dzisiejszych, powiada, że wychowanie dziecka z klasy robotniczej do 15 roku życia kosztuje najmniej 6400 złotych; młody zaś człowiek, co się zawodowi umysłowemu poświęca, zanim dojdzie do 25 roku i może mieć nadzieję zabezpieczonego utrzymania, kosztuje najmniej 44000 złotych ¹⁾. Zestawiwszy ze sobą te obliczenia, i biorąc tylko miarę z dzisiejszego dziecka robotniczego, otrzymamy taki szereg wydatków: w starożytnym Egipcie 12 zł.; w Anglii z r. 1835 — 1600 zł., we Francji z 1869 — 6400 zł.

¹⁾ Porównaj *Engel*: *Cena pracy*, w przekładzie polskim. Powyższe dane są wzięte z Neumanna: *Die Kunst*, etc., str. 24.

Bez wątpienia ostatni skok nie mniej jest dziwny jak pierwszy (od 12 do 1600 i od 1600 do 6400) i pokazuje nam warunki cywilizacyjne, wśród których człowiek żyć, pracować i bawić się jest zmuszony. Nie biorąc tu innych względów pod uwagę t. j. przypuściwszy, że wszystkie inne warunki są także zarówno w Egipcie jak w Anglii i we Francyi, łatwo wywnioskujemy, że w Egipcie łatwiej się było bawić albo poświęcać dziełom sztuki niż w Anglii, w Anglii zaś łatwiej niż we Francyi. Rozumie się, że przypuszczenie takie jest całkiem fikcyjne; niepodobna bowiem porównywać naszych dzisiejszych stosunków ze stosunkami w starożytnym Egipcie; przypuszczenie to atoli wyjaśnia dobitnie tę prawdę, że gdzie utrzymanie życia łatwiejsze, tam możność zabawy większa; chociaż inne warunki możliwości tej taki nadadzą kierunek, że właściwie bawić się będzie jeden, a 360.000 ludzi przez 20 lat ciężko pracować będą zmuszeni. My rozważamy tu tylko pierwszy stosunek: możność zabawy: — stąd inne względy mogliśmy pominąć.

Podobnie rzecz się miała i w Indyach. Nad bujnością węgietacyi, nad niezmiernie łatwym sposobem wyżywienia się nie potrzeba długo się rozszerzać; jestto rzecz powszechnie wiadoma. Otóż najdawniejsze epepeje rodu ludzkiego, jakie do wiadomości naszej doszły, Ramajana i Mahabharata, wspominają o budowlach i rzeźbach, które, jak powiadają znawcy, świadczą bardzo wyraźnie, że są jedynie wytworem wyrafinowanego końca bardzo długo ciągnącej się fazy artystycznej w Indyach. Faza ta o jakie parę tysięcy lat wyprzedza prawdopodobnie znane nam historycznie początki naszej cywilizacji ogólnie europejskiej.

W Meksyku jeszcze w XVI-ym wieku znaleźli odkrywcy i zdobywcy europejscy całkiem oryginalną kulturę w naczyniach, w piśmie, w pałacach i w świątyniach (tak zwane *teokali*), w rzeźbach. Kultura ta rozwijała się zupełnie

niezależnie od wszelkich wpływów, była zupełnie samoistną. A pierwszą podstawą, na której się rozwinąć mogła, była urodzajność gruntu, dająca sposobność i możność pomyslenia o przyozdobieniu i umileniu życia towarzyskiego...

Na Europę rzucimy już tylko okiem bardzo pobieżnie, gdyż tu skomplikowane znacznie warunki wymagałyby wejścia w szczegóły, któreby nas zadaleko od naszego przedmiotu odprowadziły. Pomimo to jednak i w Europie znajdujemy podobne zjawiska. Cywilizacja rozpoczęła się najpierw w krajach, które od przyrody szczerzejsze otrzymały wiano. Półwyspy: grecki, włoski i hiszpański, gdzie klimat łagodny a ciepły mniej dokuczliwie domagał się wynalazków, zaspakajających pierwsze potrzeby, a więcej pozwalał oddawać się swobodnemu sił cielesnych i duchowych rozwojowi, były siedliskiem narodów, którym najwięcej obecne europejskie narody zawdzięczają pod względem sztuki, prawodawstwa i życia państwowego.

Z tego krótkiego przeglądu czytelnik przekonać się może:

a) 1) Że tam, gdzie natura sama przedstawia łatwiejsze warunki swobodnego rozwoju dla człowieka, powstawały najpierw ogniska cywilizacji; ponieważ szybkie zadośćuczynienie pierwszym, nieodzownym potrzebom pozwalało zająć się takimi pracami, które służyły przede wszystkim i głównie do zaspokojenia umysłowych popędów ludności, sprawiając zadowolenie i rozkosz duchową. W tém miejscu muszę przytoczyć krótkie zdanie *Buckle'a*, któremu należy się zasługa, że pierwszy położył *większy nacisk* na materialne warunki rozwoju oświaty, a zatem i sztuki. Powiada on: „Dopóki każdy człowiek zajęty jest zbieraniem materialnych środków na swe utrzymanie, dopóty nie ma ani wolnego czasu, ani smaku do wyższych poszukiwań; żadna umiejętność nie może powstać, a, co najwięcej, mogą się pojawiać próby oszczędzenia sobie pracy przez wynalezienie

prosty i niezgrabnych narzędzi, jakie u najdzikszych znajdujemy ludów“ ¹⁾. Stąd też tam, gdzie gromadzenie środków materyalnych odbywa się z większą trudnością, a zatem powolniej, i cywilizacja również opróżnia się, choćby inne warunki jak np. uzdolnienie umysłowe wyrównywało najzupełniej warunkom odpowiednim u szczęśliwszych pod względem materyalnym ludów.

2) Że kiedy naród pewien nagromadzi jakiś zasób bogactwa, którego ilość nie da się zresztą jak dotychczas ująć w cyfry, niektórzy ludzie mogą najzupełniej zaniechać ciężkiej i mozolnej pracy fizycznej, a oddać się zabawie albo też pracy umysłowej. Jako prosty wniosek z tej właśnie uwagi wypada, że zasób ów materyjalny określa liczbę ludzi niepracujących fizycznie. Uważny czytelnik, przebiegłszy myślą przytoczone przez nas przykłady, łatwo odkryje, że we wszystkich tych krajach, w których powstały pierwsze ogniska cywilizacyi, zagaśły one już oddawna, albo zaledwie widocznym błyskają światłem. Zrobiwszy sobie tę uwagę, pójdzie we wnioskach dalej i powie: wszakże natura w tych miejscowościach nie zmieniła się, a jeżeli się zmieniła, to bardzo nieznacznie, warunki więc powstania i rozwoju oświaty istnieją tam tak samo jak przed kilku tysiącami lat; dlaczegóż widzimy zupełnie odmienne objawy?... Przeciwnie zaś cywilizacja kwitnie i rozwija się, zataczając coraz szersze kręgi tam, gdzie z pozoru bardzo trudno powstałby jej było można — w okolicach chłodnych, gdzie każdy kawałek chleba potrzeba oblewać potem i znojem.

Nie przeczymy bynajmniej, że zarzut to ważny i bacznej godzien uwagi. Odpierać go atoli na tem miejscu nie

¹⁾ Historyja cywilizacyi w Anglii, rozdział II. Radzimy odczytać cały ten rozdział, zawierający mnóstwo nader trafnych spostrzeżeń i głęboko pomyślanych zestawień.

mamy zamiaru; przewidzieliśmy go na samym początku rozdziału, zwracając uwagę czytelników na tę okoliczność, że badanie cywilizacji społecznej jest z niezmiernymi połączone trudnościami; że niema w niej tych stosunków prostych, w których najdobitniej się wykazuje związek przyczyny ze skutkiem. Dlaczego cywilizacja, powstawszy w jednem miejscu, znika po pewnym dłuższym lub krótszym przeciągu czasu i w inne miejscowości się przenosi, powinny to objaśnić dzieje oświaty. Dlaczego zaś w szczególności sztuka pojawia się wśród pewnych warunków, a wśród innych nie, mając główną podstawę w pewnym zasobie nagromadzonego bogactwa — to rozwiązanie tego pytania należy do dziejów sztuki. Tutaj zamierzaliśmy tylko wskazać wogóle warunki *możliwości pojawienia się sztuki*, a zrobiliśmy to na przykładach, wziętych z historii tych narodów, u których najlepiej było śledzić te warunki; nie twierdzimy zaś wcale, żeby *koniecznie* zawsze wśród takich warunków takie właśnie a nie inne powstawały objawy. Cywilizacja społeczna, jak powiedzieliśmy, jest wynikiem bardzo rozmaitych i bardzo złożonych żywiołów; stąd można napotkać naród bogaty, który nie ma np. znakomitych malarzy, ale zato w innych gałęziach sztuki może mieć nader świetnych przedstawicieli.

Powtórę, muszę na to nacisk położyć, że mówiłem tu o warunkach *możliwości pojawienia się sztuki przy wszystkich innych warunkach równych*. A więc nie zwracałem uwagi na taki np. warunek, jak uzdolnienie umysłowe. Wiadomo przecież, że nie wszystkie rasy ludzkie są pod tym względem równe. Murzyni np. nie grali dotychczas w historii cywilizacji żadnej roli jako żywioł czynny, zawsze tylko jako bierny. Toż samo powiedzieć można o szczepach malajskich, zamieszkujących wyspy oceanu wielkiego. Rzecz naturalna, że taki czynnik jak uzdolnienie umysłowe, czy je rozpatry-

wać będziemy ze stanowiska idealnego czy realnego, czy jako objaw samoistnego ducha czy też jako wynik organizacyi — w każdym wypadku waży ciężko na szali dziejów i na szali sądów naszych. Tylko więc *przy innych warunkach równych* nagromadzenie bogactwa pozwala pewnym ludziom zajmować się sztuką, jak również pozwala Cheopsom zatrudniać 360.000 ludzi przez 20 lat układaniem brył kamiennych.

IV.

Słówko o tajemniczości.

Takie są wskazówki dane nam przez przeszłość.

Czy nikt ich dawniej nie zauważył, nikt z nich nie skorzystał w interesie rozwoju i ustalenia niektórych punktów, twórczości artystycznej dotyczących? Czy nikt nie starał się ująć w pewne, jakotako określone karby owych fantastycznych na sztukę poglądów, o jakich na początku tych luźnych uwag wzmiankowaliśmy?... Czy wśród owej bujnej wegietacyi, nieokiełznaną fantazyą do życia powołanej, nie znalazła się ręka czujnego ogrodnika, zaprowadzająca w niej ład i porządek?...

W odpowiedzi na powyższe pytania ciśnie mi się na usta imię wielkiego filozofa starożytności, będącego powagą we wszystkich niemal dziedzinach wiedzy, we wszystkich rodzajach umysłowej działalności ludzi. Wymawiam to imię: *Arystoteles*, i czuję na sobie zdziwione spojrzenia tych, co obeznani powierzchownie ze wszystkimi przedmiotami, o jakich mówić można, żadnego nie zgłębiają gruntownie.

Arystoteles!... Na jego potężne barki można włożyć cały ciężar wypowiedzianych dotychczas zdań, wygłoszonych opinij. Kto chce się podawać za uczonego, niechaj bezpiecznie cytuje Arystotelesa; a jeżeli nie wszystko, co na karb

jego powie, znajdzie się w nim istotnie, to w każdym razie może liczyć na pobbżanie...

Nie mówię pomiędzy uczonymi, ale pomiędzy literatami urosło przekonanie, że w Arystotelesie znaleźć można wszystko, czego tylko kto sobie życzy, on ma nibyto wszystkim przyznawać słuszość, kto tylko tego zażąda.

A jeżeli mówią tak wogólności o wszechstronnej nauce mędrca greckiego, to powtarzają tożsamo z większym jeszcze naciskiem o estetycznych jego poglądach.

Arystotelesą cytowali tak zwani *pseudoklasycy* jako swego prawodawcę i nauczyciela. Arystotelesą cytowali *idealiści* w poglądach na sztukę. Arystotelesą cytowali również i realiści... i t. p. Teoryja jego, w niektórych okresach czasu uwielbiana, w innych ośmieszana, w innych broniona lub zapomniana — przedstawia się nam w karykaturalnej postaci pogańskiego bożka... z kilkunastu głowami. Czy rzeczywiście Arystoteles pozował na takiego bożka?...

„Teoryja jego — powiada *Zimmermann* w swoich *Dziejach estetyki* ¹⁾ — wykrzywiana, źle rozumiana, źle wyjaśniana i źle zastosowana, pozostała przecież źródłem niewyczerpanem, ku któremu niezaradność estetyczna zawsze a więc i dzisiaj wzrok swój zwracała; i jeżeli wzrok ten nie był przesądami przyćmiony albo uprzedzeniem zamknięty na lepsze rzeczy pojęcie, zawsze i bez wyjątku mógł w owem źródle zaczerpnąć rady i pomocy. Nieśmiertelne to dzieło, pokarm duchowy naszych (t. j. niemieckich) największych i najgłębszych myślicieli, jest szczególnie dla naszych czasów, zataczających się w spekulatywnem upojeniu, zbawczą przeciwtruczną na mistyczne marzenia i estetyczne miste-

¹⁾ *Robert Zimmermann*: Geschichte der Aesthetik als philosophischer Wissenschaft. Wiedeń, 1858, str. 73.

rya. Proste, trzeźwe i skromne, ściśle odróżniające treść od formy, kwestye estetyczne od moralnych, stanowi wyraźną przeciwstawność względem pompatyczności, napuszystości, frazeologicznego wyuzdania w formie i treści w tym spustoszeniu pojęć, mieszającem kwestyje estetyczne z moralnemi, jakie widzimy w wielu nowożytnych systemach piękna“.

Do tych wyrazów sumiennego historyka estetyki nie dodamy ani słowa. Zarówno jego zdanie jak i zdania tych, co w Arystotelesie zarodki wszystkich choćby najróżnorodniejszych poglądów dostrzegli, sprawdzimy sami, udając się do owego niewyczerpanego źródła, w którem się mieści przeciwna na „spekulatywne upojenie“. Otwórzmy osławioną „Poetykę“ i czytamy:

„Dwie są przyczyny, które wogóle powstanie poezyi wywołały: obie zaś mają swój grunt w naturze ludzkiej. Od dzieciństwa spoczywa w naturze ludzkiej *popęd do naśladowania* — gdyż więcej niż wszystkie inne istoty żyjące jest człowiek do naśladowania usposobiony, i naśladowając, uczy się naprzód — a także *radość z postrzegania naśladowań*. To objawia się w dziełach odtwarzających tym mianowicie sposobem, że przedmiotom, których widok wstrętny jest dla nas, chętnie się przypatrujemy w najwierniejszych możliwie *obrazach*, jak n. p. postaciom bardzo nisko stojących zwierząt, albo też trupów“¹⁾.

W tych kilku zdaniach, które możnaby poprzeć paru innemi jeszcze cytatami, zawarty jest pogląd Arystotelesa na początek sztuki: jest ona *naśladowaniem natury*; nie jest więc ani szaleństwem boskim, ani bezświadomą, choć jasną i promienną ducha działalnością. Takie jednak suche i nie-

²⁾ *Poetyka*, rozdział IV. Tłómaczę podług poprawionego tekstu, który wydał *Ueberweg* w Berlinie 1870.

dostateczne określenie mogło dać powód do tysiącznych nieporozumień.

Naśladować naturę?... A więc kwiaty sztuczne, woskowe figury z rumianami policzkami i śmiejącemi się oczyma — to chyba największe, najwspanialsze dzieła sztuki! Na to się oburza nasze poczucie estetyczne, które nie wiadomo skąd i z jakiej racji stawia opór tak niesmacznym i wstrętnym zestawieniom! W niewolniczym naśladownictwie zjawisk przyrody nie bierze udziału duch ludzki, ta najwznioślejsza część nasza, co stanowi naszą potęgę i chwałę! On jest prostym tylko parobkiem zaprzęgniętym do wozu, na którym rozpiera się wszechwładne, ciężkie cielsko...

Powtóre: naśladować przyrodę — to wyrażenie bardzo nieścisłe, któreby mogło dać do myślenia, że tylko kamienie, rośliny i zwierzęta mają wchodzić w zakres dzieł sztuki. Cały zaś niezmierny obszar ludzkiej działalności ze wszystkiemi jego bólami i przyjemnościami, z całą sławą i upokorzeniem, z całym bogactwem i nędzą moralną powinienby być wyłączony z tej pięknej, uśmiechającej się do nas, uroczej krainy artyzmu... Któżby wówczas dbał o *takie* dzieła sztuki! Wprawdzie są lubownicy rodzajowych obrazków, scen holenderskiej szkoły malarstwa, gdzie pełno zarzniętych kaczek i biegających psów, kóz i cieląt; — ale ci lubownicy nie stanowią jeszcze ogółu, nie są przedstawicielami owej niezmiernej masy ludzi, którzyby się pragnęli napawać słodczą harmonijnie dobranych tonów, słów czy kolorów!... Niech się sobie ci lubownicy bawią kaczkami, psami, kozami i cielętami; — my potrzebujemy wyższych duchowych rozkoszy, jakie tylko w słowach i czynach jednostek, w piorunujących ruchach społeczeństwa znaleźć można!...

Gdyby takie ciasne pojęcie naśladowania natury mo-

żna było przypisać Arystotelesowi, trudno byłoby się dziwić, jeżeliby go chciano z tego powodu uważać za najbardziej ograniczonego ze wszystkich estetyków świata. Jednakże byłby to sąd zarówno pośpieszny, jak najzupełniej mylny. Traktat Arystotelesa o poezji doszedł do nas, jak wiadomo, w postaci ułamku, któremu brakuje kilku środkówowych rozdziałów i końca; nie podobna więc mieć z niego dokładnego wyobrażenia o wszystkich szczegółach nauki Stagiryty; tyle jednakże pewna, że nie myślał nawet o zacieśnianiu zakresu sztuki do przedstawiania utworów martwój, roślinnej i zwierzęcej natury; że nie myślał o wyłączeniu pracy ducha ludzkiego z utworów artystycznych. Wypływa to naturalnie z historycznego rozważania sztuki greckiej, która w ubóstwieniu *ludzkiej* postaci najdobitniejszy swój wyraz znalazła; wypływa też równie z wymagania, jakie Arystoteles stawia artyście, ażeby utwory jego były skończoną całością. „Części tej całości — powiada on — powinny być ze sobą tak spojone, ażeby, jeżeli jedna z nich zmieniona albo odjęta zostanie, i całość podobnie uległa zmianie i przekształceniu; gdyż to, czego istnienie lub brak niczemby się nie ujawniały, nie jest istotną częścią składową całości“ ¹⁾. A dalej, rozróżniając działalność historyka od działalności poety, mówi: „Zadanie poety nie na tem polega, ażeby *rzeczywiste wypadki* przedstawiać, ale takie, któreby *mogły się zdarzyć*, które są możliwe *wedle praw prawdopodobieństwa albo konieczności*. Historyk i poeta różnią się od siebie nie używaniem wiązanej lub niewiązanej mowy... ale tem, że jeden opowiada wypadki rzeczywiste, a drugi takie, które się stać mogły. Stąd też poezya jest czemś filozoficzniejszem i poważniejszem, niż dziejopisar-

¹⁾ Poetyka rozdz. VIII.

stwo, gdyż pierwsza ukazuje więcej ogół, dziejopisarstwo zaś więcej szczegóły“ ¹⁾).

Z tego się pokazuje, że Arystoteles doskonale rozumiał czynność ducha kombinującego różne szczegóły i układającego je w taką całość, któraby pewną prawidłowość wypadków wykazywała, rozumiał ją i sformułował. Zaszczyt więc pierwszego jasnego, jakkolwiek niewyczerpującego sformułowania głównej zasady sztuki jemu się należy.

Naśladować naturę znaczy: brać materyjał ze świata zewnętrznego albo zupełnie surowy, albo też przerobiony już w duchu ludzkim w postaci myśli, uczuć i popędów. Jednakże czynność artysty na tem się ograniczyć nie może; on musi zmieniać ten materyjał stosownie do swoich planów i widoków, stosownie do swęj idei, którą w utworze pewnym urzeczywistnić postanowił.

Naśladować naturę znaczy: znać zarówno świat martwy, roślinny, zwierzęcy jak i ludzki ze wszystkimi jego właściwościami tak historycznymi jak społecznymi, znać potrzeby i wymagania czasu, znać dążności i pragnienia epoki i kraju, w którym artysta pracuje. Ale nie dosyć na tem. Działalność jego ducha wymaga jeszcze, ażeby utwory swoje oblał światłem swego umysłu, ogrzał ciepłem własnego serca, ukochał i wypiastował je tak, ażeby były istotnie duchowymi jego dziećmi. Nie dosyć jest być fotografem, trzeba być i myślicielem.

Jeżeli ktoś dobrze wyjaśnienia powyższe zrozumiał; jeżeli ich z umysłu spaczyć i skrzywić nie będzie się starał; jeżeli wreszcie zna nietylko początek, ale i rozwój ludzkich wyobrażeń i pojęć: ten z łatwością się przekona, jak nieuzasadnione są wyrzekania ludzi, wyprowadzających z określenia sztuki jako naśladowania natury ten nedorzeczny

¹⁾ Tamże, rozdz. IX.

wniosek, że prowadzi ono do zbezczeszczenia świątyni muzom poświęconej, do postawienia brzydoty na pierwszym a piękna na ostatnim planie. Ci wszyscy, co zdrowo i krytycznie pojętemu realizmowi zarzucają upadek smaku i sztuki, wyprowadzenie na jaw cynicznej nagości i cuchnących ran społecznych, albo z pojedynczych całkiem odosobnionych przykładów wnioskują o całości, albo też, przekonawszy się o mylności swego sądu, wolą zamknąć oczy na prawdę, byleby uratować zagrożoną, wedle ich pojęcia, moralność. Tymczasem o zagrożeniu moralności mowy tu nawet być nie może. Poznanie świata nas otaczającego i własnego naszego ducha nie jest jeszcze wcale, jak każdy to widzi, podniesieniem *samych* stron ujemnych, *samych* cieni, boby to sprzeciwiało się nawet *technicznemu* kardynalnym zasadom artyzmu, który wymaga, ażeby światła i cienie były ze sobą w harmonijnej zgodzie, ażeby strony dodatnie i strony ujemne dopełniały się wzajem. Poznanie świata może doprowadzić jedynie do wszechstronnego na rzeczy poglądu, do głębszego wniknięcia we wszystkie zjawiska natury, a co główniejsza we wszystkie objawy życia społecznego. A w takim razie o grubym cynicznym materializmie, o zabijaniu ducha w całopaleniu dla ciała, żaden teoretyk ani praktyk sztuki nie myśli. W produkcjach np. malarskich okrzyczanego dziś realisty *Courbet'a*, jak Proudhon wykazał, więcej się znajduje głębokich i wszechstronnych myśli, więcej poglądów zdrowych na społeczeństwo dzisiejsze, aniżeli we wszystkich utworach szkoły klasycznej francuskich malarzów!...

* * *

Dotąd zastanawialiśmy się nad jedną tylko stroną artyzmu: nad jego bierną połową, nad materiałem dostarczonym nam przez zewnętrzną t. j. świat otaczający,

wspomnieliśmy atoli i o drugiej stronie artyzmu: o umyśle naszym, który kombinuje i nowe tworzy dzieła. Nad tym jednakże przedmiotem nie możemy się tutaj rozpisywać. Nad jedną tylko kwestyą zastanowimy się bliżej.

Wiadomo, że artyści odznaczają się wogóle możliwością niesłychanie szybkiego przeskakiwania z jednego przedmiotu na drugi, wielką zdolnością dopatrywania podobieństw i różnic, zestawiania ze sobą najsprzecznieszych pojęć i zdań. Ażeby jednak z tą własnością umysłu zaznajomić się, nie potrzeba koniecznie szukać towarzystwa artystów a mianowicie poetów; dość znać ludzi dowcipnych. Nieraz nasłuchawszy się kilku dowcipnych zdań, zjawiających się niespodziewanie, mocno się dziwimy przytomności umysłu tych ludzi, którzy je wypowiedzieli, i pytamy z podziwem: *skąd im się to wzięło?* Jeżeli się zastanowimy nad owemi zdaniem, spostrzeżemy bardzo łatwo, że istnieje rzeczywiście jakieś podobieństwo w rzeczach na pozór najsprzecznieszych, albo różnice w rzeczach na pozór najpodobniejszych do siebie; podobieństwa te i różnice spostrzegamy wtedy bardzo łatwo — gdyż w przeciwnym razie zdania dowcipne wcaleby nam dowcipnemi się nie wydawały. A jednakże, rzecz dziwna i prawie tajemnicza: *przedtem* myśmy tego wszystkiego nie widzieli, nie dostrzegli, a zatem nie rozumieli. Stąd wynika nasze zdziwienie i ciekawe pytanie: *skąd im się to wzięło?..*

Tak samo i u poetów... Czytasz, czytasz, aż tu nagle strzeli jakaś myśl, nieoczekiwana przez ciebie, z którą nie wiesz co począć — tak ci się to przynajmniej zdaje, dopiero po głębszej rozwadze spostrzegasz związek z tem, co poprzedzało. Skądże takie pomysły nagłe, błyskawiczne?

Na te pytania niektórzy psychologowie odpowiadają wyrażeniem, które jakkolwiek niebardzo rozpowszechnione i używane, znajduje się przecież w wielu ustach. Wyrażenie

to brzmi: utajone kojarzenie się wyobrażeń i pojęć (asocjacja utajona). Cóż to jest ta asocjacja utajona? Czy zamiast tajemniczego natchnienia chcą owi psychologowie wprowadzić nowy tylko mniej znany wyraz, ażeby się pozbyć kłopotu objaśniania i tłumaczenia się przed rozciekawionymi czytelnikami; czy jest to proste ominięcie trudności rzeczywistej przez zestawienie drugiej rzeczy nieznannej obok pierwszej nieznannej?..

Nie! Psychologowie, o których wspomnieliśmy, odrzucili podobną metodę postępowania i gdy czego nie wiedzą, przyznają się do tego bez ogródki. W powyższem wyrażeniu: asocjacja utajona, kryje się myśl inna. Oto spostrzeżono fakt niedający się zaprzeczyć, że wśród wyobrażeń i pojęć, które stanowią materiał naszego umysłu, pojawiają się przy pewnych sprzyjających okolicznościach, niewyjaśnione na pozór przeskoki, to sprawiające, że słuchacz, a nawet sam ów człowiek, co przeskoki te na jaw wyprowadził, nie może sobie zdać sprawy, dlaczego taka właśnie a nie inna myśl po głowie mu się przesunęła. Narazie nie umiemy odpowiedzieć stanowczo na owo ambarasujące *dlaczego*, i możemy jedynie przypuszczeniem naszą nieświadomość poratować; gdy jednakże zważymy wszystkie okoliczności, wszystkie myśli poprzednie; gdy znamy usposobienie i wychowanie myślącego, wówczas prawdopodobnie odkryjemy źródło, skąd wypłynęła owa myśl, która nas tak zadziwiła. Mówimy: prawdopodobnie, gdyż w większej liczbie wypadków nie jesteśmy w możności znać wszystkich wpływów, jakie na osobę pewną działały, nie możemy znać jej usposobienia, nie możemy wreszcie spamiętać wszystkich wyobrażeń, jakie w pewnym przeciągu czasu po jej umyśle się przesunęły. Dla wymienionych powodów wyjaśnienie początku jakiegś niewytłumaczonej dla nas myśli staje się niemożliwem; nie znaczy to jednakże, żeby ona bezwzględnie tajemniczo się

pojawiła. Znane nam fakty kojarzenia się wyobrażeń nie pozwalają robić takich przypuszczeń. Skarżyć się tylko należy na brak uwagi lub na brak sprzyjających okoliczności, któreby nam do rozwiązania zagadki dopomódz mogły.

Jeżeli zaś my sami nie możemy częstokroć wytłómaczyć początku naszych własnych myśli, to coś dopiero powiedzieć o wytłómaczeniu wielu myśli artystów, po których zostały nam tylko ostateczne rezultaty całego procesu, który przy tworzeniu jakiegoś dzieła w umyśle ich zachodził. Znana wrażliwość artystów potęguje stokrotnie siłę asocjacji utajonej, zjawia się im na usługi częściej aniżeli osobom mniej wrażliwym. Artyści korzystają z tego; powtarzająca się nie raz asocjacja wyrabia w ich umyśle pewien *nałóg* umysłowy, który ich od innych śmiertelników odróżnia. — Stąd tak często oni nas zadziwiają. Wiadomo, że można się przyzwyczaić przez częstą wprawę do pisania *wierszy*, nie mając najmniejszego talentu poetycznego, — można się także przyzwyczaić do takiego lub innego myślenia.

Nie należy tylko przesadzać słów naszych i twierdzić, że podług tego, cośmy tutaj powiedzieli, wszystkie pomysły artystów należy policzyć do kategorii niewytłómaczonych. Owszem, artyści są ludźmi jak inni — muszą myśleć podług przyrodzonych praw myślenia, a zatem *większa* część ich pomysłów da się bardzo łatwo przy pomocy tych praw wytłómaczyć; znajdują się jedynie czasami pomysły, których wyjaśnić nie możemy albo dlatego, że nie znamy dokładnie ich życia, albo dlatego, że znając nawet dokładnie to życie, niepodobna nam wysledzić, jaki był bieg ich myśli w pewnej oznaczonej chwili. Powszechnie wiadomo, że największe dzieła sztuki powstały z przeróbki rzeczywistych faktów zewnętrznych (*Iliada*, dzieła Szekspira, *Faust*, *Dziady*, *Pan Tadeusz*). Całość tych utworów możemy sobie wyjaśnić, ale niektóre myśli w nich zawarte pozostają dla nas zagadką,

jak owa mistyczna cyfra 44 w „Dziadach” Mickiewicza... Wszakże nigdy nie można twierdzić na pewno, że te myśli *na zawsze* zagadką dla nas pozostaną, bo albo historyczne (bijograficzne) albo psychologiczne badania mogą ją nam kiedyś rozwiązać.

Zdaje nam się, że do tego szczerpłego zakresu zredukować wypada wszystkie górnolotne poglądy tych, którzy utrzymują, że kraina twórczości artystycznej kąpie się w mgle tajemniczej, że do niej nie mogą nigdy przedrzeć się promienie jasnego słońca prawdy, badanej sumiennie i bez uniesień.

V.

Czy nauka może szkodzić twórczości?

Od najdawniejszych czasów, kiedy umysł ludzki zaczął rozwijać swe skrzydła na wszechświat cały, sądy o poetach i wogóle o artystach dosyć wybitnie w dwu formach się przedstawiały.

Poeci i artyści rozjaśniają naszą duszę, uszlachetniają nasze serce, podnoszą ponad niziny tuzinkowego żywota, a wskazując w oddali idealne wzory, któremi umysł nasz zachwycić potrafią. przyczyniają się do zmiany naszych obyczajów zawsze na lepsze. Czy wspomnieć pieśni Tyrteusza, czy marsylianek, czy poematy Homera, czy trubadurów pieńia miłosne; wszędzie odszukamy owe tętnice silnie pulsujące, bez których życie istotne, życie ducha niemożliwemby się stało, bez których wyschłoby źródło rozkoszy, zachwyty, natchnienia! Znane są wszystkim szczegóły z dziejów artystycznego życia starożytniej Hellady. Tam na biesiadach królewskich jedno z najpocześniejszych miejsc zajmował śpiewak (aoidos), on opowiadał o przygodach bogów i bo-
giń, o ich pobycie na ziemi, o miłoszkach nieśmiertelnych

ze śmiertelnemi, o trudach, zwycięstwach i klęskach pod Troją, o tysiącznych błędnych drogach, po których się tułał przez lata nieszczęśliwy choć przezorny Odysej (Ulises). Tam przedstawienia teatralne w święta Dyonizosa (Bachusa) były sprawą państwową; niezamożnym obywatelom rozdawano pieniądze, ażeby mogli sobie kupić bilet do teatru; scena od rana do wieczora, przez cały dzień boży, zajęta była przez aktorów, a ławki przez widzów, którzy ze świętym namaszczeniem przysłuchiwali się opowieściom dyalogowym o wielkości bóstwa i przeznaczenia, o potędze ludzkiego uczucia i niezwalczonych namiętności!..

Albo i w wiekach średnich! Ci dumni, ciemni baronowie, o których dzieje opowiadają, na dworach swoich mieli bardów, minstrelów i trubadurów, i żadnej uczty bez boskiej przyprawy muzyki i poezji nie uznawaliby za rzecz godną człowieka. A jakkolwiek tym bardom, minstrelom i trubadurów rozmaicie się na zamkach barońskich przytrafiało; potęgę ich słowa uznawano powszechnie, bo śpiew i muzyka stanowiły istotną część składową tego życia napół dzikiego, napół cywilizowanego, jakie przez kilka wieków w Europie naszej panowało. Wielka część wdzięku turniejów, przygód romantycznych w miłości, w walce z niewiernymi, spoczywała właśnie w obecności i znaczeniu średniowiecznych śpiewaków.

Jakieżto silne powstaje wrażenie, kiedy sztuka połączy się z najistotniejszymi przekonaniemias, jeżeli wejdzie w jestestwo jego duchowe, które się objawia w religii! Czy gdziekolwiek i kiedykolwiek słyszano o takim zapale, o takim podniesieniu ducha, o takim wrzątku uczuć serdecznych, o namiętnym niepokoju oczekiwania i upojeniu rozkoszy, jakie wywołały wyprawy krzyżowe — rezultat zarówno religijnej jak i poetycznej strony ówczesnej umysłowości europejskiej.

Niepotrzeba jednak zaprzętać sobie głowy średnimi wiekami, kiedy chcemy znaleźć przykłady podobnych usposobień. We wszystkich obrzędach kościelnych, w pielgrzymkach i procesjach, gdzie przepych formy połączony jest z głęboką i wzruszającą treścią, gdzie uczestniczą masy, jako współczłonkowie i spółdzielnicy w sprawie uroczystości, wszędzie tam istnieje taka serdeczna spójnia umysłów, że uczucie wylewa się swobodnie i udziela się wśród duchowej rozkoszy.

„Kiedym był dzieckiem — powiada Proudhon — kościół, do którego co niedziela chodziłem, wydawał mi się najpiękniejszym, najwspanialszym ze wszystkich gmachów — i dlaczego? Oto skutek ścisłego związku pomiędzy przeznaczeniem gmachu, a religijnym nastrojem mojego umysłu. Z czasem rozważa mogła mi dać poznać jego wady, mogła mi nasunąć nowe pomysły architektoniczne; ale ja doznałem już w sobie najpotężniejszego estetycznego wzruszenia, które, oczyszczone przez rozbiór, dopomogło mi stanowczo do mego rozwoju i udoskonalenia, co może bez tego wpływu wcaleby nie nastąpiło“.

Wyznania podobne każdy usłyszeć może, przysłuchując się wewnętrznemu głosowi wspomnień z czasów dzieciństwa i młodzieńczego wieku, kiedy ze wszystkimi obrzędami ściśle związana była wiara szczerą, naiwną, miłością i bogobojnością wzmożona do potęgi najsilniejszych, najbardziej wpływowych wzruszeń naszego serca. Miłość ta właśnie rzucała urok na wszystko, cośmy widzieli i czegośmy doświadczali, zakrywała nam oczy na niedostatki i wady, na wszystkie strony niekorzystnie o ukochanym przez nas przedmiocie świadczące; miłość rozpromieniała fantazję na wspomnienie wielkopiątkowych śpiewów i pogrzebowych melodyj.

W jakąkolwiek dziedzinę życia naszego spojrzymy,

w dziedzinę obyczajów, religii i bytu państwowego, wszędzie sztuka zajmuje jedno z miejsc pierwszorzędných; jest owem słowem matczynem, co rozwiązuje język niemowlęciu, — by je nauczyć miłości kraju, ludzi, domu rodzinnego, wszystkiego: „co wielkie i święte“ na ziemi. Sztuka jest jakby mostem czarodziejskim, po którym przechodzi się do krajów nieznaných, a jednakże silnie umysłem ludzkim wstrząsających...

Takie są słowa wielbiące sztukę: czy je słyszymy z ust nieśmiertelnego Platona, w ogrodzie Akademosa, czy z ust Cyserona, broniącego publicznie na forum poetę Archiasza, czy z cichego pokoiku skąpcą pesymisty Schopenhauera.

Jeżeli nie przedstawiliśmy wszystkich argumentów, jakie na korzyść podobnego poglądu były i są przytaczane, to daliśmy przynajmniej poznać niezmierną jego ważność i znaczenie w historii przekonań.

Lecz, ażeby zachować bezstronność, musimy i drugiej strony posłuchać.

Wielu uczonych, erudyków zwłaszcza, z lekceważeniem a nieraz i z pogardą patrzyło na zabiegi i działalność sztuki. Nazywali ją bajką, zmyśleniem, smalonemi dubami, niedorzecznem bełkotaniem nieoświeconych lub waryatów... Prawda — powiadają oni — powinna być naszą przewodniczką i mistrzynią: dla niej wszystko poświęcić należy, jej oddać życie, podług jej prawideł postępowanie nasze urządzić tak, aby nigdy kłamstwo i wymysł nie zaciemniły jasnego słońca z wielkim trudem zdobywaną wiedzy. Nauka, która zajęła się dochodzeniem prawdy, stworzyła, można powiedzieć, dzisiejszą oświatę, rozjaśniła umysły, wypędziła przesady i zabobony, wykorzeniła barbarzyńskie zwyczaje, ulepszyła środki zaspakajające nasze potrzeby, podniosła przemysł, pobudowała drogi, mosty, koleje żelazne. przeprowadziła druty telegraficzne, zatrzymała słońce. wzruszyła

ziemię, zbliżyła lądy, wyczerpała oceany. Tymczasem poezya cóż zrobiła? Pobudzała do wojen, apoteozowała niszczycieli, fanatyzowała tłumy ukazywaniem im mar nieuchwytnych i namiętném powstawaniem na wszystkie wyniki naukowego badania. Sztuki piękne zużytkowały bogactwo krajowe bez żadnego realnego pożytku, uczyły zbytkownego życia, rozmiękczały serca, rozluźniały obyczaje. Poezya była zawsze po stronie zacofanych. Wszakże jeszcze w naszym wieku poeci modlili się do muz, wzywali ich pomocy, prosili ich o natchnienie; dla nich bogowie nie opuścili jeszcze Olimpu i po staremu rządzą światem, kochają się w córkach Deukaliona i Pirry; dla nich ludzie wiecznie prowadzą wojnę pod Troją, a poeci jeżdżą na pegazie.

Czyż zresztą sami najzapaleńsi czciciele sztuki nie wyznają otwarcie, że ona nie robi wcale *postępu*, że nikt jeszcze w naszych czasach nie prześcignął starożytnych Greków, co do ogólnego zakochania w pięknie, a w szczególności pod względem niedorównanej ich rzeźby. Czyż więc taki kierunek umysłu, który nie postępuje, nie doskonali się, może zasługiwać na naszą cześć i poważanie?..

Ci, którzy w powyższy sposób się odzywają, zapatrują się na życie zbyt surowo, z ponurego rodzaju ascetyzmem, nie pozwalającym na żadne zboczenia od raz obranej drogi i od raz powziętych reguł. Dla nich sztuka jest rozrywką zakazaną, niegodną człowieka poważnego, miłującego prawdę. Inaczej w gronie tych, co twórczość artystyczną za mało produkcyjną uważając, za mało znaczącą w ludzkim społeczeństwie poczytują.

Oni zwracają się do samych artystów i pochwytyują ich za słówka. Nieraz — powiadają — poeci i powieściopisarze, robiąc zwrot do czytelników, wyrażali dość wielkie powątpiewanie co do prawdziwości opowiadanych przez siebie zdarzeń i przedstawianych postaci. Powoływali się na słowo

poetyckie albo powieściopisarskie i dodawali: „jeżeli to słowo ma jakąś wiarę u czytelników“.

Powtórę, *zmiana przekonań* u artystów poczytywała się za rzecz zwyczajną, charakteryzującą usposobienie poetyczne, które potrzebuje ciągle nowych przedmiotów, nowych myśli, nowych uczuć, ażeby źródło swego talentu odświeżyć, oczyścić. Któryż artysta był stałym w miłości? Niedawno czytaliśmy wiersze wyszłe z pod pióra poety:

Nie wierz mu (artyście) dziewczę, gdy z drzeniem serca
Odkryje tobie uczucia głębie...
Bo los ci przyszedł, los przeniewierca
Połamie twoje skrzydła gołębie
I w pierś twą białą niemiłosiernie
Wbije zbyt ostre zawodu ciernie!

Któryż poeta, z czasów mianowicie dawniejszych, miał jakiegokolwiek przekonania polityczne, albo który stale w życiu swoim ich bronił? Dawniej artyści byli dworakami, zależeli od woli panów i królów, którzy im w zamkach swoich przytułek dawali. Później (w naszym stuleciu) poeci bawili się przekonaniem jak piłką, i te na chwile gorąco miłowali, które im *służyły* do wywołania *efektu*!.. Zupełnie tak samo postępowali z przekonaniem politycznym, jak malarze ze swojemi modelami...

Artyści lubią spokój, ciszę, nie cierpią życia zgiełkowego, parlamentarnego; uwielbiają *siłę*, jako jeden z najpotężniejszych efektów artystycznych i *to siłę* bez względu na to, czy ona się wyraża w tej lub owej krańcowej formie. Wszystkie te własności zależą jeszcze wprawdzie i od indywidualnego usposobienia, zdarzają się w ludziach innego zawodu; ale polowanie na efekt i poświęcenie mnóstwa wielkich do prawdy dążących idei dla ostatecznego wrażenia — jest już przymiotem artystów i wogóle dusz artystycznych. Jakże zaś z podobnego przymiotu wynikają praktyczne rezultaty, łatwo odgadnąć.

Powyżej wskazane poglądy są zbyt ze sobą sprzeczne, ażeby mogły być wprost pogodzone przez dobrowolne ustępstwa i z jednęj i z drugięj strony. Pogodzenie takie wyglądałoby jak woda pomieszana z oliwą, jednolitęj całości nie stworzyłoby wcale. A jednakże każdy doskonale *czuje*, że sprzeczności owe istnieć rzeczywiście nie powinny. Czy to poczucie ma podstawę w rozwadze, w rozumnym nad rzeczami i zjawiskami zastanowieniu? czy naukowo da się usprawiedliwić?

Rozważmy fakty. *problemy*

Istnieje w człowieku naturalne usposobienie do tworzenia z doznanych wrażeń (świadomie lub bezwiednie) nowych kombinacyj; usposobienie to bowiem przejawia się we wszystkich czasach, wśród każdego stopnia cywilizacyi, począwszy od najprostszego aż do najbardziej rozwiniętego, we wszystkich epokach życia pojedynczēj jednostki, tak w dzieciństwie, w młodości, jak w wieku dojrzałym i w starości. Usposobienie owo przejawia się mianowicie w *sennych marzeniach*, w *marzeniach na jawie*, w *robieniu planów na przyszłość*, i t. p. Wszystkie te objawy swobodnej działalności umysłowēj mogą oczywiście i muszą mieć bardzo różny charakter, stosownie do okoliczności czasu, wieku, zdolności, przymiotów tak jednostek jak i grup całych; w jakimkolwiek atoli stanie i charakterze się pojawiają, w każdym razie przecież *istnieją*; a to rzecz dla nas w tēj chwili najważniejsza. Istnienie więc usposobienia do swobodnej a niekiedy swawolnej nawet działalności umysłu naszego nie może ulegać żadnej wątpliwości. Usposobienie to nazywają pospolicie *wyobraźnią*, *imaginacyą*, *fantazyą*.

Z drugięj atoli strony istnieje również usposobienie do jaknajściślejszego zbadania tego, co jest, nie chcąc bynajmniej zmieniać go, ani w nowe kombinacye układać. Usposobienie to przejawia się także we wszystkich chwilach życia

ludzkiego, jakkolwiek nie można zaprzeczyć, że daleko powolniej i słabiej, aniżeli pierwsze usposobienie; człowiek bowiem, rozpoczynając spostrzeżenia od samego siebie, usiłuje wszystko sobie wytłómaczyć podług własnych swoich usposobień i podług własnych swoich działań, stąd też długo się zadawałnia jedynie wrażeniami swojemi, nie badając gruntu i podstawy tych wrażeń. Bądźcobądź jednak, rozglądając się w dziejach całej ludzkości, nietrudno spostrzedz, że usposobienie to zrobiło już w masach nader wielkie postępy, które się wyrażają w *umiejętnościach, przemyśle, handlu, rzemiosłach* i t. d. W najprostszej formie usposobienie to znajduje się u narodów dzikich *jako dążność do udoskonalenia środków pożyicia na ziemi* (ulepszenie narzędzi, budowanie domów i t. p.) i w posiłkowaniu się liczbami, rachunkiem. A jakkolwiek widzimy, że pod temi ostatniemi względami ludy owe zadawałniają się nader nieznacznemi krokami naprzód w przeciągu kilkunastu lub kilkudziesięciu wieków istnienia, to wszakże nie możemy im z tego powodu tylko odmówić całkowicie usposobienia, o którem mówimy, a które zazwyczaj się nazywa *rozumem, rozważą, inteligencyą*.

Najpierwszy wniosek, jaki z powyższego zestawienia wyciągnąć można, jest ten, że ludzkość i jednostki długo, bardzo długo jeszcze żyć będą wytworami wyobraźni więcej, aniżeli wytworami rozważi. Ażeby nas jednakże źle nie zrozumiano i nie oskarżono nas o to, czegośmy nie chcieli powiedzieć, oświadczamy tu najwyraźniej, że mówimy jedynie w tém miejscu o *przeważném*, nigdy zaś o *wyłączném* działaniu jednego i drugiego usposobienia, które należąc do *jednego* umysłu, nigdy stanowczo oddzielić się nie dadzą. Nauka teoretycznie tylko, dla swoich rozbiórczych celów, dzieli te usposobienia i rozważa je osobno; w rzeczywistych zaś indywiduach istnieją one razem i wytwarzają taką lub inną kombinacyę, z tym lub innym *wybitnym* charakterem.

Tak więc przeważnie ludzkość działa wyobraźnią, rozumowe zaś (naukowe) badania są udziałem stosunkowo bardzo nielicznej ilości ludzi. Stąd też utwory fantazyi przemawiają do daleko większych mas aniżeli dowody rozumu; tamte je entuzyazmują, poruszają, do dobrego lub złego pobudzają; te zaś pozostawiają je chłodnemi, obojętnemi — z téj prostej przyczyny, że są dla nich nieprzystępne.

Nie można się więc wcale dziwić:

po 1-sze, że najcudaczniejsze nawet pomysły znajdują u ludu wiarę i wchodzą w skład jego umysłowych zasobów;

po 2-re, że ludziom mało ukształconym podobają się bardzo mierne utwory sztuki, tak w zakresie muzyki, malarstwa, jak i literatury;

po 3-cie, że artyści mogą liczyć powodzenie swoje na niezmiernie oddalone od naszej epoki szeregi lat, bo zawsze chętnych znajdują słuchaczów i widzów.

Wymienione tu fakty i wiele innych, jakie się nam w życiu codziennem spotkać zdarza, tłómaczą się nader łatwo usposobieniem umysłu ludzkiego, którego wykorzenić ani można ani się godzi, usposobieniem silniejszem od owego drugiego, szukającego zamiast swobody bujania — stałości praw.

Jakiż może być wpływ naukowego, rozumowego badania na dzieła artyzmu? Wiadomo wszyskim, że rozum, jak to mówią „obcina skrzydła fantazyi“. Cóż to znaczy? Zdaje się, że tylko to, iż rozum nie może znieść żadnego nieprawdopodobieństwa, żadnej nieprawidłowości. A zatem wszelkie cudactwa, wszelką przypadkowość, niedającą się niczem wytłómaczyć i wyjaśnić, usuwa z zakresu dzieł artyzmu.

I rzeczywiście, w dziejowym pochodzie cywilizacji widzimy najwyraźniej, jak w zakresie sztuki przejawia się coraz wybitniej dążność do uprawdopodobnienia pomysłów.

Dawniej były bogi o kilku głowach, rękach i t. d., bohaterowie o jednem oku, sfinksy, syreny, centaury, smoki i t. p., olbrzymy z siłą sto lub tysiąc razy większą, niż ją posiadali ludzie zwyczajni, djabły, wiedźmy, czapki niewidki, buty samochody, laski czarnoksięskie, lampy Aladyna, góry otwierające się za wymówieniem pewnego zaklęcia i t. p. i t. p. W różnych epokach występowały one na widownią — ale znikają w epokach następnych. Na początku cywilizacyi pojawiają się wszelkiego rodzaju dziwotwory, później przybierają coraz bardziej umiarkowaną t. j. zastosowaną do zasad prawdopodobieństwa postać. wreszcie prawie zupełnie znikają, używane czasami jako retoryczne lub ornamentacyjne przydatki. Zarówno w Grecyi jak i w sztuce ludów nowożytnych te same napotykanym zjawiska. Wiadomo np. jakie dziwaczne były postacie ludzkie w sztuce bizantyńskiej lub staroniemieckiej: nogi przedstawiały się w postaci linii prostych, głowy w kształcie okręgów kół: wiadomo również, jak studia anatomiczne wpłynęły na nadanie rzeźbie i obrazom malarskim cechy prawdy i rzeczywistości.

Wogóle z postępem cywilizacyi zwiększają się wymagania ludzi wykształconych, dla których właściwie sztuka istnieje. Jak tylko zajdzie *znaczną* zmiana w wyobrażeniach pewnej liczby ludzi, potrzebujących wzruszeń estetycznych, (a zmiana taka wywoływana jest zwykle przez większe wykształcenie t. j. większy rozwój rozumowy, naukowy), musi się koniecznie pojawić zmiana w traktowaniu przedmiotów sztuki, t. j. musi się w nich wybitniej przedstawić pierwiastek rozumowy.

Wprawdzie fakt niezbyt dawno zaszyły, poezycja romantyczna, zdaje się twierdzeniu temu zadawać kłam stanowczy, gdyż wśród wysoko rozwiniętej cywilizacyi zaczęła wyprzedzać na jaw djabły, upiory, strachy i czarodziejstwa, jakby za najlepszych czasów pierwotnej, naiwnej wiary we

wszystkie te osobliwości. Fakt ten atoli, istotnie zastanawiający, da się jednakże wytłómaczyć.

Romantyzm nie był właściwie protestem przeciwko nauce wogóle, ale przeciwko nauce książkowej, suchej, bezdusznej, martwej, która porywy serca za nic sobie miała, która entuzjazmem, zapałem się brzydziła, która wszystko, co stanowi przyjemność i rozkosz życia ludzkiego, zdaleka od mniemanej lub téż istotnej świątyni prawdy trzymać chciała. Było protest młodego, energicznego życia przeciw zmurszałej strupieszkości. Wówczas wszelkie środki wydawały się odpowiedniami, byle się tylko dawnemu systemowi przeciwstawić.

Cóż się jednakże stało? Oto po niewielu latach upiory, diabły, czarnoksiężniki, wiedźmy i gusła znikły niemal bez śladu; zajęły one z początku jak każda nowość (bo dla klas wykształconych były rzeczywiście nowością) — ale bardzo prędko się przejadły, i sztuka (a jak w tym razie poezya), musiała przejść znowu do studyów życia takiego, jakiem ono jest w naszym XIX-ém stuleciu. I sprawdziły się słowa Śniadeckiego, wypowiedziane wśród rozpoczynającego się zaledwie u nas ruchu romantycznego: „Poezya nie jest szczerą muzyką, i żaden język sam przez się nie utrzyma dziś uwagi ludzkiej w ciągłym upodobaniu, trzeba dziś poezyi *zająć ledwo nie wszystkie rozwinięte władze umysłu*; i wynalazki imaginacyi muszą dziś być w dobrej poezyi *zaprawiane poruszeniami wyniosłemi, obrazami zgodnemi ze stanem dzisiejszych wiadomości i częstokroć nowoodkrytymi wyrokami prawdy*; bo myśli fałszywe mogą nas na czas omamić i złudzić, ale ani się długo utrzymać ani podobać nie mogą“ ¹⁾). Słowa te raziły zapewne wielu wówczas

¹⁾ Jan Śniadecki. Filozofia umysłu ludzkiego Warsz. 1834, str. 237.

(t. j. około r. 1821), kiedy były wygłoszone; ale obecnie już się dziwnemi nam nie wydają; i wymaganie, ażeby poezya nie ignorowała nowoodkrytych wyroków prawdy, jako zupełnie słuszne nam się przedstawia. Poeta, któryby nam dziś mówił np. o obrocie słońca około ziemi, która spokojnie w środku sfery niebieskiej spoczywa, naraziłby się tylko na śmieszność, chociażby obrazy poetyczne celowały świeżością barw i świetnością kolorytu. W rzeźbiarstwie wprawdzie i w malarstwie, w których przedewszystkiem uderza nas forma, częścię, co prawda, napotyka się jeszcze amorki, wenery, sfinksy, gnomy i tytany — ale już tylko jako symbole, jako alegorye. I zresztą większość utworów rzeźbiarskich i malarskich przedstawia nam albo postaci czy sceny z życia codziennego (rodzinego i politycznego) albo też z dziejów minionych.

Tak więc wniosek, jaki poprzednio już podaliśmy, że wmiarę postępu cywilizacyi sztuka posiłkuje się i musi posilkować się dorobkami nauki, zmuszona do tego wymaganiami ludzi wykształconych, wydaje nam się zupełnie uzasadnionym.

Z tego powodu zakres wyobrażeń artystycznych z jednej strony się ścieśnia, z drugiej zaś rozszerzyć się może. Ścieśnia się o tyle, że fantastyczne, nieprawdziwe, nieprawdopodobne, cudowne i nieprawidłowe wyobrażenia nie mogą już mieć dla sztuki żadnego znaczenia dodatniego, t. j. mającego w sobie treść istotnie zajmującą i pożywną; może się rozszerzyć o tyle, że każde nowe odkrycie naukowe horyzont naszego duchowego widzenia coraz bardziej w dal usuwa, nastęrczając tym sposobem nowy materiał nie tylko do rozmyślań ale i do nowych kombinacyj. Reszta zależy od indywidualnej każdego umysłowości. Człowiek z przeważnie rozwiniętą rozumą kombinacye te będzie wytwarzał w formie suchej, oderwanej, w celu zużytkowania ich w życiu praktycznem, albo jako środka ulepszającego

toż życie (przemysł, rękodzieła) etc.), albo też jako środka do nowych odkryć naukowych prowadzącego (wszelkie doświadczenia fizyczne, chemiczne, kombinacje matematyczne i t. p.). Człowiek zaś z żywą imaginacją zużytkuje prawdy zdobyte przez naukę do nowych obrazów tak natury martwój, jako też żywój, tak społeczeństwa w chwili obecnej jak i w ubiegłej. Wiadomo, jak np. nużą teraz każdego czytelnika wszelkie opisy natury, które prawie stereotypowymi się stały, a stąd nie dają żadnej karmi dla umysłu czytelnika, który już kilka lub kilkanaście książek podobnej treści przeczytał.

Czyż myślicie, że poetyczne przystosowanie prawd naukowych, co do natury wogóle, w formie obrazowój, nie zostałoby przyjęte z zapałem? Czyż np. pojęcie niezniszczalności materji i zachowania siły nie przedstawia nowego całkiem pola do poetycznych obrazów? Ale niech nikt uwagi tej nie bierze powierzchownie i nie wmawia w nas np., że chcemy poematów dydaktycznych, opiewających w formie wierszowanej zasady fizyki i chemii!... Broń Boże! Uważamy, że takie traktowanie nauki ubliża zarówno jęj jak i poezyi samej; nauce dlatego, że jęj prawdy wystawia jako coś imaginacyjnego, co może istnieć lub nie istnieć; poezyi dlatego, że odejmuje jęj żywotność i świeżość, przemieniając barwne obrazy poetyczne na suche abstrakcje. Nam nie idzie o to, ażeby artyści, a szczególności poeci, powtarzali *wyrazy* naukowe, bo to doprowadziłoby tylko do śmiesznej pedanterji; ale o to, ażeby artyści, zapoznawszy się z wynikami nauki, przejęli się jęj prawdami, przyswoili je sobie i w skład swojej umysłowości ją zagarnęli: wówczas ich talent sam im wskaże drogę postępowania dalszego, wskaże im formę najodpowiedniejszą do wcielenia swoich *przekonań* (bo to już będą rzeczywiste przekonania), swoich ideałów.

Tosamo, co o poznaniu natury, można powiedzieć

i o poznaniu społeczeństwa. Dotychczas artyści po większej części patrzali na społeczeństwo, wśród którego żyli, i na ludzkość całą okiem zwykłego spostrzegacza, i analiza ich ślizgała się po powierzchni, do głębi się nie przedostając. Zwykłe uczucia i stosunki życia rodzinnego ze stanowiska sąsiadów i sąsiadek a co najwięcej ze stanowiska wielkomiejskiego birgiera pojmowane, nie mogły dawać wyżej ukształconym żadnych nowych myśli i poglądów ¹⁾. Nie przeczymy, że malowanie tych stosunków jest nietylko dla wszystkich przystępne t. j. popularne, ale i ważne; stąd też nie myślimy wymagać, ażeby się niemi zajmować przestano; owszem w niektórych wypadkach (jak np. u nas) one jedne mogą być przedstawiane. Ale potrzeba do przedstawienia ich obeznac się cokolwiek głębiej zarówno ze stanem społeczeństwa jak i ogólnemi celami, do których ono dąży; dalej, potrzeba znać jego potrzeby ekonomiczne zarówno w zakresie materyalnym jak i umysłowym — bo w takim tylko razie można nie poprzestawać, np. w poezyi, na wyklinaniu nienawistnych dla poety objawów, jak lichwiarstwa, pogoni za posagiem, zamięłowania nowości, zbytków i t. p.; ale można też będzie podać zdrową radę, która znajdzie posłuch. Nie należy bowiem zapominać, że artysta, jak każdy inny człowiek, jest *obywatelem*, a zatem powinien mieć pewne przekonania społeczne i podług tych przekonań postępować. Wiemy, że dotychczas artyści nie wielki brali udział w życiu społecznem i politycznem, a jeżeli brali, to niezbyt świetnie dali się poznać; — ale taki stan wiecznie trwać nie może; poczucie obywatelstwa musi być przez wszystkich zarówno rozumnie pojmowane, powinno regulować ich postę-

¹⁾ Naturalnie, nie mówimy tu o wyjątkowych osobistościach, których liczba w Europie całej w obecnem stuleciu zaledwie do kilkudziesięciu się ogranicza.

powanie. Zdaje nam się, że rozjaśnienie pojęć ekonomicznych i społecznych w umysłach artystów szkody im nie przyniesie.

Rozumie się jednak, że jak poprzednio tak i teraz zastrzedz sobie musimy, aby nas fałszywie nie tłómaczono, co u nas w ostatnich czasach stało się rzeczą bardzo zwyczajną. Można drwinkować bardzo wygodnie, że każemy np. opiewać poecie *popyt* i *zaofiarowanie*, malarzowi przedstawiać *podział bogactw* i rysować *monety*; ale tém jeszcze nie obali się wcale twierdzenia, że poeta i malarz powinni nietylko czuć, ale i rozumieć obowiązki obywatelskie. O przekonanie nam idzie, o przejęcie się prawdami społecznymi, o przero-bienie ich na umysłowy skarb artysty; — nie zaś o pustą formę, o przyswojenie sobie wyrazów technicznych, których się w naukach społecznych używa.

Nauka nie może szkodzić artystycznej twórczości — winna ją tylko rozjaśnić i pewniejsze drogi dla niej nakreślić, ażeby ci, co pragną wzruszeń, jakie ona dać może, nie byli wprowadzeni na manowce...

Lipsk 1873 r.

II.

SOBÓTKA.

Zestawienie dwu wieków i dwu indywidualności.

Wiadomo, jaki przełom w estetycznych pojęciach nastąpił na początku naszego stulecia; wiadomo również, że pojęcia te i utwory w ich duchu powstałe nazwano *romantycznymi*, przeciwstawiając je wszystkim poprzednim, albo wprost jako klasycznym, albo jako klasycznym i konwencyonalnym. Nazwy te, mające służyć za charakterystykę dwu (lub trzech) rodzajów poezyi, poparte teoretycznie i praktycznie pismami takich autorów jak *Brodziński*, *Śniadecki*, *Mickiewicz*, *Mochnecki* i *Grabowski*, pomimo większych lub mniejszych różnic pomiędzy tymi autorami zachodzących, utarły się w naszym piśmiennictwie i dość długo były hasłem, pod którem walczyły dwa przeciwne obozy.

Tymczasem dalszy rozwój poezyi, który już po teoretycznych określeniach nastąpił, dowiódł, że jak nazwa klasycyzmu nie odpowiadała w zupełności charakterowi naszej poezyi od wieku XVI do początków XIX, tak i miano romantyczności bynajmniej nie charakteryzowało nową epokę poezyi. Jak bowiem w dawnej twórczości odróżnić należało dwa wyraźne okresy, z których jeden obejmował utwory pod przeważnym wpływem autorów greckich i rzymskich powstałe, a drugi niezatarte ślady wpływu francuskich poetów na sobie nosił, tak i nowa poezya, puściwszy się z początku na tory romantyzmu głównie niemieckiego (w balladach, powieściach i dramatach *sui generis*), znalazła wkrótce rodzinne swe niwy i na nich bujnie a samoistnie zakwitła. Określe-

nia tedy klasyczności i romantyczności okazały się wkrótce ciasniami, a co ważniejsza właściwemi jedynie pewnym pojedyńczym chwilom. I jeżeli chwile te dla klasycyzmu liczyły się na wieki, to dla romantyzmu zaledwie na lata, mało co dziesiątkę przewyższające. Pomimo to nazwa owa, raz się zakorzeniwszy, nie mogła być wyrwana do szczętu, a pojęcia do niej przywiązane coraz bardziej stawały się chaotycznymi, nie znajdując w literaturze ścisłego i dokładnego wykładu. Dziś nawet rozprawy, które objaśnienia owych pojęć dotyczą, uważają się niekiedy za rzeczy należące do dziejów i niemające związku ze społeczną chwilą literacką. W tym poglądzie, skądinąd fałszywym, widzimy jedną tylko prawdziwą wskazówkę. O *romantyczności* można jedynie rozprawiać, jako o chwilowym przejawie historycznym; pierwiastki atoli świeże, które do poezyi wniósł ruch umysłowy, na początku obecnego stulecia u nas wzbudzony, należą tak dobrze do dziejów, jak i do chwili obecnej, gdyż i dzisiaj jeszcze swego znaczenia nie straciły. Oznaczenie tych pierwiastków ze ścisłością i dokładnością *naukową* powinno być zadaniem naszych czasów, które, jak się zdaje, więcej są skłonne do krytyki, do rozbioru, aniżeli do twórczości w zakresie poezyi.

Ale chcąc w tym kierunku dojść do zadowalającego rezultatu, potrzeba, zdaniem mojem, porzucić ogólniki i zbyt elastyczne frazesy, a wnikać w szczegóły i na dokładnem dopiero ich zbadaniu wywody swoje oprzeć. I ku temu poczynione już zostały kroki w pojedynczych, mniej lub więcej obszernych studyach nad dawnymi i nowymi naszymi poetami, co oczywiście przyniosło niemałą korzyść dla wyjaśnienia twórczości poetycznej naszego społeczeństwa, — dla *samowiedzy* ogółu.

Mniej atoli zwracano dotąd uwagi na tę okoliczność, że w rozbiорze naukowo-literackim potrzeba odróżniać dwie

rzeczy: ogólny stan umysłowy danej epoki, wraz z jego wpływem na poetę, i... samą indywidualność autora. Niepodobna wprawdzie zaprzeczyć, że takie wyrażenia jak: „duch wieku“, „ogólne usposobienie“, „prądy czasu“ i t. p. napotyka się dosyć często w rozprawkach i studyach literackich; lecz w nich albo łączono owego ducha z indywidualnością poety, przedstawiając tego drugiego jako przedstawiciela pierwszego; albo też wynoszono nad miarę indywidualność autora, powiadając że był „wyższym nad swój czas“. Tymczasem ani jedno, ani drugie nigdy się nie zdarza, gdyż nikt ani zupełnie zatracić swęj indywidualności, ani też zupełnie być wolnym od postronnych wpływów nie może i nie potrafi. Jedynie o przewadze jednego pierwiastku nad drugim może tu być mowa.

Chcielibyśmy w szczupłym zakresie dokonać takiej analizy, któraby równie skrzętnie wpływy na poetę, jak i jego samoistność wykazywała, nie usiłując pierwszych zamaskować drugą. Wybraliśmy ku temu metodę, która na pozór dziwną wydać się może.

Dawniej, przed laty kilkudziesięciu, porównywano summarycznie utwory poezji polskiej do początków XIX stulecia, z takiemiż utworami od téj chwili z druku ukazującemi się. Ponieważ porównania te do znacznej liczby jednostek się odnosiły, sądy przeto musiały być nieraz nieumotywowane i niewłaściwe. Jeżeli jednak porównanie ogólne nie przyniosło korzyści (której zresztą nie szukano, gdyż robiono je w celach polemicznych), to zachodzi pytanie, czyby szczegółowe porównanie nie przyniosło pomyślniejszego rezultatu. Ale tu właśnie występują na jaw trudności, których przy summarycznem porównaniu nie dostrzeżono. Jak można porównywać ludzi i ich utwory z epok różnych, z charakterem odmiennym, z usposobieniem częstokroć wprost przeciwnem? Można wprawdzie odpowie-

dzieć filozoficznie, że w każdym razie autorowie owi byli ludźmi; ale odpowiedź taka nie zakryłaby słabych stron postawionego pytania. Przedstawia się tu przecież jedna droga wyjścia. Bezwątpienia, nie można w paraleli literackiej postępować w sposób używany w geometryi, kiedy się porównywa dwa trójkąty, przykładając do siebie ich boki; ale można ocenić wpływ ogólnego nastroju umysłowego na indywidualność poety i oddziaływanie tej indywidualności na społeczeństwo, za pośrednictwem poetycznych utworów, — gdyż dane te są zupełnie jednorodne. Nie pojedyncze więc ustępy z pojedynczymi ustępami, ani wiersze z wierszami, lecz *ogólne cechy z ogólnemi cechami* zestawień tu zamierzamy, wybierając dwa utwory, mające za przedmiot *treść jedną*: opisanie uroczystości ludowej, zwaney *Sobótką*. Podjęliśmy tę pracę tem chętniej, że, o ile wiemy, ani „Pieśń świętojańska o Sobótce“ Jana Kochanowskiego z XVI wieku, ani „Sobótka“ Seweryna Goszczyńskiego z XIX wieku nie były dotychczas przedmiotem osobnego a szczegółowego rozbioru, na który ze wszech miar zasługują ¹⁾).

1.

Oryginalnem zaiste i wielce zastanawiającem w piśmach Jana Kochanowskiego zjawiskiem jest jego *Pieśń świętojańska o Sobótce*. Podczas gdy inne utwory, mające za treść wspomnienie jakiegoś krajowego zdarzenia, za-

¹⁾ Od czasu napisania szkicu obecnego ukazała się szczegółowa bardzo rozprawa Jana Rymarkiewicza o Sobótce Kochanowskiego, najprzód w *Ateneum* 1876 r., a następnie rozszerzona i dopełniona w r. 1884 p. n. „Jana Kochanowskiego pieśń Świętojańska o Sobótce wedle wydania Andrzeja Piotrkowczyka r. p. 1617, objaśniona i oceniona. Wydanie jubileuszowe“. Poznań. Nakład A. Cybulskiego, str. 196.

wdzięczają początek swój wpływom okolicznościowym; pieśń o Sobótce wytrysła, jak się zdaje, swobodnie z poetycznej obserwacji ludowych zwyczajów i obyczajów. Żaden hrabia, książę, kanclerz ani król nie żądał tej pieśni od czarnoleskiego śpiewaka — on sam dobrowolnie, siedząc pod rozłożystymi gałęzmi swojej ukochanej lipy i przyglądając się nieraz płąsom a śpiewom „gości i domowych“ przy rozpalonem ognisku, w wigilią św. Jana, powziął myśl uświetnienia tej uroczystości wiejskiej dźwiękami swojej lutni. Swobodna twórczość utalentowanego umysłu wydaje zazwyczaj arcydzieła i najwybitniej pokazuje jego oryginalność. To też nie dziwimy się wcale, że „Pieśń o Sobótce“, od czasu studyum Kraszewskiego o Janie Kochanowskim ¹⁾, uważana była za różaną jutrenkę na niebie naszej poezji narodowej, w której pierwiastek *ludowy* wielką kiedyś miał odgrywać rolę. Nie dziwimy się temu tém bardziej, że we wspomnianym utworze Jana wiele znaleźć można dowodów na poparcie tak zaszczytnego dla niego poglądu, — jeżeli tylko czytać będziemy *Sobótkę*, pozbywszy się na chwilę wspomnień, jakieby nam zwykłe wzory „praszczura naszej poezji“ nasunąć mogły.

Tego atoli ostatniego warunku spełnić nie możemy, skoro tylko zapagniemy poznać gruntownie, nie zaś powierzchownie, naszego autora. Wszak i „Fraszki“ uchodziły niegdyś za utwór najsamoistniejszy Kochanowskiego: tymczasem bliższe badania, przez Józefa Przyborowskiego ²⁾ pod-

¹⁾ „Nowe studia literackie“ 1843, tom II, str. 62: „Kochanowski jeden daje przykład studyowania natchnień gminu w XVI wieku i jeden tylko tworzy w jego duchu, nie rojąc sobie jakiegoś konwencyonalnego, pastuszego ludu, ale z prawdziwego biorąc wzory“.

²⁾ „Wiadomość o życiu i pismach J. Kochanowskiego“, 1857, str. 165—174.

jęte, okazały, że większa ich część jest albo prostym przekładem, albo też naśladowaniem pieśni i epigramatów łacińskich i greckich. Pan Przyborowski wskazał również źródło niektórych pieśni zawartych w Sobótce ¹⁾, a jakkolwiek nie wszystkie jego wskazówki zupełnie są trafne, jak się to niżej okaże, to przecież zachwiewają nasze zaufanie w oryginalność pomysłów Jana i każą nam robić dalsze na raz utartej drodze poszukiwania. Wielkość i znaczenie naszego poety z XVI wieku nie na tém nie ucierpi, a my poznamy lepiej warunki twórczości poetycznej w rozkwicie naszej narodowej literatury.

Zacznijmyż od początku. A najprzód co do samego pomysłu opiewania zabaw i uroczystości ludowych. Ci, którzy znają liryków rzymskich z pierwszego wieku przed narodzeniem Chrystusa, przypomną może sobie nieraz opiewane święto na cześć bogini *Pales*, opiekunki trzód i pasterzy, święto nazwane *Parilia* lub *Palilia*. *Tybul* i *Propercyusz*, których utwory Kochanowski często ojczystemu językowi przyswajał, wspominają o tej wiejskiej uroczystości pobieżnie, podnosząc jeden głównie w niej szczegół, t. j. *skakanie przez zapalone stosy słomy* ²⁾; Owidyusz zaś w swoim poetycznym kalendarzu (*Fasti*) daje obszerny opis wszystkich zwyczajów i obrzędów, jakie przy tej okoliczności miały miejsce. W streszczonym zarysie były one następne. Z ołtarza bogini *Westy* brano kadzidło, w skład którego wchodziła krew konia, popiół i spalona łodyga bobu. Kadzidłem tém oczyszczał pasterz o zmierzchu swe owce, skropiwszy je wprzód wodą i wymiółwszy owczarnię gałęzmi. W gałęzie również strojono owczarnię i wrota jej wieńczono. Wyka-

¹⁾ Tamże, str. 175.

²⁾ *Tybul*, ks. I, el. 1; ks. II, el. 5. — *Propercyusz*, ks. V, el. 4. (wyd. Raczyńskiego).

dzano miejsce to siarką, przytykając ją do owiec. Palono dalej rozmaryn, łączywo i *zioła sabińskie*, a w środku ogniska — wawrzyn (laur). Następnie przygotowywano placki jaglane i koszyk prosa, gdyż bogini najlepiej to jadło lubiła. Pasterz kładł do tych potraw to, co sam jadł i pokrajawszy wszystko, zlewał ciepłym mlekiem, zanosząc modły do Pales, w których przepraszał za winy (jeśli np. zamącił źródło, spłoszył nimfy i t. d.) i błagał, ażeby była łaskawą na bydło i jego stróżów. Modły te odmawiano, obracając się ku wschodowi, cztery razy powtarzając je i myjąc ręce w *świeżej rosie*. Wówczas dopiero można było pić śnieżne mleko i moszcz purpurowy, a *skakać przez palące się stopy słomy lub siana, w trzy rzędy ustawione*¹⁾. Święta te odbywały się corocznie 21 kwietnia.

Nie śmiemy twierdzić, ażeby te częste wzmianki u poetów rzymskich o *Paliliach* i ten ich szczegółowy opis przez Owidyusza, *upoważniły* niejako zaprawionego na wzorach klasycznych Kochanowskiego do opiewania wieczoru świętojańskiego: w każdym jednak razie trudno nie uznać analogii pewnej pomiędzy jednym świętem a drugim, w tym mianowicie wydatnym i głównie podnoszonym epizodzie, kiedy pasterze zapalali stopy słomy w trzy rzędy ustawione i skakali przez nie. Wprawdzie Kochanowski wspomina o *skakaniu* tylko w formie *tańca*; ależ wiemy wszyscy, że jest-to niezbędny szczegół przy święceniu Sobótki, a Kochanowski tem bezpieczniej mógł się nad nim nie rozszerzać, że nie myślał opisywać uroczystości ludowej w całym jej przebiegu. I owszem, poeta nasz nader ogólnikowo oznacza czas i miejsce, kiedy i gdzie święto obchodzono, a z właściwych mu cech charakterystycznych niektóre tylko podnosi szczegóły. I tak krótka, ośmiowierszowa strofa, poświę-

¹⁾ Owid. Fasti, lib. IV, wiersz 721—862.

cona wzmiance o samej uroczystości Sobótki, mieści w sobie następujące jedynie rysy. W „Czarnym lesie“, majątności Kochanowskiego, gdy słońce „zagrzewało Raka“, a słowik przestał już śpiewać, zapalano sobótkę „jako czas niesie“. Zbiegli się ludzie, ozwało się „troje bąków“ (instrument muzyczny), poważniejsi usiedli na murawie, a sześć par dziewcząt, jednako ubranych, gotowych do tańca i śpiewu, wystąpiło przed zgromadzonych. Ważną tu i charakterystyczną podaje Kochanowski cechę, że dziewczęta przepasane były *bylicą*, zieleń uprzywilejowanem w obrzędach ludowych, a szczególnie na uroczystość Sobótki, jak się między innemi przekonywamy z tytułu dziełka wydanego w r. 1630 p. n. *Bylica świętojańska* ¹⁾). Na tém się kończy cała część opisowa; z pieśni dopiero pierwszej dowiadujemy się, że przy rozpalonym ogniu zabawa miała trwać aż do rana.

Jak widzimy, opisowość jest nadzwyczaj uboga. Prócz jednego szczegółu, t. j. zwyczaju używania *bylicy*, niema tu żadnej cechy, któraby nadawała poematowi odrębne jakieś piętno miejscowości, czasu i narodu. Opis jest ogólnikowy i jeżeli nie można go uważać za naśladowany z rzymskich autorów, to godzi się przynajmniej przypuszczać, iż Kochanowski nie uważał zwyczajów ludowych, którym się przypatrywał, za godne uwiecznienia w całej ich wielostronnej charakterystyce. Jako bystry obserwator, nie mógł nie czuć, że w tych zwyczajach jest jakaś struna poetyczna, na której nie wstyd „poecie“ przegrywać; ale jako czciciel wzorów starożytnych nie chciał może przeniewierzyć się im, nadając odrębne, oryginalne kształty estetyczne temu, co zaobserwował. Wolał więc ograniczyć się na króciutkiej wzmiance, która, nie będąc bynajmniej w sprzeczności z for-

¹⁾ Kraszewski, „Nowe studia lit.“, tom I, str. 98. Obecninie „Bylicę“ przedrukował J. Rymarkiewicz w swej pracy o „Sobótce“, str. 179—184.

mami i wspomnieniami klasycznymi, uwalniała go od wier-
nego odwzorowania zwyczajów wieśniaczych w wieczór
świętojański, jak to później w trzy wieki blisko uczynił
Seweryn Goszczyński. A szkoda! Jakżebyśmy wdzięczni byli
naszemu drogiemu Janowi za zachowanie nam ówczesnych
obrzędów w całej ich prostocie i oryginalności! Na t^{em} zy-
skałaby nietylko poezya, ale i etnografia. Trudno jednak...
Człowiek, choćby najzdolniejszy, jest dzieckiem swego czasu
i jakkolwiek wybitną być może jego indywidualność, nie
zdoła przecież otrząsnąć się z tego uroku, jaki nań rzuciło
wychowanie, pierwsze studia, pierwotny myśli kierunek.
I Kochanowski widział skarby poezyi ludowej swego na-
rodu, ale skarby te oprawiał w ramki estetyczne, do któ-
rych przywykł przez cały wiek młodzieńczy, dla których
musiał nieraz drogie klejnoty obciosywać, a t^{em} sam^{em}
zmniejszać ich wartość. Przekonamy się o t^{em} jeszcze do-
kładniej przy szczegółowym rozbiorze pieśni, które śpiewało
sześć par dziewcz, „bylicą przepasanych“. To uszeregowanie
śpiewaczek w pary kazałoby przypuszczać jakiś plan w ukła-
dzie i uporządkowaniu pieśni; lecz domysłu tego nie uspra-
wiedliwia bliższe przyjrzenie się utworowi Kochanowskiego.
W nim następują pieśni jedne po drugich, nie połączone
ze sobą dwójkami w jakąś jednolitą całość, ani t^ęż nie kon-
trastujące sw^{em} artystyczn^{em} przeciwieństwem. Tylko pieśń
druga i trzecia są formalnie z sobą spojone, za pośrednic-
twem jednobrzmiącej niemal zwrotki:

Za mną, za mną, piękne koło,
Opiewając ¹⁾ mi wesoło;
A ty się czuj, czyja kol^{ej},
Nie maszli mi^ę *wydać wol^{ej}* -).

¹⁾ Przyspiewując.

²⁾ Wydać, zawstydzić; — *wol^{ej}*, dziś woli, podobnie *pra-
c^{ej}* — dziś *pracy*.

Zresztą wspólną treścią wszystkich dwunastu pieśni jest albo liryczne wylanie uczucia miłości w rozmaitych jego fazach i odcieniach, albo też sielankowy obraz „wieśnych“ (t. j. wiejskich) wczasów i zajęć. Rozpatrując więc „Sobótkę“ pod względem artystycznym, musimy ją uważać za zbiór luźnych pieśni erotycznych i sielankowych, połączonych w jedną całość wstępem, zapowiadającym wieczorną zabawę, tudzież ostatnią strofką pieśni 12, w której wzmiankowany jest koniec uroczystości, z powodu rozpoczynającego się brzasku dnia następnego. Całonocny zaś przebieg zabaw świątecznych pozostawił poeta domysłowi czytelnika, wyprowadzając przed jego oczy dwanaście panien, dźwiękiem pieśni i „pochodnym tańcem“ rozweselających wiejskie towarzystwo. Nad układem więc całości nie potrzebujemy się dalej zabawiać, lecz przejdziemy wprost do rozbioru pomysłów.

W 1-ej wstępnej pieśni przypomina śpiewaczka towarzyszkom swoim, iż miały przy ognisku czekać rannej zorzy, gdyż

Tak-to matki nam podały,
Samy także z *drugich* ¹⁾ miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawždy sobótka palana.

W myśl więc zachowania starodawnych obyczajów, wzywa wszystkich do święcenia dnia uroczystego i zaniechania wszelkich robót. Ustęp ten wielce przypomina pieśń Tybula, w której tenże, z powodu uroczystości *rolnej*, zachęca ziomków, ażeby zdjeli wołom jarzma i postawili je u pełnego żłobu, łby im uwieńczywszy, ażeby wszystko Bogu poświęcono i ażeby żadna kobieta ręki do kądzieli nie przyłożyła, gdyż tak każe zwyczaj naddziadów ²⁾. Może

¹⁾ Od innych.

²⁾ Tib. ks. II, cl. I... Ritus ut a prisco traditus exstat avo.

mi kto zarzucić, że podobieństwo obrzędów wywołało podobieństwo myśli u obu autorów, bez żadnej pierwszego od drugiego zależności. Prawda; tylko nie należy zapominać, że Tybul był często w ręku Kochanowskiego, nie tak jak dzisiaj, kiedy tego rzymskiego liryka zaledwie ludzie poświęcający się literaturze klasycznej czytają. Gdybyśmy dziś u którego poety znaleźli wyrażenie lub pomysł przypominający autora klasycznego, nie mielibyśmy do posądzania go o pożyczkę takiej odwagi, jaką okazujemy, odczytując naszych pisarzy z XVI i XVII wieku. To niech nam posłuży za wymówkę, gdyby gorliwość w odkrywaniu źródła poetycznej inwencji zadaleko zaprowadzić nas miała.

Po owej zachęcie do zachowania „rządu (t. j. zwyczaju) ojcowskiego“, następuje wykazanie szkodliwych następstw, z zaniedbania świąt wynikających.

Dziś bez przestanku pracujem
I dniom świętym nie folgujem;
Więc też tylko zarabiamy,
Ale przedsię nic nie mamy.

Tu widocznie poeta przeniósł się myślą od święcenia zwyczajów ludowych, do wspomnienia niedziel i świąt przez kościół ustanowionych, i nie żałuje ponurych farb dla odmalowania złowieszczych skutków, jakie pogarda świąt za sobą ciągnie: grad, upał, co rok słabsze urodzaje, a zatem i sroga drożyzna. Bez Boga nic zrobić nie można, a „kto chce syt być swego chleba“, ten do Boga z prośbą udać się powinien. Ten zwrot w piosence brzmi trochę dysharmonijnie, w zestawieniu z resztą święto-jańskich pieśni; religijność poety nie na miejscu ukazywać się tu zdaje. Można by wprowadzić przedstawić zwrot powyższy i w innem świetle; można by n. p. powiedzieć, że Kochanowski tak się przejął pojęciem ludowem o znaczeniu Sobótki, że uroczystość tę kładł na równi z kościelnymi. Lecz przeciw takiemu wykła-

dowi poety świadczy najprzód zależność jego od wzorów klasycznych, a powtórę zbyt kaznodziejski ton pieśni, która, gdyby była podchwycona z ust ludu, inneby bezwątpienia, mniej dydaktyczne przybrała formy. Zdaniem naszym w zwrocie owym uwydatnia się drugi pierwiastek poezji Kochanowskiego, t. j. *religijność na Piśmie świętém oparta*, która, w połączeniu z wykształceniem klasycznym, warunkowała rozwój jego indywidualności. W „Sobótce“ religijność ta, wyrażająca się słowami zaczerpniętymi z Psalmów Dawidowych, występuje na tém jednym miejscu i dlatego poświęciliśmy jej dłuższą wzmiankę. Odtąd spotkamy się tylko z wesołością, tańcami, uczuciami miłości, zadowolonej lub znękanéj, i z obrazkami życia wiejskiego.

Pieśń drugiej dziewczyny jest ochoczém wezwaniem do wesołości i tańca. Zapytując figlarnie swych sąsiadek, czy którakolwiek z nich może się wyprzeć skłonności do tańca, sama przyznaje się do niéj z całą szczerością i prosi „bębennicę“, by swéj sztuki dla wspólnej zabawy nie poskapił, bo i on przecież musi mieć w zebraném kole taką, co jego sercu jest miła. Dalejże więc, wesoło a zwinnie!

Bo w trosce człowiek zgrzybieje
Pierwéj, niż się sam spodzieje.
Ale gdzie dobra myśl *płuży*,
Tam i zdrowie lepiej służy,
A choć *drugi* ¹⁾ zajdzie w lata,
I tak on *ujdzie za swata*.

Tą apostrofą zachęcona *trzecia* panna każe się wese-
lić i śmiać towarzyszkom nawet wtedy, gdyby nie powie-
działa nic „trefnego“ (t. j. dowcipnego), gdyż sam tylko
człowiek „ma śmiech z przyrodzenia“. Tém zastrzeżeniem

¹⁾ Inny, ktoś; wyraz ten bardzo często u Kochanowskiego
w tém znaczeniu bywa używany.

odbiera krytykowi odwagę sądzenia na seryo jęj opisu *przymiotów kocich*. Biorąc powód z przygody jakiegoś chłopaka, co *ciągnął kota*, ostrzega go, że to zwierzę nader srogie i przypomina jego własności, czyniące go dla niektórych strasznym.

Nie znasz ludzi, co przed kotem
Pierzchają *nawiększym* ¹⁾ błotem?..
A na jego głos straszliwy
Ledwe *drugi* będzie żywy.

Przy tej sposobności nie zawadzi przypomnieć, że operacya, o której wspomina trzecia panna, dość często u Kochanowskiego jest wzmiankowana. Dosyć porównać pieśń 33 ks. IV, fraszkę 13 księgi I, toż 103 ks. II, i 5 ks. III ²⁾, a przekonamy się że *ciągnięcie kotu* było rzeczą ucieśzną i nieraz zapewne praktykowaną. Komiczny wrzask kota, jego praktyki, jak powiada Kochanowski, t. j. przepowiadanie deszczu przez mycie się, zręczność, chytryść i skrytość, czyniły zwierzę to zajmującym i godnym bliższej obserwacyi. Wszak sam czarnoleski wieszcz, prócz wzmianek powyższych, pisał jeszcze „nagrobek kotowi“ (Fraszki III, 38) i utrzymywał, że

I chłop *foremniejszy* bywa,
Gdzie kot we łbie przemieszkiwa; —

czem chciał bezwątpienia wyrazić, że zręczność i przebiegłość wiele się do towarzyskiej ogłady człowieka przyczyniają.

¹⁾ Największym; w tej formie *zawsze* u Kochanowskiego spotykamy ten przymiotnik.

²⁾ Trzeba wiedzieć, że pierwotnie były tylko dwie księgi Pieśni Kochanowskiego; dopiero od czasów Bohomolca (w XVIII w.) przydano wiele *fraszek* do pieśni i utworzono ksiąg cztery, zmieniając przytém porządek kolejnego następstwa zarówno w Pieśniach, jak i we Fraszkach. Ponieważ jednak rzadko kto ma dawne Kochanowskiego wydania, uważałem za stosowne cytacye robić podług nowszych edycji, trzymając się *Turowskiego*, 1857.

Piosenka kończy się przestrogą dla kota, że wszystko trwa tylko do czasu i że należy mu się strzedz „wilka z lasu wyszczekać“.

Przejsia do następnej pieśni, jak wspomniałem, nie ma tu żadnego. Czwarta bowiem panna opiewa miłość nie-spokojną o swój przedmiot, a piosenka ta jest przesłiczna. Prostota myśli i wyrażenia, połączona z gładkością wysto-wienia, a ożywiona ciepłem, serdecznem uczuciem, czynią ten klejnocik liryki staropolskiej godnym kilkakrotnego od-czytania. Dziewczyna przygotowała swemu ukochanemu wia-nek, który mu na głowę chce włożyć:

Włóż na piękną głowę twoję
Tę rozkwitłą pracę moję.

Potem spowiada mu się, że nie ma ani jednej chwili we śnie czy na jawie, któraby myśla o nim nie była zapeł-nioną. Ona ufa ukochanemu, że jęj odwdzięczy się wzaje-mną życzliwością; ale nie potrafi pozbyć się dręczącej my-śli, że go inna dziewczyna wydrzeć jęj może:

Tego zataić nie mogę,
Co mi w sercu czyni trwogę:
Wszystki ¹⁾ tu wzrok ostry mają
I, co piękne, dobrze znają.

Prosi więc i zaklina swe towarzyszki, aby jęj tęj krzy-wdy nie uczyniły, bo wszelką inną zawsze gotowa darować; ale krzywdy w miłości nigdy zapomnieć nie zdoła.

Piąta panna uskarża się przed gromadą na przechyre Szymka, chłopca gładkiego i światowca w sferze wiejskiej, ale niestałego i szydercę. I śpiewaczka sama niegdyś mu wierzyła, a nawet „dobrzeby Bogu służyła“, gdyby wiedziała napewno, że Szymek ją kocha; ale teraz już wie jak go ma sądzić:

Znam cię, ziółko, żeś pokrzywa!

¹⁾ W pierwszych wydaniach jest forma *wszystki*, zawsze z zakończeniem na *i*.

Ostrzega więc swe towarzyszki, a Szymka napomina, żeby nie udawał statecznego, bo mu już nikt nie zawierzy:

Nie sprawujże się *przez miarę* ¹⁾,
Boć zaś ludzie dadzą wiarę,
A mało sobie poprawisz,
Że mię w nieprawdzie zostawisz.

Szósta panna opiewa naturę i zajęcia dnia letniego. Z powodu powszechności treści, podobieństwo do tej pieśni znajdujemy w utworach Wergiliusza (mianowicie w *sie-lance* II, wiersz 8 i następne), jak i u Horacyusza, z którego zdaje się dosłownie tłumaczony czterowiersz:

Już mdle bydło szuka cienia
I ciekącego strumienia,
I pasterze, chodząc za niem,
Budzą lasy swoim graniem.

Porównać proszę Horacyusza pieśń 19 księgi III, od wiersza 21-go. Zresztą mamy tu wspomnienie o zwyczaju ofiarowania gospodarzowi *kłosianego wieńca* po ukończeniu żniwa, szczegół, o którym nieraz i poeci rzymscy wzmiankują, jakkolwiek z innemi akcesoryami ²⁾.

W pieśni siódmej panna opowiada swą gorącą i gotową do poświęceń miłość dla zapalonego myśliwca. Główną myślą w niej jest, że miłość „wszytkiego przywyknąć może“, jak wówczas mówiono. Pieśń ta, jak już wskazał p. Przyborowski, jest swobodnem naśladowaniem 3-jej elegii ks. IV Tybula, mianowicie od wiersza 11.

Taż sama myśl wyśpiewaną została w pieśni *dziesiątej*, z tą tylko różnicą, że tu ukochany poszedł na wojnę, a kochanka powiada, że „przywykłaby zbroi“. P. Przyborowski wskazuje jako jej źródło elegią 10 ks. II Tybula;

¹⁾ To jest w miarę, w sposób umiarkowany.

²⁾ Tib. ks. I, el. 1. — Ovid. *Metam.* ks. II, w. 28 i w wielu innych miejscach.

trudno atoli doszukać się wielkiego podobieństwa między temi dwiema pieśniami. Wspólnego między niemi jest tyle, że u Kochanowskiego *kochanka* przeklina tego, kto pierwszy szykował wojsko i wynalazł strzelbę piorunową; u Tybula zaś *kochanek*, czy też sam poeta, przeklina wynalazcę miecza, a następnie wychwala zalety *pokoju*. Tymczasem główną myślą tej pieśni jest, jak powiedziałem, chęć dzielenia przez kochankę trudów ulubionego. Ztąd też prędkiej dopatrzymy się podobieństwa w elegii Propercyusza (ks. V, el. 3), w której taż sama myśl góruje. Jest i tam narzekanie na wojnę, przekleństwa na tego, kto pierwszy wał usypał i turmę bojową wynalazł; jest i gotowość do dzielenia trudów obozowych, gdyby tylko rzymskim dziewicom prawo ku temu przysługiwało; jest wreszcie życzenie, ażeby kochanek wiernym do swęj lubęj powrócił; — a zatęm znajduje się to wszystko, co stanowi treść piosenki Kochanowskiego.

W pieśni ósmęj pasterka zapędzą swoje ukochane woły na łakę „nieprzepasioną“, a sama zbiera kwiatki barwy rozmaitej, które „obszyte na łubce“ ma obsadzić w „nadbne koło“ i nosić na swęm czole. Wieńca tego dać nikomu nie chce, bo już raz sparzyła się na podobnym podarunku, gdy jęj

..... zaraz pobrać dano,
Czego mi czynić nie miano.

Źródła tej pieśni nie udało się nam odszukać, musimy ją więc za oryginalną poczytać.

Pieśń dziewiąta rozpoczyna się od ślicznego wstępu:

Śpiewa więzien okowany,
Tając na czas wewnętrznej rany ¹⁾;
Śpiewa żeglarz, w cudze strony
Nagłym wiatrem zaniesiony;

1) Ten dwuwiersz jest przekładem z Tybula, el. 6 księgi II, wiersz 25 i 26.

I oracz ubogi śpiewa,
Choć od *pracój*¹⁾ aż omdlewa;
Śpiewa słowik na topoli,
A w sercu go przedsię boli
Dawna krzywda!

Potem następuje podanie mitologiczne o *Filomeli* (słowiku), której Tyreusz, późniój *Epops* (dudek) wyrwał język dla zadowolenia swój chuci, za co żona jego a siostra Filomeli Prokne (jaskółka) dała mu do spożycia własnego syna. Opowiadanie znajduje się w *Przemianach Owidyusza* (ks. VI, w. 438—676)²⁾. Oczywiście pieśń Kochanowskiego nie jest tłumaczeniem; treść tylko wzięta z Owidyusza, a opracowana w formie lirycznój. Kochanowski zamilczał zupełnie nazwy osób i czuł może niewłaściwość tego podania w ustach polskiej wieśniaczki, gdyż na końcu śpiewająca dodaje:

Chwała Bogu, że te kraje
Niosą insze obyczaje;
Ani w Polsce, jako *żywy*³⁾,
Zjawiły się takie dziwy.

Nie potrzebujemy kłaść nacisku na tę okoliczność, że wieśniacze trudno było znać mity greckie, gdyż każdy dzisiaj doskonale to pojmuję. Inaczój zapatrywano się za czasów Kochanowskiego. Wtedy dzieje i podania greckie i rzymskie były uważane za coś ściśle połączonego ze sferą poezyi i wogóle ukształcenia; podania zaś ludowe własnego kraju poczytywano za zabobony, które należało pozostawić wśród tych ludzi, wśród których się one zrodziły. A przyzwyczajenie to tak było silne, że Kochanowski, tworząc nawet pieśni ze świata wiejskiego, nie mógł się przecież pozbyć wspomnień klasycznych.

1) *Pracój*, dzisiaj *pracy*.

2) Już u p. Przyborowskiego zaznaczone.

3) Domyslać się tu należy: *człowiek*.

W pieśni jedenastej czytamy pochwały pięknej Doroty,
która tém była między dziewczkami,

Co między pieniędzmi złoto,
Co miesiąc między gwiazdami.

Nigdy Kochanowski plastyczniej piękności kobiecej nie
opisywał; w Dorocie uderzyły go i silnie w umyśle rysowa-
ły się wszystkie szczegóły:

Twoja kosa rozczosana
Jako brzoza przyodziana;
Twarz jako kwiatki mieszane,
*Lelijowe i różane*¹⁾;
Nos jako sznur upleciony,
Czoło jak marmur gładzony,
Brwi wyniosłe i czarniawe,
A oczy *dwa węgla*²⁾ prawe.
Usta twoje koralowe,
A zęby szczere perłowe,
Szyja pełna, okazała,
Piersi jawne, ręka biała.

Oto jest kompletny opis piękności. Następują pochwały
rozmowy, pocałunku, tańca³⁾ i braku hardości, co, jak
uważa poeta, rzadko chodzi w parze z „gładkością“. Wszyst-
kie te przymioty zniewoliły jej ludzi, a między innemi
i tego, co pieśń tę wygrywał, potrzeba bowiem pamiętać,

¹⁾ Porównanie to, *pięćkroć* jeszcze u Kochanowskiego po-
wtórzone (Pieśni ks. I, 23, ks. III, 8 i 10, Epital. Radziw.,
wiersz 42 i 43 i Fraszki, ks. III, 62), znajduje się najdawniej,
o ile wiemy, użytym przez *Anakreonta* (pieśń 34), z którego
właśnie fraszka 62 księgi III jest przekładem. U Owidyusza mamy
toż samo wyrażenie: *Quale rosae fulgent inter sua lilia mixtae*.

²⁾ Liczba podwójna; tylko przymiotnik *prawe* jest w liczbie
mnogięj. Właściwie jednak węgiel, jako na spółgłoskę miękką
zakończony, powinien mieć w liczbie podw. *węgli*; ale zakończe-
nie *a* w naszym języku przeważało.

³⁾ „W tańcuś jak *jedna bogini!*“ I tu poeta się zapomniał,
że przemawia przez usta wieśniaczki. *Terpsychorze* musiał hold
złożyć jako poeta, którego *muzy* natchnieniem darzyły.

że piosenka, jakkolwiek wypowiedziana przez dziewczynę, domyślnie jednak z ust mężczyzny, i to skrzypka, wypływać miała.

Końcowa wreszcie pieśń dwunasta jest sielanką wielbiącą zajęcia i obyczaje wiejskie. W wyliczaniu ich jest pewna zależność od sławnego wiersza Horacyuszowego: „*Beatus ille qui procul negotiis*“. Są jednakże i odstępienia; nastrojem zaś ogólnym i niektórymi wyrażeniami pieśń ta przypomina Tybula 1-szą elegię księgi II-éj. Na wsi można żyć „*bez wszelakiej lichwy*“, powiada Kochanowski. Gdyby to nie było przekładem Horacyuszowego „*solutus omni fenore*“, możnaby wnosić, że jego czasy pod tym nawet względem szczęśliwsze od naszych były. W tym ostatnim wypadku moglibyśmy wraz z nim lekceważyć tych, co przez morze żeglują i co przy dworze się ciągną; w każdym atoli razie ze słuszną wzgardą wspomnimy o tych, co „w płat język dają i krwią własną zysk zlewają“. Są trudy i na wsi, ale jakże sowiecie się one opłacają! Owoce z sadów, miód z pszczół, wełna z owiec, siano z łąk, zboże z roli: oto nagroda pracy wieśniaka. A po skończonej pracy:

Komin wkoło obsiadziemy:

Tam już pieśni rozmaite,

Tam będą gadki *pokryte* (tajemnicze).

Tam *trefne* płasy z ukłony,

Tam *cenar*, tam i *goniony* ¹⁾).

¹⁾ Były-to *tańce* ówczesne, w szlacheckim towarzystwie często zastosowywane. Przekonywamy się o tém ze *Światowej rozkoszy* Hieronima Morsztyna, wydanej w Krakowie 1606 roku. Cytujemy z wydania Kraszewskiego: „Pomniki do historii obyczajów w Polsce“ 1843, str. 182:

..... Grzeczni młodzianowie

Jedni świece, a drudzy szklenice na głowie

Trzymając, spokojniuchno idą świeczkowego,

Ci wyrwańca, a owi zaś *gonionego*;

Następują wymyślne do fochów *cynary*,

Tam się wodzą za nosy i t. d.

Później idzie gospodarz na zabawę z korzyścią połączoną; zastawia sidła na ptaki i zwierzęta, łowi ryby w wiecierze, tymczasem zaś

Stada igrają przy wodzie,
A sam pasterz, siedząc w chłodzie,
Gra w piszczałkę proste pieśni,
A *faunowie* skaczą leśni.

Strofka ta jest powtórzona w całości przy końcu pieśni 4 księgi I-jej; w niej mitologia znowu niepotrzebnie pokazuje różki; rozigrani *faunowie* do lasów się polskich jakoś zabłąkali.

Ale i gospodyni beczynn timer dnia nie przepędza; za-
biegliwość jej, sławiona również u Horacego, przysparza
domowi dostatku; sama liczy bydło, kiedy z pola wraca,
sama też i przy dojeniu pomoże. Niedorośli zaś wnukowie,
chyląc się ku starszej głowie...

Wykną przestawać *na male*,
Wstyd i cnotę chować *w cale* ¹⁾.

Trudno jednak wypowiedzieć odrazu wszystkie wsi za-
lety; paląc sobótkę i śpiewając, gromada doczekała się dnia
białego; koniec więc pieśniom.

Dzień tu; ale *jasne zorze* ²⁾
Zapadłyby znowu w morze,
Niżby mój głos wyrzekł *wszytki*
Wieśne wczasy i pożytki...

Szliśmy krok w krok za Kochanowskim, starając się
zbadac, co w nim było istotnie oryginalnem, a co naślado-

¹⁾ *Wyknąć*, słowo dziś używane tylko z przymkami. —
Na male, zabytek starożytnej deklinacji przymiotników, które się
odmieniały tak jak rzeczowniki. *W cale* toż samo; dziś używamy
tego wyrażenia jako przysłowka, z przeczącem znaczeniem; da-
wniej znaczyło tyle co *w całości*.

²⁾ U Kochanowskiego znajduje się również forma *zarza*
(Pieśni II, 16) i liczba mnoga *zorza*, od nijakiego *zorze* (Pie-
śni III, 7).

waném lub tłumaczoném. Przekonaliśmy się, że pieśni II, III, IV, V i VIII nie znajdują odpowiednich sobie w literaturze greckiej i rzymskiej; przynajmniej my tego odkryć nie potrafiliśmy. Reszta pieśni zawiera albo myśl główną zapożyczoną ze starożytności, albo też zwroty i całe obrazy poetyczne, dosłownego atoli tłumaczenia jakiegś całości w nich nie znajdujemy. Niepodobna jednak odkryć i nic takiego, co by było wprost przeciwném klasycznej tradycji w sferze poezyi.

Jakiż więc był stosunek wieszcz z Czarnolasu do jego ulubionych starożytnych poetów? Czy Kochanowski był tylko prostym niewolnikiem zmarłego słowa? czy pojęcia odrębności swego narodu i czasu nie miał wcale? czy można wreszcie zgodzić się na zdanie p. Włodzimierza Spasowicza, który odmawia mu nazwy „narodowego polskiego poety“, przyznając tylko, że on jest największym i najbardziej utalentowaném naśladowcą wzorów starożytnych, który język polski przemienił, wyrobił, zmiękczył i doprowadził niemal do doskonałości muzycznego instrumentu, zdolnego do wydania dźwięków najdelikatniejszych?“¹⁾ Na te pytania niepodobna odpowiedzieć ogólnikowemi *tak* lub *nie*; musimy je rozpatrzyć bliżej i szczegółowiej.

Kochanowski pojmował rozumem odrębność swego narodu od innych, a mianowicie klasycznych; co więcej, znał on jedność szczepów słowiańskich i nader blizkie pokrewieństwo czeskiego z polskim, jak tego pieśni jego²⁾ i artykuł o *Czechu i Lechu* najdobitniej dowodzą. Sercem odczuwał potrzeby kraju i szczerzy zawsze brał w nich udział,

¹⁾ Obzor istorii sławiańskich literatur Pypina i Spasowicza, 1865, str. 382. W tłumaczeniu polskiem str. 65.

²⁾ Pieśń 29 ks. I. „Omen Jana Kochanowskiego“:
Bo od zmarłego morza po brzeg adryański
Wszystko był opanował cny naród słowiański.

kochał zatem ludzi, wśród których się urodził i żył, zinnym i obojętnym na wszelkie przejawy narodowości kosmopolitą nie był. Nie zagrzebał się też w starożytności, jak archeolog, niewidzący i nierozumiejący nic po za swemi ukochanemi wzorami. Gdy atoli wyobraźnia jego zapaliła się jakimś przedmiotem czy zdarzeniem, bądź z dziejów życia starożytnego, bądź też z historyi i zwyczajów krajowych, Kochanowski, *jako artysta*, szukał *środków* poetycznych do przedstawienia swego pomysłu i środki te znajdował u poetów klasycznych Grecyi i Rzymu. Jako *artysta* więc, nie jako poeta, jest Kochanowski starożytnych naśladowcą. Poetę stanowią uczucia i myśli; artystę — środki artystyczne, do odmalowania tych uczuć i myśli posługujące. Myśl, uczucie, słowem cały materyał poetyczny brał poeta *zarówno z życia starożytności, jak i z życia krajowego*; barwy i wszystkie inne środki techniczne zastosowywał wyłącznie podług wzorów starożytnych. I tu jednak, jako umysł samoistny, dosłownym kopistą klasyków nie był; lękał się tylko od nich odstępować, uważając za piękne *głównie* to, co u nich napotykał. Przerabiał więc nieraz swobodnie obrazy poetyczne, podania i wyrażenia autorów greckich i łacińskich, mówiąc o treści ze współczesnych sobie wypadków poczerpniętej. Co więcej — pomimo swoich niezaprzeczonych uczuć religijnych, którym w przekładzie *Psałterza* świetny wystawił pomnik, częściej się zwracał z prośbą do muz Olimpu, aniżeli do Boga chrześcijańskiego. Podczas gdy Matki Boskiej i świętych nigdzie nie wzywa, a o aniołach czasami tylko wspomina¹⁾, bez muz, nimf, faunów i tym podobnych mitologicznych wyobrażeń trudno

¹⁾ Trzeba przytém pamiętać, że i Rzymianie mieli swoich aniołów-stróżów, zwanych *Larami*, opiekunów rodziny, do których nieraz poeci się zwracali.

mu było się obejść. W tych wyobrażeniach widziano wówczas coś wspaniałego i wzniosłego, co jednem krótkiem napomknieniem cały świat piękna w duszy ludzkiej budziło. Jakoż Kochanowski najczęściej wyobrażeniami mitologicznemi posługuje się wtedy, gdy uroczyście przemawia. W Sobótkach np., gdzie panuje ton spokojny, nastrój sielski, a nieraz wesoły, spotykamy raz tylko faunów, raz boginię tańca (Terpsychorę) i raz wreszcie greckie podanie o słowiku. Gdy poeci ówcześni mieli zrobić jakieś porównanie, to sądzili, że najdosadniej je przedstawia, jeśli jaki szczegół mitologiczny przypomną; gdy np. zamiast opisywać *piękność* kobiety, imię greckiej *Heleny* wymienia. Nie dziwimy się temu; wszakże my i dziś jeszcze na wyrażenie *siły* niezwykłej do imienia *Herkulesa* się uciekamy. Nie umiano wówczas wejść w porównaniach na tę drogę, po której nowa poezya XIX wieku stąpa, zwracając się przedewszystkiem do przedmiotów i zjawisk natury, bez obłonek mitologicznych... Obłutki te dla ówczesnych czytelników były zupełnie zrozumiałe, a co więcej, przypominały im ustępy poetów rzymskich i greckich, rodząc w ich wyobraźni rozkosz podwójną: obecną i przypomnianą. Czytelnicy zachwycaли się pomysłem poety w ojczystym języku i myślami poetów starożytnych, które im w przypomnieniu się ukazywały. Oczywiście zakres działania poezyi zacieśniał się, gdyż ci tylko cieszyć się nią mogli w pełni, którzy źródła artystycznej rozkoszy, co w starożytności niegdyś tryskały, odzyskać mogli. Nie było więc tego swobodnego polotu fantazyi, jaki jest dzisiaj, gdyż krępowały go więcej przypomnienia i ta myśl, że w sferze artystycznego oddania pomysłów są pewne granice nieprzekroczone, są wzory nieprześcignione. Nie zapładniało to wcale fantazyi, nie przyprowadzało jej skrzydeł do nieokreślonego lotu, lecz owszem,

ujmowało ją w karby. Fantazja nie miała wokoło siebie horyzontu na wszystkie strony świata otwartego, lecz musiała się obracać w szrankach szczuplejszych. Przeszkodziło to bezwątpienia szerokości i lotności pomysłów, zabiło *fantastyczność* w samym zarodku; przyniosło atoli korzyść, o której niewolno zapominać historykowi literatury; przyjęcie bowiem gotowych obrazów piękna ułatwiło pracę nad wyrobieniem języka i technicznej strony wierszowania, ochroniło dalej od trywialności i mało znaczących pomysłów. Niełada-to zdobycz stanąć na szczycie wykształcenia, zdobytego pracą niezliczonych wieków, a odzwierciedlającego się w utworach starożytnych! Tu już nie bełkotanie narodu przychodzącego do samowiedzy, ale cały obszar poezji cywilizacyjnej staje się odrazu własnością poety. Dość mu zapoznać się z dziełami mistrzów, a owoce długich wiekowych trudów staną się karmią jego umysłu. Nie dziwimy się więc, że nadzieja tak świetnych zdobyczy olśniła pionierów naszej narodowej poezji i zrobiła ich szczerymi wielbicielami starożytnej oświaty i tych form piękna, które ona wydała. Nie dziwimy się tem bardziej, że po kilkowiekowem doświadczeniu, po rozkwicie już świeżych pączków nowej poezji u sąsiednich narodów, jeszcze w roku 1818 jeden z najświatlejszych umysłów ówczesnych i jeden z najlepszych znawców pieśni ludowej, Kazimierz Brodziński, mógł powiedzieć w rozprawie swojej o klasyczności i romantyczności słowa następujące: „Poezya nasza ma tę szczególną własność, że nie tylko malowania tegoczesnych obyczajów i obrzędów *nie są stosowne jej powadze (!)*, chyba gdy je przez podobieństwo i przypomnienie do starożytności zbliżamy, ale nawet nazwiska tegoczesne, a szczególnie z obcych wzięte narodów, zdają się być odbijającami i *nieznośnemi* w płynieniu śpiewów naszych; gdy prze-

ciwnie, *wszelkie starożytne nazwiska, szczególnie greckie, brzmią najprzyjemniej*¹⁾.

Doprawdy! oświata i poezya starożytna posiadały urok nieprzeparty, kiedy zniewoliły sobie tyle potężnych umysłów, a nawet umysł estetyka wyrosłego wśród innych cywilizacyjnych warunków, aniżeli np. poeci wieku XVI-go.

Kochanowski poddał się temu urokowi tém łatwiej, że natura jego spokojna, łagodna, wyobraźnia wrażliwa, serce miękkie i łatwo wpływom obcym się poddające, wola nieodznaczająca się szczególniejszym hartem i energią, nie przyczyniły się bynajmniej do wytworzenia w nim indywidualności silnej, wyraźnemi cechami odznaczonej i jakby granitowej.

II.

Wszystkie powyżej omówione stosunki inaczej się przedstawiają w naszych czasach. Nastąpiła epoka, w której poczucie odrębności nie tylko narodowej, ale i plemiennej przybrało rozmiary dotychczas nieznane i weszło zwycięsko do sfery twórczości poetyckiej. Zaczęto studyować zwyczaje, obyczaje i język nie już całego kraju, jako gruntu, na którym się jednostka narodowa rozwijała, lecz pojedynczych jego okolic, odznaczających się jakąś cechą szczególną i dla nich charakterystyczną. Owoce studyów tych przenoszono do utworów artystycznych albo *in crudo*, albo w stosowném przerobieniu. Każdy dzielny postrzegacz, obdarzony talentem twórczym, mógł się poszczycić odrębnym światem poetycznym, w którym osoby i wypadki, prócz cech wspólnych wszystkim rzeczom ludzkim, posiadały jeszcze rysy wydatne, sobie tylko właściwe. Opisy miejscowości, o których

¹⁾ Pisma Kazimierza Brodzińskiego, wyd. 1872 — 74 tom III, str. 49.

dołąd pisano conajwyżej prozą, zwyczaję a nawet zabobony ludowe ze wszystkich kraju zakątków, prowincjonalizmy pełne poezyi, choć potępione przez gramatyków: wszystko to zaczęło się przeglądać w zwierciadlanej szybie wyobraźni poetów i wabić ku sobie nieznanym urokiem tych, co mieli usposobienie poetyczne.

Stąd też pojmiemy łatwo, że Goszczyński, syn tej epoki, pisząc Sobótkę ¹⁾, musiał lubować się w dokładnem oznaczeniu miejsca akcji, w szczegółowym opisie obchodzonej uroczystości, w specjalnym nacisku, jaki położył na odrębność tych ludzi, których zwyczaje przedstawiał. Bohaterowie jego poematu — to lud tatrzański we wszystkich niemal przemianach, którym uleść może. Są tu i młode juhasy i nadobne juhaski, są siwi gazdowie i poważne matrony, jest i poeta miejscowy Ludek i rozbójnik Janosz, przez miłość ku Kasi, niewyjaśnioną jakąś okolicznością mu wyrwanej, do tułaczego życia przywiedziony. Wszystko co lud ten mówi lub śpiewa, z ust niemal jego pochwycone: Goszczyński bowiem poświęcił parę lat ²⁾ na przypatrzenie się naocznie temu oryginalnemu życiu, które miał opiewać. Niema tu oczywiście i być nie może klasycznych przypomnień, gdyż te nie licowałyby z malowidłem tak prostem, jakim jest obraz życia górali tatrzańskich.

Śpiewów czyli pieśni jest w Sobótce sześć, a każda z nich jakiemuś miejscowemu wypadkowi lub podaniu początek swój zawdzięcza. Poeta Ludek śpiewa o rozbójniku Janoszu, tak wysokim jak Łomnica, co mógł zatrzymać orła w obłoku, „gdy mu utkwiał oko w oku“, i dodaje, że „nie kobieta, ale skała zrodzić go pewnie musiała“... Trzy dzie-

¹⁾ Po raz pierwszy wyszła r. 1834 w „Ziewoni“ lwowskiej; później miała kilka wydań.

²⁾ 1832 i 1833.

wczęta, przy dźwięku kobz i dudek, śpiewają o dziwożonach, co matkom dzieci porywały, a dziewice w dziwożony przemieniały:

Niebogo, sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą;
Dla twego serduszka
Za družkę, za družka
Będą dziwożony.

Inna przy wtórze gęśli nuciła łagodnie o zaczarowaném państwie dziwożon, gdzie:

Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą,
Wszystkie tam wody płyną kryształem,
Każda kropelka *spada perelką*,
Mosty ze złota w państwie ich całem,
A z dyamentu każde światelko...

Tak u dziwożon; ale niemniej pięknie i w Tatrach:

Wielkie pod niebo są nasze skały,
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki jako kryształy,
A jak noc świeże bory i pasze.

I dlaczegóż to tak? Czy u nich czar jaki, czy Bóg w miejscach tych cud swój uczynił? Nie jestże-to skutkiem blizkiego z państwem dziwożon sąsiedztwa:

Bo u dziwożon nasz się kraj kluje,
Bo u nich każdy zdroj się poczyną,
Bo je wypuszcza, bo *im wartuje*
Dzika, podziemna, lecz hał rodzina.

Czwarta pieśń Salki o „chmurnej dolinie“, t. j. o Kościelisku, przedstawia podanie ludowe o potworze ukrytym w skale, skąd Dunajec wypływa, a strzegącym skarbów i co ważniejsza — wody życia:

Kto dosyć wytrwały,
Aż w głębie pójść skały

I na strach mocną ma głowę,
Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność
I bierze skarbów połowę.
Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę.
Opada ulewa
Wiatr lasy wyrывa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe!...

Przy końcu występuje pieśniarz Ludek, o którym
wieść biega:

..... że przy wody szumie,
W którym się huśta Dunajec maleńki,
Znalazł dźwięk i myśl do pierwszej piosenki:
Dziś setne śpiewać i sam składać umie.

Niepotrzebne więc są już święte źródła kastalskie,
z których starożytni i nasi dawniejsi poeci czerpali natchnie-
nie; dziś maleńki Dunajec, w małożnanym kąciku kraju,
może już pobudzić poetę do twórczości w sferze piękna.
Ludek przynosi smutną wieść o napadzie Tatarów, którzy
strachem przejmowali obrotne zamki; ale w odważnej piersi
górskiego ludu nie zdołali obudzić obawy. Lud ten spo-
kojnie, a nawet wesoło przyjął nowinę, bo w ręku miał
lekkie lecz niebezpieczne toporki. „Bawmy się lepiej!“ wo-
łano dokoła, nie mamy potrzeby rozpaczać, dość będzie na
to czasu, gdy Tatar nad karkiem nam się pojawi. Tymcza-
sem niech nam Ludek zaśpiewa! Ludek nie dał się długo
prosić, lecz wyobraźnia jego, blizkiem niebezpieczeństwem
rozogniona, zdołała wysnuć tylko obraz zgrozy, nawiedzają-
cej czasami góry tatrzańskie w postaci zjawiska, zwanego
mnichem.

Mnich posuwa lotem kozy
Po przepaściach, przez wąwozy;

Na sam szczyt drzewa śmignie *wiwiórką* ¹⁾,
Krzaki najgęstsze przemknie *jaszczurką*,
Z głazu *mchem* wyśliźnie,
Z wód *łososiem* bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
W wązięk jak włos rozpadlinie,
W promyku rosy, w fijołka woni,
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni.
Gdzie nie pomyśl, zajdzie;
Gdzie się nie skryj, znajdzie.

W szóstej wreszcie i ostatniej piosence znajdujemy krótkie dramatyczne przedstawienie dziejów miłości rozbójnika Janosza. Występują tu naprzemian stary kobziarz Magiera i znana już nam Salka. W piosence tej odmalowana gorąca miłość Janosza i niewinna kokieteria Kasi...

Oto są rysy i szczegóły, zaczerpnięte na miejscu, dla charakterystyki bohaterów poematu. Żadna drobnostka nie była dla poety mało znacząca: pozbierał je wszystkie, ażeby dać czytelnikom swoim obraz jaknajbardziej do prawdy zbliżony. Nie z książek i nie z podań jakichś dalekich a zamglonych, lecz z własnej obserwacji malował Goszczyński ludzi prostych, nieokrzesanych lub dzikich, jak np. rozbójnik Janosz. Nie zaniedbał opisać ani ich guń, któremi ramiona swe okrywali, ani toporków błyszczących u pasa, ani szcudeł, których do prędszej podróży używali. Pieśni swoje i nutę ich chwycił z ust ludu, nie uważając ich za niegodne poetycznej reprodukcji. Charakterystyczny obchód sobótki w okolicy tamecznej opisał dokładnie, szczegółowo i z zamiłowaniem. „Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą“ ułożono dwanaście jodeł z gałęzi odartych, u wierzchu skupionych, a u spodu rozchodzących się. We wnętrzu tej „śpiczastej wieży“ nałożono suchego chrustu. Dokoła stosu

¹⁾ Prowincjonalizmy, zam. jak wiewiórka, jak jaszczurka itp.

głównego naniecono mniejsze ognie. Wówczas tańczono i śpiewano, przy dźwięku gęśli, kobz, fujarek i dudek.

Takim był lud i jego zwyczaje, które Goszczyński wziął za przedmiot swojego utworu. Lecz niedość na tem; niedość charakterystyki miejscowej, niedość pieśni dźwiękiem właściwym wśród skał odbrzmiewających... poeta chciał ukazać jeszcze fantazją ludu w całej pełni i we wszystkich jej odcieniach. A więc zaludnił lasy dziwnymi wężami, królem węzów i marami na koniach, mającemi strzały na plecach, a u bioder miecze; i kazał nieżywej głowie skakać w ślad za temi widmami bez krwi i kości. Nieżywa ta głowa:

Z okiem rozwartém, z ustami ściętymi,
Zdaje się ciągle szpiegować ich ruchy,
To długie włosy jak skrzydła rozłoczy
I *bystrym ptakiem* zagwiżdże w gęstwinie,
To znowu w skrzele długie włosy zwinie
I *rybą* idzie w podziemne głębinie,
Aż znów z pod ziemi jak z wody wyskoczy...

I wszczęła się tajemnicza bitwa duchów... Król węzów najeżył „złoty swój grzebień“, a potwór na koniu wziął łuk, naciągnął, zmierzył i wystrzelił. Dumny wąż upadł; lecz upadając, świsnął.

. . . - . . . Od onego świstu
Z drzew *przeleknionych* leci chmara *listu* ¹⁾;
A zewsząd gadzin i węzów gromada,
Z liści, z pod liści wysuwa się z błyskiem,
Pnie się na konia ze sykiem i piskiem,
Dotrąca jeźdźca, chwyta w sto obręczy
I wszystko razem w dół się obaliło.
Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
Zniknęli oba pod węzów mogiłą.

To nie wymysł poety, to rzeczywistość dostępna oku ludu, złudzonemu bujną a niesłychanie plastyczną wyobra-

¹⁾ Starożytna forma, zam. *liścia*.

znią. Podobnego rodzaju i nastroju jest również ustęp, w którym przed przerażonemi oczyma Janosza staje widziadło *mnicha*, tego groźnego objawu natury, który rzucał strach paniczny na wszystkich mieszkańców gór.

Otóż mamy już teraz ten lud podhalski w jego naturalnej postaci; przypatrywaliśmy się jego ubiorowi, jego zwyczajom i uczuciom, wyrażającym się w pieśniach; podziwialiśmy jego nieustraszoną odwagę; zrozumieliśmy jego pogląd na naturę, jego gorącą wyobraźnię, żadną rzeczy tajemniczych a wielkich. Lud ten ma oczywiście wiele cech wspólnych z resztą mieszkańców kraju i z resztą ludu wogóle; lecz poeta nie chciał przedstawiać go ogólnikowo, dlatego roztoczył cały szereg owych szczegółów, które go od innych doskonale wyróżniają i samoistnym czynią.

Obok ludzkich myśli, uczuć i czynów, jest jeszcze jedna wielka potęga, co wzniosłością swoją, wdziękiem lub grozą napawa serce człowieka rozkoszą, albo je strachem i bojaźnią przejmując. Potęgą tą jest — natura. Na jej łonie kołyszą się losy ludzkości, czy się one w uśmiechu dziecięcia, czy w szczytnym heroizmie męża przejawiają. Od wieków była ona kolebką uczuć poetycznych, chociaż się pod najrozmaitszemi postaciami ukazywała. Spółczesne nam badania lingwistyczno-mitologiczne wykazały, że bogi i boginie starożytnego Olimpu, że nimfy i fauny, najady i dryady nie są czem innem, jak zjawiskami przyrody, które wyobraźnia helleńskiego ludu obdarzyła myślami i uczuciami ludzkimi, przyoblekając je w postać człowieczą. Wszystkie podania Greków i w ogóle *Aryjczyków*, czyli Indo-europejczyków są to wypadki codziennego biegu natury, w szatę *uosobienia* przybrane. Wprawdzie u najdawniejszych nawet poetów greckich zniknęło już było po części poczucie pierwotnego pochodzenia mitów; lecz napotykają się przecież u nich choć drobne tego ślady. Powoli z po za obsłonek

mitycznych niepodobna już było dojrzeć pierwotnej osnowy w nich zawartej; wiara wraz z kultem religijnym skryształizowała dawne pojęcia w rodzaj dogmatów, pozostawiając swobodne pole dla legend. Opisy natury przejawiają się tylko w porównaniach, które w końcu tracą całkowicie cechę oryginalności. U Rzymian, którzy przejęli greckie podania i pierwotną religią swoją na wzór grecki przekształtowali, stały się mity dla poetów *środkiem* tylko *artystycznym* do wyrażania swych pomysłów, nie budząc wcale tych przypomnień, jakie u greckich autorów przynajmniej tu i owdzie się przebijały. Natomiast wzbudzały one u wykształconych wspomnienia poezji greckiej i stawały się pośredniem źródłem rozkoszy estetycznej. W tej ostatniej formie przeszły one do poetów naszych XVI wieku i zrodziły owoce, których naturę w krótkości już określiliśmy powyżej.

W XIX wieku poeci nasi, niewiele oczywiście wiedząc i nie mogąc wiedzieć o pierwotnem mitów greckich znaczeniu, uderzyli bezwiednie w tę dźwięczną strunę, której one były odgłosem — zwrócili się wprost do natury. Opisywali ją szczegółowo i z zamiłowaniem, zwracali się do słońca, gwiazd i księżyca, błądzili myślą po górach i dolinach, zapęłniali lasy dźwiękami swej pieśni, wielbili każde zjawisko przyrody, zachwycali się szmerem strumyka i nieokiełznanemi falami oceanu. Co więcej, ożywiali je, jak i poeci greccy, duchami i widmami, nie nadając im jednak wyraźnej i stałej postaci. Kiedy chcieli zrobić porównanie, zwracali się do przedmiotów natury: do skał, rzek, a szczególnie do świata roślinnego; — nie chcieli żadnego pośrednictwa mitów starożytnych, — a jeżeli już koniecznie pragnęli uzmysłowić jakieś zjawisko, mówili językiem gminu, wytwory jego wyobrażenia za swoje przyjmując. Stosownie do indywidualności każdego poety, pogląd na naturę oczywiście się zmieniał.

Goszczyński całą duszą przylgnął do *fantastycznej strony* umysłu ludowego; nie tylko nie prostował wybujałych i nieprawdopodobnych jego pomysłów, lecz owszem, jak matka pierwsze słowa swego ukochanego dziecka, przyjmował je z zapałem i powtarzał z lubością. Stąd związek jego myśli z naturą splótł się delikatnymi ale silnymi więzami: matka-natura była mu karmicielką, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym: nie odstępował od niej ani na chwilę i słuchał uważnie jej szeptów tajemniczych.

Wyraźne, a wcale już niedwuznaczne tego świadectwo mamy w Sobótce. Goszczyński, opowiadając o owych diawach leśnych, któreśmy w streszczeniu podali, powiada od siebie:

Ale bo wówczas, ziemio staroświecka,
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały *widomie niewidome siły*
I pilnowały człowieka jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
Krewne spółczucie ludzie znajdowali,
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją jak matkę znali i kochali ¹⁾.

I Goszczyński pokochał naturę jak matkę; ona też, odwdzięczając się, obdarzyła go oryginalnymi a śmiałymi pomysłami. Fantazya, niczem już nie krępowana, odżyła, nabrała sił i wleciała wysoko, unosząc ze sobą w kraj ułudy tych, co się jej opiece powierzyli. Nie było już teraz miejsca na obrazy spowszedniałe częstym powtarzaniem, na wyrażenia przypominające nam, że już je kiedyś nieraz słyszeliśmy; — przeciwnie, wszystko tu świeże, oryginalne, wielkie i śmiałe, a nawet nieraz zuchwałe. Natura lubi swobodę i hojnie nią obdarza tych, co ją pokochali. Poezya nie

¹⁾ Na charakterystyczny ten ustęp zwrócił już uwagę Spasowicz: Obzor istorii sław. literatur, str. 470. W tłum. pols. str. 269.

potrzebuje już archeologicznych komentarzy, bo świat przyrody dla wszystkich przystępny i dla wszystkich zrozumiały. Następuje *bezpośrednie*, nie zaś pośrednie, jak w wieku XVI, napawanie się przyjemnościami, które daje jej piękno. Spójrzij tylko na krajobraz, jaki poeta przed tobą roztacza: każdy w nim szczegół drga życiem nie podrobionem i sztucznem, lecz życiem prawdziwem, jakiego dzieciom swoim udziela przyroda. Oto góra, na której pali się ogień sobótki. Przypatrzcie się jej drobiazgowo, bo poeta o niczem nie zapomniał:

Wyżnia w obłokach głową nie ustrzęga;
Ale na Wyżni półodkrytém łonie
Wabiąca woda blaskiem nieba płonie,
A z *jasnych skroni* las płynie słuwzory:
Tu brzoza puszcza jak włosy dziewicze
I jak włos Wyżni ocienia oblicze;
Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
Lub z niskich krzewin, lub z drzew *jasnolistych*;
A z piersi spada *puszczą gęstą, czarną*,
Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną
I wiecznym szumem grają u podnóża.
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórza
I wiszą wkoło zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód zawczesny nie drażnił jej oczu.
Wyżnia jak pani patrzy ze stolicy
Na gród olbrzymi olbrzymki Łomnicy,
Co błękitnieje w południa przezroczu...

Potrzebujemyż wykazywać wszystkie piękności tego obrazu? Czyż one nie są zrozumiałe dla każdego, co umie czuć piękno natury? Nie będziemy tego wspaniałego widoku analizowali, ażeby nie stracić tej przyjemności, jaką daje całość piękna, na duszę naszą działająca. A oto, jakby dla kontrastu, widok doliny, tak wielki i piękny, jak drugi trudno napotkać:

Pomiędzy Wyżnią a nawalnic miastem,
Pod wałem z głazów, *gdzie puszcze się chwastem*,
Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów, a z orłów szyldwachy,
Lśni nowotarskiej doliny opona,
W srebrnych potoków węże zapleciona,
Tatrzańskich borów cieniem narzucona,
Wysłana lasem głęboka dolina,
Po której stopniach nurt Łopuszny schodzi.

Chcecież więcej obrazów natury? Potrzebaby cytować i cytować! Przeczytajcie śliczne, choć krótkie opisy *wieczoru* w górach po ulewie, kiedy las „rzęсно płakał kroplami dżdżowemi“ i *zachodu słońca*, kiedy na ziemię „spadała wieczoru powieka“, i *ciszy północnej*, kiedy „świat dumał północną modlitwę“. W każdym z nich jest jakiś szczegół, który was prawdą swoją zadziwi; jest wyrażenie, które potęgą swoją poda wam myśl o wszechmocy ludzkiego słowa; jest uczucie jakieś, które was w zadumę pogrąży...

Tu wreszcie choć słówkiem przypomnimy jeszcze owe zaślubiny ludowej fantazyi ze zjawiskami przyrody, zaślubiny wyrażające się w widziadle mnicha, lub w owej tajemniczej walce duchów, które się wśród gęstwi leśnych uwiijały, przerażając swoim widokiem lud, co się im przypatrywał. Natura była u Goszczyńskiego ściśle połączona z wyobrażeniami ludowemi, tak „samo w „Zamku kaniowskim“, jak i w „Sobótce“. Jest-to już właściwość jego umysłu, która u żadnego z naszych wielkich poetów nie odbiła się z taką dokładnością, z tak nieukrywaną prostotą, jak w utworach Goszczyńskiego. Bujność a nawet nieokiełznanie fantazyi były najprostszym tej właściwości wynikiem. Rzecz naturalna: jaki pogląd na przyrodę, takie i jej obrazy.

Wraz z wyprowadzeniem odrębności plemienną i narodową na plan pierwszy, wraz z rozkuciem pęt, krępujących swobodny polot fantazyi w poglądzie na przyrodę,

wystąpiła też wybitnie i osobistość poety. Poeta, skupiając w swęj piersi uczucia milionów, uważał się za powołanego do przykładania swęj własnej pieczęci na wszystkiem, co utworzył, bez względu na to, czy pieśń jego była lirycznym wylewem serca, czy opowiadaniem bohaterskich czynów z odległej przeszłości. Prawdła dawnęj poetyki, pozwalając jedyńie w liryce występować jawńie autorowi ze swemi myślami i uczuciami, pominięto wzgardliwem milczeniem, a znaczenie indywidualności do tego się stopnia spotęgowało, iż uważano za suchy i zimny ten utwór, w którym trudno było ją dojrzeć. Wydawało się to tak naturalnem, a nawet koniecznem, że pociągnęło za sobą ostateczność, któręj nie przewidywano.

Pojawił się cały szereg utworów, w których sam poeta pod rozmaitemi nazwami i wśród zmiennych okoliczności w osobie głównego bohatera występował. Byron dał początek tęj poezyi, *indywidualnęj* z gruntu, a zarazem z zasady. Bohaterowie jego — to uosobienie przeróżnych faz jego wewnętrznego rozwoju. U nas Mickiewicz w *Dziadach* dał najznakomitszy przykład szczeręj spowiedzi ze swych uczuć, przed niezliczonym tłumem czytelników; w *Konradzie Wallenrodzie* zaś, z powodu przewagi swęj indywidualności, zepsuł nawet koloryt historyczny. Wiadomo, że późńiej największym u nas przedstawicielem poezyi indywidualnęj był Juliusz Słowacki, który we wszystkich utworach „część swęj duszy zostawił“. Kierunek ten nadał nowęj poezyi cechę szczególnęj oryginalności i wielkięj rozmaitości, każda bowiem jednostka utalentowana starała się jaknajdobitńiej charakter swój i swe przekonania do poetycznych utworów przenieść, osiągając ten cel za pośrednictwem osobnego rodzaju pisania, czyli stylu. I dawnięj wprawdzie istniały w naszęj poezyi różnice stylowe; lecz nigdy nie występo-

wały one tak dosadnie, jak w czasach rozkwitu jej nowej epoki. Każdy talent miał wtedy swój styl odrębny.

Że taki pogląd na stosunek charakteru poetów nowszych do ich kreacyj nie jest bynajmniej urojeniem, dowiodły tego opowiadania wiarogodne, pamiętniki i, co ważniejsza, własne listy kilku koryfeuszów nowszej poezji. Mamy bardzo szczegółowe wiadomości o życiu Goethego, Byrona, Heinego i Słowackiego; mamy też szczuplejsze wprawdzie, ale dla potwierdzenia powyższej myśli wystarczające wiadomości i korespondencją Mickiewicza. Pod tym względem niepodobna się mylić. I owszem — pisma autorów mogą posłużyć za wyborny komentarz do ich życia.

Na tej zasadzie oprzemy i naszą krótką charakterystykę indywidualności Seweryna Goszczyńskiego. Do jego życiorysu nie mamy dotąd ani pamiętników, ani szczegółowych opowiadań, ani też zbioru jego listów; znamy go tylko z ogólnych wzmianek biograficznych i z kilku ustnych opisów. Łącząc te szczupłe wiadomości z uwagami na jego utworach opartemi, ograniczymy się do naszkicowania jego charakteru w tej tylko epoce, w której powstała *Sobótka*.

Była-to więc natura silna fizycznie i energiczna moralnie. Co Goszczyński pisał, czuł głęboko, a co czuł, stwierdzał czynem. Pióro było mu orężem, a oręż piórem. Do obrazów swoich wyłącznie używał farb ponurych; lubował się we wspomnieniach pełnych grozy, w ludziach, dyszących dziką energią i nieposkromionemi namiętnościami. „Krew go nie przeraża — mówi słusznie Spasowicz — ręce nie drżą, gdy ze spokojem anatoma kraje pierś dyszącą życiem“. Kochał tłumy i umiał nad nimi panować. Wierzył mocno, że „potrzeba czasu jest zazwyczaj natchnieniem każdego dzieła“. Z uczuciami się nie pieścił, utrzymywał nawet (może w chwili szczególnego nastroju umysłu), że „serce jak księżyc jest gwiazdą ciemnej strony człowieka, a często

bywa przyczyną zaćmienia słońca — idei“. Marzeń „próżniaczych“ nie lubił, bo, powiadał, „jest-to nałóg“, równie jak inne nałogi, szkodliwy zwyczajnemu stanowi duszy; jest-to pasorzytna roślina myśli, wyniszcza ją, a w niczem inném nie wynagradza jej korzyści“ ¹⁾. Ciekawa rzecz, co nasz poeta „marzeniem“ nazywał. „Marzeniem — powiada Goszczyński — jest każda myśl, w której niema zarodu życia, siły do działania“. Pomimo jednakże wstrętu do marzeń, Goszczyński kochał się w fantastyczności i tajemniczości zjawisk natury. Dlaczego? Dlatego bezwątpienia, że tę tajemniczość w przyrodzie nie za marzenie, lecz za najistotniejszą rzeczywistość uważał. W tej właśnie skłonności do podsłuchiwania tajemnic natury, czy w szumie odwiecznego dębu, czy w walce króla węzów z marą na koniu, czy w groźném widziadle mnicha, spostrzegamy zarodki *mistycyzmu*, który się pod wpływem Towiańskiego rozrósł i rozwinął. Dziwiono się nieraz, że organizacja tak silna, charakter tak energiczny i umysł tak trzeźwy jak Goszczyńskiego, uległy wpływowi bałamutnej nauki. Zapewne wiele w tej kwestyi jest jeszcze rzeczy niewyjaśnionych; lecz zdaje mi się, że połowa ich da się wytłomaczyć za pomocą owego niezaprzeczonego pociągu do szukania tajemnic w naturze, rozwikływania ich nie drogą analizy rozumowej, lecz drogą *intuicji poetycznej*. „Kolumny duchów“ Towiańskiego, świat zaludniające, wybornie się nadawały do wyjaśnienia dziwów, jakich podania ludowe dopatrywały się w naturze i jakie nieraz, choć pod zmienioną formą, w życiu napotkać się zdarza.

Zarówno żywioł tajemniczy w przyrodzie, jak i lubowanie się w obrazach pełnych grozy, odcisnęły się w So-

¹⁾ „Z dziennika artysty“, w piśmie peryodycznym *Rok*. Poznań 1843, tom VI str. 117—125. Wszystkie cytacye w tém miejscu są z tego artykułu wyjęte.

bótcie wyraźnemi śladami. O tajemniczości rozszerzać się tu już nie będziemy; wskazaliśmy ją poprzednio, przedstawiając pogląd Goszczyńskiego na naturę ¹⁾. Tu dodać tylko musimy, że zamiłowanie tajemniczości wpłynęło na artystyczny układ poematu. Układ ten jest tego rodzaju, że nie daje przeniknąć odrazu treści, którą chciał autor przedstawić, owszem pozostawia wiele domyślności czytelnika. Wiedzieć to można najlepiej w „Zamku kaniowskim“, gdzie żaden czytelnik nie może zgadnąć w początku dalszego rozwoju akcji, a wiele szczegółów pomieszczonych na samym wstępie rozjaśnia się dopiero przy końcu poematu. W Sobótce jest to samo, a ponieważ utwór ten nie stanowi całości, lecz jest wyjątkiem z obszerniejszego, niewydanego dotąd poematu „Kościelisko“, przeto rozjaśnienia niektórych okoliczności nie znajdujemy wcale; napad Tatarów, o którym dowiadujemy się przy końcu utworu, jest dla nas czémś zupełnie niewyjaśnionem, czémś oderwanem. Nie wiemy również dlaczego np. kochanka Janosza Kasia zniknęła bezpowrotnie i jakimś tajemniczym sposobem. Gwałtownie rozerwana miłość była przyczyną, że Janosz został rozbójnikiem. Ale i coś innego musiało wpłynąć na to postanowienie, gdyż inaczej nie słyszelibyśmy z ust jego następującego przekleństwa:

. . . O bodaj *wieczną* cierpiał *mękę*,
Kto potępienia mego jest przyczyną!

Ta postać Janosza posłuży nam za przejście do drugiej wybitnej cechy indywidualności Goszczyńskiego: do siły, energii i poważnej zadumy. Janosz przedstawiony został ze szczególnem zamiłowaniem, rysami śmiałemi a energicznemi.

¹⁾ Zauważyć potrzeba, że żywioł ten stał się może głównym powodem niepowodzenia późniejszej powieści poetycznej Goszczyńskiego p. t. *Anna z Nabrzeża*.

Goszczyński nie lubił malować obrazów pełnych spokoju, zadowolenia z miernego szczęścia i sielankowych słodyczy. Nawet opis zabawy świętojańskiej nie nosi na sobie cech radości; w pieśniach bowiem, jak widzieliśmy, panuje nuta dźwiękami smutnych przeczuć nabrzmiała, a całość widokregu zachmurzoną została wiadomością o blizkim napadzie Tatarów. Niema tu przecież ani łez, ani rąk łamania; odwaga bowiem i zaufanie we własne siły każą lekceważyć groźne niebezpieczeństwa; ale też niema tu i owęj wesołości niezaniepokojonej o jutro, lekkomyślnęj trochę, zaprawionej żartami i śmiechem.

Wśród tego ogólnego tła, które powaga życia zachmurzyła, zjawia się Janosz, stęskniony do rodziny i do zabaw ludowych, a zmuszony „mieszkać po ciemnych jamach, wraz z puhaczami“ i przedzierać się „po tropie dzikiej kozy“.

Co o nim prawią, w głowie się nie mieści:
 Jak o straszyle krążą o nim wieści,
 Tutaj ze mgłami spada na doliny,
 Tu *duchem* zbiega nietknięte wyżyny;
 Tutaj od strzelców odważnych naparty,
 Znika w szczelinie tak wązko rozdartej,
 Że się zaledwo gadzina prześliznie,
 Z wierzchów, gdzie kaniei na proch się rozbryźnie,
 On żywo zleci jakby skrzydłem ptaka,
 Albo jak kozieł huśta się u krzaka!

Życie pełnym pulsem grało w żyłach tego człowieka pokłóconego ze społeczeństwem. Żądza jakaś gwałtowna, namiętność nieposkromiona i w samym początku przecięta, zmusiła go żyć zdala od reszty ludzi i stać się ich nieprzyjacielem. Śmiały w przedsięwzięciach, nikogo się nie lękał; nawet Kiczora, najpotężniejszy i najdzielniejszy góral na Podhalu, musiał uleść jego przewadze. Dobrał-bo też sobie odpowiednich towarzyszy. Poeta ukazuje nam czterech, leżących na Wyżni „*widziadłami*“ w chmurze.

Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą,
Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą,
Tak groźne, bystre i twarze i oczy
Gości, co Wyżnię szpiegują w uboczy.

To nie rozbójnicy z melodramatu, ani też chorobliwi bohaterowie lorda Byrona. I oni wprawdzie mszczą się pewno za krzywdy doznane; ale zemsty swęj nie chcą i nie umieją filozoficznie a raczej sofistycznie wyjaśniać i uniewinniać. Bohaterowie Goszczyńskiego — to ludzie silni, odważni do zuchwalstwa, dzicy nawet, ale zawsze z rzeczywistości brani.

Takie są cechy indywidualności naszego poety.

A jaka indywidualność, taki i artyzm. U Goszczyńskiego podziwiamy przedewszystkiem śmiałe i energiczne rysy, któremi nam przedmioty i zjawiska maluje, nie zaś misterność i miniaturową piękność szczegółów i drobiazgów. Obrazy jego uderzają potężną całością, nie wyrzeźbieniem. Goszczyński nie lubił muskać, gładzić i szlifować swoich utworów; stąd pochodzi nieraz chropowatość jego stylu, niepoprawność w wyrażeniu, wiersz niezawsze harmonijny. Pod tym ostatnim względem najświetniej się jeszcze przedstawia Sobótka, gdyż w niej niewiele podobnych niewłaściwości napotkać można; więcej ich w „Zamku kaniowskim“ i w poezjach lirycznych. Obficie natomiast znajdują się w Sobótce prowincjonalizmy, zarówno w wyrazach, jak i w wyrażeniach. Niektóre z nich były skutkiem dbałości o zachowanie miejscowego i plemiennego kolorytu, niektóre zaś wynikały z silnie zakorzenionego zwyczaju, którego na- był w młodości.

Łagodność, słodycz i miękkość obce są pióru Goszczyńskiego; miłość tylko przelotnie zjawia się u niego i to zawsze w szatach nieszczęścia. Wiersz jego grzmiał jak surma

bojowa, jak świst wichru wśród hukania puszczyków, lub jak potężny krzyk roznamiętnionego serca...

Postawiliśmy obok siebie dwie indywidualności i dwa utwory, z dwu odmiennych epok naszego piśmiennictwa. Staraliśmy się pokazać w wypukło-rzeźbie ich cechy charakterystyczne i ich różnice, a dlatego przytaczaliśmy sporo wyjątków, ażeby wciągnąć i samego czytelnika do tego krytycznego areopagu, który przywykł sądzić autorów. Ponieważ zaś po każdym rozbiorze szczegółowym powinny następować *uogólnienia*, będące jego wynikiem, próbowaliśmy więc wybitnemi choć szczupłemi rysami zaznaczyć wyniki z naszych studyów. Wyniki te obracają się naturalnie w tej tylko sferze, którą nam zakreslił przedmiot naszej pracy; nie mogą więc obejmować w sobie *wszystkich odcieni różnic* ¹⁾, jakie pomiędzy dawną a nową naszą poezją wykazać można, a to tém bardziej, że z literatury dawniej, którą, jak powiedziałem, należy na dwa okresy rozdzielić: klasyczny i konwencyonalno-francuski, mieliśmy do rozpatrzenia jedynie utwór z pierwszego okresu. Z tém wszystkiém zdaje mi się, że główne cechy poezyi z okresu klasycznego w porównaniu z naszą epoką zostały choć trochę uwydatnione. Jedno tu tylko potrzebne jeszcze zastrzeżenie.

Ponieważ indywidualność w naszych czasach wielką w poezyi odgrywa rolę, różnice przeto pomiędzy jej wytworami muszą być oczywiście o wiele znaczniejsze od różnic, spowodowanych słabo odbijającą się w poezyi indywidualnością wieku XVI. Jest-to oczywiście rezultatem cechy ogólnej, o którą rzecz idzie. Łatwo zrozumieć, że tam,

¹⁾ W Sobótce np. Goszczyńskiego niema oznaczonej cechy czasu, t. j. stosunków dziejowych, wśród których opisywane wypadki miały miejsce.

gdzie każdy utalentowany pisarz samoistność swoją silnie uzewnętrznić pragnie, rozmaitość w utworach poezyi musi być znaczna. a ogranicza się t $\acute{e}$ m jedynie zjawiskiem, iż ludzie gienialni wydają całe plemię naśladowców, którzy żar poetyczny swego mistrza dostateczną ilością popiołu przysypywać zwykli... Usun $\acute{a}$ wszy na bok tę kategori $\acute{a}$ poetów, istniejąc $\acute{a}$ po wszystkie czasy i zbogacając $\acute{a}$ literaturę *ilościowo* tylko, nie zaś *jakościowo*, — otrzymamy skalę, podług której wypadałoby mierzyć względn $\acute{a}$ większość lub mniejszość różnic w cechach indywidualnych. Do tych cech liczymy wszystkie przejawy uczuć i usposobień ludzkich: powagę, wesołość, melancholi $\acute{a}$, rozmarzenie, fantastyczność, humor, zamaszystość i t. p., występujące jako przeważne czynniki w utworach artystycznych. Uczucia te i usposobienia, wyśpiewane j $\acute{e}$ zykiem barwnym i oryginalnym, najsilniej wpłuwają na sp $\acute{o$ łczesnych, nadając zarazem świeżość i powab nowości utworom piękna. Lecz nie wszystkie te uczucia wytrzymują niszczące działanie czasu i zostają przeznaczone do *aktywów* historii literatury. Niektóre z nich podlegają zwykłemu losowi barw jaskrawych, które, bawiąc oko przez chwilę, nużą je, a po pewnym przeciągu czasu blakną, płowieją, zmieniając świetn $\acute{a}$ niegdyś szatę na nieokreślonego koloru łachmanek. Tylko jeżeli owa świetna szata okrywała ciało człowieka, który zasłużył sobie na pamięć u sp $\acute{o$ łczeństwa, to się ją zawiesza z uczuciem poszanowania w muzeum wspomnień. Każdy bowiem z ludzi utalentowanych posiada usposobienia trwałe i przemijające; im wi $\acute{e}$ ciej pierwszych a mniej drugich, t $\acute{e}$ m wpływ jego i znaczenie potężniejsze,

Kochanowski w „Sobótce“ nie wyraził żadnej wydatnej cechy indywidualnej, gdyż zamiłowanie *mierności* było duchow $\acute{e}$ m spadkobierstwem po starożytnych mistrzach; Gołszyński wyraził ich dwie: cześć dla energii i wiarę w wy-

twory ludowej fantazyi. Pierwsza z tych cech należy do najtrwalszych w świecie estetycznym i moralnym, druga liczy się do przemijających. I rzeczywiście: gdy bohaterowie jego śmiałością swoją i nieustraszoną odwagą mimowolny podziw we wszystkich dziś jeszcze rozbudzają, fantastyczność uważana bywa pospolicie za wynik chwilowego zwrotu do poezyi ludu, za wynik, który można sobie wytłomaczyć, ale którego za konieczny i wpływowy w obecnych czasach uważać już niepodobna.

Indywidualność wreszcie w stosunku do natury i społeczeństwa objawia się dwiema połączonemi ze sobą drogami: wrodzonym talentem i obserwacją poetyczną. Pierwsza jest tajemniczą drogą ducha, której nie udało się jeszcze zbadać psychologom w jej źródle; druga zdobywa się wielokrotnem doświadczeniem. Im większy talent i im bezpośredniejsza obserwacja natury i społeczeństwa, tem wspólniejsze bywają utwory.

O wzajemnym stosunku talentów Kochanowskiego i Goszczyńskiego, jako o ilości nieznanéj, sądzić nie możemy; o ich talentach w połączeniu z obserwacją poetyczną wiemy już z poprzedniego rozbioru. Kochanowski patrzył na społeczeństwo i naturę poprzez mgłę wspomnień, które wyryło w jego umyśle wykształcenie, i stąd fantazya jego nie uderza czytelnika oryginalnością; Goszczyński spoglądał na tęż naturę i społeczeństwo własnymi oczyma; to też fantazya jego odznacza się świeżością, śmiałością i zuchwalstwem niemal.

Obu wspólne było jedno potężne i wielkie uczucie: miłość tego, co swoje i blizkie.

Warszawa 1874.

III.

OSTATNIE LATA ŻYCIA JANA KOCHANOWSKIEGO.

„Nie laty, ale cnotą żywot mierzyć mamy“
(Koch. w „Nagrobku Tęczyńskiemu“).

Ustaliło się w naszym wieku wyobrażenie o pieśniarzu z Czarnolasu, przedstawiające go nam na schyłku życia w postaci bolejącego nad grobem Urszulki ojca, odsuwającego się od spraw ziemskich i stęsknionego za śmiercią.

Wyobrażenie to śmiem nazwać konwencyonalnêm.

Wytworzyło się ono pod wpływem uczuciowych i czułościowych prądów, jakie na przeobrażenie objawów życia umysłowego i obyczajowego od początków stulecia naszego działały. Poeta, smutny i zbolały wskutek straty dziecka ukochanego, wydawał się ideałem, godnym upamiętnienia w dziejach literatury i w historii obyczajów naszych. Poeta taki nie mógł już szczerze zająć się niczêm, nie mógł się nawet wielkimi czynami Polaków pod dowództwem Stefana Batorego ucieszyć; „śpiewał hymny zwycięskie Batoremu, nad którym może się w duszy litował, ale nie zdobył się na to, aby, wbrew przekonaniu, i polska jego Muza stała się wyrazem radości“. Pogrążał się on tylko w rozpamiętywaniu boleści, a wyobrażnia jego, kirem przesłonięta, wszystko mu w czarnych przedstawiała barwach. Twórczość jego zupełnie prawie upadła; co w ostatnich latach napisał, nie zasługuje niemal na uwagę.

Kreśląc ten smętny wizerunek, biografowie Kochanowskiego przenosili mimowiednie nastrój nowszych, miękkich,

rozełamionych pokoleń, w czasy całkiem odmienne, na ludzi innej epoki, w której hart duszy i rezygnacya religijna były daleko pospolitszemi, niż dzisiaj, objawami, w której można się było obawiać, ażeby „Trenów“ *lekkiemi* nie nazwano.

Wolno-by wszelako przypuścić, iż poeta nasz, będąc poetą, nie posiadał tego hartu i tej rezygnacyi, jakie wśród ogółu ówczesnego istniały, że natura jego wrażliwsza ławtwięj poddawała się wpływowi smutku i kazała mu zapominać o wszystkiem, nawet o uczuciach obywatelskich.

Atoli i to przypuszczenie wobec dowodów upaść musi.

Dotychczas zestawiano zazwyczaj dwie okoliczności, ażeby usprawiedliwić melancholijny charakter wizerunków wieszcza z ostatnich lat jego życia: napisanie „Trenów“, i małą produktyjność po ich utworzeniu.

Ani na chwilę nie wątpię o głębokości i szczerości uczuć, wyrażonych w „Trenach“; uważam nawet za rzecz zupełnie możliwą, iż poeta w chwilach pewnych dochodził w swęj boleści do objawów zwątpienia i rozpacz, jakie w niektórych ustępach swego arcydzieła przedstawił. Równocześnie jednak przypominam proste psychologiczne spostrzeżenie, iż żadne dotkliwsze uczucie, jeżeli nie sprowadza śmierci fizycznej lub umysłowej, nie może trwać ciągle w jednostajnem natężeniu, że przechodzi różne fazy, aż do zupełnego niemal ukojenia. Jak łyzy obfite są świadectwem, iż boleść w swym najwyższym objawie przemieńa; tak wypowiedzanie swego smutku w rozmowie czy na piśmie dowodzi, że umysł nasz przyszedł do tego stopnia równowagi, iż może się już oddać kombinacyom myśli i wyrazów. Nie od czasów Goethego datuje się poetycki sposób przechodzenia z pewnej fazy duchowej do innej, za pośrednictwem wylania w słowach myśli i uczuć, dręczących duszę w danęj chwili. I napisanie „Trenów“ uważać można

za takie oczyszczenie duszy z mętów boleści dojmującej. Nie znaczy to bynajmniej, żeby wieszcz, napisawszy poetyczny nagrobek, miał zapomnieć o téj ukochanej dziecinie, dla której go utworzył; znaczy tylko, iż smutek jego po niej stał się spokojniejszym.

Obok tego psychologicznego objaśnienia należy postawić inne, czysto faktyczne. W ostatnim trenie, w „Śnie“, mamy właśnie wyraz rezygnacyi, zaznaczony przez samego poetę. Niema czego żałować zmarłej dzieciny, bo ona, nie narażając się na dolegliwości ziemskie, trwalszych już rozkoszy kosztuje. Ustami matki zaleca poeta sam sobie, jak się ma w przyszłości zachować:

Teraz, mistrzu, sam się lecz. Czas — doktor każdemu;
Ale kto pospolitym torem gardzi, temu
Tak późnego lekarstwa czekać nie przystoi:
Rozumem ma uprzedzić, co insze czas goi.

Co więc, przedstawia nawet, jakim sposobem goić ma swe rany. Oto, jak czas „dawniejsze świeżemi wypadkami wybija“, niekiedy weselszemi, a niekiedy równie smutnemi; tak człowiek rozumny („z baczeniem“) przewiduje te wypadki, przeszłemi rzeczami nazbyt umysłu nie zaprzęta, garnie się do przyszłych „i serce na oboję fortunę gotuje“, będąc przekonany, iż „jeden jest Pan smutku i nagrody“. Gdy te rady spisywał, był już widocznie Kochanowski nie tylko skłonny do ukojenia, ale także musiał zapewne doznawać dobrodziejstw tego ukojenia, gdyż kreślił niejako program na przyszłość. Prawdą jest, że w tym „Śnie“ obraz stosunków ludzkich wystawił poeta w czarnych, religijnie pesymistycznych barwach; ale rzecz to była naturalna, i ze względu na usposobienie poety i ze względu na rodzaj samego utworu. Nie wyrzekał się przecież poeta uczestnictwa w tym świecie, pełnym „pracój, frasunków, łez i żałości“, wiedząc, że na nim coś też człowiekowi „czasem padnie wedle jego chęci“.

Że zaś nie były to tylko czcze słowa, któremi strapioną duszę pocieszał, mam dowód wyraźny w działalności jego poetyckiej i autorskiej z ostatnich lat życia. To, co dotąd mówiono o małej produktywności Jana z Czarnolasu w tym czasie, oraz o niewielkiej wartości tego, co napisał, było przeważnie raczej wnioskiem, wyprowadzonym z obrazu stanu duszy poety, jaki sobie wytworzono, aniżeli wynikiem krytycznego rozpatrzenia się w jego twórczości.

Przedewszystkiem zważyć potrzeba, iż ilość prac Kochanowskiego, w stosunku do lat jego działalności, nie jest wogóle wielka, a wobec tej uwagi nie może bynajmniej zadziwiać fakt, iż przez pięć blisko lat po śmierci Urszuli ogłosił tylko dwa większe i pięć mniejszych utworów.

Powtóre: o wielu pieśniach i fraszkach Kochanowskiego nie wiemy na pewno, w jakim czasie powstały; a jeżeli dowiedziona jest rzeczą, iż pomiędzy pieśniami, ogłoszonymi dopiero po śmierci poety, jedna z pewnością pochodzi z chwili, o której mówimy, to nic nie przeszkadza przypuścić, iż i niektóre inne wtedy napisane zostały.

Wreszcie i to wziąć potrzeba na uwagę, iż przez te pięć lat ostatnich życia myślał Kochanowski o pozostawieniu trwałej pamiątki po sobie, o zebraniu i wydaniu dzieł swoich już to w nowój, już to w zbiorowej edycji. I tak dwukrotnie ogłosił „Treny“ (1580, 1583), raz „Psałterz“ (1583), zebrał i wydrukował pieśni łacińskie (*Lyricorum libellus* r. 1580), a dalej „Fraszki“ polskie i „Foricoenia“ łacińskie, oraz cztery księgi Elegij (r. 1584). Układał się prócz tego z Janem Januszowskim o zbiorowe wydanie swoich poezyj polskich. „Począł był wnet-że po wydaniu Psałterza przekładania swego (w r. 1579) — powiada Januszowski — ze mną się namawiać, jakoby rzeczy pisania jego wszystkie za żywota jego z drukarnie mej wynieść na świat mogły; częścią, aby te, co były gotowe, dobrze wyszły, częścią, aby

o drugich co ważniejszych tym snadniej myśleć mógł“. Z tych słów widać, iż poeta nie ustawał bynajmniej w pracy, a przygotowując do druku utwory dawniejsze, o nowych przemysliwał.

Tyle dla objaśnienia niewielkiej ilości utworów nowych, ogłoszonych przez Kochanowskiego pomiędzy 1580 a 1584. A teraz przyjrzyjmy się ich treści i wartości.

I.

Równocześnie z wydaniem „Trenów“ w Krakowie, r. 1580 wyszły w Warszawie „Pieśni trzy Jana Kochanowskiego: O wzięciu Połocka, O statecznym słudze R. P., O uczciwej małżonce“.

Pieśni poprzedza przemowa w formie listu do Jana Zamojskiego, podpisana w Czarnolesiu 14 stycznia 1580 r. ¹⁾. Powstała ona pod świeżem jeszcze widocznie wrażeniem, jakie wywarła strata Urszulki; zawiera się w niej i wyraz żalu, i prośba do Zamojskiego. „I stękać mi W. M. nie dasz — mówi tu poeta — więc nie wiem, mam-li to od W. M. sobie za krzywdę brać. Ale jednak, chcesz-li mię W. M. na świecie mieć dłużej, proszę, *nie każ mi W. M. teraz nie pisać*. Bo w dobrym zdrowiu ledwie jakie-takie operepretium (opracowanie) człowiek uczynić może, teraz neque res, neque verba suppetunt (i treści i wyrazów brakuje). A prosto, jako on mówi, animus simul cum re con-

¹⁾ Przemowa ta mało jest znana w całości: nawet w pomnikowem wydaniu Dzieł Kochanowskiego napróżno-byśmy ję szukali. Ja korzystam z homograficznego odbicia „Pieśni trzech“, które w 45 egzemplarzach skopiowano w Krakowie w miesiącu lipcu 1883 r. Egzemplarz, z którego użytkuję, porównany i poprawiony został według oryginalnego wydania przez D-ra Władysława Wisłockiego.

cidit“ (duch wraz ze sprawą zmarniał). W téj niechęci do pisania, oprócz stanu ducha, brała także udział obawa, ażeby z pod pióra nie wyszło coś słabego, gdyż powiada dalej: „Nie pomnisz W. M., co on więzień wielkiego Aleksandra uczynił, że, bojąc się, aby był pierścienia nie chybił, a sławy dobrego strzelca nie utracił, umyślił był raczej gardło dać, niż łuku przed królem pociągnąć. *I jam tegoż mało nie uczynił* — wprawdzie nie tak doskonały strzelec“. Jednakże zdecydował się na pisanie, a to ze względu, że „łaska“ Zamojskiego „droższa“ mu była „niż wszystka poetica“. Chcąc usprawiedliwić braki, jakie-by w poezjach jego ówczesnych znaleźć się mogły, dodaje: „Jeżeli co nie g'rzechy (a bodaj nie wszystko), któż winien? Ja naprzód, a W. M. téż po części, qui scribere cogis (który zmuszasz do pisania), chocia zły aspekt“.

List ten przekonywa, że trzy pieśni, podane do druku w 1580 r. były świeżo napisane już po stracie córki, gdyż w przeciwnym razie usprawiedliwianie ich domniemanych braków smutkiem poety było-by rzeczą niestosowną i niewłaściwą.

Treść pierwszej z porządku pieśni „o wzięciu Połocka“ potwierdza ten wywód najzupełniej. Ponieważ Połock został zdobyty 31 sierpnia 1579 r., a list Kochanowskiego do Zamojskiego datowany jest 14 stycznia 1580, w tym przeto przeciągu czasu pieśń powstać musiała ¹⁾. Przypuszczalnie genezę jęj można sobie wystawić w sposób następujący: Poeta, który od samego niemal początku wielkie nadzieje na energii Stefana Batorego pokładał, a w „Odprawie posłów“ do zbrojnej akcji zagrzewał, po świetnych

¹⁾ Sprostować więc należy twierdzenie, podane w wydaniu pomnikowém *Dzieł Jana Kochanowskiego* (I, str. 319), jakoby pieśń tę napisał Kochanowski po zawarciu w dniu 15 Stycznia 1582 traktatu zapolskiego.

zwycięstwach wojska polskiego w r. 1579, pomimo przygnębienia, spowodowanego klęską domową, uczuł potrzebę wypowiedzenia swęj radości obywatelskiej na wieść o wzięciu Połocka, którego utratę wytknął rodakom r. 1564 w „Satyrze“. Tę potrzebę wewnętrzną wsparła zachęta Zamojskiego, który pragnął przez uświetnienie czynów już dokonanych, zachęcić szlachtę do złożenia nowych podatków na dalszą wyprawę. Jak dawniej, na początku r. 1578, „Odprowa posłów“ miała, pomiędzy innymi środkami, posłużyć do zagrzania rycerskiego ducha; tak teraz, za pośrednictwem pieśni, opiewającej zwycięstwo, zamierzano przyczynić się do utrzymania spółziomków w rozbudzonym już nastroju wojowniczym.

Pieśń tę utworzył Kochanowski w formie popularnej, używając wiersza ośmioletkowskiego i strofy czterowersowej t. j. tej szaty zewnętrznej, którą u nas najdawniej się już posługiwano. Nadał jej ton pieśni religijnej, pomieszanęj z hymnem radosnym, przepełniającym serce otuchą i dumą zarazem:

Panu dzięki oddawajmy,
Jego łaskę wspominajmy,
Który hardym miesza rzeczy,
A skromne ma na swęj pieczy.

Bóg pomóż, królu jedyny
Szerokiej polskiej krainy;
Umiesz ty hardym dogodzić,
Ani się im dasz rozwodzić.

Nie pomogły kule częste,
Zręby mocne, baszty gęste;
Puściły żelazne brony,
A ty, królu niezmężony,

Nie tylko zamki budowne,
I twierdze bierzesz warowne,

Ale, co chwalniejsza w tobie,
Jesteś silen i sam sobie:

Nie puściłeś wodz gniewowi,
Łaskęś nieprzyjacielowi
Uczył: masz i dzielnością,
Masz już nadeń i ludzkością.

Nie przywodzę innych znamiennych szczegółów tej pieśni. Należy ona do tej niezbyt wielkiej liczby utworów lirycznych Jana, w których uczucie obywatelskie dobitnie się wyraziło; znana też być powinna czytelnikom.

Równocześnie napisał Kochanowski i ogłosił tegoż roku 1580 odę łacińską o wzięciu Połocka (*De expugnatione Polottei*). Jęj gienesa i cel prawdopodobnie też same, co i utworu polskiego. Wystawienie króla, co go nieba dały nam na to, „by po dawnemu był sławien Sarmata, i swe odzyskał sztandary“, oraz opis dzielności wojowników polskich: oto treść ody, która pod względem wykonania w niczem nie ustępuje dawniejszym tego rodzaju utworom Jana. Wezwawszy muzę, by przybrana w wieńce, z lirą słoniową wyszła na spotkanie rycerstwa i króla, co z pod Połocka przychodzą, kreśli w paru antytezach rycerskie usposobienie Stefana, którego skutków doznał wróg, uchodząc przed nim w odległe krańce swego państwa; -- a potem, odmalowawszy w kilku słowach silne jak grom wrażenie zwycięskiego pochodu, opisuje ważniejsze chwile z oblężenia Połocka:

Lecz pod Połockiem, jak pęd huragana ¹⁾,
Wstrzymał się sztandar bojujący śmiało;
Bo mocna twierdza, krzepko szańcowana
Trudów spożyła niemało.
Deszcz nieustanny ulewnie się sący,
Wkoło czarnoziem rozgrzynał szkaradnie;
Ztąd oblężęncy mieli port obrończy,
K'nam szły posiłki niesnadnie.

¹⁾ Przekład Władysława Syrokomli.

Ani gdzie w polu rozłożyć ognisko,
 Ni rozbić namiot, gdy pluchota leje;
 Ni wojsk lub harmat wieść na trzęsawisko,
 Co się ugina i chwieje.
 Wojenne trąby, grając bez ustanku,
 Próžno dawały do natarcia hasło;
 Płomienne race nie czyniły szwanku:
 Na deszczach ognisko zgasło.
 Lecz dzień zabłysnął w purpurowej krasie,
 Kiedy się srogie uciszyły deszcze,
 Ujrzały wrogi i przeczuli dla się
 Przyszłości wróżby złowieszcze.
 Kula, co przedtęm chybiała swęj mety,
 Dziś w dzień pogody lepszy polot bierze
 I brzemienne ogniem mordercze rakiety
 Już palą dachy i wieże...

Łatwo zrozumieć, że takie i tym podobne przypomnienia musiały silnie działać na umysły społecznych.

Wracam do „Pieśni trzech“, których ciąg przerwałem dla zestawienia jednorodnych utworów.

Druga z kolei pieśń, zawarta w owem wydaniu, mówi o statecznym słudze Rzeczypospolitej ¹⁾. Z treści bardzo prawdopodobne wyciągnąć można przypuszczenie, iż napisał ją Kochanowski celem przeciwdziałania tym niechętnym głosom, jakie się na sejmie pod koniec roku 1579 przeciwko Zamojskiemu odzywały, z powodu łask królewskich, obficie przezeń odbieranych. Rozwija w niej poeta temat ogólny, iż „cnota“ musi z konieczności obudzać zazdrość, która jej towarzyszy tak, „jako cień nieodprawny ciała naśladuje“.

Nie może jej blasku znieść, ani pojrzyć w oczy ²⁾;
 Boleje, że kto kiedy wyższej przed nią skoczy;
 A iż baczy po sobie, że się wspinać próżno,
 Tego ludziom uwłacza, w czym jest od nich różno.

¹⁾ W wydaniach zbiorowych umieszczono ją jako XII ksiąg wtórych.

²⁾ Cytuję według wydania pierwotnego. Zbiorowe edycje różnią się od niego w kilku miejscach.

Mąż atoli, który się oddał na posługi kraju, nie powinien zważać na sarkania zawistnych, lecz iść rozumnie i mężnie swoją drogą:

Ale człowiek, który swe pospolitej rzeczy
Służby oddał, téj krzywdy nie ma mieć na pieczy:
Dosyć na tém, kiedy praw, ani w sercu wady
Czuje; niech się, jako chcą, siłą wszystkie jady.

A jeśli komu droga otwarta do nieba,
Tym, co służą ojczyźnie; wątpić nie potrzeba,
Że co im zazdrość ujmie, Bóg hojnie nagrodzi:
Tam dopiero będzie znać, co po czemu chodzi.

Trzecie wreszcie miejsce w wydaniu z r. 1580 zajmuje pieśń o uczciwej małżonce ¹⁾. Ona jedna nie nosi wyraźnych cech okolicznościowych; mogła być napisana wcześniej a w r. 1580 dodana do dwu świeżo utworzonych, ażeby te nie wyglądały zbyt jaskrawo, jako tendencyjne. Ale i co do niej można zrobić przypuszczenie, iż była wywołana troskliwością, jaką okazywała żona pieśniarza, ażeby „słodkiemi słowy wywabić troskę“ ze zbolełego serca poety, i „mężowym kłopotom“ zapobiedz i „jego wczasu na wszystkim“ przestrzedz. Patrząc na te starania dobrej żony wśród okoliczności, które je w uderzający sposób na jaw wydstały, poeta skreślił jęj pochwałę:

Może kto ręką sławy dostać w boju ²⁾,
Może wymową i rządem w pokoju;
Lecz jeśli męża żona nie ozdobi,
Mąż próżno robi.

Ten z gospodarstwa, a ów zaś z wysługi
Zbierze pieniądze, i z kupiectwa drugi;
Jeśli się żona nie przysłuży k'temu,
Zginać wszytkiemu.

¹⁾ W wydaniach zbiorowych umieszczona jest jako X ksiąg wtórych.

²⁾ I ta pieśń, jak czytelnicy przekonać się mogą sami, ma drobne różnice w wydaniu pierwotném od edycji zbiorowych.

Żona uczciwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi,
Na niej rząd wszytek; swego męża ona
Głowy korona.

Z pieśni, ogłoszonych po śmierci poety, do r. 1580 odnieść można, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, pieśń VI księgi drugiej ¹⁾. Pod względem formy wiersza przypomina ona tren VII, a w niektórych wyrażeniach „nagrobek Doraliki“ (*Epitaphium Doralices*) po łacinie przez Jana napisany. Pociesza w niej wojewodę (prawdopodobnie Jana Kostkę) po śmierci żony (Zofii Odrowążówny Tarnowskiej), lubo sam cierpiał z powodu zgonu córki:

Królewno lutnie złotęj i rymów pociesznych,
Ochłodo myśli grzesznych,
Ty sama powiedz, a kres naznacz, póki mamy
Plakać, gdy przyjaciela miłego stradamy?
Łacno cieszyć chorego, gdyśmy zdrowi sami,
Lecz kiedy toż nad nami
Niefortuna pokaże, tam więc człowiek czuje,
Że co drugim chciał radzić, sam się nie ratuje.

Ponieważ jednak płaczem nie możemy przywrócić do życia osoby ukochanej, musimy przeto być cierpliwi: „cierpliwość sama najlepsza w tej mierze, gdzie zaraz i ratunek upad z sobą bierze“.

II.

Rok 1681 jest jedyną chwilą z ostatnich lat Kochanowskiego, do której nie możemy odnieść żadnego jego utworu, ani też nowego wydania pism jego. Dawniej datą roku tego oznaczano „Wtargnienie do Moskwy“; od czasu jednak, jak prof. Pawiński wykazał bezzasadność takiego

¹⁾ Zob. wydanie pomnikowe Dzieł J. Kochanowskiego I, str. 312, wywód p. R. Pleniewiczza.

pojmowania rzeczy, usunęła się i ta wskazówka twórczości Jana z Czarnolasu. I skądinąd nawet o żadnej czynności jego w tym roku najmniejszej nie posiadamy wieści. Tę przerwę w osnowie biograficznej mogą wypełnić kiedyś poszukiwania archiwalne.

Rok 1582 i następny 1583 zaznaczyły się, pomimo utraty w tym przeciągu czasu drugiej córki, Hanny, pracą około trzech utworów poetycznych. Treścią dwu z pomiędzy nich jest wojna z carem Iwanem Groźnym, zakończona 15 stycznia 1582 r., rozejmem w Kiwerowej Horce; treścią trzeciego — złączona z temi wspomnieniami wojennemi pieśń weselna na zaślubiny Jana Zamojskiego z trzecią żoną.

Z tej najogólniejszej treści widać, iż twórczość Kochanowskiego związana była jak najściślej z działalnością króla Stefana i kanclerza-hetmana Zamojskiego. Jak od pierwszych niemal lat rządów Batorego, tak i teraz, umysł poety zwrócił się ku sprawie publicznej, budził ducha rycerskiego lub skutki rozbudzenia tego ducha potomności przekazywał. Jest zatem widoczna łączność jego dawniejszych pomysłów z natchnieniami lat ostatnich życia.

Ze wzmiankowanych trzech poematów dwa są w języku łacińskim, jeden w polskim.

Poemata łacińskie miały charakter liryczny i były odśpiewane 13 czerwca 1583 r., przy towarzyszeniu liry, przez Krzysztofa Klabona, muzyka królewskiego, podczas świetnej, cały tydzień trwającej, uroczystości weselnej Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną, córką Krzysztofa księcia Siedmiogrodzkiego, brata Stefana. W tym-że czasie drukiem ogłoszone zostały.

Jeden z tych poematów nosi nazwę „Pieśni Zwycięskiej“ (*Epinicion*) wyśpiewanej na cześć Stefana po odebraniu Inflant. Składa się z 73 ustępów dwunastowierszowych,

wykwintnej formy lirycznej¹⁾. Zawarł w niej poeta charakterystykę Stefana, obraz jego wyboru na króla, oraz główniejszych czynów aż do roku 1582, najdłużej naturalnie rozwodząc się nad wyprawą, której ukończenie dało mu pochop do pisania. Nie są to bynajmniej suche, kronikarskie wzmianki, ale liryczne opowiadanie, pełne życia. Jeżeli w niem niema zalet poetyckich w dzisiejszém znaczeniu, to są w każdym razie niepospolite krasomówcze piękności.

Początek jest podobny do początku ody na wzięcie Połocka. Jak tam, tak i tutaj, wzywa muzę, ażeby z cytarą doryjską i słodko brzmiącemi pieśniami wyszła na spotkanie króla Batorego, który nie z igrzysk zapaśniczych wraca do państw swych i lubej małżonki, lecz z po-nad dalekiego Donu po rozproszeniu wrogów i wzięciu stu miast. Mąż to przesławny w sztuce wojennej, zarówno dzielny radą, jak ręką. Znikły z widowni sławione niegdyś igrzyska w Olimpii, Istmie, Nemei i Delfach, ale dzielność mężów, zapal wojenny i potęga umysłu nie zmarniały. Tą właśnie sławą przed innymi celuje Batory tak dalece, iż ledwie od jednego chyba Marsa jest słabszy. Nie pogardza też on nauką, owszem, kocha ją, gdyż wie, że ona nietylko mu cześć, lecz i pożytek przynosiła i przynosi. Taką się zaś odznacza ludzkością i łagodnością obyczajów, iż wszystkie słowa jego i czyny można by nazwać próżnemi wszelkiej pychy. Nie tak unikał wslawiony wierszami Homera Ulises śpiewnych potworów, w głębi morza ukrytych, jak on unika ponęt rozkoszy, gardząc odpoczynkiem, a chętnie trudy podejmując.

Sprawy lat młodzieńczych Stefana, na ziemi ojczystej dokonane, pozostawia poeta innym do opiewania, sam

¹⁾ Oceniając ten poemat pod względem estetycznym, nie można polegać na przekładzie Syrokomli, który pełną różnorodności formę liryczną oryginału przemienił na jednostajny, bardziej dla epepei odpowiedni wiersz 11-zgłoskowy.

śpieszy do czasów późniejszych, nawiązując ośnowę utworu do chwili elekcji. I tu, jakby dla przypomnienia swęj pieśni o statecznym słudze Rzeczypospolitéj, rozpoczyna od zaznaczenia faktu, iż Stefan potrafił pokonać hydrę zawiści:

Zwyciężyć zamach zawiści piekielnéj
Jest to rzecz godna Herkulowéj siły;
Tobie jednakże, o Batory dzielny!
Tę wielką własność losy przysądziły.
Gdzie zamierzyłeś, wraz doszedłeś celu:
Dali ci serce Polacy z ochotą,
Boś w twoim kraju bogatszy od wielu,
Każdego twoją przewyższyłeś cnotą.
Dank ci złożyła Sarmacya cała,
Kiedy po króla wybornego zgonie,
Głośnym okrzykiem ciebie zawołała
Na swój sierocy tron po Jagiellonie.

Nie ukrywa bynajmniej poeta téj okoliczności, iż obiór ten przeprowadzony został wśród walk wielu; owszem obrazowi stanu Rzeczypospolitéj po śmierci Zygmunta Augusta, a następnie po ucieczce Henryka, opowiadaniu o stronnictwach w kraju, o podwójnéj elekcji: cesarza i Batorego, poświęca Kochanowski obszerny epizod (VIII—XIX), może po części i z téj na dnie duszy odzywającéj się pobudki, iż początkowo sam poeta nie należał do stronników Stefana. Opisowi przybycia Batorego do Polski również wiele miejsca daje (XX—XXXV). W dwu następnych dwunastowierszach opowiedziawszy poskromienie Gdańszczan, od XXXVIII zwraca się do przedstawienia wyprawy moskiewskiéj.

Rozpoczyna ten opis od przypomnienia chwili, kiedy Polska utraciła Połock za Zygmunta Augusta. To téż odebranie tego miasta musiał oczywiście szczegółowo przedstawić. Wszystkiemi wojskami — powiada — idziesz na Połock, prowadząc z sobą Węgrów, Litwinów, Polaków, oraz dzielnych w boju Niemców. Nie mniej pilnie garną się do

obrony... nieprzyjaciele... Bramy ochraniają niezwyciężoną palisadą, wieże uzbrajają w dzielne maszyny; przygotowują wszystko, czego wymagać może oblężenie, choćby nie wiem jak długie. Tymczasem ty podchodzisz, a zamknięte mocnym wałem mury sieczesz gromowemi razami“. Pomimo mężnej obrony, pomimo sprzyjającej dla oblężonych pogody, Połock poddać się musiał i wrócić pod dawne panowanie. „Lecz dla ciebie, o królu! — dodaje poeta, też same, co w pieśni polskiej o wzięciu Połocka, podnosząc zaletę — mało było obedrzeć wroga z chwały wojennej; przewyższyłeś go również łaskawością i wiernością w dotrzymaniu słowa. Kogokolwiek bowiem sroga wśród boju Bellona oszczędziła, temu darowałaś życie i wolność; a jeżeli kto wołał wrócić do swojego obozu, niż służyć w twoim, dozwalałaś mu odejść bezpiecznie“.

Opis dalszego pochodu Stefana poprzedza wystawieniem trudności, jakie wojownicy polscy w samym gruncie spotykali:

Szerokie rzeki nieuhamowane ¹⁾
Musiałeś pętać mostami i promy,
Przechodzić góry zamglone, zawiane,
Drzeć się na opok urwiste ogromy.
A jeszcze zimny Akwilon szturmowy,
Mszcząc się za swoje rodaki północne,
Wiał ostrém zimnem na sarmackie głowy
I ziębił dreszczem twe zastępy mocne
I dał proporce. Lecz strasznyż dla cnoty,
Strasznyż dla męstwa wypadek złowrogi?
Zwycięsko wiodłeś twe ochocze roty,
Jak gdyby środkiem najrówniejszj drogi.

Zdobycie Wieliża, Uświatu, Łuków, Toropca, Newla, Jezierzyszczu, Zawłocia, krótko przebiega poeta, malując tym sposobem szybkość pochodu zwycięskiego. Kończy opisem

¹⁾ Przekład Wł. Syrokomii.

obleżenia Pskowa i układów, robiąc nacisk na wdanie się papieża w tę sprawę. Streszczając szczegóły, poeta zwraca mowę do Stefana:

Masz tedy, królu, w bezspornj zalecie
Twojemu wojsku powinszować śmiało,
Że tak pod bronią stojąc przez trzy lecie,
Ani się razu w szczęściu nie zachwiało.
Masz co winszować — prawym obyczajem
Chociaż walczyłeś za liwońskie winy,
Nic się nad spornym nie znęcałeś krajem;
Lecz hetman biegły, walecznik prawdziwy,
Na ziemię wrogów obróciłeś płomię
I miecz na winną kierowałeś głowę,
I tamesz zyskał w północnym pogromie
Niezaprzeczone wawrzyny bojowe.

.....
Herkulu polski! tyś kraj znakomity
Wyzwolił z zębów straszliwego dzika,
Co w ciemnym borze niedostępnie skryty,
Tylko się gwoli spustoszeń wyryka.
Pod twą maczugą-uskromnił już ducha,
Już mu nie myśleć o nowj łupieży;
Próżno się miota, i parska, i grucha,
I szczeciniasty grzbiet kolcami jeży,
I kły naostrza, i oko rozżarza,
I leje pianę po rozwartym pysku,
I smolne boki po murawie tarza,
Już mu nie leżeć w starj legowisku...

Życzenie lat długich Stefanowi i perspektywiczny obraz szczęśliwej przyszłości stanowi zakończenie poematu. „Gdy ty żyć będziesz, niema nic, czego-by sobie kraj obiecywać nie śmiał. Nie złęknie się on grózb szwedzkich, gdy ty będziesz wodzem, ani dziki Tatar nie przejdzie bezkarnie głębokich nurtów Bugu. Jego granicą, jak dawniej, będzie Morze Czarne. Widzimy już, jak puste pola przyjmują nasiona, jak się rozwijają winnice, jak się odradzają miasta“...

Do „Pieśni Zwycięskiej“ dodane są dwa epigramata: czterowierszowy łaciński i dwuwierszowy grecki. W łaciń-

skim, korzystając z brzmienia wyrazów, powiada, że nadanie królowi imienia Stefan było wróżbą otrzymania przezeń korony, gdyż po grecku *stefanos* wieniec oznacza, nazwisko zaś Batory oznacza głębokie (*bathos*) nurty (*rheo*) jego rozumu. W epigramacie greckim również na grze słów opartym, twierdzi poeta, iż Charis (bogini wdzięków) uwieńczyła Stefana, gdy własną ręką na równinach Moskwy odniósł zwycięstwo.

Pieśń weselna (*Epithalamion*) odznacza się misterną budową strof, ze wzorów starożytnych pożyczoną. Dzieli się na trzy części, a każda składa się ze strofy, antystrofy i epodu. Części te wszakże nie są odosobnione, łączą się z sobą nie tylko treścią, ale nawet zewnętrznie za pośrednictwem zdania, zaczynającego się w jednej, a kończącego się w drugiej. Wątkiem pieśni jest pochwała Zamojskiego, jako wojownika i statysty, oraz wróżba szczęśliwej przyszłości, i dla dwojga oblubieńców, i dla kraju. Nie obyło się i tutaj, jak w pieśni o „statecznym słudze rzeczypospolitej“, bez wzmianki o zazdrosnych:

Czy radzisz w pokoju, czy walczysz na wojnie ¹⁾,
Ty działasz jak dzielna królewska prawica!
Tyś piorun, gdy wrogom trzesz kości,
Gracye kochają cię hoże;
Ktoś szczęściu twojemu zazdrości,
Lecz prac twych i trudów nie zmoże ²⁾.
Tyś wytknął odrazu gościniec twój ścisły,
Gościniec ciernisty, — nie zrażasz się przecie:
Nie chwiejesz się w biegu, jak niskie umysły,
Co idą mniej pięknym zawodem na świecie.

W opisie piękności oblubienicy poprzestał Kochanowski na zwykłych ogólnikach: „Co widzę? — pyta czy mię oczy mylą? Nie, zaiste, w niczem one nie mylą. Złoci-

¹⁾ Przekład Wł. Syrokomli.

²⁾ *Invidet haec aliquis: verum labores excubiaeque tuae non invidentur.*

sta wschodzi gwiazda wieczoru; światło dla mężów pomyślne, lecz smutne dla delikatnych dziewcz. I czemuż, dziewico, zbłądłaś? Nie godzi się nic nieprzyjaznego oczekiwać od kochanka; jego dały tobie losy nie na dzień, nie na rok jeden, lecz na wiek cały za przyjaciela. Tęsknotę za ojczyzną przytłumi mąż łagodny z ducha i kochający ciebie: lube dziatki niebawem zajmą w sercu twojem miłość rodziców. Jako winna latorośl, staraniem pracowitego rolnika zasadzona przy zielonym wiązcie, wydasz i ty dziatki na pociechę i obronę ojczyzny. To ci ja, młoda małżonka, prorokuję, jakkolwiek słuchasz nie słuchając. Tego pragnie twój mąż, słuszna więc, ażebyś i ty tego pragnęła. Życzenia wielu więcej mogą i bardziej bogów wzruszają. Szczęśliwie spędzajcie wiek, o drodzy małżonkowie, i zawsze doświadczajcie bogów przyjaźni“.

Poemat polski, poświęcony wspomnieniom wojny, sławionej w *Epinicionie*, ma napis „Jezda do Moskwy“, a głównym jego bohaterem jest Krzysztof Radziwiłł. Z tym znakomitym panem i wodzem łączyły widocznie Jana z Czarolasu bliższe stosunki. Już w r. 1576 pisał Kochanowski „Fragment nagrobku“ dla uczczenia pamięci pierwszej żony Krzysztofa, Katarzyny Anny z Sulejowa Sobkówny; następnie w r. 1578 utworzył epitalamium na zaślubiny tegoż Krzysztofa z Katarzyną Ostrogską; w r. 1583 wreszcie ogłosił opis jego czynów wojennych i posług „z młodych lat“ aż do końca wojny ze wschodnim sąsiadem. Istotnie dotknął poeta w utworze tym pierwszych posług Krzysztofa Radziwiłła, pełnionych pod Ułą w r. 1564, następnie opiewał czyny jego wojenne w Inflantach r. 1578, dalej przedstawił udział jego w wyprawie połockiej r. 1579 i wielkołuцьkiej r. 1580; czyli, innemi słowy, prawie połowę poematu poświęcił na opowiadanie działań swego bohatera przed tą

chwilą, która stanowiła właściwą pobudkę do napisania utworu, mianowicie, przed wyprawą z r. 1581.

Poemat rozpoczyna się od wspaniałego porównania:

Jako więc orzeł młody, na gniaździe wysokiem
Siedząc, za ojcem patrzy niespuszczonym okiem,
Kiedy albo wysoko buja pod obłoki,
Albo prędko zwierz goni i drapieżne smoki,
Aż się i sam czassem wylecieć ostraszy;
A oto na cień jego wszystek rodzaj ptaszy
I polne uciekają stada: ten swój broni
Jeszcze nieprawie świadom, bez odrazy goni,
Skrzydłami pogładzając po grzbiecie pirzchliwym,
A potem zajuszony i sam żywie żywym: —
Tak ty, przypatrując się ojcowskiej dzielności,
O zacny Radziwille, z napirwszej młodości
Myśliłeś zawsze sławy domowej poprawić
I o miłą ojczyznę śmieie się zastawić,
Aniś ty wieku czekał słusznego do zbroje!
Pierwój dzielność dordzała, niżli lata twoje.

Wyznać wszakże potrzeba, iż na tym wstępie kończy się właściwie istotna poetyczność „Jezdy“. To, co dalej następuje, jest raczej rymowaną kroniką, niż poematem. Wi-docznie chwilowe natchnienie znikło; a poeta pracował już tylko dlatego, ażeby utwór ukończyć.

Prof. Pawiński, zestawivszy „Jezdę“ ze współczesnemi wypadkom źródłami, doszedł do tego przeświadczenia, iż urosła ona na podstawie opisu, sporządzonego przez kogoś co sam brał udział w onęj dalekiej wyprawie, a prawdopodobnie przez samego Krzysztofa Radziwiłła. Pomimo pewnych wad i braków pod względem ściśłości topograficzno-strategicznej, które zapewne stąd powstały, że poeta, nie mając szczegółowej mapy do pomocy, nie umiał się dość swobodnie obracać w tak dalekiej a nieznanęj sobie krainie nad źródłami Dźwiny, Dniepru i Wołgi, pomimo, powiadam tych stron ujemnych, prof. Pawiński przyznaje poematowi temu wartość historyczną, jako źródłu do skreślenia dziejów

owej pamiętnej i ważnej wyprawy. Zaznacza nadto i tę okoliczność, że, o ile z wiarogodnemi źródłami porównanie przeprowadził, nigdzie w „Jeździe“ uwielbienie dla bohatera nie krzywdzi prawdy historycznej, owszem zgodnie z nią ręka w rękę postępuje ¹⁾).

Na tém atoli znaczenie „Jezdy“ ograniczyć się musi. Wartość artystyczną posiada niewielką. Wogóle Kochanowski nie celował jako epik. W utworach, w których opis z opowiadaniem się łączył, jak n. p. w „Proporcu“, część opisowa jest piękna, a nawet tu i ówdzie świetna, część zaś opowiadawcza — dosyć mierna. I w „Jeździe“ są gdzieś — nigdzie istotne piękności, mianowicie w zwięzłych a obrazowych wyrażeniach. Gdy np. rozwijając myśl, niejednokrotnie przez siebie wypowiedaną, iż „Bogu łącno hardego skrócić“, ponieważ on ma w ręku szczęście i nieszczęście, powiada:

. prędko delfin płynie
Prędko i orzeł lata: Bóg obudwu minie.

Ale te pojedyncze a dość rzadko napotykanne miejsca piękne nie mogą okupić powszedniości, panującej w całym utworze. Nawet pod względem rymowania, ostatni ten znany nam co do daty utwór polski Kochanowskiego chroma wielce i nie daje nam poznać tego swobodnego władania wierszem, jakiego oczekiwać-byśmy mogli od autora „Trenów“. Nie mam tu na uwadze rymów słabych, powstałych z jednakowych form gramatycznych, gdyż wogóle u Jana naszego jest ich dużo; nie myślę też o takich nieudatnych rymach, jak np. *dziw i to* — nie *zabito*; gdyż, lubo rzadziej, one się i w innych pismach Kochanowskiego napotykają; ale mam tu na względzie takie asonance, które pełnego

¹⁾ Zob. wydanie pomnikowe Dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego, T. II, str. 308.

rymu wcale nie stanowią, jak np. rymowanie: *dobrze — szczerze, wiodąc — bojąc; cwałał — stradał*. Myśmy przyzwyczaili się rymy takie przypisywać Rejowi tylko, a nie Kochanowskiemu; a tymczasem musimy je zaznaczyć w ostatnim jego poemacie polskim, jaki za życia drukiem ogłosił. Do „Jezdy“ jedynie daje się zastosować twierdzenie dotychczasowych biografów Jana, o osłabnięciu jego talentu, lecz stało się to w tym rodzaju poetyckim, w którym Kochanowski nigdy nie znakomitego nie utworzył; w tym rodzaju, który wogóle wiekowi XVI żadnego wielkiego dzieła nie zawdzięcza.

Poznaliśmy w tym krótkim przeglądzie to wszystko, co napewno odnieść można do ostatnich pięciu lat życia Jana z Czarnolasu; przekonaliśmy się, iż w twórczości jego poetyckiej po śmierci Urszulki istnieje ten sam prąd myśli obywatelskiej, jaki go ożywiał od samych początków panowania Stefana Batorego; że jego pieśni o wzięciu Połocka, „Epinicion“, pieśń o statecznym słudze rzeczypospolitej, „Epitalamion“ i „Jezda do Moskwy“ łączą się gienetycznie z „Odprawą posłów“, z „Orfeuszem Sarmackim“, z „Dryadą Zamechską“ i „Panem Zamechskim“; że zatem datować jakąś odrębną chwilę w twórczości poetyckiej Kochanowskiego od czasu napisania „Trenów“ na śmierć dziecka, jest rzeczą historycznie nieusprawiedliwioną, lecz jedynie z sentymentalnego nastroju nowszych czasów wynikłą. Poeta był niewątpliwie zboleły; stracił najprzód jedną, później drugą córkę, cierpiał dotkliwie w życiu prywatnem, jako jednostka; ale, jako obywatel, odczuwał radość prawych synów kraju, cieszył się z pomyślności ojczyzny, wielbił tych, którzy byli tej pomyślności sprawcami; więc też brał po swojemu, jako poeta, udział w sprawach ogółu, pisał utwory, myślą państwową przeniknięte, ażeby jednym cześć złożyć, drugim

do poświęceń zachęcić. Według etycznej normy swego czasu postępując, nie rozkrwawiał ran własnych, nie dramatyzował swego cierpienia; ale, jak sam się wyraził, ludzkie przygody po ludzku znosił, chowając się na „trwalsze rozkoszy“, które miały mu się niebawem już dostać w udziale. Dnia 22 sierpnia 1584 roku, będąc w Lublinie, celem upomnienia się o wysłedzenie zabójców swego krewnego, Jakóba Podlodowskiego, tknięty apopleksją, zmarł. Wydania wszystkich dzieł swoich nie doczekał się; ale potomność o nich nie zapomniała i zapoznawała się z niemi w licznych edycjach, wielbiąc natchnionego pieśniarza i rozumnego obywatela.

1884.

IV.

ZAPOMNIANY POEMAT WACŁAWA POTOCKIEGO.

Czterdzieści lat temu Józef Ignacy Kraszewski, wydając pierwszy tomik swego *Athenaeum*, pośpieszył pomieścić w nim wyjątki nadesłane mu przez Samuela Nowoszyckiego, Krzemieńczyanina, z poematu p. n. „Smutna przygoda i śmierć żałośliwa nadobnej Wirginiej, dziewicy rzymskiej, ośmiorakim rymem opisana“. Oprócz wyjątków, obejmujących cztery karty drukowane, dał nadto Kraszewski *fac simile* jednej strofy „ośmiorakiego rymu“, pokazujące charakter pisma. O autorze poematu i czasie powstania tegoż nie rozpisywał się wcale; w samym tylko tytule dodał, że owa „smutna przygoda“ opisana została przez „Hieronima z Lipia Lipskiego, roku Pańskiego 1652“. Skąd miał tę pewność, o tem nie wspomina; podaje jedynie wiadomość, że ułamek owego poematu znaleziony został przez Nowoszyckiego przy „oryginalnym rękopiśmie tegoż autora“, zawierającym w sobie obszerny poemat: *Wojna chocimska*“. Ta wiadomość pokazuje, że jedynem źródłem pewności o autorstwie „Smutnej przygody“ były dowodzenia Nowoszyckiego, pomieszczone w „Tygodniku petersburskim“ z r. 1839, przy pierwszém ogłoszeniu o rękopiśmie *Wojny chocimskiej*. Nowoszycki bowiem starał się przekonać, bardzo słabemi zresztą dowodami, że autorem tego rękopismu był Hieronim z Lipia Lipski; a ponieważ ułamek „Smutnej przygody“ przy tym rękopiśmie się znajdował, zawnioskowano zatem, że autor *Wojny chocimskiej* jest i autorem *Smutnej przygody*.

Nikt wówczas nie zajął się tą sprawą. Autorstwo „Wojny chocimskiej“ pierwszy jej wydawca, Stanisław Przyłęcki, przyznał nie Hieronimowi lecz Andrzejowi Lipskiemu; ktoś inny Achacemu Pisarskiemu, aż nareszcie Szajnocha dowiódł stanowczo, że właściwym twórcą poematu był nie kto inny, jak Wacław Potocki, śpiewak *Argenidy*, *Syloreta* i t. d. Zajęci kwestyą ważniejszego utworu, nie zwrócili autorowie ci baczniej swęj uwagi na szczupły ułamek „Smutnej przygody“, który popadł z latami w zapomnienie.

Dopiero Antoni Małecki, pisząc w roku 1859 artykuł o *Andrzeju Morsztynie* do „Pisma zbiorowego“ Ohryzki, wspomniął mimochodem, że w bibliotece Zakładu Ossolińskich znajduje się w rękopiśmie „rozległy poemat, p. t. Smutna przygoda Wirginiej dziewice rzymskiej“. Autorstwo tego poematu przyznaje Małecki wprost Wacławowi Potockiemu, nie objaśniając, czy nazwisko to wziął z karty tytułowej rękopismu, czy też z domysłu, ugruntowanego na tej samej okoliczności, która poprzednio imię Hieronima Lipskiego Nowoszyckiego i Kraszewskiego poddała.

Od tego czasu dwóch pisarzów naszych zajęło się szczegółowem rozpatrzeniem twórczości poetyckiej Wacława Potockiego, ale żaden z nich, ani Adam Bełcikowski, ani Aleksander Tyszyński, nie posunęli swych poszukiwań do *Wirginii*, zadawałając się wzmianką gołosłowną, że istnieje poemat taki i że drukowano z niego w Athenaeum małe wyjątki. A jeżeli tak obojętnie względem tego utworu zachowali się specyjni badacze pism Potockiego, to czyż można się dziwić, że autorowie podręczników historii literatury polskiej, lubiący zasadzać swą działalność na przepisywaniu z gotowego, nie zadali sobie nawet trudu zarejestrowania *Wirginii* w swoich katalogach, zawierających spis dzieł Wacława z Potoka?...

Nie myślę z tego powodu robić wymówki wspomnia-

nym autorom monografij o Potockim; gdyż aby poznać „Smutną przygodę Wirginii“, potrzebaby było albo jechać naumyślnie do Lwowa, albo też postarać się o przepisanie manuskryptu, a jedno i drugie przedstawiało trudności niemałe.

Szczęściem dla mnie, ta trudność usuniętą została. Okazało się bowiem, że „Smutna przygoda Wirginii“ nie jest rękopiśmiennym tylko zabytkiem, ale też i drukiem, dostępnym dla każdego, kto blisko większych bibliotek mieszka. Przeglądając szesnasto-tomowy zbiór *Zabaw przyjemnych i pożytecznych*, czasopisma, które wychodziło w drugiej połowie zeszłego stulecia, znalazłem tam poemat p. n. *Wirginia, rzymska panna*, pomieszczony w drugiej części tomu XV (z r. 1777, od str. 213—279). Porównawszy tak zatytułowany poemat z ułamkiem „Smutnej przygody“, drukowanym w *Athenaeum*, przekonałem się, że jest to rzecz całkiem ta sama, z pewnemi jedynie zmianami zarówno w wyrazach, jak i w wierszach całych.

Tym sposobem nie potrzebujemy już teraz żadnych ponosić kosztów, ani przełamywać żadnych trudności, ażeby się zapoznać z utworem, który przez lat 40 poczytywany był za zabytek rękopiśmienny. Tym też sposobem uzupełnia się spis dzieł Potockiego, wydanych po jego śmierci; dawniej bowiem mniemano, że najpóźniej wyszedł z druku *Syloret* (1764); obecnie przekonujemy się, że jeszcze w lat 13 potem wydano inny utwór autora *Wojny chocimskiej*, chociaż nazwiska Potockiego nie wymienili wydawcy „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“.

Gdyby mi chodziło o zwiększenie tylko liczby numerów bibliograficznych, mógłbym poprzestać na powyższej wzmiance; ale chciałbym zrobić coś więcej, chciałbym dać przyczynek do charakterystyki autora *Wojny chocimskiej*, wskazać główne cechy jego twórczości, o ile one w odszu-

kany poemacie się ujawniły, chciałbym słowem sumę naszych poglądów na dawną literaturę polską choćby o parę szczegółów pomnożyć. W tym celu musimy się rozejrzeć w treści poematu.

I.

Virginia składa się ze 152 zwrotek „ośmiorakim rymem“ to jest oktawami napisanych; z tych atoli pierwsze 57 zwrotek poczytać trzeba za wstęp do właściwej treści poematu, a ponieważ wstęp ten ma cechy wspólne z epizodami czy ustępami zawartymi w treści, przeto odkładając wzmiankę o nim na później, zajmiemy się przedewszystkiem „smutną przygodą i żałosliwą śmiercią dziewice rzymskiej“. Streszczenie tej przygody, znaniej z dziejów rzymskich, potrzebne nam jest o tyle, że w niem poznamy styl i sposób obrazowania autora.

W pięćdziesiąt lat po wygnaniu królów, Rzymianie, „wziawszy przykład od pszczoł roboczych“, wysłali posłów po zebranie praw. Za powrotem ich ustanowieni decemwiirowie ułożyli wprawdzie prawa na dziesięciu tablicach, równocześnie jednak zasmakowali we władzy:

Ale im cnoty nie stało na wątek:
Powiązli, skoro skosztowali miodu
Władze królewskiej; a przeto *narokiem*
Zwloką, żeby się nie skończyło rokiem.

Appiusz ¹⁾ „marszałkował“ decemwirom: umiał ich na wojny wyprawiać, a sam w Rzymie panował jako „tyran łakomy, nadęty, wszeteczny“. Uwiódł się on „miłości

¹⁾ W „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ w kilkunastu początkowych strofach nazwisko to wydrukowano: *Assyri*, później wszelako przywrócono mu właściwe brzmienie.

niecnotą“ względem córki Wirginiusza, „znacznego w ojczyźnie wodza nad swą rotą“. Nadaremnie jednak próbował przez niecných pośredników („koczołów“) nakłonić ku sobie nieszpętną panienkę, bo „wstyd i rozum serce jęj ustalił“. Zawziętość Appiusza wzrosła:

Tak go był wściekły apetyt oszalił,
Jakoby pod nim kto zapalił prochy.
Choćby świat, choćby cały Rzym obwalił,
Chce swego dopiąć przez wszystkie pokusy:
Nie miały prośby miejsca, będą musy.

Panna była już natenczas „we znowie“, to jest zaręczona z Icylim, „człowiekiem znacznym i dostojnym“, co wielkie urzędy w Rzymie sprawował. Za powrotem Wirginiusza z wyprawy wojennej, Icyl

Nie miał być dłużej trzymany na słowie:
Ale w świątnicy Junony spokojnej
Ujęte ściślej miłości łańcuchy
Zjednoczyć mieli i ciała i duchy.

Appiusz, ulegając szaleńcy, który go opanował, powziął przewrotny zamiar, z którym zwierzył się jednemu ze swych „koczołów“:

Widzisz, jaki żart ze mnie sobie stroi,
Przenosząc okiem, córka Wirginiego
Zadawszy ranę nie dba i nie goi.
Chciej mi afektu dowieść życzliwego,
Wszak wiesz, że *prawda przy potędze stoi*.

Słowa te „opieprzywszy złotem“, każe koczołowi wprzeć w Wirginią, że jest niewolnicą w domu jego urodzoną, powiadając, że mu ją w dzieciństwie skradziono... Koczot pochwalił „koncept“ i prosto bieży do „wielkiej derewni“:

Gdzie Wirginia z inszemi dziewczęty
(Przy czym ochmistrze bywają i krewni)
A zwłaszcza kiedy dzień się trafi święty,

Albo czytała, albo stare dzieje
Z ust sędziewego brała kaznodzieje...

Koczot pochwycił zpośrodku dziewic Wirginią „za kark nietykany“, mówiąc drwiąco: „Już twój wolności zęgarzek dociecze; czas iść w te, gdzieś się urodziła, ściany“. Wszyscy stali przerażeni, panna prawie umarła; zaczyna się wrzawa, słychać wołanie o pomoc i wyrzekanie na prze-moc decemwirów:

Już zbójców nie sług będą chować sędzie,
Już żony nasze, już domy po chwili,
Gdy dzieci biorą, brać im wolno będzie,
Tedy już w mieście gorzej będziem żyli,
Niż *na Krępachu* albo *na Bieszczedzie*.
Niech ten uczynek nie idzie w przykłady,
Niech będzie zabity, kto dziś szuka zwady.

Bezsilne te skargi i zżymania się nie wywierają naturalnie żadnego skutku. Koczot zaczyna tu już odgrywać swą rolę, powiadając, że zabiera swoją własność, i powołując lud do „sędziego“, to jest do decemwira Appiusza. Stanąwszy przed nim, „bożył się, płakał, klękał, wzdychał“, utrzymując, że Wirginia jest jego niewolnicą:

Czegoż wykrętny nie sfalszuje ozór,
Albo w pokrzywę nie obróci miętki,
Kłamstwo za prawdę udając za pozór?
Trzeba koniecznie na te *obojetki*
Lisie mieć uszy, ostrowidzy dozór,
Którzy sędziami chcą być i podsędki.
Rzadkoż się komu ten stopień da użyć,
Gdzie razem oczy wytrzeszczać i mrużyć.

Appiusz, udając bezstronnego, popisuje się frazesami, że „w ratuszu prawda nade złoto ma ławę“, pyta się Wirginię, co może powiedzieć na swoją obronę, a widząc jej płacz, sztydzi z niej krwawo, że lepszego argumentu nie posiada, i każe koczotowi wziąć ją do swego domu.

Wtém przybiega narzeczony Icyli z Numitorem, „rum

sobie czyniąc między lud strwożony“. W mowie zwróconej do Appiusza Icylu przypomina, że Wirginiusz, stary zasłużony żołnierz, bije się za ojczyznę i na większe zasługuje względy, aniżeli jakiś „szuj“; że częstokroć żałować nam przychodzi wyroków skwapliwych, a nadto przypomina, że niebawem i Appiusz, „skończywszy swoją robociznę“, zrówna się z innymi. Rozwścieczony tą mową Appiusz lży Icylego i każe „siepaczom“, to jest liktorom, pochwycić Wirginią.

Już się okropni ruszają siepacze,
Wyniósszy różgi i długie siekiery.
Tłum wszystko wzdycha cicho, cicho płacze,
Kiedy Icyl: „Nie dwadzieścia cztery,
Niech wszyscy waszy staną posiewacze,
Chcący wykonać te twoje *emiry*;
Dopiero przez krew, przez trup i me rany.

Appiusz, zląkwszy się groźnej postawy Icylego, oświadcza, że dla zasług Wirginiusza i rzewnych łez jego córki, odkłada termin do jutra, wiedząc dobrze, że sam ojciec z trudnością mógłby z obozu podążyć, gdyż go od Rzymu dwadzieścia mil oddzielało; wysłał nawet rozkaz do wodza, ażeby „pasu“ Wirginiuszowi nie wydawał.

Omyliły go jednak rachuby. Icylu lotem wysyła brata na „rączym batraku“, by zawiadomił Wirginiusza o zaszłém nieszczęściu. Ojciec, nie pytając o pozwolenie, zbiegł z obozu i przybył do Rzymu:

Córki nie zastał, bo ta, lejąc rzewne
Łzy, obiegała znajome i krewne.

Targała włosy uboga dziewczyna
I na *sromotną gładkość* narzekała:
„Taż będzie mojej obelgi przyczyna,
Skąd em ja szczęsnych godzin wyglądała.
To mnie zabija, to jest moja wina!
Nie tweż-em piersi, wdzięczna matko, ssala?
Pomnę cię, przebóg, rodzicielko złota,
Nieszczęsna dziewczka, nieszczęsna sierota!

Wstań dzisiaj z trumny, opowiedz się przy mnie
Albo prosz bogów, niech umieram z tobą,
Niech o weselu nie slycham i hymnie,
Niech raczej skałą stanę się z Niobą,
Albo z Cyaną krynicą na zimnie,
Albo jak Dafne *widzący* za sobą,
Z nieczystą żądzą goniącego boga,
W drzewo się martwe obróć, nieboga...“

Wirginiusz, „z nocnego nieotarty trudu“, zjawia się na rynku, gdzie wielki tłum ludu wyrzekającą córkę jego okalał. „Na ratuszu“ siedział Appiusz, otoczony orszakiem krewnych i sług, kazał „siekiery wynosić ku górze“. Ojciec z córką stanęli obok siebie:

A jako przy swęj macierzy jagniątko
Tuli się, gdy wilk bierze niebożątko,
Tak ojcowskiego nie odstąpi boku
Mizerne dziewczę; co się tylko ruszy,
Wzrok pełen płaczu trzyma w jego wzroku,
Ani wybladłych jagód nie osuszy...

Tu następuje powtórzenie sceny wczorajszej: skarga koczota i wyrok Appiusza, który, drwiąc z biédnego ojca, utrzymuje, że „ani gospodarz, ani gospodyni nie wiedzą, co się w ich domu stać może“, a że nierad *gluzuje* swe wyroki, potwierdza zatem to, co wczoraj powiedział:

Tak mówił z fukiem Appiusz nadęty,
Oczy złej żądry zaślepiwszy *psiną*,
Wszystek jak w ogniu miłości przeklętej
Gore i serce zajusza wściekliną.

Wirginiusz w krótkiej ale silnej mowie z goryczą dziękuje Appiuszowi za dekret wydany bez wysłuchania drugiej strony, przytacza przykład Kambizesa, co podobnemu jak Appiusz sędziemu zdjawszy skórę, krzesło sędziowskie nią obił, a kończy groźbą:

I my znajdziemy taki kozik w Rzymie,
Co z ściérwa czoło niewstydlive zdéjmię.

Appiusz, tknięty do żywego, ścisnął tablicę, co ją miał „na podołku“ i rozkazał siepaczom pochwycić Wirginiusza, jego córkę i Icylego:

Jako więc chmura zbytnim słońca znojem,
Nabrawszy z ziemi wilgotności grubej,
Okrutnym światu grozi niepokojem,
Wprzód ogniem ślepi przez skryte *skałuby*,
Zaś głuży gromem, którego się bojem,
Nakoniec piorun z twardej ciska *głuby*:
Tak też złą żądzą obciążwszy płuca (*sic*),
Błyska Appijus, grzmi i piorun rzuca.

Wirginiusz, widząc zbliżających się siepaczów, a nie dostrzegając wśród obecnych nikogo, coby go wsparł w przypuszczalnej walce, udaje pokorę i prosi Appiusza, aby mu pozwolił oddalić się na chwilę wraz z córką, celem wypytania się mamki o szczegóły, mogące objaśnić sprawę. Appiusz zezwala i staje w oknie. Wirginiusz „nizko mu się schyla, a we łzach krwawych całłem sercem moknie“. Wziąwszy córkę w towarzystwie kilku niewiast, oddala się. Wtedy następuje katastrofa.

A skoro mijał już rzeźnicze jatki:
„Nieszczęsna — rzecz — dziewczko swojej matki,
Brońmy czystości świętej, jako możem“.
I w lot porwawszy z ręku od rzeźnika
Pchnie ją kończystym w miękkie piersi nożem.
To skoro go krew gorąca ocięka
(Nadzieja w wielkiem miłosierdziu bożem)
Na Appijusza, co ma garła, krzyka:
„Że ta krew przez twą wylana przyczynę
Ugasi twych żądz przekłątą wścieklinę“.

Na rozkaz „rozjedzonego tyrana“ drabi obskoczyli Wirginiusza, ale i on wyjął „pałasz naostrzony“ i wyszedłszy z miasta w wielkim orszaku, dosiadł konia.

Tymczasem wrzawa straszna powstała w mieście. Appiusz, blizki rozpacz i szaleństwa, patrzeć musi na to,

jak Numitor z Icylim niosą ciało dziewczicy „na ognisko”. Raz jeszcze próbuje użyć swęj władzy, by się pomścić przynajmniej na Icylim:

Jeszcze mi się tu jak na złość *przesusza*,
Jeszcze mnie swym kłem jadowitym siecze,
Niosąc mi trupa około ratusza;
Przynajmniej mi ten *malarz* nie uciecze,
Niechaj się tą krwią darmo nie ojusza.
Przywiedźcie mi go, a jeśli się bronić
Będzie, łatwiej go zabić, niżli gonić.

Siepacze ze zwykłym animuszem poszli spełnić rozkaz. Ale usposobienie narodu, wstrząśnięte do głębi okropnym wypadkiem, uległo nagłej zmianie. Wśród zebranego tłumu Horacy i Walery, zasiadający w senacie, rozprawiali już o pozbyciu się decemwirów, a przedewszystkiem Appiusza. Jako pierwszego aktu tego poczucia się we własnej sile, dokonali pomsty na pacholku znienawidzonego tyrana:

Tu za czuprynę ujawszy siepacza,
Horacy naprzód, a potem Walery
Po same uszy w błocie go umacza;
Połamią różgi, potłuką siekiery.
Już i pospólstwo z bojaźni *wystrasza*,
Widzące takie przy sobie kozery.

Appiusz, przypatrując się temu, choć gniewem płonie, czuje już przecie i lęk w sercu; chce jeszcze nadrobić miną i, przybrawszy spokojną postawę, każe przez woźnych zwołać lud; sam zaś co żywo wstępuje na „pochyłe wschody”. Ale tuż za nim weszli Horacy z Walerym i usiedli na krzesłach obok niego, mówiąc szyderczo:

„Takżeś, Appii, oszalał széroce,
Także daleko twa cię żądza zniesła!
Toś ty jeden pan, a my wszyscy sroce
Wyszli z ogona? Tegośmy rzemiesła
Ludzie, co i ty. Darma dźwigasz chwosty,
Jużes nie sędzia, już Appijusz prosty.

Gdy tak Horacy „całą gębą“ prawił, tyran przerażony „siedział jako niema ryba“, a uznając w duszy, że w samowolności swojej zadaleko się posunął, „łeb zawinawszy, w ciasny się kąt tłoczy“.

W tém miejscu rozpoczyna się druga właściwie część poematu, niezaznaczona wprawdzie przez samego autora, ale mimo to widoczna dla każdego uważnego czytelnika. Treścią tej części najogólniejszą jest przygotowanie i dokonanie zemsty na Appiuszu.

W obozie z przybyciem Wirginiusza powstaje na jego widok wielkie poruszenie, a gdy w dosyć długiej (strofa 121 — 130), lecz niezbyt udatnej (jak dla nas) mowie zrozpaczony ojciec przedstawił spółtowarzyszom przebieg straszego wypadku, popłakali się wszyscy i „wzgardziwszy hetmańską buławą“, rozbiegli się każdy „do swojego znaku“.

Na napomnienia „hetmanów“ stawili się hardo nie tylko słowy, ale i czynem. Wyruszyli w drogę, nie zaglądając w progi domowe, „jakby z przegranej, jakby szli z pogromu“. Przybywszy pod Rzym „połowa na blizką górę wstąpiła, a połowa wedle góry siadła“. Z Rzymu „rycerstwo“ wyniosło rzeczy i na wozach poukładało.

Struchlały senat („pańskie dwory“) widzi nazajutrz, że w mieście, jak w lesie, głębokie milczenie. Chcąc zaradzić złemu, schodzą się senatorowie na naradę „do kościoła“, a następnie wysyłają posłów do „rycerstwa“, zapewniając, że „jest prawo i na sędzie“. Rycerstwo na to odpowiada:

Miły nam Jowisz, miła nam ojczyzna;
Ale to niechaj *patrici* wiedzą,
Co i sam Jowisz widzi i sam przyzna,
Że oni nasz chleb a niesłusznie jedzą;
Ich wczas, ich pokój, nasza — robocizna,
Niechże w tém mieście zostawają sami.
I nam Bóg w niebie, ziemia pod nogami:

Nie pójdzie żadne z nas na swoje *siadło*
 I żaden swego nie ogląda dachu,
 Aż wnidzie w kolej to, co z niej wypadło,
 Aż zpod takiego wybrniemy zamachu.
 Umiemy wszyscy dobrze *obietadło*,
 Więc nie chce się mieć nam nad sobą strachu,
 Równo się sądźmy i pospolstwo i wy,
 Jednakże niechaj cierpi, kto jest krzywy.

Jednym kir łokciem mierzyć z *karmazynem*,
 Jednym pszenicę z owsem równać strychem;
 Kto w mieście mieszka, każdy *mieszczaninem*.
 Choć wszyscy jednym w *klasztorze* kielichem
 Kiedy ofiary Bogu czynią winem,
 A wždy nad prostym jest gwardyan mnichem.
 Niech będzie burmistrz i wójt w każdej rzeszy,
 Ale w nadzieję tego niech nie grzeszy.

Ta stanowcza i ostra odpowiedź rycerstwa wywołała długą ze stron obu rozprawę, której rezultatem było odjęcie władzy „sędziom“ to jest decemwirom, a oddanie jej dwu konsulom nie dożywoćnim; „pospółstwo“ nadto zastrzegło sobie wybieranie dla siebie „sędziów“, to jest *trybunów*. Jednym z tych sędziów został Wirginiusz. „Nie tak ochoczy, chociaż będzie głodny, ogar do knieje puszczony ze sfory“ — jako nowy sędzia, który przebaczywszy koczołowi dlatego, że działał poniewolnie, zawezwał Appiusza, żeby zdał sprawę ze swych sądów. Appiusz, „drżąc jak ryba“, stanął na ratuszu, gdzie ojciec nieszczęsnej Wirginii wskazał mu krew na progu, jako najwymowniejszego świadka jego winy. Były „sędzia“ poszedł tedy do „turmy“, kędy inszych wypychał; a chociaż krewni „nie folgowali złotu“, nie potrafili go przecież od pomsty Wirginiusza zaślonić,

(Bo) jako skała, co ma grunt głęboki
 Nie da się ruszyć największemu młotu,
 Do takiej rówien Wirgini opoki
 Nie wyjmie z serca krwawionego (sic ¹⁾)

¹⁾ Wiersz oczywiście zepsuty, niema bowiem rymu.

Nie da się użyć, nie da zmiękczyć póki
Kochanej córki nie ukoj cienia,
Oddawszy katu Appiego z więzienia.

Straciwszy tedy wszelką nadzieję uniknięcia ciosu nie-
odwołalnego, Appiusz, chcąc uniknąć hańby...

Gdy go u pała, odarszy z odzieży
Będą różgami chłostać miejscy kaci,
Potym udawia; w czas temu zabieży
I tak się dobrze sam swą ręką *stroczy*,
Że ze łba obie wylazły mu oczy.

Trzy ostatnie strofy utworu, zaokrąglające opowiadanie
sensem moralnym, przytaczam w całości:

150. Ten ci to koniec miała transakcja,
Stara przypowieść: jakie kto uwarzy,
Lub złe lub dobre, takie piwo pija,
A czasem jeszcze i breczką się sparzy,
Że się na duszy i ciele zabija.
Niezawsze się grzech umyślony zdarzy:
Na złyś-to aspekt, Appiuszu, na zły
Swym trafił, aż ci i oczy wylazły.
151. I tak ci z jednej cały świat przyczyny
Od początku się ażę dotąd psuje;
Stąd w monarchiach żalosne ruiny,
Ta Rzym po dwakroć miesza i nicuje,
Ale, ach, rzadkież takie heroiny,
Rzadko w gładkości przystojność przodkuje,
Jeno ta, co ma przysmakiem być do niej —
Odpuścić proszę — od urody stroni.
152. Gdzie lecisz, pióro? Najlepsze kazanie
Krótkość zaleca, albo trochę skromniej
O damach; szkoda następować na nie.
Z kości-c stworzone, a dlatego pomnij,
Że z ciałem muszą mieć swe zachowanie
I zawsze sobie pragną być przytomni.
Ciało bez kości — co *dusza* bez ciała;
Że k'sobie dążą, tak natura chciała ¹⁾.

¹⁾ Strofy *Wirginii* w „Zabawach przyjemnych i pożyte-
cznych“ nie są numerowane, dokonałem więc tego liczbowania
sam, dla ułatwienia sobie cytata.

II.

Nie myślę bynajmniej przeceniać streszczonego powyżej poematu pod względem estetycznym; utwory jednak naszej literatury dawniej zasługują na poznanie i rozbiór, choćby z tego względu, że nam uprzytomniają przeszłość, od zrozumienia której tak dalecy jeszcze jesteśmy. Niewątpliwie miłą jest rzeczą, gdy się odkryje jakieś dzieło znakomite, jakiś dowód nadzwyczajnego talentu; nie należy jednakże ze zbyt wielkiem lekceważeniem spoglądać na tę niewątpliwą większość płodów umysłowych, które, bliższemi będąc poziomowi, dają nam poznać nie wierzchołkowe, ale przeciętne uzdolnienie narodu naszego.

Twórczość Wacława Potockiego zależną była zazwyczaj od twórczości obcej, która mu dawała główną ośnowę i ramy utworu, zapełniane następnie przez poetę oryginalnemi w szczegółach pomysłami. Wyobraźnia nie mogła znosić pęt niewolniczych, dlatego też poeta, choć wziął się z początku do prostego tłumaczenia tylko cudzych rzeczy, w biegu pracy odstępował od swego wzoru, porzucał go na chwilę, ażeby, dawszy wyraz swemu własnemu usposobieniu lub przekonaniu, powrócić do autora, któremu zasadnicze swe pomysły zawdzięczał. Wykazano już dostatecznie taki tryb tworzenia zarówno w *Argenidzie*, gdzie miał być tłumaczem Barclaya, a umieszczał swoje poglądy i spostrzeżenia polityczne, jak i w *Wojnie chocimskiej*, gdzie przedsięwziąwszy pisać poemat, szedł wiernie za pamiętnikami Jakóba Sobieskiego, w niektórych tylko miejscach od nich odstępując i czy-to z tradycji, czy z innych źródeł czerpiąc pomysły, których u Jakóba Sobieskiego nie napotykamy. Zdaje się, że tak samo rzecz się miała i z *Sylorettem*, jakkolwiek nie udało się dotychczas odszukać właściwego twórcy tej fantastycznej powieści.

Co do *Wirginii*, to samo przez się nasuwa się przypuszczenie, że poeta korzystał z opowiadania dziejopisa rzymskiego Liwiusza, który w piętnastu rozdziałach swojej historii (księga trzecia, roz. XLIV—LXVIII) zawarł to wszystko, co stanowi treść poematu Potockiego. Po uważnem rozpatrzeniu się w opowieści Liwiusza i porównaniu jej z utworem naszego poety, trudno nie przyjść do przekonania, że Potocki bardzo wiernie trzymał się dziejopisa rzymskiego co do przebiegu wypadków zewnętrznych, pochwycił zatem prywatny raczej niż publiczny charakter walki wywołanej nieszczęsną śmiercią Wirginii. Wprawdzie i poecie naszemu w toku opowiadania z konieczności mówić wypadło o stosunku plebejuszów do patrycyuszów, o żądaniach, jakie postawili pierwsi względem drugich, ustąpiwszy na górę świętą; ale ta wewnętrzna polityczna strona wydarzeń przedstawia się w *Wirginii* bardzo niejasno, mimochodem tylko; ważność ówczesnej chwili dziejowej, w której utrwaliła się już na wieki instytucja trybunatu i rozpoczęło się zrównanie polityczne stanów, nie tylko nie została zaakcentowana przez Potockiego, ale nawet prawie jest niedotknięta.

A jak ogólne pojęcie dziejowych wypadków, tak i przeprowadzenie ich szczegółowe w nakreśleniu obyczajów i charakterów nie znalazło w poemacie naszym wiernego pod względem wewnętrznym wyrazu. O tem, że rzecz odbywa się w połowie V stulecia przed Chrystusem, pamięta Potocki, ale tylko, że tak powiem, chronologicznie. Jak wszyscy współcześni jego, tak i on nie potrafił przenieść się w czasy odległe myślą i uczuciem, nie potrafił oddać artystycznie odrębnych obyczajów, nie odczuwszy ludzi takimi, jakimi oni być mogli na 22 wieki przed nim. Potocki sądzi, że wszyscy ludzie musieli być takimi, jakimi byli Polacy w XVII stuleciu, że wszystkie urządzenia i obyczaje musiały mieć nader wielkie podobieństwo do urządzeń i obyczajów polskich;

tak zresztą jest i naturą i instytucjami kraju swojego przejęty, a do wyrażenia mowy potocznej przywiązany, że nie może ani na chwilę wyzuć się ze swojej osobistości i przenieść się w duszę kogoś innego, ażeby jego myślami myśleć, jego uczuciami czuć, jego słowami przemawiać. Jak współczesny mu Wespazyn Kochowski, przedstawiając mękę Chrystusa, wyobrażał sobie Żydów takimi, jakich widział w miasteczkach sandomierskich, tak i on w dawnych Rzymianach widzi swoich braci szlachtę. Rzeczpospolita rzymska, jak Rzeczpospolita polska, ma swój stan senatorski i rycerski; patrycyusze i plebejusze utożsamili mu się zupełnie z tem, co miał przed oczyma. Decemwirowie i trybunowie, to dla niego „sędziowie“ tylko, bez różnicy w atrybucyach, kompetencji i władzy; i jedni i drudzy sprawują swe czynności „na ratuszu“; *civis* rzymski jest dla niego „mieszczaninem“, który chcąc dać poznać przez porównanie brak bezpieczeństwa i opieki prawnej, wspomina o opryszkach, mieszkających w okolicy Krępaku i Bieszczadu, a dla nacechowania samowładnych wyroków sędziowskich nie znajduje innego określenia, nadtureckie *emiry*. Wodzowie są tu „hetmanami“, senatorowie przedzierzgają się czasami na „wojewodów“, a żądza Appiusza oznaczona jako chęć założenia „seraju“; patrycyusze narady odbywają w kościele, jakby jaki sejmik polski; Icyli jest blizki *kobierca*, jak jaki hoży sąsiad Potockiego koło Łużnej, a Appiusz zadługo „siedzi nad talmudem“, jak rabbin małomiasteczkowy.

Ta niemożność pozbycia się przyzwyczajęń, zaciągniętych od dzieciństwa, to przejście się stosunkami krajowemi, aż do zapomnienia o różnicy czasu i miejsca, jest niewątpliwie jedną z najcharakterystyczniejszych cech naszej literatury XVII stulecia. Byli nawet tacy pisarze (Mecherzyński, Bartoszewicz), co tę cechę za dodatnią podawać chcieli. Tak n. p. Bartoszewicz, mówiąc o mówcach kościelnych

owego czasu, nie może się powstrzymać od słów uwielbienia dla ich poczucia narodowego. „Rzeczywiście — powiada — nigdy literatura nasza nie była tak szczeropolską, jak w płodach kaznodziejskich w. XVII. Wyzwoliwszy się z form rzymskich, które ją krępowały za złotej epoki, chociaż nie rozkochała się we wzorach wielkich, porywających wymowy, ale zato nawskroś przejęła się miłością ku swoim rzeczom. Dziwne tam doprawdy panuje wszędzie zaślepienie, *ale jak pocziwe, jak zacne!* Mówcom naszym kościelnym zdaje się, że wszędzie napotykają Polskę; po całym świecie spoglądają i widzą instytucye, zwyczaje polskie i nic więcej jak polskie. Zarówno w starym, jak i w nowym świecie, w biblii i w chrześcijaństwie, w Turcyi i w Jeruzolimie, wszędzie jest rzeczpospolita, są starostowie, biskupi, sejmy, wszystko tam w żupan przybrane. Chrystus Pan, to król szlacheckiego narodu, a jego apostołowie, to senat; lud izraelski to szlachta; królowie Palestyny wojują z Tatarami, bo tak się nazywają Madyanici u naszych mówców kościelnych“. (Hist. lit. pols. I wyd. str. 370). Trafność tego spostrzeżenia sprawdza się nie tylko na kaznodziejach, ale także i na poetach naszych wieku XVII; powszechność atoli zjawiska nie powinna przysłaniać nam oczu na jego wartość i znaczenie... Dostrzeganie podobieństw pomiędzy rzeczami jest jedną z najwybitniejszych cech umysłowości zarówno narodów pierwotnych, jak i dzieci; dostrzeganie natomiast różnic coraz subtelniejszych staje się wskazówką wyższego rozwoju. Jeżeli zaś w czasach i krajach oświeconych spotykamy się z takim popędem utożsamiania zjawisk, jak u nas w wieku XVII, to musimy wnosić, że wykształcenie, doprowadzające do takiego zamętu pojęć, chaotycznym być musiało. Takie wykształcenie nie wyklucza bynajmniej wielkiego zasobu wiadomości, wielkiej erudycyi książkowej, z którą lubili się popisywać ówcześni pisarze; ale nie daje

natomiast dowodów gruntowności i głębokości zdobytej wiedzy.

Ta powierzchowność w przedstawieniu stosunków politycznych, społecznych i towarzyskich, łączyła się u Potockiego z wielką obfitością słów, ale ze szczupłym zakresem wyobraźni plastycznej, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Jakoż wyprowadzone przezeń na scenę charaktery męskie, Wirginiusza, Icyliusza, Horacyusza i Waleryusza, są w gruncie rzeczy tymi samymi ludźmi krewkimi, popędliwymi, gotowymi do zwady i rokoszu, bez żadnego cieniowania, bez żadnej wybitniejszej cechy czy-to w słowach, czy w czynach. Wymowni, a raczej z naszego punktu widzenia gadatliwi tylko, rubaszni, pochopni do lżenia przeciwników, nie mają w sobie ani odrobiny powagi rzymskiej. Charaktery złe i przewrotne (Appiusz i jego pomocnik) są już czarne od stóp do głowy, a dotego nikiemne i tchórzliwe. Pierś ich nie ma przytułku dla chwilowych choćby wzruszeń, coby nad zadowolenie poziomych żądz wystrzeliwały. Pod tym względem razi przedewszystkiem postać Appiusza, przedstawiona bez żadnej godności, niemogąca niczem usprawiedliwić wyboru na decemwira: dopóki jest przy władzy, zachowuje się jak tyran; kiedy ją traci, widzimy w nim ostatniego tchórza.

O ileż świetniejsz wyglądały charaktery te same w opowiadaniu Liwiusza! Nie wdając się tu w szczegółowe ich zarysy, któreby odkrywały w każdym z nich odrębną indywidualność, zwrócę jedynie uwagę na wielce upośledzonego w *Wirginii* decemwira. Zawsze dumny przewodca partyi patrycyuszów, nie traci ani jednej cząstki ze swęj pewności siebie nawet wówczas, gdy plebejusze odnoszą stanowcze zwycięstwo, nawet wówczas, gdy śmierć niezawodna mu grozi. Ten okrutnik, co u Potockiego „drży jak ryba“, kiedy władzę utracił, ukazuje się u Liwiusza jako

człowiek niepospolitęj przytomności umysłu i rzadkiej zręczności. Jakoż bez najmniejszej obawy wobec tłumu, nie tyle broni siebie, pomijając niemal oskarżenie, ile przepowiada klęski ludowi, jeżeli sprawiedliwości nie uczyni zadość, jeżeli dla zemsty prywatnej narazi na szwank zasadnicze prawa rzeczypospolitej. „Nie przeląknę się tak dalece — mówi — nienawiści, ażebym nie miał żadnej nadziei w sprawiedliwości i miłosierdziu spółobywateli. A jeżeli bez przeprowadzenia procesu osadzony będę w więzieniu, to odwołam się do trybunów ludu i przypomnę im, ażeby nie naśladowali tych, których nienawidzą. Jeżeli zaś trybuni przyznają, że są związani w swęj swobodzie zamachem na zniesienie odwołania się, o co właśnie oskarżali decemwirów, to ja odwołam się do ludu i błagać będę o zastosowanie praw o tém odwołaniu się, praw zarówno konsularnych, jak trybuńskich, w tym samym roku wydanych. Któremuż z plebejuszów i biedaków prawa przyjdą w pomoc, jeżeli mnie, Appiuszowi Klaudyuszowi, na nic się nie zdały? Ja-to stanę się na przyszłość dowodem, czy nowe prawa utrwalają samowładztwo, czy wolność; czy odwołanie się do trybunów i ludu wrazie nadużyć urzędników jest istotnym przywilejem obywatela, lub też marną literą na pokaz“. (Ks. III, roz. 56).

Ten człowiek samowolny, wzywający praw na swoją obronę, jest niewątpliwie istotą przewrotną, ale jednocześnie okazuje on ten hart duszy, który prędkiej doprowadzi do zadania sobie śmierci, aniżeli do znizenia się i upokorzenia wobec wzgardzonego motłochu. Odwaga znoszenia następstw własnego postępowania nie usprawiedliwia naturalnie złych czynów, dowodzi atoli, że ten, co ją posiada, nie jest tchórzem nikczemnym. W opowiadaniu Liwiusza rozumiemy, dlaczego Appiusz mógł zostać jednym z tych, którym Rzymianie władzę najwyższą powierzyli; takich

ludzi bowiem lekceważyć niepodobna. Tacy też ludzie stają się doskonałym materyałem dla artysty. Ale ażeby ich należycie przedstawić, potrzeba pewnej bezstronności, potrzeba pewnego poczucia siły wszędzie, gdzie się ją napotyka, czy u ludzi dobrych, czy złych moralnie. Geniusze bezstronność taką, przedmiotowość taką w traktowaniu postaci posiadając, tworzą postacie żywe naprawdę. U Potockiego względy moralne przeważały nad estetycznymi, a raczej nie było w nim zapewne żadnego wahania się w wyborze środków przedstawienia tyrana wstrętnego. Człowiek, dla którego autor nie mógł czuć sympatyj, został odarty ze wszystkich zalet, któreby niejaki promień światła na twarz jego ponurą rzucić mogły; poeta chciał nie tylko, żeby był złym i okrutnym, żeby zatem obudził obawę i wstręt, ale także żeby nim pogardzać można, jako osobistością lichą, tchórzliwą. Jak wszyscy pisarze tym trybem tworzący, tak i Potocki nie spostrzegł się, że zwycięstwo nad tak nikczemną istotą nie robi wielkiego zaszczytu owym ludziom dobrym i dzielnym, których pokonany był wrogiem.

Postacią najładniej stosunkowo przez poetę naszego nakreśloną jest bohaterka tytułowa. Bierna jej ale wzruszająca rola w całej tej sprawie zatargu pomiędzy patrycyatem a plebejuszami przedstawiona została przez Potockiego w słowach prostych, a czasami nawet rzewnych. To właśnie, że nie pozuje, że się nie popisuje swoim bohaterstwem, że nie wie poprostu o swjej naiwnej wielkości, czyni ją naturalną i sympatyczną. Parę razy tylko zjawia się przed nami, ale za każdym razem przynosi ze sobą jakby woń świeżości, jakby atmosferę czystą i orzeźwiającą. Czy to kiedy w gronie dziewcząt niewinnym oddaje się zabawom, czyta, lub słucho opowiadania o starych dziejach, czy kiedy tak wzruszająco narzeka na „gładkość sromotną“, czy wreszcie kiedy spokojnie, bez afektacyi poddaje szyję pod nóż

ojcowski: wszędzie widzimy prostą, niewinną dziewczę, w cudnym jakimś uroku nam się ukazującą. Stądto i ta część poematu, w której Wirginia występuje, ma niewątpliwie wyższość nad resztą.

III.

Jeżeli teraz zwrócimy się do przeglądu kompozycji poematu, to przedewszystkiém przypomnieć sobie musimy, że trzecią część jego pozostawiliśmy dotychczas na boku. Trzecią tę część stanowi wstęp, w którym poeta starał się na najrozmaitszych przykładach wykazać myśl zasadniczą, przewodniczącą mu przy układzie utworu. I jakaż to myśl? Oto, że jeżeli nie wszystkich, to przynajmniej bardzo wielu nieszczęść na świecie stała się przyczyną — kobieta, czyli, mówiąc słowami autora:

Nieszczęsna z swemi białogłowa datki,
Często nam psikus, często złość wyrządza.

Ta jakaś fatalność, związana z naturą kobietą, wzięła początek jeszcze w raju, kiedy „pierwsza nasza rodzicielka“ Ewa dała się zwieść wężowi, co to jęj ofiarował jabłko „wszelkiej złości zarażone jadem“, gdyż „pożute“ przezeń — bo jak objaśnia nasz poeta, wąż nie miał przecież ani rąk, ani widelców, któremi by mógł „frukt nieszczęsny“ podać niewieście... A Ewa tak była naiwną (autor mówi: głupią), że nie tylko nie „obłupała“ oślinionego przez węży fruktu, ale go nawet może nie otarła... Odtąd usposobienie kobiece ma w sobie coś jadowitego:

Lecz nie stanęła ta zaraza w Ewie;
Wszystka biała płeć tym jabłkiem otruta,
Chytra, zazdrosna, niewściągniona w gniewie,
Pyszna, i większa trzyma się jęj buta
I swoich złości kiedy przestać nie wie...

Przez pierwszych 15 strof poeta, rozpoczynając od zburzenia Troi i od jabłka Parysowego, przebiega w krótkości dzieje tych, co powabom białogłowskim uległszy, nie-szczęścia na siebie i innych ściągnęli: a więc mówi o potopie, o Sodomie, Dawidzie, Samsonie, Salomonie, „Zuzanistach“, córkach Lotowych i t. p., robiąc przytęm wycieczki w prawo i w lewo, moralizując lub szydząc.

W strofie 16-tęj powściąga swoją „muzę“, ażeby powróciła „skąd poczęła“, przypomina sąd ostateczny, na którym „każdy sam na się będzie miał kobuza“ — a potem wylicza (w strofie 17 23) przykłady pogan, wstrzemięźliwością słynnych. Figurują tu Hippo i Milesia, Sofronia „konterfekt czystoty“, Demokles, Aleksander W., Penelopa.

Po tęm zwiedzeniu rozmaitych zakątków świata starożytnego, przechodzi wreszcie poeta do Rzymu, gdzie „stek wszystkie grzechy, wszystkie miały zbrodnie“, ale tęż zarazem był i cnót wielkich przybytek, gdyż, jak mówi, Rzymianie

Gdyby pod nowym żyli testamentem,
Rzadki, któryby nie był dzisiaj świętem.

Jako wzór wstrzemięźliwości i panowania nad sobą, stawia Scypiona Afrykańskiego, uważając go za większego od Agamemnona, Herkulesa, Argonautów i Achillesa, co motywuje uwagą:

Co mi za rycerz, choć kto wojska gromi,
Kiedy go lada dziewczysko uskromi...
Siebie zwyciężyć większej u mnie wagi,
Niż szturmem Troje, albo brać Kartagi.

Szeroko tedy opowiada czyn powściągliwości Scypiona, kiedy przywiedziono do niego piękną Kartaginkę, a on, do-

wiedziawszy się, iż była obiecana Allucemu, przywołuje go i oddaje mu narzeczoną¹⁾.

Jakby dla kontrastu z tym czynem wstrzemięźliwości, opowiada autor od strofy 39 do 45 haniebną postępek Tarkwiniusza z „cną Lukrecją“, żoną Kollatyna, która, wyjawivszy mężowi swą hańbę, sama się zabija. Kilku strof następnych używa poeta, w celu przedstawienia rozpaczliwych Kollatyna, poprzysiężenia przezeń zemsty, buntu w obozie i mieście, tudzież wygnania tyranów. A ponieważ przy ich wypędzeniu postanowiono uśmiercić każdego, co by albo radził, albo sam się napierał królem być, więc w trzech strofach (49--51) przytacza autor przykłady tych, co gardło dali, z powodu posądzenia o pragnienie korony; a więc mowa o Manliuszu (którego nazwisko przekreślono w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ na *Monsiasz*) i Meliuszu.

Nie potrzeba podobno długo rozwodzić się nad tém, że wstęp taki w stosunku do całości jest niepomiarne długi i zamiast uwydatniać myśl zasadniczą, zaciemnia ją tylko. Wszystkie przykłady przez poetę przytoczone, dowodzące nieszczęść spowodowanych przez kobiety, nie mają właściwie zastosowania w historii Wirginii; śmierć jej, choć sama przez się smutna i bolesna, a jak mybyśmy powiedzieli, tragiczna, przyniosła w rezultacie nie klęskę, lecz szczęście dla Rzymu, poprowadziła do usunięcia decemwirów, do politycznego zrównania stanów, i zainaugurowała najświetniejszy okres w dziejach Italii starożytnej. Mówię to naturalnie nie z punktu widzenia historycznego, gdyż dzieje wykrywają głębsze i liczniejsze powody wymienionych prze-

¹⁾ Ten sam wypadek opowiada Potocki w „Wojnie chocimskiej“ (część VII.):

Tak wielki Lubomirski Achillesa w męstwie,
W wspaniałem Scypiona wyrównał zwycięstwie.

mian, ale jedynie stawiając się na stanowisku poety, który powiązał tragiczny zgon Wirginii z walką plebejuszów i patrycyuszów. Poeta jednak miał na uwadze nie te skutki, lecz jedynie fakty bolesnych uczuć dla ojca i narzeczonego, fakty zamieszek i krwi rozlewu, których przyczyną, choć zupełnie niewinną, stała się kobieta. Pod takim to kątem patrzył on na „smutną przygodę Wirginii“ i to go poprowadziło do opatrzenia téj przygody we wstęp, tak nieprzyjazny dla rodu „białogłowskiego“. Niechęć jego jednak względem kobiet nie ma w sobie nienawiści wypływającej z jakiejś zasady; jest ona raczej wybuchem krewkiego temperamentu, który nie przebieając w słowach, może się dopuścić gwałtowności jaknajwiększych, ale niebawem ochłonnawszy, sam się dziwi swemu zapędowi. Człowiek z takim temperamentem może być nieprzyjacielem kobiet na chwilę tylko, może je obrażać słowami niesprawiedliwymi i bolesnymi; lecz wkrótce udaje się w pokorę i zyskuje łatwo przebaczenie. Taki temperament miał i autor „Wirginii“. Wygadawszy się dostatecznie przeciwko kobietom, w końcu uczuł potrzebę pohamowania pióra i przypomnienia sobie reguły że „z damami“ należy sobie „trochę skromniej“ poczynać...

Potęgę ich uznaje w zupełności i dobitnymi choć niewybrédnemi słowy wyrazić ją umie:

A tuć najwięcej może żądza oczu,
Skoro się na co cicho z sercem szepnie,
Ustalonego tam trzeba poboczu (?),
Jeżeli je kto zatrzyma i zepnie;
Lecz trzykroć większa potęga w warkoczu,
Który jako raz oko z sercem siepnie,
Choćby z szczerzego było dyamentu,
Przydzie się łamać i paść od impetu (*strofa 25*).

Ciekawy jest ten wstęp i pod względem układu swego, odsłania nam bowiem sposób tworzenia poety. Ani chro-

nologia, ani etnografia nie kierowały nim w wyborze i uszeregowaniu przykładów, któremi tezę swoją poprzec usiłował. Widzieliśmy tam dzieje i podania greckie, pomieszane z dziejami i podaniami hebrajskimi; widzieliśmy Penelopę po Aleksandrze Macedońskim, córę Lotowe po „Zuzanistach“ i t. p. Wzgląd artystyczny mógłby być upatrzony w zestawieniu historii Scypiona z historią Tarkwiniusza, gdyż kontrast pomiędzy nimi jest widoczny; ale rozpatrzenie innych części każe nam raczej policzyć owo zestawienie na karb wypadku, niż rozmyślnego, świadomego siebie poczucia artystycznego. Jedynym kierownikiem poety w szeregowaniu przykładów jest zwykłe kojarzenie się myśli; kiedy im bieg swobodny zostawimy, wówczas pewne dane usposobienie nasuwa nam różnorodne obrazy, bez żadnego jednostajnie a ściśle porządkującego następstwa, ale stosownie do praw stykania się tych obrazów w czasie lub przestrzeni, stosownie do tego, jak te obrazy niegdyś w duszy naszej powstały. W poemacie naszym usposobienie takie wyrażało się pewną niechęcią względem białogłów; ono też nasunęło poecie całe szeregi wspomnień w ten sposób, że jedno wspomnienie wywoływało drugie. Temu tłumowi wspomnień poeta stawiał niekiedy opór, nawołując muzę do porządku; ale zanim zdołał ją w ten porządek wdroić, napisał 51 strof, to jest 408 wierszy... Rzecz godna uwagi, że pierwszém wspomnieniem, które w stancie ujął, było podanie klasyczne, opiewane przez pierwszorzędnych poetów Grecyi i Rzymu — podanie o zburzeniu Troi:

Stara nowina u całego świata,
Jako szkaradnie dla swego uporu
Upadła Troja wielka i bogata,
Że dotąd miejsca ani znajdziesz toru.

Widocznie poeta miał przedewszystkiém na myśli poetów poprzedników, widocznie świat klasyczny wywierał

nań potężne wrażenie. Dopiero kiedy wspomnienie tego podania przyniosło mu obraz Parysa, darzącego jabłkiem Wenerę „mimo cnotliwe“, przypomina sobie, że jabłko było także przyczyną wygnania pierwszych ludzi z raju, którzy z niego wyszli przyodziani w „baranie kozuchy“. Podanie to znowu nasuwa poecie uwagi o niepomiarkowaniu żądz, które podżega niewiasta, co ze swęj strony wywołuje wspomnienia tych, co żądzom tym ulegali...

A tak samo jak ogólne szeregi przykładów, i pojedyncze także ustępy kojarzeniem się myśli powołane zostały do bytu. Ażeby się nie rozszerzać zbytecznie, zwrócę jedynie uwagę na owe trzy strofy, w których autor opowiada o smutnym losie tych, co podejrzeni byli o pragnienie korony w Rzymie... Ich przykłady nie są udowodnieniem głównej tezy; nie są też w związku ścisłym ani z poprzedniami, ani z następnymi obrazami; istnienie ich w tém miejscu można sobie wytłómaczyć jedynie tą okolicznością, że strofa 48 kończyła się opowiadaniem o postanowieniu Rzymian karania śmiercią żadnych władzy królewskiej.

W samém opowiadaniu o smutnej przygodzie Wirginii mniej jest niewątpliwie zboczeń od głównego tematu; tu bowiem trzymało wyobraźnię poety na wodzy chronologiczne następstwo wypadków, któremu, jak wiemy, wiernym pozostaje. Nie przeszkadza mu to jednak do umieszczania kiedyniekiedy ustępów luźnie tylko z całością związanych, a ustępy te tém się różnią od stanowiących początek utworu, że nie są faktyczne, ale moralizujące. Dają nam one poznać pewne przekonania autora, malują jego usposobienie ze stron innych, niż niechęć względem niewiast. Patrzy się on surowo na świat sobie spółczesny, a porównując go do narodów pogańskich, co to nie wiedząc nic o nagrodzie wiecznej, „ważyli drogo towary cnoty“, dodaje

Gdzie śmierć i miejsce raczej miały mary,
Niżby miał dobry w cnocie przyjsć ku szkodzie;
Tyle w ich sercach świecka sława może,
Co w *naszych* niebo nie sprawi, o Boże!

Dewocya ówczesna przejmując go oburzeniem, które
lubuje się w przeciwstawieniu prostego, cichego życia Wir-
ginii plotkarskim nałogom kobiet XVII stulecia:

Nie dziś-to, nie dziś, odpuście, dewotki,
Wszystkie kościoły obiegać i tasze (?),
Święto nie święto, bez matki, bez ciotki,
Gdzie snadnie w lada zszedłszy się poddasze,
Jedne na drugą albo bajać plotki,
Albo o swoim każda *będać* gasze.

Przejęty wstrętem do takiego próżniaczego niby nabo-
żeństwa, powiada, że dobry uczynek wystarczy „za cztery
nieszpory“.

Wśród tych moralizujących ustępów, znajduje się jeden,
który, przedstawiając nam w autorze, obok goryczy i sar-
kazmu, tkliwe także usposobienie, posłuży nam jednocześnie
do określenia *czasu*, w którym powstała „Smutna przygoda
Wirginii“. Opisuując boleść Wirginiusza, kiedy mu wypadło
odnawiać ranę serca, by pomścić zgon swęj córki, wyraża
poeta zdanie, że największy żal obudzają dzieci:

Nikędy nas śmierć nie kalęczy gorzej,
Jako gdy dzieci dorosłe nam morzy...

Strata rodziców ciężka jest wprawdzie, ale „kto
pierwěj na świat, pierwěj z świata schodzi“; śmierć w mał-
żeństwie bolesna także, ale i tu „szkoda nagrodzona“; toż
samo da się zastosować do zgonu krewnych lub przyjaciół.
Inaczěj rzecz się ma ze śmiercią dzieci, zwłaszcza dorosłych:

Tu serce, rozum, natura zgwałcona,
Kiedy nam wdzięcznej i kochanej młodzi,
W której tu żyje, a choć i umiera,
Znowu człek ma żyć — nadzieję odbiera.

W tém miejscu czyni autor zwrot do samego siebie:

Nikt lepiej rany opisać nie może,
Albo choroby, jako ciężko boli,
Nad tego, który w sercu czując noże,
W wiecznego smutku zostaje niewoli.
Aż nim i mnie nawiedziłeś, Boże!
Ani go w domu, ani go na roli
Wyzuć strapiona może moja dusza!...

Z tego ustępu widzimy, że poemat ten pisał autor po stracie dzieci, a więc po roku 1673, gdyż w tym właśnie czasie zmarł Potockiemu syn Stefan, a następnie inne jeszcze dzieci. Data zatem 1652 r., umieszczona na urywku wynalezionym przez Nowoszyckiego, a drukowanym niegdyś w *Athenaeum*, okazuje się mylną. Zdobycie tej wiadomości ważnem jest z tego mianowicie względu, że nie możemy „Smutnej przygody“ poczytywać za utwór młodzieńczy, któryby należało postawić w początku zawodu piśmienniczego, ale za owoc wieku dojrzałego, kiedy działalność Potockiego wiérzopisarska i poetyczna była w stadium najbujniejszego rozwoju. Wielka tedy ilość ustępów już-to faktycznych, już moralizujących, nie wynikała u niego z braku doświadczenia, ale raczej z jego nadmiaru: wiek dojrzały nasuwał dużo wspomnień, które się domagały uwzględnienia, i dużo refleksyj, które mimowoli pod pióro się wciskały. Nadało to całości utworu pewien *styl gawędziarski*, w którym akcesorya niezmiernie wiele zajmują miejsca, zasłaniając sobą plan główny obrazu.

Co do dykcyi, nie będę się nad nią rozszerzał. Wiadomo już dzisiaj, że makaronizmy w poezyi naszej XVII wieku pojawiają się bardzo rzadko i można nawet powiedzieć: wyjątkowo. I w poemacie Potockiego makaronizmów niéma, są tylko wyrazy łacińskie, które przyjęły zazwyczaj końcówkę polską. Mnóstwo jest wyrażen jędrnych, wiele maksym zwięzle wyrażonych, chociaż z drugiej strony styl

bardzo często bywa zawiły, przekładnie forsowne, a przenośnie nieraz trywialne. Znana to rzecz, że poeci nasi wieku XVII nie czuli estetycznej miary w rozróżnianiu siły od rubaszości, prostoty od trywialności. W poemacie Potockiego nieraz spotkać się można z takimi wyrażeniami, jak *hicel*, *psia żądza*, *rozjadł się Appiusz jak pies*, *Troja napiła się piwa po same dziurki własnego warzywa* i t. p. Niema tu wprawdzie nagłego spadku wyżyn wzniosłości na padół popolitości, jak to bywa u innych poetów owego czasu, ale to dlatego chyba, że scen prawdziwie wzniosłych nie znajdujemy tu wcale.

Estetyk nie znajdzie bezwątpienia w „Smutnej przygodzie Wirginii“ wielkich i silnych wzruszeń, któreby mu pozwoliły nad jej pięknością się rozwodzić; ale psycholog i historyk literatury nie może obojętnie pomijać utworu, w którym pozna zarówno indywidualne cechy twórczości jednego z lepszych pisarzy, jak niemniej ogólne znamiona umysłowe tak ciekawej chwili cywilizacyjnej, jaką u nas przedstawia wiek XVII, pełny chaotycznej różnorodności pierwiastków, na wyrobienie fizyognomii jego składających się.

1881.



Z KSIĘGZNI
WŁADYŚŁAWA WĄDRUSKI
W KRAKOWIE.

V.

EPOPEJA Z CZASÓW SASKICH.



Jakkolwiek wiekopomne zwycięstwo, przed dwustu laty pod Wiedniem nad Turkami odniesione, nie przeminęło bez poetycznego odgłosu w piśmiennictwie narodowém; odgłos ten atoli nie odtwarzał całej rozległości i wspaniałości radosnego okrzyku, jakim rozbrzmiała pierś chrześcijaństwa, na wieść o pogromie mahometan.

Najczystszym, najodpowiedniejszym ówczesnemu nastrojowi serc pobożnych tonem była bezwątpienia *Psalmodya polska* Wespazyana Kochowskiego, stylem biblijnym dziękująca Bogu za dobrodziejstwa zlane na Polskę od wieków a zwłaszcza w tym pamiętnym 1683 roku; przy całej wszakże swej piękności poemat ten prozą pisany, jako utwór liryczny, nie mógł już z natury swej być wszechstronnym wyrazem wielkiego czynu dziejowego, lecz stał się wyrazem skupienia ducha rozpamiętywującego wszechmoc Boga i niccość zabiegów ludzkich, stał się wyrazem serca zbolełego widokiem nieszczęść, jakimi kraj oddawna był trapiiony, a na chwilę tylko rozradowanego tępem, czego rodacy jego dokonali. Drugi utwór tegoż poety: „Dzieło boskie, czyli pieśni Wiednia wybawionego“, o wiele słabszy od poprzedniego, wskutek bardzo ogólnikowego sposobu przedstawienia całej sprawy, nie mógł uwydatnić ani wszystkich czynników w niej działających, ani też upamiętnić w myśli i uczuciu potomnych tego, co na poetyczne upamiętnienie zasługiwało.

Inni poeci, Kochowskiemu spółcześni, sławiąc odsiecz Wiednia, zadanie sweje pojęli i wykonali bardziej jeszcze jednostronnie, jako wyśpiewanie panegiryku na cześć głównego bohatera wyprawy. Zarówno Wojciech Stanisław Chrościński („Trąba wiekopomnej sławy Jana III“) jak i Jędrzej Wincenty Ustrzycki („Sobiesciados seu de laudibus Joannis Magni libri quinque“), opiewając czyny Sobieskiego za jego życia, bezpośrednio po otrzymaném przezeń zwycięstwie, nie mogli się oczywiście ustrzedz od chwaleczej przesady i pochlebstw. Epicki spokój, nie wyłączający zresztą bynajmniej głębokiego uczucia, spokój, który zazwyczaj dopiero po pewnym upływie czasu od danych wypadków bywa możliwym, nie mógł stać się udziałem tych poetów, co pod tchnieniem okoliczności wzięli za pióro.

Gdybyśmy się radzili świadomości publicznej, a nawet dziś rozpowszechnionych historyj literatury; toby wypadło, że na powyższych dziełach poetyckich skończyło się uwielbienie Polaków dla czynu, którym wobec Europy chlubić się lubili i chlubić się mogli. Co więcej, to przekonanie tak jest ugruntowaném, iż nieraz słyszeć się daje wyraz zdziwienia, dlaczego odsiecz wiedeńska, historycznie donioślejsza od zwycięstwa chocimskiego w r. 1621, nie wywołała żadnej epopei, a przynajmniej takiego poematu historycznego, jakim jest „Wojna Chocimska“ Wacława Potockiego.

Zdziwienie to częściowo tylko jest uzasadnioném. Istotnie w języku ojczystym niema utworu, któryby przeciwstawić można utworowi Potockiego; ale epopeja (a przynajmniej jej próba) o odsieczy wiedeńskiej istnieje; napisał ją Polak w języku łacińskim. Pochodził on z Wielkopolski a w pamiętnym 1683 roku miał lat 20 i był znany w zakonie pijarskim pod imieniem *Jana Damascena od Matki Bożej*. Jako młody i zdolny, niewątpliwie przejmował się wrażeniami, których świetne czyny rycerstwa polskiego do-

starczały, i czytał, co o tem społeczeńsi, poważani przez naród wieszczowie pisali; do pióra się jednak nie brał, lubo już zapewne wtenczas miał ku niemu pociąg. Dopiero w lat 30 przeszło po wielkim wypadku, może zachęcony przez Stanisława Rzewuskiego, wojewodę podlaskiego, na którego dworze przez lat kilka pełnił obowiązki teologa i kaznodziei, ogłosił obszerny, z górą 10.000 wierszy obejmujący poemat, gdzie z ogólniejszego niż dawniejsi poeci stanowiska walkę chrześcijan z nawałą muzułmańską pod Wiedniem przedstawić się starał stylem epickim, szeroko się nad wszystkimi ważniejszymi zdarzeniami, okolicznościami i czynami rozwodząc. Tytuł utworu *Viennis* ¹⁾ wskazuje, że tu nie idzie o wystawienie zasług i przewag jednego bohatera, lub o pozyskanie sobie albo zakonowi łaski króla, już nieżyjącego, ani jego synów, nie mających w Rzeczypospolitej znaczenia; lecz o sprawę wielkiej doniosłości historycznej, o sprawę, w której wzięto udział liczne rycerstwo chrześcijańskie. Że i autor *Wiennidy* miał bliższą, bezpośrednią pobudkę do napisania poematu, że i jemu chodziło o odszczególnienie pewnych osobistości: to wątpliwem być nie może, gdyż się uwidoczniło zarówno w obszernej dedykacyi do Jana Koniecpolskiego jak i w samym tekście utworu. Ta wszakże pobudka nie przesłoniła poecie wzroku, gdy się po obszarze dziejów rozglądał i w ich świetle wielki

¹⁾ Całkowity tytuł tego poematu jest: *Viennis memorabil Turcarum obsidione felicissimo Leopoldi I imperio, insigni Joannis III Victoria, Principum S. R. I. auxiliis, ducum procerumquo Poloniae fortitudine, Asiae exitio gloriosa. Illustrissimo ac excellentissimo domino d. Joanni comiti in Koniecpole et Brody Koniecpolski palatino Syradiae, ejusdemque belli Viennensis in theatro Martis actori meritissimo Vectigali musa Joann. Damasceni a Matre Dei Scholarum Piarum Sacerdotis consecrata. Varaviae, Typis S. R. M. in Collegio Scholarum Piarum, Anno D. 1717, w 4-cc, kart nrb. 16 i str. 415.*

czyn rozpatrywał; potrafił on wyróżnić i odpowiednio uwzględnić działalność jednostek a zarazem nie zapomnieć o ogólnem znaczeniu owęj sławnej chwili historycznej.

Jak współcześni oceniali dzieło Jana Damascena, nie wiemy dotychczas nic zgoła. Najbliżsi potomni zapomnieli o nim tak dalece, że nawet skrzętni zbieracze wiadomości bibliograficznych długo pomijali ten zakonny pseudonim, który przecież nietylko na tym jednym utworze wyczytać mogli, aż dopiero historyk pijarów, Szymon Bielski, przypomniał czytelnikom swęj książki, że Jan Damascen od Matki Bożęj to Kaliński, „znakomity poeta i mówca, który pracami swemi i poezjami rozstawił i siebie i swój zakon“ ¹⁾. Przypomnienie to wszakże skutecznem nie było, jak się okazuje z faktu, że w dwa lata po Bielskim piszący swoję „Historyę literatury“ Feliks Benthowski ani słówka o autorze *Wiennidy* i wielu dzieł innych nie wzmiankował. W sześć lat potęm Hieronim Juszyński w „Dykeyonarzu

¹⁾ Oto spis dzieł wydanych przez Kalińskiego, oprócz *Wiennidy*: I. Poęma heroicum in solemni ad cathedram suam ingressu Stanislai comitis in Słupów Szembek, Archiep. Gnesn., Primatis et primi principis Regni Poloniae et M. Duc. Litvaniae, in fol. Vars. 1710. — II. Penegyris in solemni nuptiarum actu Stanislai Potocki supremi M. Duc. Litv. excubiarum praefecti et Mariannae Rzewuska Palatini Podlachiae et supremi Ducis exercituum Regni filiae, in fol. Vars. 1712. — III. Epithalamium w języku polskim na toż wesele, in fol. Vars. 1712. — IV. Elegiarum libri IV, in 4°, Vars. 1713. — V. Lyricorum libri V, in 4° Vars. 1715. — VI. Poęma epithalamium in solemni nuptiarum actu Joannis Kontski, praefecti generalis Podoliae, et Victoriae de Szczuka, procancellarii M. Duc Litv. filiae, carmine heroico scriptum, in fol. Vars. 1719. — VII. Auges Siderum (zbiór różnych wierszy), in 8°, Vars. 1720. — VIII. Contiones pro singulis anni dominicis et festis, 2 tomy in fol. Vars. 1724. — IX. Atomini Minores, 2 części in 8°, 1731. Ta ostatnia praca, zawierająca wykład retoryki i zbiór wzorów, wyszła już po śmierci autora, gdyż ks. Kaliński umarł 1726 r.

poetów polskich“ pomieścił *Jana Damascena* (I, 58) jako autora *Wiennidy* i drugiego jeszcze utworu, ale nie zapisał jego właściwego nazwiska; a gdy przyszedł do litery K., zamieścił wyrazy: *Kaliński Damascen* (I, 162), ale po wiadomości o nich odesłał do dziełka Bielskiego, jakby to była całkiem inna osobistość niż ta, o której sam poprzednio już wspominał. Późniejsi rzeczywisci badacze literatury nie zastanawiali się w swych pracach nad wiekiem saskim, a kompilatorowie, składowcy podręczników, nie zwykli byli dodawać części własnych studyów do tego, co skądinąd wypisywali. Tym sposobem stało się, iż w żadnym dziele, traktującym historią literatury naszej nie znalazło się miejsca dla Kalińskiego.

Nie myślę bynajmniej utrzymywać, żeby przez to miała być wyrządzona piśmiennictwu naszemu jakaś wielka krzywda, iżby pominięto jakieś arcydzieło poetyckie; w każdym atoli razie sądzę, że wobec ubóstwa literatury naszej z czasów saskich nie wypadało wyrzucać z rejestru autora niewątpliwych zdolności i utwor, który nie zadawalnia wprawdzie wymagań artystycznych w całej pełni, który nie jest zupełnie godnym wyrazem czynu opiewanego, ale który ponad poziom powszechnych w owym czasie panegirycznych rament wznosi się wysoko.

Korzystając więc z chwili uczczenia zasług wielkiego Turków zwycięscy, nie od rzeczy podobno będzie zastanowić się bliżej nad poematem, zasługi te w czasach saskich po swojemu uwielbiającym. Ponieważ mała jest nadzieja, ażeby ktoś zechciał odczytywać 10.000 łacińskich heksametrów, szersze zatem streszczenie utworu odpowie może potrzebom czytelników.

Pomijam wierszowaną przemowę do Jana Koniecpolskiego, w której autor wysławia czyny jego przodków różnej

budowy wierszami; zajmować ona mogła w swoim czasie, a dla historyka tej rodziny dostarczyłaby może jakiego ciekawego drobiazgu; szerszego interesu nie obudza, a panegiryzmem swoim źle usposabia czytelnika dzisiejszego dla poety.

Poemat sam jest-to utwór podzielony na ksiąg 12 jak Eneida, a mający być według zamiaru poety epopeją w tém pojęciu, jakie sobie o tym rodzaju poezji wytworzył humanizm i neoklasycyzm. Jak wiadomo, według tego pojęcia, epopeja, której wątek wzięty być musiał z dziejów bohaterskich całkiem lub napół prawdziwych, nie mogła się obejść bez tak zwanęj „cudowności“, to jest bez uwidocznienia w plastycznych postaciach wpływu potęg nadprzyrodzonych na bieg rzeczy ziemskich. W przeprowadzeniu tego postulatu wyobrażenia chrześcijańskie mieszano z mitologią politeistyczną i tworzone sztuczny, zupełnie konwencyonalny świat nadzmysłowy, w który samemu nawet poecie wierzyć było trudno. Ks. Kaliński, trzymając się przyjętej reguły, musiał naturalnie dać i chrześcijanom i muzumanom patronów pozaziemskich, coby ich radą i pomocą wspierali. Bóg i aniołowie a nadto bóstwa klasyczne Mars, Wulkan stają po stronie chrześcijan; księżyc zaś, uosobiony w bóstwo, a przezwany z grecka Febe, wraz z księżną piekielną Tyzyfoną opiekują się nieprzyjaciołmi krzyża. Autor jednak, obdarzony niewątpliwie silnem poczuciem rzeczywistości i w pomysłach swoich lubiący się jęj trzymać, postaciami temi posługuje się jak najrzadziej, a nadto wprowadza częstokroć uosobienia wprost allegoryczne, sądząc, że plastyczne uzewnętrznienie dobrych lub złych skłonności ludzkich, lub też przeczuć i rozmyślań, albo wreszcie zjawisk przyrody wywrze większy poetyczny skutek. Jeżeli więc np. chce powiedzieć, że wódz węgierski Tökeli zawrzał nienawiścią względem domu austriackiego; to przedstawi „Ty-

zyfonę“ zatruwającą „jadem nieufności“ dary przesłane Tōkelemu przez uosobiony „Honor“. Jeżeli Sobieski zasnąć nie może, spodziewając się wieści o postępie przedsięwziętej wyprawy; to uosobione „Zwycięstwo“ przynosi mu pożądane wiadomości. Jeżeli noc ciemna nastąpiła, to jest to według poety sprawka Feby dla ochrony Turków od pościgu wrogów.

Te ogólne spostrzeżenia trzeba mieć na pamięci, chcąc sprawiedliwie ocenić pomysły autora *Wiennidy* i sposób ich przeprowadzenia.

We wstępie wzywa poeta muzę, ażeby, ugiąwszy kolana, uczciła potężnych bohaterów, z których każdy mógłby świat cały do uległości sobie przywieść, gdyby „wielka cnota sama się w swych granicach nie utrzymywała i gdyby istotna potęga nie poprzestawała na małym, lubo wie, iż może żądać więcej i nazewnątrz i wewnątrz“. Jacyż-to bohaterowie? To cesarz Leopold i król polski Jan III. „Wola łaskawego nieba — mówi autor — udzieliła ziemi to dobrodziejstwo, iż jeden wiek wydał, jeden czas wielbić mógł tak wielkich wojowników i rządców narodu. Pierwszy rozciągał panowanie czcigodne nad ojcami łacińskimi i, znajdując odgłos przychylny wśród ludu, rozkazywał zwycięsko wszędzie tam, gdzie się Giermania przez rozległe ciągnie kraje, gdzie Dunaj i Ren szerokie nurty swe toczą. Drugi to dzielny król Sarmacyi, któremu bałtycka Tetyda i morze Czarne obszerne oblewają kraje i ludy, ogólnem mianem Polaków objęte. Rozproszone po różnych ziemiach szyki połączyło Niebo jedną chwałą i zapaliło rzetelną dobrą ogólnego miłością wodzów, na których spłynęła olbrzymia sława z karków arabskich i ze krwi zwyciężonego Bessa ¹⁾).

¹⁾ Na oznaczenie Turków poeta używa wprawdzie wyrazów: *Turcae*, *Bisurmani* i *Othomanni*, lecz chętniej daleko po-

Zajaśniało zbawienie dla Rzymian; Austria i państwa teutońskie stanęły zwycięsko, a nadzieja Wiednia spełniona. Pycha hemońska już wtedy doświadczyła, o ile Niebo może więcej nad śmiertelników ramiona, bo gwiazdy pomagają ręce, nie pociskowi; mały zastęp pod dzielnym wodzem jest potężniejszy niż niezliczone siły tyrańca“.

Ustęp powyższy wart zastanowienia. Wskazuje on nam do pewnego stopnia oświecenie, w jakim poeta przedstawiać będzie Leopolda: jest to pomazaniec boży, bogobojny, łagodny, sprawiedliwy, mądry, wylany dla dobra państwa, którym rządzi. Zapytać się można, skąd pochodzi ta czci pełna ocena charakteru cesarza, a zwłaszcza skąd to zestawienie prawdziwego bohatera, jakim był Jan III, z nominalnym, jakim w odsiecz Wiednia okazał się Leopold? Ba! żeby tylko zestawienie! Ależ autor jak na wstępie tak i później daje cesarzowi pierwsze miejsce, wymieniając go zawsze na czele... Czyżby zrobił to przez nieświadomość? Takie przypuszczenie znajdzie odparcie w dokładnej znajomości szczegółów wykazanej w ciągu utworu. Czyżby autor, a przynajmniej zakon pijarów spodziewał się od następców Leopolda łask jakich i dobrodziejstw? Ażebym rzucić takie posądzenie, trzeba by było mieć pewne poszlaki. Czyby prostsze wyjaśnienie dziwnego dla nas zjawiska nie dało się odszukać w wychowaniu klasztorńm? Wówczas powszechnie jeszcze w szkołach przedstawiano cesarzów niemieckich jako władców świętego imperyum rzymskiego, jako

sługuje się klasycznymi nazwami ludów, co niegdyś zamieszkiwały kraje, zajęte później przez muzułmanów. Tak więc rozumie autor Turków, pod następną terminologią: *Aedones, Alani, Bactri, Bessi, Bistones, Daci, Geloni, Getae, Haemonii, Hunni, Odrysii, Ortus, Othrys, Rhodopes, Taurogetae, Thraces*. — Tatarów zwykle zowie *Scytami*. Ogólna nazwa *Barbari* obejmuje i jednych i drugich.

spadkobierców Rzymian, dla których miano samę cześć i uwielbienie. Takie pojęcie ogólne o cesarzu ś. imperyum mogło spływać w szczególności i na Leopolda. Prócz tego chęć przeciwstawienia barbarzyństwu tureckiemu samych dodatnich postaci również może wpłynęła na pojęcie roli Leopolda niezgodne z tém, co historia podaje. Poeta nasz, jakby był dworakiem cesarza austriackiego, wymieniając nazwiska Jana III i Leopolda, zawsze przestrzega przyjętej etykiety, zawsze wprzód kładzie cesarza; lubo z drugiej strony, czując się Polakiem, jakby dla zażegnania patryotycznych wyrzutów sumienia, imię Jana III pisze i drukuje większemi niż Leopolda literami... Dodać wreszcie należy, że etykietalne przodownictwo Leopolda nie robi uszczerbku istotnym króla polskiego zasługom: Jan III, jak w rzeczywistości tak i w poemacie zajmuje stanowisko naczelne; o nim poeta mówi najwięcej; jego czyny opisuje szeroko; gdy tymczasem Leopold pojawia się jako wzór cnoty i doskonałości przeważnie w scenach ceremonialnych, jakby dla podniesienia ich uroczystości, dla nadania cesarskiego blasku całemu otoczeniu.

Wróćmy do 1-jej księgi *Wiennidy*. Po zagarnięciu pod swe panowanie znacznej części Azji i Europy, Turcy nie nasyconą żądzą władzy pędzeni dążą do coraz-to nowych podbojów. Pokonawszy Węgrów, Kroatów, Morawów i Słowenów (*Slavi*) illiryskich, przechodzą do krajów austriackich, niszcząc je ogniem i mieczem; zjawiają się wreszcie pod murami Wiednia. Cesarz, uważając — jak mówi nasz poeta — iż dogodniej będzie mógł zaradzić potrzebom miasta poza miastem, przenosi swą siedzibę do Linzu, a widząc słabość sił swoich, ucieka się, jako pan bogobojny, o pomoc do Nieba.

Tu poeta stwarza fikcją allegoryczną, która wypełnia resztę księgi 1-jej. Fikcja ta powstała z chęci uwydatnienia

faktu, że organizacją wyprawy krzyżowej przeciw bisurmanom zajmował się kościół. Jest ona znośna w pomyśle; ale w wykonaniu trochę śmieszną się staje. Oto cesarz poleca „Religii“, ażeby szła do nieba z prośbą o posiłki. „Religia“ usłyszawszy rozkaz „boskiego króla“ (*divini regis*) zarzuca wędzidła na dwugłowe orły cesarskie i zapręga je do gwiazdzonego wozu Północy (Niedźwiedzi). Na tym zaprzęgu przebywa regiony powietrza, grzmotów, śniegu i ognia. Wtém zatrzymuje ją Księżyc, Turkom przyjazny; Religia atoli grozi mu gniewem Najwyższego i przez niezliczone zastępy gwiazd, po śnieżnym moście drogi mlecznej dostaje się do Empireum, gdzie zanosi prośbę do „straszliwego króla Niebios“ (*formidandus Polorum rex*) za cesarzem. Bóstwo, w postaci ludzkiej, na wysokim tronie, z matką u swego boku, otoczone aniołami i „mocami“ doznaje wzruszenia na widok łez Religii i na zanesioną prośbę odpowiada: „Wiemy, że się Trak uzbroił; westchnienia Rzymu i modły ukochanego cesarza dostają się do nas przez powietrze: dzieje się to z wolą naszą; Wschód się zapala na własną zgubę i popiół; pozwoliliśmy wrogom z Azji spaść na was w całej ich sile, ażeby bogobojny cesarz i północni panowie z tém większą sławą tryumfowali nad Turkami; od mścielskiego miecza Polaka padnie szalony Otrys, padnie niegodziwa Febe, Gieta przyspiesza swój los; jakież wojny mogłyby zaszkodzić berłom, które opłaciłem niegdyś krwią własną! Anioł cesarstwa pośpieszy na waszą ziemię, a jemu myśl nasza jest znana; ty królowi rzymskiemu powiesz, że wszystko pójdzie pomyślnie; reszty dokona anioł towarzysz“. Po tej chłodnej, niby dyplomatycznej odprawie. Religia wraz z Aniołem-stróżem cesarstwa udają się na ziemię. Anioł zapewniwszy Leopolda, iż wróg zwyciężonym będzie, przelatuje do Włoch, ażeby ich władców do wojny z Turkami pobudzić; nareszcie przechodzi

na Kapitol, dziwiąc się jego przepychowi i sądząc, że się tu nowe gwiazdy zapalają. Udawszy się do papieża Innocentego XI, przekłada mu konieczność zajęcia się sprawą państwa rzymskiego i nalega na nieodzowną potrzebę pozyskania pomocy Jana III. Tu zachodzi zabawna okoliczność. Zdawałoby się, że Anioł, znający myśl Boga, więcej i dokładniej powinien był wiedzieć niż papież. Tymczasem poeta, nie chcąc może ubliżyć ojcu świętemu, większą mu przyznaje świadomość rzeczy; papież bowiem oświadcza aniołowi, że już porobił starania o związek państw chrześcijańskich i że już pozyskał Jana III dla świętej sprawy, jak mu o tem doniósł legat Pallavicini. Usłyszawszy tę radosną wiadomość, Anioł opuścił dwór rzymski i przeleciał na dwór cesarza. Na tem się kończy jego rola tak, jak już poprzednio skończyła się rola Religii. Że cała fikcja była zbyteczna, nie potrzeba szeroko dowodzić. Niebo nie dopomogło ziemi nawet radą, gdyż wszystkie przygotowania do sojuszu chrześcijan przeciw muzułmanom porobił sam papież. Jedyną usługą, jaką strwożonemu chrześcijaństwu oddało, było frazeologiczne zapewnienie o przyszłym jego zwycięstwie. Gdyby takie zapewnienie mogło się było odbyć w rzeczywistości, dodałoby zapewne otuchy rycerzom; w poemacie atoli jest całkiem niepotrzebnym; czytelnik bowiem wie już zgóry, po czyjej stronie będzie wygrana, i wiadomość przez Anioła przyniesiona traci dla niego interes.

Od zmyślenia przechodzi ks. Kaliński w II-jej księdze do rzeczywistości. Cała teraz uwaga i jego i czytelnika zwraca się na Jana III. Jakkolwiek król polski pałał chęcią złamania, w związku z Niemcami, potęgi tureckiej, nie mógł przecież lekceważyć praw kraju i musiał zgodę na swe postanowienie u sejmu wyjednać. Na sejmie jedni byli przychylni, drudzy przeciwni zamiarowi króla. Autor nie od-

krywa tajemnych sprężyn, kierujących głosami posłów, lecz ogólnie tylko zaznacza motywa podawane przez tych i tamtych.

Rzecz godna uwagi, że poeta-zakonnik, przedstawiając głos zwolenników wyprawy, nie kładzie nacisku na potrzebę obrony chrześcijaństwa; wspomina o niej wprawdzie, ale pobieżnie na równi z innymi powodami; akcentuje natomiast tę okoliczność, że obrona cesarstwa jest w gruncie rzeczy obroną kraju własnego i że Austriacy pomagali Polakom w wojnie ze Szwecją. Przeciwnicy zamiaru królewskiego nastają na potrzebę pokoju, na słabość sił wojskowych, na wyniszczenie kraju, na obojętność Niemców w czasie niedawnej walki Polaków ze Wschodem, a wreszcie na fatalne znaki niebieskie: kometa, deszcz krwawy, piorun, co uderzył w wieżę zamkową, na ukazywanie się różnych potworów, a to wszystko tłumaczą na niekorzyść przedsięwzięcia wojny z Turkami.

Król darami i obietnicami potrafił pozyskać niechętnych dla swęj myśli, a w końcu zdołał obudzić wśród spółziomków zapał do wyprawy krzyżowej. Poleciwszy się w Częstochowie opiece Matki Boskiej, zrobił pod Krakowem przegląd wojska, odwiedził kościół św. Stanisława, a otrzymawszy błogosławieństwo nuncjusza, ma wyruszyć. Tu poeta chcąc przerwać jednostajność okrzyków marsowych czulszemi dźwiękami, przypomniał sobie pożegnanie Andromachy z Hektorem i rozstanie się Dydony z Eneaszem, a skombinowawszy te dwa wzory, opiewa scenę czułości z męstwem w pożegnaniu króla z królową. Na odgłos surm bojowych, królowa, która dotychczas wydawała się całkiem spokojną, „ledwie władnie sobą; członki jęj zlodowaciały; bolejąca pada w objęcia służebnych“; a gdy przyszła do siebie, rzewnie przemawia do małżonka, ażeby i sam nie szedł na wyprawę i synów z sobą nie zabierał

i jej nie opuszczał. Na jej skargi i zaklęcia odpowiada mąż jako rycerz chrześcijański w te słowa: „Modłą postępowania panujących nie to jest, czém się zwykle pospółstwo i pary małżeńskie rządzą; dwór królów poświęca się dla pożytku państwa a nie dla korzyści własnej; prywatne troski muszą pójść na stronę. Czy Sarmata czy Teuton, czy Boreasz czy Auster zażąda dowodów ręki zbrojnej, trzeba jednakowo śpieszyć tronom na pomoc; dla mnie ojczyzną jest każda ziemia, która stoi otworem do sławy i zasług. Bronić Rzymu nakazuje sama religia; męstwo lubi wieńce obce. Czyż gnuśnić mamy? Czyż kto inny ma pochwycić należną za zwycięstwo nagrodę? Przestań, proszę, wstrzymywać zbrojnych; wiesz, jakiego męża jesteś żoną. Jednakowy na obie głowy spłynie wieniec po zwalczeniu Bessa; jednakowego też z obu stron trzeba poświęcenia. Krótka chwila wynagrodzi się wiekiustą a nad wyraz piękną sławą kolejną“. Po tej przemowie, któraby mogła charakteryzować raczej odezwany ideał rycerza żadnego chwały, niż naszego bohatera, król szybko uścisnąwszy obecnych, udał się do obozu. Zachowanie się dworu a zwłaszcza królowej godnem było podniosłych uczuć, jakie król wyraził. „W przedsionku — mówi poeta — cichy poszept się szerzy, gdyż wstyd było jęczeć otwarcie; ciche tylko łzy są bezpieczne; małżonka przestaje się skarżyć na losy Marsowe, i ona również nabiera wielkomyślniej odwagi, gdy rozpamiętywa dzielne swego męża serce i przyszłe laury“.

Obóz rozciągał się od Krakowa do gór Karpackich. „Zbiegła się tu pod swemi chorągwiami — objaśnia autor — cała doborowa, do walki przygotowana siła, jaką obszerny kraj sarmacki rozporządzał; zbiegli się tu panowie i wodzowie, których zwycięski laur, niejednokrotnie na nieprzyjaciela zdobyty, zalecał. Miłość sławy pobudzała wszystkich; wstyd było pozostać w granicach ojczystych, gdy sam król

szedł na czele, by i na obcej też ziemi zdobywać palmy, których tysiące już zebrał nad Dniestrem, Seretem, Prutem, nad gnuśną Propontydą i nad Dunajem, przejmując strachem tyranów muzułmańskich. Ile tylko kwiatu wydaje w szczęśliwych nurtach Wieprz (— powiadają, że go wygrzebał ryj szczeciniastej świni, skąd też nazwę zatrzymał, lubo większą rozlał się rzeką); ilu tylko żywi rogatym orzechem woda Bugowa ¹⁾, albo Styr o trzciniowych włosach, albo straszna Jowa (?), albo krwawe od licznych rzezi scytyjskich i dackich, strażą krajową obronne fale Dniepru — ileż one wyrzucają szyszaków, ile pawęży, a rozlawszy się szerzej szybko unoszą w progi morza Czarnego. Wielu też wojowników dostarcza Prypeć, wielu Berezyna i Turya i Alba napawająca bydło pruskiego wieśniaka; wielu też Warta o brzegach zarosłych i Prosna zalewająca Wielkopolan, gdy z brzegów wystąpi, i nurty Sanu i miałka Pilica i bystry Dunajec i kamienisty Poprad; Pasovius (?) wiele na wojnę zbiera mieczów. Schodzą się też i ci, których Drwęca obmywa i Pregla pruska, i ci, co piją z rybnej Noteci i przezroczystej Dżwiny i z Dubissy, i ci, których karmi królowa Wisła; ci słowem, których otaczają brzegi morza Czarnego i Bałtyckiego; piękna krew przodków, przesławny kwiat lechickiej Północy“.

Zrobiwszy przegląd tego kwecia, król oddzielił pięć tysięcy rycerzy i, oddawszy ich pod dowództwo Sieniawskiego, każe pośpieszać przez Szlązk ku Wiedniowi, zachęcając do znoszenia trudów słowy, w których oddaniu poeta, pomimo starania o erudycyą klasyczną i nieklasyczną, zdołał kilka prawdziwie dzielnych tonów uwydatnić: „Szlachetna garstko, wykarmiona sławą rodzicielki sarmackiej, pój-

¹⁾ Autor prawdopodobnie zbliżał wyraz *Bug* z *bukiem* (*buczyna*).

dziesz na barbarzyńców; trzeba okazać dowody starodawnej cnoty, a przodkom wstydu nie przynieść. Nie jakieś nieznane Pylos, nie rozlane brzegi Gangiesu, nie dzikie morze Ameryki, ani odległa Tule, lecz Trak, nieraz już przez nas pokonany, do boju wyzywa. Znana dzielność Sarmatów... Co nam po dawnych dziejach, kiedyśmy świeżo z łaski Marsa zgnębili Otrysa, broniącego zamków chocimskich. Przyznaję, iż cała chluba należy się waszym mieczom, waszym ramionom; przez was zbladł Hemus, gdyście rozestali trupy po polach i murach dackich; przez was Dniestr spływał czarnym od krwi strumieniem. A czémże gnuśny tłum Propontydy? Mówi o tém laur niemirowski i Komarno i zrumienione bagna Kałusza i sto miejsc innych, do dzisiaj trupami zawalonych. Sława ta waszym należy się prawicom; jam świadkiem, jakie to były zapasy. Teraz znowuż na Zachodzie wszczyna wojnę i pragnie świeżych na Teutonie zwycięstw ten, co go za pastwę dłoni sarmackiej uważano. Pamiętny klęski niedawnej, czyż się oprze? czyż niezłękniomy patrzeć będzie na miecze nasze ten, któremu dotychczas może ciężka rana dolegą? Zda mi się, że idę na zabawę, nie na potrzebę Marsową. Najwyższa atoli sława czeka nas jeszcze; tyle państw, tyle miast, cesarstwo i dom cesarski (— dość bezpieczne pod swym monarchą —), wam będą winne tylu obywateli, tyle bogactw, tyle słodkich z dzieci pociech; jakież większy nad ten zaszczyt być może?

W księdze III-jej widzimy już wojsko nasze w pochodzie zdążające ku Szlązkowi. Autor podnosi i zaznacza pobożność króla. Już w zapale widziano się nad brzegami Dunaju, nad Cisą, Renem i Skaldą, gdy noc położyła kres tym marzeniom, zmuszając do odpoczynku w Będzinie. Podczas gdy król nie mogąc zasnąć, rozmyśla o przyszłych walkach, Mars przychodzi do obozu polskiego, zagrzewa rycerstwo, sam staje na czele, niosąc buńczuk (*jubam*) kró-

lewski. Szląskie miasto Tarnowskie-Góry pierwsze gościnnie podejmuje Polaków. Tu łączy się z królem hetman w. k. Jabłonowski. Król znowu spędza noc bezsennie i ma widzenie. Ukazuje mu się starzec Silesus, uosobiony opiekun kraju, i przypomina dawne dzieje. „Z początku — mówi — znosił Szlązk wędzidła lechickie, posłuszny rozkazom wodzów, których cnota Marsowa ponad innych wyniosła, których szlachectwo z dawnych pochodziło wieków. Gdy bowiem Lech od iliryskich do wiślanych brzegów się przeniósł wraz z zebranem wojskiem, tu siedlisko wojskowe założył; my byliśmy pierwszym łupem Lecha, stąd dopiero rozciągając panowanie nad sąsiednimi plemionami, ustawił kolebkę sławnego Gniezna“. Przebiega następnie w krótkości losy Szlązka aż do chwili, gdy tenże dostał się Austrii. Właśnie, gdy skończył swą opowieść, zjawia się uosobiona Austria błagając króla o przyspieszenie pomocy. Zestawienie to nie jest oczywiście bez ukrytej myśli, lecz poeta nie chciał wyzyskiwać go w celu patryotycznym, tylko wprost jakby pragnąc upowodować nocne widzenie, opowiada, iż nazajutrz przybył rzeczywiście poseł cesarski Caraffa donosząc, że Turcy w pierwszym napadzie na Wiedeń doznali porażki, lecz jednocześnie prosząc o przyspieszenie posiłków, co też król obiecuje. Następnie przez Gliwice i Radnau zdąża wojsko polskie do Raciborza. Radość wieśniaków na widok obrońców wyraża poeta w formie mitologicznej: satyrowie i dryady składają Polakom cześć jakby bogom. Na radzie wojennej w Raciborzu król przekłada, że należałoby, pozostawiwszy ciężko zbrojnych z hetmanem, z lżejszym wojskiem pośpieszać co prędzej do Wiednia; pomimo opozycji Jabłonowskiego i innych wodzów, którzy nie chcieli pozwolić, ażeby król się narażał, myśl Jana III utrzymuje się i urzeczywistnia. Poeta uwydatnia radośne okrzyki mieszkańców miast, przez które wojsko polskie przechodziło,

i skromność króla w przyjmowaniu hołdów. Gdy rycerstwo dotarło do Ołomuńca, Lubomirski przyłączył się ze swemi chorągwiami, lecz niebawem wysłany przez króla, podążył przodem. Wojsko natomiast pod dowództwem Sieniawskiego, naprzód wysłane, tu się z resztą oddziałów zjednoczyło. Podwójna tęcza i orzeł nad wojskiem kołujący przejęły patrzących otuchą i pewnością zwycięstwa.

W księdze IV-ój przenosi nas autor do Niemiec, zaznaczając podrażnione a niezaspokojone ambicje książąt-elektorów, roszczących pretensye do naczelnego dowództwa. Gdy to spadło całym ciężarem na króla polskiego, uspokoił się książęta, ale zaczęli utyskiwać na opóźnienie się Jana III. Wtedy właśnie przybyły Lubomirski pociesza ich nadzieją rychłego ukazania się króla i wraz z księciem lotaryńskim, stacza pomyślną walkę pod Stuckerau z Turkami i Tatarami; poeta notuje, że w bitwie téj zginęło tylko 6 Polaków, 18 Niemców. Obaj téż osobiście donoszą o tém zwycięstwie królowi, który bawił wtedy w Hilbrunie (Heiligbrunn), dokąd przyjeżdżają następnie i inni elektorowie. Jan III przechodzi do Stedeldorfu, gdzie go podejmuje właściciel zamku hr. Herdeck (sic). W sali zastanawia króla gobelin (*paries acu pictus*), na którym przedstawione były sceny z powstania Węgrów. Król ciekawie dopytuje się o szczegóły, a hr. Herdeck objaśniwszy rzecz w krótkości, że jest to obraz tych klęsk i nieszczęść, którym dopiero Jan III koniec położyć może, wręcza mu książkę napisaną wierszem łacińskim przez „poetę cesarskiego“, przedstawiającą szczegóły owych rozruchów.

Cztery następne księgi (od V do VIII włącznie) obejmują wielki epizod na wzór epopei starożytnych. Autor wszakże w wykonaniu tego epizodu musiał z konieczności zastosować się do zmienionych obyczajów. Dawniej zasiadano przy biesiadzie i słuchano cierpliwie opowiadania,

choćby bardzo rozległego, o przygodach bohatera; w czasach nowszych już się ten zwyczaj nie praktykował; gdy pismo i druk zostały rozpowszechnione, już można było się obejść bez długich ustnych narracyj. W poemacie ks. Kalińskiego król nie mogąc zasnąć, jak zwykle, odczytuje wręczony sobie utwór, opisujący początek i różne koleje sporu pomiędzy cesarzem a Węgry. Rzecz ta była bezwątpienia potrzebna, najprzód dla dokładniejszego wyjaśnienia początku wojny, którą oręż Jana III miał rozstrzygnąć, powtórę dla przerwania jednostajności, jaka w poemacie z powodu jednorodnych wypadków zapanować musiała, i dla urozmaicenia opisu pochodów i bitew opowiadaniem o weselu i zabawach; wreszcie może w myśli autora wypadało na nowo wprowadzić na widownię epicką cesarza Leopolda, o którym przez trzy poprzednie księgi nic zgoła niepodobna było powiedzieć. Choćbyśmy jednak wszystkim tym względom ważne przyznali znaczenie, trudno nie zauważyć, że epizod w stosunku do całości zanadto jest długim, zajmuje bowiem część trzecią całego poematu i na długo odrywa myśl od wątku głównego. Na zaletę wszakże autora to zaznaczyć wypada, że w zakończeniu epizodu zręcznie o ten wątek zahacza, ażeby następnie snuć go już bez przerwy wokoło osoby istotnego bohatera.

Oto w najkrótszym streszczeniu zawartość tego epizodu. Po wyśpiewaniu raz jeszcze pochwał Leopolda, poeta zauważywszy, iż herezye rozrywają jedność państw, chwali edykt przez cesarza przeciw odszczepieństwu wydany. Korzysta jednak z tej okoliczności Erynnis, która wzięwszy na siebie postać Wolności pobudza Petroczego do powstania przeciwko władzy cesarskiej. Rozruchy w Węgrzech wzrastają, zyskują wpływowego przewodcę w Wesselinie a następnie w Tökelim. Autor nie żałuje ciemnych barw dla odmalowania niewdzięczności Węgrów wogóle a Töke-

lego w szczególności. O ile cesarz rządzi się łagodnością i wyrozumiałością, o tyle Tökeli postępuje zdradliwie i przewrotnie. Cesarz, chcąc go sobie zjednać, oddaje mu za żonę Rakoczanę; zdaje się, że stosunki ułożą się zgodnie; przygotowania do ślubu odbywają się uroczystie; w tém lichy przyplątuje się do téj sprawy. Do podarunków bowiem, które na żądanie Łaskawości wygotował Wulkan, Tyzyfone domieszała „jadu nieufności“, a do złota przydała żelazo; stąd dary dla panów węgierskich a mianowicie dla Tökeli wywierają skutek wcale niepożądany. Tökeli ukrywa wprawdzie głęboko swe wrogie zamiary względem cesarza, jedzie do Wiednia, składa hołd Leopoldowi, który przeznacza swego syna Józefa na króla węgierskiego; — ale gdy się upewnił, że pomoc Turków pozyska, występuje zaczepnie. Właśnie w chwili, gdy Pallada nauczwała Józefa, jak ma rządy sprawować, donoszą, że Turcy jako sprzymierzeńcy Węgrów wpadli w granice cesarstwa. Zbiera się rada przy boku cesarza, na której postanowiono prosić króla polskiego o pomoc.

Przeczytawszy powyżej streszczony poemat, Sobieski (w księdze IX-jej) pałając żądzą pokonania wrogów, wybiera trudniejszą ale krótszą drogę pochodu na Tuln. W czasie przeprawy przez Dunaj, rzeka ta uosobiona wita króla i wojsko, przepowiadając niewątpliwe zwycięstwo. Wojska polskie i niemieckie schodzą się na jednej równinie. Poeta opisuje położenie jednego i drugiego obozu, wspaniałość wodzów i świetność oręża. Jak w Illiadzie jest wyliczenie i krótka charakterystyka okrętów greckich, tak i w *Wienidzie* znajduje się takiż katalog chorągwi i wodzów albo też tych, co je własnym kosztem wystawili, lubo osobiście w obozie nie byli. Katalog ten rozpoczyna się od Niemców, ale o nich mówi autor niewiele, a z wodzów trzech tylko charakteryzuje: księcia lotaryńskiego, elektorów: saskiego

i bawarskiego. Szczególniejszego uwzględnienia a t $\acute{e}$ m bardziej pochlebstwa dla elektora saskiego ni $\acute{e}$ ma. Bezporównania obszerniej rozpisuje si $\acute{e}$ o chorągwiach polskich, poprzedziwszy ten opis ogólną pochwałą husarzy i pancernych. Z 40 wodzów i fundatorów chorągwi tu wymienionych najszczegółowiej mówi o królewiczu Jakóbie, o podkanclerzym Janie Gnińskim, o hetmanie w. ks. Stanisławie Jabłonowskim, o hetmanie polnym ks. Hieronimie (Mikołaju) Sieniawskim, o wojewodzie krakowskim Feliksie Potockim, a zwłaszcza o Janie Koniecpolskim, któremu, jak wiemy, *Wiennidę* dedykował. Kończy si $\acute{e}$ ta księga przemową Marka de Aviano kapucyna, który dając rycerstwu błogosławieństwo papieskie na wojnę świętą, do łez je pobudza.

W księdze następnej (X- $\acute{e}$ j) przedstawia poeta trudy pochod $\acute{u}$ przez góry, gaszenie pragnienia winogronami na nich rosnącemi, schodzenie z gór trudniejsze jeszcze od wstępowania. Staje wreszcie wojsko na wyżynach, z których widać oblężony Wiedeń. Ażeby dać poznać bliżej wodzów nieprzyjacielskich i siłę wrogiego wojska, autor wprowadza na widownię postać epizodyczną, jakiegoś zbiega a właściwie szpiega, którego schwytały czaty polskie i stały wobec króla. Zbieg ten opowiada o niezliczonej liczbie sił tureckich, przedstawia osobistości Kara-Mustafy, Kara-Mechmeta, Ibrahima, Chidira, Husseima i innych dowódców tureckich, nadto Mehmeta Gereja wodza tatarskiego, Syrwana Kantakusena księcia mołdawskiego, Dukasa — wołoskiego i Tökelego. Król, lubo si $\acute{e}$ przekonał o właściwym charakterze zbiega, puścił go, ażeby oznajmił wezyrowi o przybyciu Polaków. Wojsko przepędza noc pod bronią.

Nazajutrz 12 września następuje bitwa. Opis j $\acute{e}$ j stanowi przedmiot księgi XI- $\acute{e}$ j. Sławi autor dzielność i przewagi Niemców, wyżej jednak stawia zasługi Polaków a przede wszystkim ich króla; rozpisuje si $\acute{e}$ dość szczegółowo nad

rozmieszczeniem wojska, mówi, jak i gdzie stała konnica, piechota i artylerya; wylicza główniejszych dowódców. Ruchy wojsk cesarskich przedstawia w krótkości, obszernie natomiast maluje dzieła męstwa i zręczności ze strony rycerzy polskich, poczynając od króla.

„Król sarmacki zdobi czoło uszykowanego wojska, nie chcąc, ażeby więcej od niego znosił trudów ktokolwiek z wodzów, a nawet którykolwiek żołnierz; pragnie pójść na miecze i w pierwszych walczyć szeregach, gdzie grad ołowiu spada obficie i gdzie dziki Alan napiera. Na boje niesie króla rumak o płowej sierści, z głową podniesioną do góry, z dumnym wejrzeniem, które co do blasku wyrównywało łuskom pierś osłaniającym. Kark okryty grzywą wysoko się wznosi, a wieńczy go czoło okazałe, jakiego nie miał ani Aryon ani Pirois grecki, chociaż jeden ciągnął słońca wóz z kości słoniowej, a drugi posłuszny był wędzidłu Adrasta. Noga o suchym goleniu, do chyżej jazdy stworzona, przewyższała nawet lotne skrzydła ptaków. Pierś jego sama Gracya pielęgnuje, a ruchy i siła z umiarkowaniem złączone; boki jakby do żgania wielkimi ostrogami, lecz wystarcza sam cień różyczki, gdyż koń zna usposobienie pana. Zdawałoby się, że stąpa po powietrzu, a nie po zielonej łące, dumny z królewskiego jeźdźca, którego szyszak błyszczący równa z trackim Marsem, co strachem szpik zmrażającym przejmuje. Złota łuska pokrywa nietkniętą pierś wodza; u boku miecz; ramienia chroni powęż; z bark spływa purpura temezyjskiego przepychu. Przed królem, jak zwyczaj każe, kroczy w promiennej zbroi jeździec, któremu przypadła chwała niesienia znamienitej Tarczy przed majestatem. Ta wojenna egida Sobieskich, dawny rodu zabytek, którym Marsowa dzielność krwi królewskiej w świetle Lechitów się odznacza, przez który blask Sobieskich łączy się z gwiazdami patrycyuszowskiemi, — przewyższa dwunasto-

krotny puklerz Ajaksa (*bissenos orbes*) ¹⁾ i większy postrach obudza niż Perseuszowa Gorgona. Podle giermka stąpa chorąży, niosący skrzydło umocowane na włóczni; ten bowiem znak zwykło się dawać dla rozpoznania berła“.

„Do walki król Lechitów staje najpierwszy, po przed wodzami Północy, wódz wyższy nad wolę losów. To strudzone pokrzepia siły nowym oddziałem, to wychwala dzielność, z jaką ktoś znosił rany, to żądnych walki pobudza do jeszcze większej zajadłości... Co więcej, jak tylko ujrzał, że płomienie trackie gęstszemi się stają, sam wszedłszy w szyki lechickie, potykał się z wrogiem, nie nie dbając na ciężki grad kul, co ze wszech stron padały, lubo tuż u jego boku jakiś dzielny młodzian, chcąc gorliwością wywiązać się ze swych względem króla obowiązków runął pod koniem, któremu kula armatnia (*atrox pila tormentaria*) urwała kark i wraz z sobą w próżne uniosła powietrze“.

Po królu dwaj hetmanowie Jabłonowski i Sieniawski zasłużyli sobie u poety na szczegółową pochwałę. W opisie zaś starcia się z prawem skrzydłem tureckim wymienia poległych po dzielnej walce: Potockiego starostę halickiego, Modrzewskiego, Totomira, Zbąskiego; a nadto walczących z powodzeniem: Zbierzchowskiego i Sołtyka.

Sławi też dzielność i wodzów niemieckich; opisuje śmierć księcia Croy, Henzyka; a o wojsku wogóle tak się odzywa: „Gdy takie trudy na prawem skrzydle siła zastępów sarmackich ponosi, na lewem, nie gnuśniejąc, młodź giermańska wypada i z równymże zapałem walczy za wielkiego cesarza. Ród-to zresztą zaprawiony do wojny i mozołów; niemal pierwsza chluba Marsa, czy-to trzeba było zdobywać mury, czy też ogniem wśród ognia prażyć. Jak

¹⁾ Właściwie tylko siedmiokrotny, z siedmiu skór złożony, jak go Iliada opisuje.

dowódcy, tak i wszyscy natenczas Teutonowie wielkim pałali żarem i potężnie gnębili nacierającego Gietę, dopóki prawicą zadawać było można klęski Gradywa; Turek bowiem ufny w lekkiego i chyżego konia szybko napadał wprost na tłumy, a zwróciwszy wędzidło mógł nanowo toczyć boje, lekceważąc wszelką burzę czy płomieni, czy kul; stąd więc zastępy Cymbrów, dziką otoczone wściekłością, bronią się albo pociskami, albo wprost chyżym koni biegiem“.

Szyki Turków złamane; przemowa Kara-Mustafy nie skutkuje; chan tatarski nie chce walczyć z Sobieskim i ucieka, czy to że mu się dosyć dało we znaki męstwo króla, czy też że go ujęły obfite podarunki, „które lepiej scytyjskie łuki do poddania się przywodzą, aniżeli miecz“ — jak dodaje poeta. Za Tatarami poszli Turcy a wreszcie i sam wezyr. Polacy w szyku bojowym ścigają wrogów i opanowują obóz przepełniony bogactwami. Ciemna noc spowodowana przez przyjazną Turkom Febę, co się w Hekatę przemieniła, nie pozwala na dalszy pościg.

Księga XII-a jest właściwie epilogiem, w którym bohaterowie cieszą się wynikami swego zwycięstwa nad pokonanym i do ucieczki zmuszonym wrogiem. Uwolnieni od obłężenia mieszkańcy Wiednia wychodzą za mury, by się rozpatrzeć po obszerném pobojuwisku, by braci, dzieci i mężów ciała odszukać. Król wraz z wojskiem opuszcza krwią ociekły obóz, a następnie zwiedza zniszczone miasto; Staremborg gościnnie go wraz z książętami podejmuje; podczas uczty odzywają się armatnie wiwaty. Gdy się cesarz bawiący w Durensteinie z ust hrabiego Avensberga o pogromie Turków dowiedział, radość jego była wielka, ale większém jeszcze — jak mówi poeta — pragnienie uściśnienia tej prawicy, co tak dzielnie powściągnęła miecze

barbarzyńców. Statkiem więc co prędzej pośpiesza pod Wiedeń.

Autor nie chciał najlżejszym nawet cieniem przyćmić blasku tych dni radości i upojenia, jakie po dokonaniu wielkiego czynu nastąpiły; nie chciał psuć pięknej harmonii uczuć zgrzytliwym tonem zawiści i niewdzięczności; a wreszcie pragnął utrzymać Leopolda w tym charakterze, jaki mu nadał od początku. Dlatego też w opisie spotkania cesarza z królem polskim wolał wyrazić, jak się ono odbyć było powinno, aniżeli jak się odbyło w rzeczywistości. Cesarz — według poety — pragnął przedewszystkiem udać się do namiotu króla. Gdy się wieść o zbliżaniu jego rozeszła, „król siedząc na wspaniałym koniu, przykrytym świeżo z łupów tureckich zabranym czaprakiem, chyżo staje na czele zastępów Północy; a gdy już rumak cesarski zwolna dochodził do zwycięskich orłów wojsk obu, śpieszy na spotkanie; na rozległej równinie łączą monarchowie swe prawice: zajaśniało złotawe niebo, kiedy te purpurowe słońca zdwojonem światłem zabłysnęły: jedno promieniejące laurami i trofeami, drugie — wieńcem koron... Potem nastąpiła rozmowa i giesta o spólnem porozumieniu świadczące, oraz uśmiechy z miłą słodyczą zmieszane — światu na pociechę, Turkom na grozę“... W uroczystem przemówieniu cesarz zapewnia, że po Bogu najwięcej zawdzięcza królowi polskiemu. „Ty — powiada — zesłany zostałeś jakby anioł, ażeby przed gromami bizantyńskimi zasłonić Północ i państwo rzymskie; wyznaję, że wszystko, czego w boju mężnie dokonano, dziełem jest męstwa twojego; zwycięstwo stało się twoim niewolnikiem, ażeby użyżnić nasze grunta... My zawsze przed całym wyznawać będziemy światem, ileś zrobił dla rzymskiego tronu i domu cesarskiego“. Po tej przemowie znów nastąpiły uściski, a Jan III odpowiedział krótko a skromnie, tytułując cesarza w liczbie mnogiej, podczas gdy

Leopold mówił do niego: ty. „Dla was — powiada król w epopei ks. Kalińskiego — gwiazdy krążą, dla was walczyliśmy i my, a zwycięstwo, cesarzu, tylko w ślad za waszém prawem postępuje. Tajemną sztuką Bóg rządzi światem i niebem, lubo na siedzibę obrał sobie gwiazdy zdala od ziemi; tak i majestat wasz, lubo, mając słuszne powody, przebywał zdala od szyków zwycięskich, całą wszakże siłą był przytomny i pokonał Gielonów. A ta drobnostka, która za dzieło ręki naszej uważana będzie, wyszła również ze zrządzenia siły i myśli Najwyższej, nie ludzi; im więcej wymagają wiara święta i sojusze, tém więcej jest męstwa, ażeby z całych sił na wasze pracować laury“.

A jak sam król, tak i syn królewski Jakób doznał — według poety — „uścisku i usłyszał pochwały z pięknych ust cesarza rzymskiego“. Wojsko też polskie uczył Leopold w poemacie ks. Kalińskiego słowami pełnemi uznania dla jego dzielności. „Nie wstyd monarsze — mówił on oglądając szyki — że winien życie i całość domu waszym chorągwiom, na których nie widać prawie nic ziemskiego, tylko bóstw twarze i gwiazdy niebieskie. Takim duchom powierzyłby straż sam dwór boski, a cóż dopiero ziemski ród królów i Rzym. Przez wieki potomne przejdzie imię wasze jako zwycięsców Azji, obrońców Wiednia i naszych; do zaczętych dodajcie tylko dalsze usiłowania, ze zwykłym wam męstwem“.

Gdy po odpoczynku i wymianie grzeczności postanowiono ścigać Turków dalej, król Jan wraz z księciem lotaryńskim wyrusza ¹⁾, przeprawia się przez Dunaj, przybywa do Komarna, skąd ma się udać do Ostrzyhomia,

¹⁾ Zaznaczyć wypada, że wzmianki o znalezionym w Fischau obrazie Matki Boskiej niema w poemacie.

gdy podstęp przyjaznej Turkom Feby naraża wojsko polskie na klęskę.

Febe, przybrawszy postać Dyany, wybierającą się na łowy, łączy się z wojskami bisurmańskimi, a przedstawiając się paszom jako pokrewna rodem Amazonka, prosi ich i zaklina, ażeby gęsto obsadzili zbrojnymi miejsce przez nią wskazane. Sama zaś jako Dyana wywabia z lasu zwierzynę, ażeby ściągnąć w owo miejsce lubowników myślistwa. Polacy i sam król wpadają w zasadzkę. W bitwie zaciętej ginie wojewoda pomorski Denhoff i wierny jego sługa Gutowski, oraz Siemionowski, Gałęzowski, Kaliński starosta bractawski, któremu autor, jako swemu krewniakowi zapewne, dłuższą poświęca wzmiankę: „Wśród tej wrzawy, na prawém skrzydle Kaliński, dowódca husarzów, pociągnąwszy za sobą chorągiew Dąbskiego, rzuca się naprzód i woła w słuszném oburzeniu: Toż ma zachwiać zwycięstwo sarmackie ten łupiesca, któregośmy niedawno jakby trzodę rozeznali, którego przyrzekliśmy w obliczu króla lechickiego oddać związanego w moc cesarza, ażeby ciężkie nosił kajdany! Ha, wstyd! raczej tutaj pozbyć się życia niż przeżyć hańbę, którąby cały świat się brzydził. To powiedziawszy, chyżo podążył w tłum wrogów. Bellona ujęta wiosenną pięknością lica, usiłuje pohamować wodza, lubo widzianą być nie chciała; więc to w tył cofa porzucone lejce, to zatrzymuje prawicę, to pociski, chociaż świadoma jest śmierci, o której oznajmiły jej wieszcz siostrzyce. Kaliński żywo bodzie rumaka i tylekroć powstrzymywaną rękę wyciąga do boju. Jakież bóstwo — mówi do siebie — nie pozwala mi iść na śmierć? Jeżeli twarde losy chcą unieważnić poprzednie zwycięstwa Lechitów, to czyż mam żywy patrzeć na tyle dzielnych mężów mieczem Bessa zabitych? Śmierć lepsza od habiebnego życia. I wspaniałym wysiłkiem zmiata szyki istryjskie i do ucieczki zmusza. Przed nim jednym

pada cały tłum Turków bez pewnego nazwiska. Nie mniejsza jest wściekłość Azyatów, gdy dzielne karki stracają a i ciebie, gwiazdo Kalińskich pomimo oporu Bellony; padasz ofiarą dla kraju; muzy cię nasze nigdy dość opłakać nie będą mogły; przez wieki źródło hipokreńskie lać będzie łzy, odświeżając wieńce zielenią niezmienną“.

Nazajutrz król postanowił powetować klęskę wczorajszą; szczęście tą razą sprzyjało; wzięto do niewoli dwu paszów, a Karamechmet i wezyr ranieni, ratują się ucieczką. Poddanie się Parkanów i Ostrzyhomia wieńczy trud Polaków.

W zakończeniu poeta prosi Muz, ażeby na korze permeskiego lauru wyrznęły uwieńczone imię Jana, „co — jakby ojciec królów i świata — tarpejskie (rzymskie) wzgórza mieczem zasłonił, Cymbra i Hunnów (Niemców i Węgrów) ocalił i stał się tarczą cesarstwa a Wiednia obrońcą“.

Z samego streszczenia poematu widać zalety jego układu. Istotnie, oprócz wad i usterek, zaznaczonych już w opowiadaniu treści, niewiele dałoby się zarzucić kompozycji *Wiennidy*. Odznacza się ona jasnością i ładem, znać, że autor panuje nad przedmiotem i unie ująć go w kształty, któreby czytelnikowi najwyraźniej rzecz uwidoczniły. To panowanie nad treścią sprawia, że poemat wydaje się chłodnym, całkiem na zimno wyśpiewanym. Rzeczywiście, porównyując go np. z „Wojną Chocimską“ Potockiego, nie znajdziemy w nim tego uniesienia i zapału, który z jednej myśli do drugiej przebiega, jedno uczucie drugim potęguje, przechodząc z tonu opowiadawczego lub entuzjastycznego w sarkastyczny lub kaznodziejski; ale równocześnie nie znajdziemy tych nierówności, tych zboczeń, tych przerw wątku, co z niespokojnej, zbyt ruchliwej wyobraźni, nie krępowanej pewnym rozumnym planem, wynikają. Nie należy wszakże

mniewać, iż ks. Kaliński nie spółcuje wogóle z tém, co dobrego opowiada, lub że wielkim czynom odpowiedniego wyrazu nadać nie umie. Przeciwnie, sława ojczyzny przejmie go do głębi; wielkość wypadków i czynów pojmuje doskonale; lecz podmiotowym wybuchom, jak na epika przystało, nie daje się uzewnętrznic, przekonany, że samo przedstawienie faktów potrafi w czytelnikach obudzić uczucie właściwe.

Utwór więc ks. Kalińskiego odznacza się rozumnie ułożonym i przeprowadzonym planem i stanowi zaokrągloną artystyczną całość. Pod tym względem ma on wyższość nad wszystkimi poematami historycznymi, jakie literatura nasza przed wiekiem XIX posiadała. Przyznać należy, że sam przedmiot opiewany — jedna walna bitwa — dopomógł autorowi do utrzymania się w granicach jedności artystycznej, gdy np. Potocki zmuszony opisywać znaczną liczbę utarczek, nie zdołał prócz chronologicznej, innej jedności w utworze swym zachować. Że jednak z tego z zewnątrz dostarczonego ułatwienia umiał autor *Wiennidy* korzystać, i to mu za zasługę poczytać można.

W kreśleniu charakterów poszedł Kaliński za zwyczajem wówczas w epice przyjętym. Psychologiczna charakterystyka nie była jeszcze wtedy znana: poprzestawano więc na odmalowaniu zewnętrżności osób opisywanych, na wskazywaniu ich pochodzenia, na wyliczeniu ich zasług, a wreszcie na porównaniu ich z bohaterami znanymi z poezyi lub historyi narodów klasycznych. Tego wszystkiego dokonywano zazwyczaj zwięźle. Kaliński wyróżnia pierwszorzędne od drugorzędnych postaci: pierwszym poświęca więcej miejsca w opisie, drugim mniej. Główne osobistości: Jan III, Leopold, Jabłonowski, Lubomirski, ks. Lotaryński z jednej strony, a wielki wezyr, Karamechmet, Mechmet Gerej — z drugiej przedstawiają się najwypuklej. Obok nich autor ze szcze-

gólném zamięłowaniem zatrzymuje się przy tych rycerzach, co mężnie walcząc legli w boju.

Charakterystyki te a raczej opisy są starannie *wypracowane*. Ks. Kaliński nie posiadał tej lotnej fantazyi, co bez najmniejszego zdaje się wysiłku, jednym rzutem, potrafi odmalować człowieka lub zdarzenie, jak to bywa bardzo często u Potockiego; nie miał też tej barwności i żywości obrazowania, jaką się odznaczają liczne ustępy „Wojny Chocimskiej”. Musiał on tworzyć powoli i z jakimś mozołem; w końcu atoli wyrobił sobie pewien rodzaj plastyki, ciężki wprawdzie, lecz wyrazisty, który opisom jego nadaje wypukłość niemal rzeźbiarską; osoby przezeń wyprowadzone widzi się nie ogólnikowo, lecz w pewnej określonej chwili, w pewnej pozycji.

Z tém poczuciem plastyki łączy się u poety naszego silne poczucie rzeczywistości. Odrzuciwszy na bok postaci mitologiczne i allegoryczne, jako wynik szkolnej rutyny, odśzukamy w poemacie odtworzenie ludzi i wypadków rzeczywistych. Możemy się zżymać na niezgodne z dziejami przedstawienie osoby cesarza Leopolda, na skrzywione pod względem prawdy określenie stosunku cesarza do Węgrov i t. p. ale nigdy przy czytaniu poematu nie przyjdzie nam na myśl, że mamy przed sobą papierowe figury, nie zaś ludzi.

Nie autor kieruje swemi osobistościami, lecz one same z siebie rozwijają działalność; rozumiemy, że tak jak postępują, postępować musieli ze względu na swe usposobienie i charakter. Uwydatnia się to nawet w szczegółach podrzędnych: owo rzucenie się spragnionych rycerzy na winogrona w górach, które inny poeta, więcej dbający o koturnowość swego utworu niż o rzeczywistość, byłby zapewne pominął, jest właśnie jednym z tych drobnych rysów, za któremi poezya nowożytna się ubiega, a które przyczyniają

się silnie do nadania cechy prawdy utworowi artystycznemu; autor *Wiennidy* szczegół ten nie bez humoru traktuje.

Najlepszą stroną poematu jest chyba jego dykcya. Z temperamentu raczej powolny niż porywczy, nie mając wyobraźni łatwój i ruchliwój, ks. Kaliński pod wpływem wykształcenia klasycznego wyrobił sobie styl retoryczny bardziej niż poetyczny. Erudycya starożytnicza zajęła umysł jego niemal w zupełności; stąd „barw do obrazu“ szukał w książkach, a nie w naturze. Epopeja jego pod względem wyrażen jest pracowicie zebraną antologią z utworów poezyi łacińskiej. Przenośnie i porównania, któremi poeci lubią zdobić swe opowiadania, mają w niej dwojaką cechę; albo są zestawieniem ludzi i zdarzeń opisywanych z analogicznymi pojawami w mitologii lub dziejach starożytnych, albo też owymi pomysłami tradycyjnymi, które świat zewnętrzny zwierzęcy lub roślinny w sposób ogólnikowy do potrzeb dykcyi poetycznej wyzyskują, bez względu na to, że mieszkaniac Północy ma bardzo słabe wyobrażenie o zjawiskach przyrody południowój, że ten, co morza nie widział, nie zdoln dobrze odczuwać malowniczości tego, co o niēm poeta podaje.

Wobec takiego charakteru dykcyi księdza Kalińskiego wogóle, tēm ciekawsze są ustępy, w których choć częściowo przyrodę i ludzi miejscowych wziął do porównania. Takich ustępów zapamiętałem trzy: dwukrotnie używa poeta Karpat, raz myśliwca litewskiego do uwydatnienia opowiadanych szczegółów. I te wprowadzie ustępy są trzymane w tonie bardzo ogólnikowym, tak że zamiast Karpat np. można było położyć jakie inne góry; ale świadczą przynajmniej o pewnych usiłowaniach rozszerzenia zakresu porównań. Z tego względu przytoczę tu dwie z tych usiłowań próbki, tēm bardziej, że one uprzytomnią czytelnikom ten rodzaj plastyki, jaki talentowi autora *Wiennidy* jest właściwy.

Poeta mówi o ostatnich chwilach walki, która się miała zakończyć zwycięstwem chrześcijan: „Wtém wściekłość się zwiększa; już nie zdala tylko przelatuje włócznia i kul chmara, lecz noga z nogą, prawica z prawicą, piersi z piersiami się tłoczą w zmieszonym tłumie; na miecze spadają miecze; ani Teuton odeprzeć, ani Trak złamać się nie dozwala, gdy jednak mężny oddział Polaków wsiadł na karki wrogom, ci wreszcie tracą odwagę i tył podają. Tak gdy z gór karpackich płynący potok, zasilany ulewą, napotyka w biegu na usypaną groblę, wówczas kłębiąc się wlewa wzburzoną wodę we wnętrzości ziemi, a murawa zapada się pod nim obficie, lecz niebawem za wzmożeniem się nurtu, reszta pozostała takiemuż ulega zniszczeniu, a strugi po całej rozlewają się równinie“.

W opisie zaś ucieczki wezyra i Turków wzmiankuje o ostatnich wybuchach zaciekłości wroga: „I uciekając jednak, nie zaniedbuje rodopejskich podstępów; bo ujrzawszy bezładnie na łeb na szyję uciekających Gietów, wezyr rozkazał coprędzej zakopać proch u wejścia do obozu, a na całej powierzchni doliny pragnie zarzucić kamieniami wszystkie kusze, których z powodu ciężaru zabrać nie było można, lżejsze zaś narzędzia pomyślnego mordu porywa. Zostawała garstka piechoty; tę ostrożny wróg albo wsadza na luźne konie, co szły za obozem, albo każe jej, dla uniknięcia klęski, wsiąść z tyłu za spahami. Ostatnią wściekłość wywiera na wziętych do niewoli ciałach Cymbrów i Lechitów; przeszywa je okrutnie miecz gietycki, w rękę zemsty drgający; poczem tyran popuszcza cugle koniowi i poprzez znużone Turków zastępy przelatuje z groźnem obliczem i ruchami; setce bowiem zbiegów gotował męczarnie. Nie inaczej bywa, ilekroć myśliwy litewski poruszy błyszczącym żelazem straszliwe legowisko niedźwiedzia; wyskakuje zwierz olbrzymi przeczuwający już walkę i rozwścieczony już-to

miota rozplątane konary, już-to rzuca się obces na konie; za rzecz niegodną poczytując odstąpienie potomstwa, które chroni jaskinia. Gdy mu jednak pocisk w samych piersiach utkwi, wściekłość jego przycicha; nie wprzód wszakże zwierz przed wrogiem umyka, aż swe młode spośródka walki uprowadzi“ ¹⁾).

Takie miejsca w poemacie wskazują, że umysł twórcy *Wiennidy* nie był pozbawiony daru spostrzegawczego; przytłumiła go tylko i osłabiła szkolna rutyna, podstawiająca wzory sztuki zamiast wzorów natury, wskazująca artyście jako cel dążenia wierne naśladownictwo, nie zaś rozwój twórczości samoistnej. Jeżeli umysł, takiemu tresunkowi rutyny poddany, nie da się zwichnąć całkowicie, lecz choć ułamkową samodzielność zachowuje, jest to dowodem jego energii przyrodzonej.

¹⁾ Poemat pisany jest naturalnie heksametrem; jako ciekawostkę literacką zaznaczyć można, iż autor ośmielił się w jednym ustępie przełamać zwyczaj tradycyjny i użył innej miary wiersza. List Petroczego w końcu księgi V, powołujący Węgrów do walki w obronie swobód, ułożony jest dystychami (heksametr z pentametrem).

1883.

VI.

CHARAKTERYSTYKA

IGNACEGO KRASICKIEGO.

Rok 1878, głośny między innemi setną rocznicą śmierci Woltera, był również pod pewnym względem setną rocznicą pamięci pisarza, któremu niektórzy przydomek „polskiego Woltera“ nadawać lubili. Istotnie, sto lat wtedy upłynęło, jak się pojawiły dwa utwory Krasickiego odmiennie i formą i treścią i dążnością nawet: pierwsza część „Pana Podstolego“ i „Monachomachia...“ Jeżeli jakie pismo biskupa warmińskiego, to w każdym razie „Wojna Mnichów“ mogła usprawiedliwić owo zestawienie dwu nazwisk, tak nie licujących ze sobą skądinąd.

Świadomie czy bezwiednie uczczono u nas to literackie stulecie, ogłaszając nowe wydanie dzieł Krasickiego ¹⁾ i nowe dokumenta rozjaśniające nam usposobienie jego i życia koleje. Takie uznanie należało się słusznie najświetniejszemu bezwątpienia talentowi naszemu z wieku XVIII, któremu, jak zwykle, wiele słów pochwalnych a mało badań dotychczas poświęcaliśmy. Rzeczywiście, jeżeli aż do roku owego znajdowały się w ukryciu nader ciekawe listy; jeżeli dziś jeszcze mnóstwo kwestyj oczekuje wyjaśnienia i rozwiązania: to chyba dostatecznie dowodzi, że dbałość nasza o ścisłe wiadomości dotyczące mężów znakomitych nie sięga poza granice najpospolitszej, bezkrytycznej ciekawostki. Rzecz trudna do uwierzenia a jednak niezaprzeczona, że po

¹⁾ Mowa tu o wydaniu warszawskiem w „Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej“ w 6-ciu tomach.

pierwszej gruntownej pracy o Krasickim Juliana Bartoszewicza, ogłoszonej w r. 1856, to jest w lat 55 po śmierci wielkiego pisarza, rok dopiero 1878 zwiększył sumę naszęj o nim wiedzy. Niestrudzony Kraszewski, korzystając z własnoręcznych listów Krasickiego, napisał obszerne o nim studjum w „Ateneum“ a p. Adam Mieleszko-Maliszkiewicz, podał w „Kłosach“ kilka dotychczas nieznanych faktów również na podstawie własnoręcznej korespondencji. To też, mówiąc prawdę, dziś dopiero można się wziąć do pracy krytycznej nad życiem i pismami księcia biskupa, kiedy się ma pod ręką materiały do porównania i skontrolowania wzajemnego.

Chciałbym na podstawie tego nowego materiału, tudzież studyów nad pismami Krasickiego, nakreślić jego charakterystykę, ustalić niektóre daty i sprostować kilka błędnych twierdzeń, jakie się wkrały do szacownych prac poprzedników moich. Muszę jednakże z góry uprzedzić czytelników, że nie porywam się wcale na wszechstronne zobrazowanie działalności Krasickiego na tle epoki, w której żył i pisał; bo na to materiały dziś istniejący nie pozwala jeszcze, jak o tém niejednokrotnie będę musiał nadmienić. Być może, iż wskazanie przerw niezapełnionych dowodami autentycznymi, jak niemniej wytknięcie potrzeby porównania pism Krasickiego ze współczesną mu literaturą francuską i polską, pobudzi do nowych poszukiwań w archiwach domowych i do nowych badań naukowych; bo poczucie *braku* jest już pierwszym stopniem do jego usunięcia.

I.

Przyroda dostarczyła miłych wrażeń dziecinnemu wiekowi Ignacego, Franciszka, Błażeja, syna Jana Krasickiego i Anny ze Starzechowskich. Dubieck (albo Dobiecko), miej-

sce jego urodzenia, jest to małe miasteczko położone na wysokiem brzegowisku nad rzeką Sanem, w ziemi sanockiej a w dawném województwie ruskiem, — w przeslicznej okolicy górskiej. Z ciasnego skalistego wyłomu, w którym San pasmo gór przerzyna, Słonnem zwane, wychodzi on tu na rozległe błonia w dolinę podłużną i przewijając się srebrną wstęgą, odkrywa rozległe widoki. Cały krajobraz leży w ostępie szumiących lasów, któremi porosły góry; a urodzajność błonia, świeża zieloność łąk, szum wody, gra mgły stroi kraj ten dziwnym urokiem. Najkorzystniej przedstawia się on z wysokiego brzegu dziedzińca zamkowego, u stóp którego San jak wąż się zwinął¹⁾.

Miasteczko to, założone przez Piotra Kmity, od dwustu lat dziedzictwo Krasickich, nie natchnęło wprawdzie samemu Ignacemu żadnego wiersza opisowego; było ono dla niego tylko miejscem „słodkiem“, w którym „los zrządził pierwszy wątek życia“; lecz za to w 52 lata potem, zwiedzone przez „poetę serca“ Franciszka Karpińskiego, wywołało miluchny idylliczny obrazek:

Nad samym dwór dobiecki brzegiem Sanu leży,
Który niestatecznymi zakrętami bieży:
Wdzięczne kępy czystymi ramiony okrywa;
Chytry! sam je porobił i sam je zaléwa...
Tam wzgórki rozkosznymi drzewami się stroją,
Gdzie słowik swą pieśń śpiewa a *pasterka* swoja,
Do której gdy Aleksy przyszedł na godzinę,
Całować się zaczęli i poszli w gęstwinię...
Tu się niewinna na bujnej łące owca pasie,
Nad nią zuchwała koza po skałach wspina się
I wisząc nad przepaścią chlubi się z swęj sławy,
Że doszła nietykanęj od nikogo trawy.
Indziej z gęstwiny lasku wioska wyskoczyła,
Żeby się tak pięknemu porzeczu dziwiła;

¹⁾ Dzieła Wincentego Pola. 1875, III. 96.

A gdy się cudzym wdziękom przypatrywać rada,
Sama z drugiemu widok najpiękniejszy składa...

Taka cisza i spokój sielankowy niezawsze tu naturalnie panowały; burze z błyskawicami, piorunami i drzew łomotem od czasu do czasu władzę swą i do téj ustroni rozciągały; ale było to jedynie urozmaicheniem a nie zniszczeniem „najpiękniejszego widoku“.

Łagodne, uspokajające działanie, przeważnie jednostajnych zjawisk natury, bez tych nagłych wybuchów, w które obfitują okolice gorące, wzmacniało się z drugiey strony wpływem wiary naiwnéj i prostéj, zaznaczonej zewnątrznie kościołami i kapliczkami, żyjącey w sercu rodziców i całego otoczenia. Nie tylko w samém miasteczku ale i po za niem, wśród zarośli, przy drodze, na wzgórzu znajdowały się wymowne jéj ślady. Karpiński, umiejący doskonale odczuwać wszelkie wrażenia religijne, zostawił nam wspomnienie jednéj takiej „polnéj świątyni“.

Na lewéj dworu stronie po przechadzce maléj
Pierwszy nam dał się widzieć wzgórek okazały.
Czyli go ręka ludzka kiedyś usypała,
Czy wiekami natura nad nim pracowała;
Ale go człowiek jakiś dawniejszego świata
Drzewami poohsadzał, na których choć lata,
Chociaż poznać nadpsucie, prawie go nie czują,
Jeszcze teraz i z burzy i czasu żartują.
Kaplica od pobożnéj ręki wystawiona
W środku wzgórka dawnością stoi uświęcona,
Gdzie i dziś wieśniak z pola idąc w dobrej wierze,
Ocierając pot z czoła, szepce swe pacierze,
W których z chudobą, z dziećmi, z tém, co mu nie staje,
Co ma w gruncie, co posiał, na Boga się zdaje;
Tam i pasterz, straciwszy owce, bóstwo klóci
I mówi, że mu zawsze zguba się powróci...

W domu do podobnych wrażeń religijnych przyłączyły się jeszcze przykłady cnót domowych i zabiegów o podtrzymanie splendoru rodzinnego. Krasiccy oddawna mieli tytuł

hrabiów, spokrewnieni byli z najpierwszemi rodzinami Rzeczypospolitej, stali nawet z niemi dawniej na równi pod względem majątkowym; z biegiem czasu wszakże podupadli i jakkolwiek znaczne jeszcze ziemie w ręku swych dzierżeli, nie mogli przecież prowadzić polityki własnej i musieli się przyłączyć do stronnictwa jakiegoś potężnego rodu. Związki krwi i sąsiedztwa wskazały im Potockich. Po szczególnie niepodobna wskazać tych stosunków z powodu braku wiadomości wiarogodnych.

O kasztelanie chełmskim, ojcu Ignacego, nic nie wiemy; o matce Annie zachowało się świadectwo syna, który po jej śmierci pisał do brata, że nie o nią, ale do niej modlić się należy. Była to więc niewiasta pobożna, cnotliwa, o dobro *domu* bezwątpienia dbała. Mieli siedmioro dzieci: pięciu synów i dwie córki. Ażebym rozdrabniać majątku i oddać go w całości jednemu synowi, przeznaczyli rodzice aż czterech do stanu duchownego, nie pytając zapewne, czy mieli skłonność do niego, czy nie. To staranie o splendor domu jak było silne w rodzinie, pokazuje się z późniejszego listu Ignacego, najstarszego z rodzeństwa, który tak pisał do brata Antoniego: „Najpewniejszego chwycić się trzeba, tak jednak, żeby też nie zakopywać się zupełnie. Nadto byłoby dla nas, gdybyśmy obydwaj eksponować się na *dworszczyznę* mieli! A tak dobry będzie podział, gdy W. Pan za ekonomikę pieniędzy przysposobić, ja — *szarletaństwem damskim* o promocyi myśleć będę i *choć się jedna z dwóch dróg uda*, może *dom* uszczęśliwić. Jedną zaś idąc, może nic nie zyskawszy, wielebyśmy stracili“. Tak to cnota domowa, służba boża, dworszczyzna, szarletaństwo damskie, wysługiwanie się możniejszym, dbałość o wszystkich członków rodziny spletały się ściśle, a dla nas już dziwnie, w jedną ośnowę, na której wydatniały szczegóły życiowe. Ród stanowił tu zawsze

środek, ku któremu ciążyły wszystkie jednostki w skład jego wchodzące — z wyjątkiem wyrodnych, nieposłusznych.

Kiedy młody Ignacy z domu rodzicielskiego przeszedł do szkół; jak długo w nich bawił; nie wiemy. O lat 17 młodszy od niego, z domem Krasickich spokrewniony Stanisław hr. Potocki, późniejszy minister oświecenia, mówi w „Pochwale Ignacego Krasickiego“ tyle tylko, że stało się to „zawczasu“. Krasiccy byli oddawna dobrodziejami zakonu jezuitów; nie więc dziwnego, że i Ignacy miał w kolegium jezuickiem we Lwowie nauki szkolne pobierać.

Czas jego wykształcenia przypadł na chwilę budzenia się życia nowego. W r. 1741 wydaje Konarski swoje pierwsze wpływowe dziełko: „De emendandis eloquentiae vitiis“ wymierzone przeciw śmiesznej manii makaronizmu i panegiryzmu; w parę lat potem zakłada swoje wzorowe kolegium, które z początku bardzo mało liczy zwolenników, ale w każdym razie zapowiada już nową epokę wychowania. Zarówno dążność do zreformowania wymowy jak i próba innego niż dotychczas sposobu uczenia wywołały naturalnie niechęć ze strony rutynistów, lecz zbyt dobrze odpowiadały pocutym już przez wielu potrzebom, aby nie miały się stać pobudką dla zakonu szczególnież jezuitów do wprowadzenia pewnych zmian w systemie wykształcenia.

Być więc może, iż pierwszą książką, na której Krasicki uczył się stylu, było sławne w swoim czasie, a przezeń wspomniane później ironicznie dziełko księdza Wojciecha Bystrzonowskiego Societatis Jesu p. n. „Polak sensat w liście, w komplementach polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany *szkolnej młodzie*“, dziełko wydane w Warszawie roku 1730. Drugim, dopełniającym pierwszy podręcznikiem była może „Fama polska, publiczne stany i *młodzież szlachezną* informująca, z pozwoleniem starszych

przez księdza Kazimierza Wieruszewskiego Societatis Jesu ogłoszona roku pańskiego 1730“.

Jakiego rodzaju stylu uczyły te książki, na przykład młodzi szkolnej podane, dowiemy się zaraz z pierwszego Sensata listu, w którym się „samsiad w przyjaźń samsiedzką wprasza“. Zaczyna się on w ten sposób: „Wiem, że jako *nulli amicorum satis est*, tak nigdy *granic nie sypie* życzliwość przyjacielska, ani *terminalne* eryguje kolosy *non plus ultra*, któreby braterskiej *propensyi* zapędy tamować mogły. Boć jeżeli *solem e mundo tollit, qui amicitiam*; toć jako uniwersalny ten luminarz i wszystkim *amicum* jest *sidus*, tak ludzka przyjaźń garnące się do serca *nie ekskluduje* affekta“ itd. Kiedy zapewnię, że i „Fama Polska“ pod względem stylu bliźnięco podobna jest do „Polska Sensata“, to czytelnik nabierze chyba przekonania, że w owych czasach prostota wyrażenia i czystość wysłowienia były ze szkół wygnane.

Prawdopodobnie jednak doczekał się Krasicki w kolegium lwowskiem pewnych zmian na lepsze. Zapewne znajdowali się już wtedy nauczyciele, którzy widzieli konieczność reformy i przemyślali nad zaprowadzeniem jęj w szkole swojej, ażeby się nie dać ubiedz pijarom. Domysł ten nie jest pozbawiony nader silnej podstawy. W roku bowiem 1749, a zatem wówczas, kiedy Krasicki, mając lat dopiero czternaście, musiał jeszcze w kolegium jezuickim pozostawać, pojawia się w druku program reformy tego kolegium¹⁾. W programie tym wstęp daje poznać, że zakon jezuicki czuł złe, jakie sprowadzić muszą na kraj

¹⁾ Tytuł jego następny: *Idea Collegii Nobilium pro educatione juventutis in pietate bonis nobilibusque moribus, variis eidem statui convenientibus artibus et scientiis, sub cura Patrum Societatis Jesu ad publicam patriae felicitatem Leopoli erecti. An. 1749.*

podróże zagraniczne w celu niby to wykształcenia przedsiębrane przez młodzież niedoświadczoną; że starał się temu zapobiedz przez odpowiednie zmiany w trybie kształcenia. Zamiarem konwiktu miało być „wytrobie młodzieży na mężów kiedyś kościołowi, rzeczypospolitej i dobru publicznemu pożytecznych, kształcąc ją w pobożności, różnych umiejętnościach, dobrych, uczciwych obyczajach, odpowiednich charakterowi ojczystemu i wymaganiom wieku wytworniejszego“ (politiori saeculo conformibus). Co do nauk, to obok łaciny i dobrego stylu miała być wykładana *wszystkim* historia powszechna święta i cywilna; mianowicie zaś *historia polska*, ażeby żądni nabycia nauki języków obcych, *nie byli obcymi w ojczystych i domowych sprawach*. „Pewną to jest bowiem rzeczą — powiada program — że jak nie pragnie się tego, czego się nie zna, tak się go też i ocenić nie umie. I stąd to pochodzi, że bardzo wielu powróciwszy z zagranicy, albo z odmianą miejsca pobytu tracą miłość ojczyzny, albo wyżej cenią to, co zagraniczne, niż to, co ojczyste, niepomni słów księżnej z Sobieskich Radziwiłłowej, która zwiedziwszy całą Europę, synom swoim często powtarzała: dobrze we Francyi, piękne są Włochy, bogatą Hiszpania, poważne są Niemcy, lecz nad to wszystko droższą mi jest Polska“ (str. 4). Co się tyczy obyczajów, miały być wpajane cnoty obywatelskie, ich konieczność i praktyka, a przedstawiana równocześnie brzydota wad przeciwnych. „Nauczają się — mówi program — jak występować w prywatnem kółku i publicznie, jak pisać listy odpowiednie duchowi narodu (ad genium gentis), jak stosownie do zwyczaju ojczystego przemawiać na sejmikach i sejmach. Obok tego podawane będą maksymy polityczne z najlepszych wybrane autorów; doroślejszym zaś uczniom wykładana będzie, bez uszczerbku w studiach, *nauka praw, ustaw*

i *ustroju politycznego* ojczyzny, której miłość aby nad wszelką prywatę przekładali, usilnie zalecać im należy“.

Nie można wprawdzie utrzymywać na pewno, że wszystkie zbawienne zmiany, jakie w programie ogłoszono, zaprowadzono rzeczywiście w kolegium, bo wiele pięknych przepisów na papierze tylko pozostaje; nie mamy wszakże żadnego powodu do nazwania całej tej reformy czczym jedynie blichтром. Pierwsi biografowie Krasickiego, a mianowicie Dmochowski i Potocki, przedstawiając w ponurych barwach stan ówczesnego wykształcenia, usiłują dowieść, że przyszedł autor niewiele z nauk szkolnych korzystać. Byli oni jeszcze tego zdania, że „gieniusz sam tworzy swoje oświecenie, że z małej iskiej roznieca płomień, którego blask nietylko jemu, ale i drugim przyświeca“. Potocki nawet nie waha się za rzecz pewną podawać, że „zbyt dzielną była przyrodzona moc geniuszu“ w Krasickim, by mu nie wskazała różnicy pomiędzy zepsutym smakiem szkolnym a wzorowymi pisarzami, których utwory jednocześnie czytano, różnicy, której mistrzowie jego nie dostrzegali. „Z późniejszych pism widzimy — powiada Potocki — jak go żywo uderzyły te szkolne śmieszności, te najgorszego smaku płody, które mu śnać *sprzecznie z zdaniem jego* za wzory narzucano, a których on tak żywą pamięć dochował, by je wieczną okrył z czasem śmiesznością i w wiecznej pograżał pogardzie“ ¹⁾.

Dzisiaj wiemy już, że takie przecenianie mocy jednostki choćby genialnej nie da się usprawiedliwić, że bez zmian w otoczeniu nie może się wytworzyć zupełnie różne od tego otoczenia indywiduum. Konarski, który się wśród daleko gorszych niż Krasicki kształcił warunków, długo nad sobą pracować musiał, zanim się pozbył wad nabytych za

¹⁾ Pochwały, mowy i rozprawy, 1816, I, 107.

szkolnych czasów. Nie możemy więc lekceważyć owych reform w kolegium lwowskim zaprowadzonych, i musimy przyznać, że one bezwątpienia wiele się przyczyniły do wyjaśnienia pojęć i wyrobienia stylu młodzieńca. Dmochowski, powołując się na świadectwo tych, co razem z Krasickim bieg nauk szkolnych odbywali, powiada, że już wtedy przedziwny jego talent wyrывał się gwałtem do zabaw wierszopiskich. „W szkolnych igraszkach widać było dowcip który w czasie (t. j. z czasem) miał być rozkoszą narodu“. Toż samo powtarza nam i Potocki, dodając że „już wtedy nieraz uprzedzonych nawet złego smaku stronników uderzała łatwość i gładkość wiersza jego, zgoła ta naturalność, od której sami tak dalekimi byli“.

Czy skończył cały kurs w kolegium lwowskim i czy bezpośrednio potem kształcił się gdzie jeszcze, nic a nic nie wiemy; gdyż wiadomości, jakie o życiu jego pomiędzy r. 1750 a 1760 posiadamy, są bardzo szczupłe i nader lakoniczne. Wiemy tylko, że w r. 1751 umarł mu ojciec Jan, kasztelan chełmski; że szesnastoletni Ignacy dostał się najprzód pod opiekę ks. biskupa Michała Kunickiego, a potem po rychłym jego zgonie pod patronat „królika Rusi“ Franciszka Salezego Potockiego, człowieka wielkiej ambicyi, ale niezbyt rozległej inteligencji i niebardzo czułego serca. Chociaż nie miał święceń, Krasicki otrzymywał różne godności duchowne. Wedle Bartoszewicza książę biskup Czar-toryski dał mu „dla zaszczytu“ tytuł kanonika poznańskiego; potem biskup Józef Załuski zrobił go kanonikiem kijowskim ¹⁾, potem przemyskim, (2 czerwca 1757) dalej proboszczem katedralnym przemyskim (1757), wreszcie koadju-

¹⁾ Daty otrzymania obu tych godności są nieznane. Na czem opiera się twierdzenie Kraszewskiego (Ateneum, 1878, I. 223), że kanonikiem przemyskim został 7 stycznia 1750 (!), niewiem.

torem opactwa wąchockiego (2 marca 1759)¹⁾. Jako koadjutor opactwa wąchockiego miał Krasicki dopiero lat 24.

Równocześnie młody kasztelanic, odznaczający się miłą i układną powierzchownością, poszukiwany był jako kaznodzieja. Żałować należy, że Bartoszewicz, wypisując z gazet owoczesnych wiadomości o dwu kazaniach: raz w Białej Radziwiłłowskiej (wpośród wielkiego zbiegowiska ludzi *eruditissimo stylo*), a drugi raz w Warszawie nad katafalkiem marszałkowej wielkiej Bielińskiej, zapomniał zanotować daty, co też było zapewne powodem, że nie mógł rozstrzygnąć, czy kazanie w Warszawie miał Ignacy, czy też który z braci jego, którzy, jak wiemy, także się stanowi duchownemu poświęcili. Wiemy natomiast napewno, że dnia 16 lipca roku 1756 jako kanonik kijowski miał kazanie w Berdyczowie w czasie uroczystości ukoronowania „watykańskimi koronami od Benedykta XIV papieża własnym jego kosztem sporządzonemi“ obrazu Maryi Panny, „obrony i ozdoby ukraińskich krajów“, przez J. O. księcia Kajetana Ignacego Sołtyka, natenczas kijowskiego biskupa. Kazanie to wydrukował ks. Grzegorz od Ducha św., karmelitów bosych prowincyi polskiej definitor w konwencie lubelskim, św. teologii profesor, pomiędzy innemi kazaniami w czasie owej uroczystości mianemi. Opis tej uroczystości wraz z dołączonemi kazaniami wyszedł dopiero w roku 1765 w Berdyczowie „w drukarni Karmelu, Fortecy Najświętszej Panny Maryi“. Że się tak rzecz ma, jak tu przedstawiam, wniesć można z samego tytułu książki wydanej przez Grzegorza od Ducha św. jako też z treści przytoczonej przez Jochera. Autor opisu uroczystości nazywa Sołtyka biskupem kra-

¹⁾ W „Kalendarzu Warszawskim“ na rok 1760 znajduje się Ignacy Krasicki zapisany jako koadjutor opactwa wach., tudzież jako proboszcz biskupstwa przemyskiego. Też same tytuły ma K. w kalendarzach z r. 1761 i 1762.

kowskim, ponieważ drukuje dzieło w r. 1765, ale dodaje, że podczas uroczystości koronacyi był biskupem kijowskim; Krasickiego zowie proboszczem przemyskim, ale dodaje, że natenczas był kanonikiem kijowskim. Lecz ponieważ w książce Jochera znajdują się w tém miejscu omyłki w liczbach, biografowie, nie zważając na tytuły Sołtyka i Krasickiego, dziwne z nich wysnuli twierdzenie. Bartoszewicz datę kazania berdyczowskiego naznacza na rok 1751 i powołuje się na Jochera, chociaż ten daty téj wcale nie ma; Kraszewski zaś odnosi je do r. 1765. Tymczasem, z zestawienia wszystkich okoliczności, niewątpliwą jest rzeczą, że miało ono miejsce w roku 1756.

Ustalenie téj daty ważnem się okazuje dla oznaczenia czasu, w którym Krasicki za granicę wyjechał. Dotychczasowi biografowie wywijali się z téj trudności, jak mogli, zbywając kwestyę ogólnikami. P. Adam Mieleszko Malisziewicz starał się czas tego wyjazdu zawrzeć pomiędzy rokiem 1755 a 1756. Teraz wiemy już, że 16 lipca 1756 był Kr. jeszcze w kraju; dalej z urywku listu, który ogłosił Kraszewski (Ateneum 1878, I, 225) dowiadujemy się, że nawet w grudniu 1757 znajduje się jeszcze w ziemi rodzinnej i donosi matce o interesujących nowinach, o odwołaniu z Petersburga stolnika litewskiego Poniatowskiego, o feldmarszałku Apraksynie i o utrzymaniu aliansu rosyjskiego przeciwko Prusom. Zważmy nadto, że powietrze włoskie Krasickiemu jakoś nie służyło, że wpływ upałów jesiennych złe oddziaływał na jego delikatny organizm; że zatem kilkoletni pobyt w Rzymie byłby dla niego niemożliwy. Fundusze były również nie wystarczające; ciągle się o nie upominał to u brata, to u wojewody kijowskiego. Wreszcie, jeśli weźmiemy na uwagę jedno wyrażenie w liście z d. 16 sierpnia: *Rok w Rzymie żyć samą industrią na mnie dosyć*; to zdaje się, że nie zrobimy zbyt pośpiesznego wniosku, jeśli

wyjazd Krasickiego do Rzymu naznaczymy co najwyżej na rok 1759, kiedy już był koadjutorem opactwa wąchockiego, jako 24 letni młodzieniec. Wiek ten nawet wydaje się bardzo odpowiednim do odbycia dalekiej podróży bez żadnej bezpośredniej opieki. Utwierdza nas w tém przekonaniu pierwszy z dochowanych listów Krasickiego z Rzymu, gdzie pod datą r. 1760 (w maju), powiada nasz podróżnik, że „nad lat *dwa* bawić nie zamyśla“, a już we wrześniu tegoż roku pisał do wojewody kijowskiego, że „dyspensowany otrzymał od starszych pozwolenie skrócenia czasu, zamierzonego na rezydencyą“ — i wybierał się w drogę. Ponieważ zaś ostatni list z Rzymu ma datę 28 marca 1761, zdaje się więc, że Krasicki nie bawił w wiecznym grodzie dłużej nad dwa lata.

Od 6 lipca 1758 roku na stolicy papieskiej siedział Klemens XIII (Rezzonico). Był to człowiek szlachetnego serca i zamiarów najczystszych; modlił się bardzo wiele i gorąco; miał jednak przytém najgłębsze przekonanie, że papieństwo nie powinno robić żadnych ustępstw na rzecz wymagań władzy świeckiej, czyniących uszczerbek w starożytnych przywilejach najwyższej władzy duchownej. Musiał jednakże w ciągu jedenastoletnich rządów swoich doświadczyć, że czasy potęgi papieństwa już minęły, że broń duchowna, która w ręku Grzegorza VII lub Innocentego III gruchotała trony, była teraz tak kruchą, iż lada książątko lekceważyło ją bezkarnie. Napróżno zakazywano czytać dzieła Woltera, Helvetiusa i Roussa; cała Europa z tym większym zapałem do nich się garnęła; napróżno grożono klątwą księciu parmeńskiemu, który poddanym swoim zabronił apelacyi do trybunałów rzymskich; książę tak ostro odpowiedź swoją sformułował, że w zdumienie wprowadził. Jezuita, których papież uważał za najdzielniejszych szermierzy stolicy apostolskiej, wypędzeni zostali z Portugalii (1759),

a procesowani w Paryżu, pomimo protestacyi Klemensa, również na wydalenie z państwa skazani (1762). Papież wyrok parlamentów francuskich uznał za nieważny, ale alokucyi swojej ogłosić nie mógł. Na samym dworze rzymskim było stronnictwo, które nie pochwalało tego przeciwstawiania się dążnościom wieku i chciało z niemi wchodzić w ugodę, jak to było za Benedykta XIV, a miało być później za Klemensa XIV.

Rzym tracił powoli polityczne znaczenie, ale pociągał zawsze jeszcze, jako najświetniejszy zbiornik sztuk pięknych. Kardynałowie Archinto, Passionei, Albani i t. d. zajmują się kwestyami artystycznymi, jako wykwintni znawcy; uczeni opisują zabytki i wyjaśniają ich znaczenie. Ażeby móżdż przypatrywać się skarbowi watykańskiemu, sławny Jan Joachim Winckelmann z dalekiej Północy, wyrzeka się, choć z boleścią serca, religii protestanckiej i wędruje do Rzymu (1755). Kiedy tu przybywał, wydawało mu się, że wystudyował wszystko należycie, ale na miejscu dopiero przekonał się, że nic nie wiedział. „W Rzymie — pisał on — jest szkoła główna dla świata całego, i ja też oczyściłem się tu i wydoskonalilem“. Tak przemawiał entuzyasta, choć protestant w duszy, znakomity twórca „Sztuki u starożytnych“.

Ani kościelno-polityczna, ani artystyczna jednak strona Rzymu nie wywarła na Krasickim wielkiego wrażenia. „Miało odwieczne“ przedstawiało mu się przedewszystkiem jako miejscowość, w której kształcąc się na duchownego, można zawrzeć korzystne na przyszłość „relacye“ z rozmaitymi dostojnikami kościoła, co „dla honoru i profitu domu“ nie małe oddać mogło przysługi. Zresztą ciałem jest on w Rzymie, ale duszą w domu. Pod tym względem jest on starodawnym Polakiem, dla którego „milszy jest polski niedostatek, niż włoska obfitość“. Jak poczciwi owi kołomyjczycy,

co to zapędzeni wojennym huraganem do Paryża, na pytanie, czy im się podoba to świetne miasto, odpowiedzieli bez zająknienia: „lipsze u nas w Kołomyi“... tak i Krasicki nie nudzi się wprawdzie w Rzymie, ale z tęsknotą pragnie „patrios salutare paenates“. W listach do rodziny — jak powiada Kraszewski, który je odczytywał i w wyjątkach nam podał — o zajęciach swoich w Rzymie, o tém, jak czas spędzał, o pracach swoich, o krajach włoskich, o ludziach tamtejszych, o sprawach, tak ważnych naówczas, obchodzących kościół i państwo, zupełnie cicho. Skarży się na brak pieniędzy, na niesprzyjający mu klimat; wyrabia odpusty dla rodziny, cieszy się ożenieniem lub zamęściem członka rodziny, żartuje lub napomina młodszych braci, wspomina ogólnikowo o wycieczkach poza Rzym lub do Neapolu (w październiku 1760); ale nigdzie ani jednego słówka o zabytkach sztuki, o położeniu dworu rzymskiego, o znajomościach z ludźmi uczonemi, o studyach swoich. Pisał z Rzymu tak, jakby np. był w Berdyczowie lub Przemysłu. Żartobliwość i dowcip już tutaj się przebijają, a najlepszym okazem tego rodzaju jest list do brata Antoniego, kiedy ten ożenił się z panną Różą Charczewską, kasztelanką słońską. „Niech mi jejmość — pisze 25 letni kanonik i koadjutor opat — będzie zdrowa, a skrzętna i gospodarna, to ją moją gospodynią za czasem mogę zrobić i tak, idąc po stopniach, może i wąchockiego piwa zakosztuje. Kuchara dobrego przyjąć, żeby jejmość smacznie jadła, wygody jej wszystkie były. Kawę dobrą kazać gotować, bo to damy lubią. O kawiarence też pomyśleć, żeby była nie koczkołan. Kareta niech lekko nosi dla wygody przyszłych synowców i synowic. Zabawki dla jejmości wymyślać, żeby nie tęskniła. W czasie prezentować Imci, żeby się z swojemi popoznawała i z niemi cieszyła. Ja tu pokupuję dla Imci fraszek białogłowskich, kwiatów, bukietów. Niech napisze, czego

chce i wiele. Jeśli macie skrzypka w domu, t $\acute{e}$ m lepiej, kiedy państwo nie stare; na końcu t $\acute{e}$ ż o mnie pamiętać i mnie kochać“.

W listach do „królika Rusi“ toż samo prawie, z tą atoli różnicą, że zamiast wskazówek i żartów, ciągle się młody kanonik submituje i usprawiedliwia z zarzutu rozrzutności. Potocki, wysyłając raz zwykłe kwartalne subsydyum, dołączył przy ni $\acute{e}$ m epigramat, „hałasujący na prałata, że ekspensuje do kata“. Krasicki odpisuje (18 paźdz. 1760) „eksplikując się“. Chociaż to był tylko „łaskawy żart“ wojewody, mieściło się w nim przecież „zbawienne napomnienie“. Nie miał „śmiałości“ uniewinniać swego postępuku, skoro „zasługiwał w przekonaniu wojewody na naganę; przyrzekał więc za powrotem odmienić się i dowieść, że nie jest rozproszycielem, a t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m, że pozostanie zawsze godnym jego *hojnych dobrodziejstw*“¹⁾. W drugim znów liście zdaje sprawę z poruczonej sobie przez „królika Rusi“ „dyspozycji pobożnej“. Wojewoda zakładał misyą w Mohylowie nad Dniestrem i starał się o potwierdzenie j $\acute{e}$ y w Rzymie. Krasicki donosi, że zajmował się tym interesem „wedle po- winnych obowiązków“ bardziej ni $\acute{z}$ swoim i był uszczęśliwiony, że „się stało zadość woli opiekuna“.

Jak w listach spółczesnych nic, tak w dziełach późniejszych bardzo mało mówi nasz podróżnik o swoich spostrzeżeniach i wrażeniach na ziemi włoskiej i w „stolicy świata“. Znam tylko dwa obszerniejsze ustępy, w których jest o Włoszech wzmianka. W trzeciej części „Pana Podstolego“ znajdujemy uwagi ekonomicznej natury: „Potrójne w przeciągu dwóch mil miasteczka — powiada tu — nie byłyby zbyt blizkie we Włoszech, gdzie bliżej jeszcze siebie są częstokroć dość spore miasta; ale ludności tamtego kraju,

¹⁾ Kłosy 1878, N. 688.

handlu i przemysłu z naszym równać nie można. *Wsi nie znają*, bo grunta zadzierżawione, albo w rękę właścicieli tak są urządzone, iż każdy w obrębie swoim ma dom i folwark dziedziczny: tak albowiem jak u nas chłopów do gruntu przywiązanych niemasz“. Drugi raz w drukowanym liście do G. K., który wyjechał do Rzymu, kreśli swoje wspomnienia, ale posuwa je daleko w przeszłość, nie zastanawia się nad Rzymem społecznym, ale nad Rzymem starożytnym. Winszuje podróży „pięknej“, cieszy się, iż „ciekawę, wspaniałę, użyteczne rzeczy“ ogląda i zazdrości mu tego. „Kto raz Włochy oglądał — mówi — a zapuści myśl w to, *czym niegdyś były*, temu drobnieje wszystko, co potem widzi. Ja pragnę, iżby wolnych narodów obywatele *w wieku dojrzałym* czynili to pielgrzymstwo, a z reszty jeszcze ułomków rzymskich zasycali swój umysł. Przez czas bytności mojej w Rzymie najchlubniejszą przechadzką było to miejsce, które teraz zowią *polem krów* a było — *forum romanum*. Wznosiło to, rozrzewniało umysł mój, gdym deptał ziemię *śladami Katonów* upoważnioną. Zdawało mi się widzieć owę *mównicę przy Rostrach*, z których dawały się słyszeć Grakchy, Hortensyusze, Cyclerony. Posiadających plac owęj świątnicy Jowisza Kapitołskiego bernardynów rozżarzona imaginacya stawiała mi *augurami*. Skała Tarpejska, gdzie teraz ogród kapuściany, przypomniła mi sławnych karą winowajców; gęsi nawet zdawały mi się być płodem owych, które krzykiem swoim *Gallów* odegnały. Zgoła każde spojrzenie, gdy baczne, każda myśl, gdy czuła (czujna), w stolicy świata wznosi umysł i wzrusza.

Ażeby mieć takie wspomnienia, nie potrzeba było koniecznie jeździć do Rzymu, bo z czytania historyków i poetów łacińskich sameby się one w kraju nasunęły. Tych wrażeń natomiast silnych, szczegółowych, jakie na umysł „czuły“ działają z widoku pomników sztuki, z obsłuchiwa-

nia się o sprawach szerokiego interesu, Krasicki nie przypomina sobie, jakkolwiek one bezwiednie w duszy spoczywając, odezwały się później w pewnem zamiłowaniu księcia biskupa do sztuk pięknych, a szczególnie malarstwa. Do obudzenia ich atoli przyczynił się zapewne dopiero widok artystycznych usiłowań Stanisława Augusta.

II.

Powróciwszy do kraju, zaczął się Krasicki przyglądać sprawom publicznym. Brak mu jeszcze było samodzielnego kierunku, a nawet i jasno wytkniętej drogi postępowania. Czytał zapewne wychodzące właśnie naówczas epokowe dzieło Konarskiego „O skutecznym rad sposobie“; może nawet już wtedy sympatyzował trochę z ideą porządku, przeciwstawioną dawnemu „nierządowi“; może podzielał zdania tego, co „pierwszy zdziczałe ciął gałęzie i śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe“, jak o nim sam po jego śmierci napisał; ale tradycja domowa pchała go w szeregi wprost przeciwnego stronnictwa. Przeciw Czartoryskim stali Potoccy z wojewodą kijowskim na czele. Krasicki jedzie w 1762 na sejm do Warszawy widocznie na zwiady, bo w jednym z listów do matki powiada, że go „intrygi warszawskie“ zatrzymywały w stolicy. Nie rozpisuje się jednak o interesach i zbywa je lakonicznie. Raz powiada np. „wrywa mi się pióro — gala urodzin królewskich i opera. Sejm zerwany i nieszczęśliwe intrygi“. Trudno tu wyrozumieć, dlaczego mu wrywa się pióro: czy z powodu gali dworskiej, czy też zerwanego sejmku. Że był w ścisłych stosunkach z „królikiem Rusi“, widać z przypisku do jednego listu.

Po śmierci Augusta III widzimy go znowu w Warszawie, jako sekretarza „interrexu“, to jest prymasa Włady-

sława Łubieńskiego, człowieka schorzałego, który chciał, ale nie mógł, czy nie umiał popierać kandydatury elektora saskiego Fryderyka Chrystyana. Krasicki koresponduje w tym roku z wojewodą kijowskim, donosi mu wszystkie nowiny i kombinacje dotyczące przyszłej elekcji, odbiera instrukcje, pisze nawet tajemne listy niezrozumiałe dla ludzi niewtajemniczonych; słowem krząta się około interesów stronnictwa saskiego, przeciwnego Czartoryskim i każdemu Piastowi, a w szczególności Poniatowskiemu. Z listów tych trudno ułożyć jakąś całość jasną, ponieważ jest ich niewiele, a prócz tego zawierają zaledwie napomknienia; potwierdzają one jednak w zupełności to, co już Stanisław Potocki zauważył: „Nie był Krasicki w liczbie stronników Stanisława Augusta, ani się przyłożył do jego na tron wyniesienia; owszem związki jego z stroną przeciwną znanemi były“ ¹⁾. Gdy jednak Fryderyk Chrystyan umarł, a niefortunnie postawionej kandydatury Branickiego zaniechano i bardzo mało miano nadziei w przeprowadzenie kandydatury młodziutkiego Fryderyka Augusta, zaczęto pod koniec r. 1763 próbować układów z Czartoryskimi, którzy dość nieokreśloną dali odpowiedź, że Potoccy „mogą się *in plena fide* pokładać, nie wątpiąc o zadowoleniu ogólnym“. Przytém przytacza Krasicki rys dość charakterystyczny. Wraz z odpowiedzią prymasowi wyprawił książę kanclerz Czartoryski do Pawła Mostowskiego, wojewody pomorskiego, „list dość mocny i animujący do zgody“. Mostowski przyjął go z niedowierzaniem, „obojętnie“ i przy „indyferentnym response“ posłał księciu „kilka pruskich półgąsków i niedopieczoną łapę niedźwiedzia“. Kanclerz skoczył jak oparzony, tknięty do żywego i „groźnie się odezwał z umknieniem wszelkich stosunków“.

¹⁾ Pochwały, mowy i rozprawy I, 114.

Zdaje się jednak, że Krasicki, służąc swemu stronnictwu, nie zaniedbywał stosunków z obozem przeciwnym, kiedy Marcin Matuszewicz już w 1763 uczynił go „faworytem przyszłego króla“ i chodził do niego z prośbą, iżby „w *pactis conventis* dołożono, aby przyszła królowa była z urodzenia, czy z wokacyi rzymska katoliczka“. Krasicki miał pochwalić ten krok pobożnego szlachcica i upewnić go, że in *pactis conventis* zastrzeżenie takie się znajduje...

Jakoż rzeczywiście w kilka miesięcy potem stronnik Potockich zostaje kapelanem J. K. Mości Stanisława Augusta i w dzień koronacyi 25 listopada „przy tym stole, gdzie złożony był strój dla N. króla“, nasz opat wąchocki „w rokcie i mantolecie *sandalia* podał dyrektorowi ceremonii Imci Panu Szymanowskiemu staroście wyszogrodzkiemu, a ten Imci Panu Ogińskiemu marszałkowi W. Lit., który je na nogi królewskie kładł; potem kapelana albę, dalmatykę, kapę biskupią do ubierenia N. Pana temuż podał, a ten z pomocą stojących biskupów N. Pana ubierał“ ¹⁾. Po skończonym obrzędzie, w czasie mszy po odczytaniu ewangelii, książę Imć biskup krakowski przyniósł J. K. Mości ewangelią do pocałowania, a Krasicki, odebrawszy od księcia Imci Prymasa benedykcją, wstąpił na ambonę i miał kazanie z tekstu: „Tulit ergo Samuel cornu olei et unxit David *in medio fratrum* ejus“. Z racyi tekstu na samym początku umieścił kaznodzieja pochwałę prymasa (niby Samuela) i króla (niby Dawida), a potem podziękowanie Bogu, że nie dał upaść ludowi swemu, lecz go pocieszył. Następnie mówił o „nader doskonałym“ uszanowaniu należnem monarchom, przyczém zbijał mniemanie, jakoby uległość jednemu

¹⁾ Dyaryusz Sejmu Coronationis, a 2; Bartoszewicz mylnie zatem podaje, że książę Sanguszko kładł *sandalia* na nogi króla (III, 25).

uwłaczała swobodzie obywatela. Idea równości wszystkich ludzi występuje tu w formie następnej: „Jednego Stwórcy dzieła, jednego rodzaju stworzenia, jednych rodziców dzieci, jednej ziemi dziedzice: ile prerogatyw, tyle tytułów do niepodległości mieć zdajemy się“. Wzgląd atoli „szczęścia naszego kazał nam *porządku* szukać; ten bez udzielenia władzy być nie mógł; władza wyciągała posłuszeństwa; za posłuszeństwem szło poddanie się zwierzchności, która aby tym dzielniej ujmowała serca poddanych, okazałości, powierzchowne pobudki do uszanowania, wynalezione są“. Jak widzimy ani słówka tu niema o panowaniu z łaski bożej; potrzebę władzy wywodzi kaznodzieja tak samo jak Jan Jakób Rousseau ze względu na szczęście społeczeństwa. Z doskonałym się coraz rządem — mówił dalej kaznodzieja — uszanowanie rządzących mocy i powiększenia nabierało. „Niechaj kto chce te sprawiedliwe i powinne sposoby czczenia podłą i niegodną myślącego stworzenia sprawą nazywa“; widok szczęścia naszego, religia, „stan opłakany *nierządu*, usprawiedliwiający gwałty, zatwardzający serca, kaziący (sic) obyczajność, dostateczną będzie ludziom odrazą od takowej swobody zwierzęcej“. Miało nastąpić szczegółowe wyjaśnienie obrzędów koronacyjnych; ale mówca wiedząc, że ma przed sobą „wybór słuchaczów“ poprzestaje na wskazówkach ogólnych. Im znamienitsza osoba rozkazuje — powiada — tém znośniejsze posłuszeństwo jest: stąd pochodzą wszystkie odznaczenia dla tego *urzędu*, który „ofiara publiczną być każe“. Namaszczenie powinno zwiększać uszanowanie, bo czyni człowieka „rzeczą świętą i osobliwym sposobem własnością bożą“. Wybór *przez wszystkich* z pomiędzy wielu oznacza „doskonałość i nader wyborne przymioty“ elekta. Naród polski — dodaje — „sławny zawždy kochaniem panów swoich“. Określa dalej, na czem polega to uszanowanie dla monarchy. „Nie na powierzchownym

ułożeniu, pochlebstwie i ślepěj wszystkiego aprobacy — uszanowanie monarchów zawisło. Radą, prawdą i obroną króla szanować należy; szanować w nim Boga i jego w Bogu: szanować sercem wiernym, umysłem niewzruszonym, kochaniem synowskim, *jednością myśli i woli*“. Zwraca się następnie do króla: „Do monarchy *mędrca*, do męża wedle serca bożego imieniem kościoła i ojczyzny z miejsca prawdziwie poświęconego gdy mówię, tegoć winszować powinienem, żeś się stał namiestnikiem boskim i będziesz na wzór Opatrzności jego wszystkich uszczęśliwiał; żeś się stał ojcem powszechnym i prawem miłości rządzić nas będziesz; żeś się stał opiekunem poddanych, a *mocny nad słabym przewodzić ustanie*; żeś się stał dłużnikiem ludu twego i karą nieprawości, nagrodą cnoty wypłacisz się; żeś się nakoniec stał wszystko wszystkim i rzeczą samą królować będziesz“. W końcu kaznodzieja prosi Boga o ducha rady, męstwa, dzielności, sprawiedliwości i oddalenie wszystkiego, co prawe posłuszeństwo niszczyć i kazić może jako to: *niesforności, pychy, zysku własnego, zazdrości podłej, nienawiści wzajemnej*.

Kraszewski utrzymuje, że kazanie, zawierające się w trzech stronicach arkuszowych Dyaryusza Sejmu Koronacyjnego „nie nosi na sobie piętna wyższej kaznodziejskiej zdolności, nawet w porównaniu do innych kazań Krasickiego homiletycznëm, słabëm się wydaje“ (Aten. I. 234). Naumyślnie przytoczyłem treść i wyjątki, ażeby czytelnik sam mógł osądzić ten bardzo mało znany zabytek wymowy Krasickiego. Prawdą jest niezaprzeczoną, że mówca nasz nie odznacza się wcale zapałem; nie posiada nawet tego uczucia, które nadaje trochę ciepła zimnym wywodom rozumowym; że wreszcie mowa jego koronacyjna nie może się liczyć do pięknych; w każdym atoli razie ma ona w porównaniu z kazaniami homiletycznemi Krasickiego większą myśli obfi-

tość, większą dbałość o wystówienie, a nawet i trochę wzruszenia, jeżeli nie uczucia. Kazań tych homiletycznych znam pięć. Przedmowę do nich napisał Krasicki 4 Czerwca 1764, a zatem w owej chwili, kiedy po bankructwie swego stronnictwa — nie spodziewając się może wejść w przyjazne stosunki z Poniatowskim, zamyślał szukać sławy na polu wymowy kościelnej i poprzestać na skromnej roli opata wąchockiego. Wkrótce potem rzeczy się zmieniły: przed kaznodzieją otwarła się daleka a świetna karjera; biskup warmiński zapomniał o swoich kazaniach tak, że dopiero w 18 lat po jego śmierci jakiś nieznany z nazwiska misyonarz podał je do druku ¹⁾ i silnem zaleceniem w świat kapłański wprowadził. Przemawiając bowiem na wstępie do kandydatów na „urząd kaznodziejski“, powiada o wydanem przez siebie dziełku: „Znajdziecie w niem gruntowność i zupełność myśli, zadziwiającą łatwość i trafność w ich wynalezieniu i uporządkowaniu; to zaś wszystko połączone z jasnością, prostotą i dobitnością w wyrażeniu. Przyjmijcie je z wdzięcznością i do *Skargów*, *Karpowiczów*, *Kalińskich* i innych *wzorów* wymowy kaznodziejskiej przyłączcie“. Porównanie ze Skargą jeszcze raz nasuwa mu się pod pióro. Jestto bezwątpienia zbyt wielka przesada. Kazania Krasickiego odznaczają się istotnie zdrowym rozsądkiem, prostotą i jasnością; pisane są językiem i stylem czystym, lecz najzupełniej bezbarwnym: nigdzie mówca nie zwraca się do uczucia, nigdzie nie daje karmi wyobraźni; wszędzie suche tylko i zimne, a dosyć powierzchowne rozumowanie. Porwać, zachwycić, a choćby tylko ukoić, błogiem uczuciem serce napełnić nie są one w stanie.

Co do myśli kazań tych są one oczywiście zgodne

¹⁾ Kazania Ignacego Krasickiego Arcybiskupa gnieźnieńskiego. Za pozwoleniem zwierzchności. W Warszawie. W drukarni XX. Misyonarzów, r. 1819, str. 103.

z nauką kościoła; niema więc potrzeby przedstawiać ich tutaj; niektóre tylko charakterystyczne rysy zaznaczę. Zastanawiają przedewszystkiē w tych przemowach, zwróconych do ludu, częste wzmianki o „odszczepieńcach“, którzy „sami od siebie chcą sprawować poselstwo“, bo „żadnej na to nie mają władzy i zlecenia, ani zaś jēj sobie dać, ani od drugich ludzi brać jēj nie mogą“; i przestrzeganie przed niemi — jakby lud nasz wystawiony był na działanie propagandy anty-katolickiej. Mówca stoi naturalnie na gruncie tradycyjnym; wyraźnie powiada, że słowa jego już przed nim „wymierzone były“, i że następcy jego też same dzieciom słuchaczów głosić będą; utrzymuje dalej, „że mądrość chrześcijańska na wyznawaniu prawd i nauk kościoła bożego polega, i że ta tylko mądrość jedynie potrzebna jest“ (48). Nie można jednak stąd wyciągać wniosku, że Krasicki w kazaniach jest fanatykiem, że rozżarza niesnaski religijne, lub że przesadzoną przywiązuje wagę do obrządków kościelnych. Nie — łagodne usposobienie kaznodziei przebija się w jego mowach; nigdzie on nie piorunuje, nigdzie słów gwałtownych nie używa, nigdzie nie przecenia formuł zewnętrznych. Owszem, mówiąc do parafian, objaśnia, że obrządki kościelne same przez się „świętobliwości nas nie nabawiają, ale są przestrogami i wyrażeniem raz po raz wewnętrznych *sentymentów*, które nas udoskonalają“ (36). Ciekawą jest rzeczą, jak Krasicki, któremu później, gdy był ulubieńcem Stanisława Augusta, satyry zarzucały brak skrupulatności pod względem jedzenia w dni postne, zapatruje się na ten przepis kościelny. „Pościć — powiada on — dlatego, że drudzy poszczą, dlatego tylko, że nam post zapowiedziany, jestto czynić dzieło duchowne sposobem zmyślnym, bydlęcym, człowieka chrześcijanina niegodnym. Pościć dlatego, ażeby powiedzieć po faryzejsku — nie jestem jak drudzy: jestto z dzieła zbawienia, czynić dzieło zguby, a z lekar-

stwa — truciznę; martwić nakoniec przez postną wstrze-
mięźliwość jedną namiętność, a drugim pobłażać: jestto
hipokryzja, i ludziom, gdy się objawi, niemiła i Bogu, przed
którym się zataić nie można, obrzydła“ (94). Krasicki zatem
żąda, aby post wynikał z wewnętrznego przekonania o jego
potrzebie. I tu jednak nie należy błędnie oceniać tych wy-
rzeczeń i wnioskować, że kaznodzieja był filozofem wolno-
myślnym, pragnącym obrządki kościelne zupełnie racjonal-
nie objaśniać. Bynajmniej. Oburza się on tu na opinią
„wielkiego świata“ i na argumenta żartobliwego mędrca;
i tego rodzaju insynuacje przeciwko postom każe chrześcija-
ninowi zbijać cytatai z Pisma ś., to jest wszelkie dowo-
dzenia odpierać jednym tylko argumentem: „napisano jest“.
Uznaje on i wypowiada głośno, że są rzeczy, które nie
dysputy, ale *posłuszeństwa* wymagają, i nie pozwala odda-
wać ich „pod sąd płocho go rozumu“. Nie można sobie
wyobrażać Krasickiego takim księdzem, jakim był np. Kołłą-
taj lub Staszyc, którzy w ostatniej niejako potrzebie ucie-
kali się do Pisma św., a zresztą przemawiali tylko w imię
rozumu i obowiązku obywatelskiego. Filozofia XVIII-go
wieku wówczas, gdy Krasicki kazania swoje pisał, przesunę-
ła się powierzchownie tylko po jego umyśle i starła
z niego to, co może edukacja jezuicka zbyt szorstkiem, zbyt
niestosownem do dążności ówczesnych pozostawiła; filozofia
ta może nawet ostudziła zapał kaznodziejski i łagodne,
co więcej chłodne wyrazy w usta mu włożyła, ale nie
tknęła gruntu przekonań.

III.

Kazania zostały w rękopiśmie, ustępując miejsca publi-
cystyce. Dążności reformatorskie Czartoryskich i króla dozna-
wały wielu ciężkich przeszkód ze strony ciemnej, przez nie-

chętnych nowemu porządkowi rzeczy magnatów podszczuwanęj szlachty, na którą trzeba było działać silnie i to za pośrednictwem nader rozmaitych środków. Jednym z nich było bezwątpienia wpływanie na opinią publiczną przez pisma czasowe. Nie mamy wprawdzie pewności, ale wszystko przemawiać się zdaje za domysłem, że „wskrzeszony“ w roku 1765 „Monitor“¹⁾ miał być organem ludzi, co wszelkiemi sposobami pragnęli przeprowadzić jakiegokolwiek zmiany w ówczesnym składzie politycznym Rzeczypospolitej. Było to pismo głęboko i szczerze przejęte ważnością swego reformatorskiego powołania; dla niego panowanie Sasów przedstawiało się jako „czasy okropnej pamięci“, a wraz ze wstąpieniem na tron Stanisława rozpoczynał się wiek złoty;

¹⁾ Tu się nastęrcza sposobność bibliografom, nie znającym dotychczas *Monitora* wcześniejszego nad rok 1765, odszukania go w bibliotekach. W pierwszym bowiem numerze *Monitora* z tego roku czytamy: „Nim rozpocznę dzieło zamyślane, niech mi się godzi wspomnieć ś. p. *ojca* i dobrodziejstwa mego; kwiat cisnąć na jego mogiłę *et fungi inani munere*. Miał w sobie ten *Monitor* ducha dobrego obywatelstwa i chęć sprawiać dobro; niedoskonałości jego lub to, co się w nim nagannego zdawało, bardziej można przypisać czasom, w których żył, jak własnym jego skłonnościom; ogólne przepowiadając prawdy, był może przynaglonym do szczególnego przywłaszczenia czy z własnej chęci, czy zarażony tym nieszczęśliwym umysłem podziału na partye, który naród cały rozrywał. Jeden i ten sam moment zagrzebał *Monitora zesłego* i te czasy okropnej pamięci, które podsycaly statystyczne jego rozważania“. Z tych słów pokazuje się najwidoczniej, że syn tj. *Monitor* z r. 1765 wspomina o istnieniu rzeczywistego *ojca*, że to nie jest żadną allegoryą, ale przytoczeniem istotnej próby wydawania *Monitora* za Augusta III. Oprócz tej wzmianki odszukałem za wskazówką p. Tadeusza Korzona w „*Thornische Wöchentliche Nachrichten*“ z roku 1765 (z dnia 21 Czerwca) wiadomość stanowczą o wyjściu 3 numerów *Monitora* w roku 1763. Wiadomość ta, nieznana bibliografom, brzmi, jak następuje: Powiedziawszy niezbyt pochlebnie o dwu dawniejszych tygodnikach, jednym po niemiecku (*Der Rathgeber*), a drugim po polsku (*Patriota polski*) przez *Bauch*a wydawanych,

dla niego tolerancja religijna była hasłem wynikającym zarówno z zasady miłości bliźniego, jak i z potrzeby ulepszenia przemysłu i handlu przez zabezpieczenie wszystkim kupcom i fabrykantom wolności sumienia; dla niego zmiany wydawały się konieczne we wszystkiem: w sądownictwie, w administracji, w wojsku, w położeniu mieszczan i chłopów. Już w 1-szym numerze (z dnia 23 Marca), który był rodzajem prospektu, nie tał się Monitor ze swemi sympatjami dla króla, a zarazem zapowiadał, że działać będzie w duchu reformy. Wspominając bowiem o „ojcu“ swoim, Monitorze z czasów Augusta III, tak się wyraża: „Mnie synowi swojemu zostawił równą czystość intencji, żądzę równą pożyteczności i drogę już utorowaną; w tym szczęśliwszy od ojca, że usługi narodowej zaczynam osnowę w tym czasie peryodzie, w którym życzliwsze jak dotąd krajowi przeznaczenia Polskę z niewoli *nierządu i niewiadomości* wyprowadzić dopuszczają. Temu Rządcy, który i powszechnego dobra pragnie i to *co pragnie, wykonać umie... Magnus saeculorum ab integro nascitur ordo... Redeunt saturnia regna...* Ta zorza tak jasna dni najpogodniejszych pozwala nam nadzieje. Osięgnąć zechcę w biegu pisma tego nie tylko, *co polepszenia się rządów i natury onych* tykać może, ale cokolwiek czerpając w źródłach moralności, nauk,

ciągnie sprawozdawca dalej: „Es hätte mit mehrerem Recht als ein würdiges polnisches Wochenblatt angesehen zu werden verdient, eine Schrift welche von *ohngeföhr zwei Jahren* auch schon unter der Aufschrift *Monitor* in polnischer Sprache herauskam, und die aus der Feder *einer der angesehensten und vollkommensten polnischen Prinzen* geflossen war. Allein die so vielen Beschäftigungen dieses Prinzen mit öffentlichen Angelegenheiten, die durch *die erfolgte Veränderung im Reich* noch mehr vervielfältiget worden, waren Ursach, dass solches Blatt *mit dem dritten Stück* aufhörte“. Inicytorem, jeżeli nie redaktorem tego czasopisma był widocznie jeden z Czartoryskich.

obyczajności, rozum weseląc, *oświecać* i umysłem do rozszerzenia się pole dać może“. Oświata i poprawa rządów najściślej tu się jednoczyły i stanowiły podstawę wielu bardzo rozumnych, a niekiedy gorąco napisanych artykułów, wymierzonych przeciwko zabobonom, z niewiadomości wynikającym, i przesądom, wkorzenionym w umysłach przez złe wychowanie i wadliwy ustrój Rzeczypospolitej.

Na czele redakcyi stał jezuita ks. Franciszek Bohomolec, znany jako pierwszy u nas autor komedyj dla młodzieży szkolnej i wstawiony bardzo wielu innemi pismami wierszem i prozą. Zadaniem jego było, jak sam się wyraża w 2-gim numerze Monitora (z tegoż samego 23 marca) „ułożenie“ materyałów, których „uważaniem i roztrząśnieniem“ zajmowały się *cztery* osoby, zjeżdżające się trzy razy na tydzień. Trzy z tych osób wymienia Bohomolec pod zmyślonemi nazwiskami: *Neoklesa*, *Filandra*, Imię Pana *Ochotnickiego*; czwartą zaś nazywa tylko „duchowną“. Skądinąd znamy niektóre nazwiska stałych współpracowników „Monitora“; wymieniają bowiem zazwyczaj bibliografowie ks. Jana Albertrandego, Józefa Epifaniego Minasowicza i Ignacego Krasickiego. Niepodobna z podanej przez Bohomolca charakterystyki odgadnąć, kto był Neoklesem, kto Filandrem, a kto Ochotnickim; co do „duchownej osoby“ ta zdaje się być Krasickim. Wprawdzie nie wszystkie rysy fizyognomii duchowej ówczesnego opata wachockiego odbijają się w charakterystyce „duchownej osoby“; a jeden z rysów, który w niej znajdujemy, z trudnością w Krasickim odkryćby można: trzeba jednak pamiętać, że Bohomolcowi nie chodziło bynajmniej o takie skreślenie charakteru swoich współpracowników, żeby je każdy odrazu mógł poznać, lecz raczej o naszkicowanie różnostronnych, a do jednego celu zmierzających usposobień tych osób, co się „uważaniem i roztrząśnieniem“ artykułów zajmować miały. Otóż rola,

jaką odgrywać mógł Krasicki w tém zgromadzeniu literackim, wcale dobrze się nadaje do jego charakteru. Według charakterystyki Bohomolca „duchowna osoba“, biorąca udział w wydawaniu „Monitora“, była przedstawicielem *tolerancyi religijnej*. Posłuchajmy, jak Bohomolec rzecz tę określa. „Czwarty — powiada — *rzadko kiedy nawiedza nas*, ale skoro się między nami znajduje, przybywa nam świetlejszych myśli i ukontentowania. Jestto duchowna osoba, wielkiej świętobliwości, głębokiej nauki i *niewypowiedzianej w obchodzeniu przyjemności*. Słabość zdrowia nie pozwala mu ani przyjąć na siebie pracowite obowiązki stanu swojego, któreby tak doskonale wykonać potrafił, ani też wysokiego tego stanu dostojenstwa, *któreby mu tak sprawiedliwie należały* ¹⁾. Za wszystkie współtworzenia upokarza się przed Bogiem, ale *nikogo nie potępia*; żyje na tym świecie jako ten, który nic w nim nie znajduje, co by go przywiązać mogło i śpiesząc do ostatniego celu żądz swoich z słabości zdrowia nabiera nadzieję prędkiego uszczęśliwienia ²⁾. To nam często powtarza, że *miłość wiary i stałość w wierze a duch prześladowania* w niczém wcale do siebie nie należą, że pierwsze jest cnotą, drugie — obrazą najfundamentalniejszej cnoty każdej wiary (a dopiero naszej) — miłości bliźniego“.

Istotnie Krasicki nie mógł w tym czasie uczęszczać stale na zebrania „Monitora“, gdyż w początkach właśnie tego roku (1765) wybrany został prezesem trybunału małopolskiego, który do kwietnia odbywał swe czynności w Lublinie, a od przewodniej niedzieli do wili ś. Tomasza we Lwowie; do Warszawy zatem można było zaglądać

¹⁾ Pamiętać należy, iż wówczas ani marzyło się nawet Krasickiemu o biskupstwie warmińskim.

²⁾ Ten właśnie rys uważam za niezgodny z usposobieniem Krasickiego.

tylko czasami. Czynności Krasickiego, jako prezesa trybunału, nie są dotąd wyjaśnione; mówi się tylko ogólnikowo, że w Lublinie poznał przyszły autor „Przypadków Doświadczyńskiego“ i „Pieniacza“ wszystkie ówczesne praktyki prawne, które tak jaskrawo miał później odmalować. I ja nie mam nic do dodania w przedmiocie zajęć urzędowych prezesa; znajduję tylko we współczesnych owemu trybunałowi numerach „Monitora“ artykuły o sądownictwie i prawnikach w duchu surowej krytyki pisane. W Nr. VIII mieści się rzecz „duchownego“ o ważności urzędu sędzi, który „ile może, powinien przymioty bóstwa posiadać“. Autor występuje stanowczo przeciwko rozpowszechnionemu wtedy zdaniu, jakoby „z krzesłem sądowym oraz umiejętność chodziła“, a wreszcie kończy bolesnym ucinikiem o deputatach: „Gdym mieszkał w sądowym mieście, nieraz trafiło mi się postrzedz powracające *ładowne bryki* tych, których skarbnikiem, czyli telegą przyjeżdżających widziałem“. W numerze następnym (IX) podany jest „z opowiadania Filandra“ obraz dobrych i złych sędziów. O złych słyszał, że im „nie słuszość, ale emulacya dyktowała sentencye“; mniejszy był u nich wzgląd sprawiedliwości, byleby mieli partya, byleby znaleźli takowych z koła swego, którzyby szli ślepo za ich wyrokami i tylko jedną mieli sentencyowania aryngę: „*idę in sensum pryncypała mojego*“. Karci następnie zatrważający wpływ magnatów na odwagę sędziów, wytyka przepełnienie miasta sądowego winiarniami, wstawianie się płci pięknej i JJWW. korespondencyj; a kończy ironiczną uwagą, że nic podobnego w naszych trybunałach nie przypuszcza.

Bardzo być może, że artykuły te nie wyszły z pod pióra samego prezesa trybunału; ale że spisano je ze spostrzeżeń i uwag jego, o tém prawie wątpić nie można. Na tém atoli ograniczają się cokolwiek wyraźniejsze ślady działalności publicystycznej w r. 1765, o ile dojść ich mogłem.

Z rokiem następnym rozpoczynają się zabiegi innego rodzaju; szło już o owe „wysokie dostojęstwa“ duchowne. Król widocznie polubił Krasickiego i chciał w nim pozyskać sobie wiernego a nadzwyczaj utalentowanego sprzymierzeńca w sprawie przeprowadzenia reform w Rzeczypospolitej. Zbliżał się czas sejmu zwykłego, od którego obrad bardzo wiele zależało; na nim bowiem traktować miano o rzeczy niezmierniej doniosłości politycznej. Potrzeba więc było działać szybko i gorliwie. Król Stanisław wystarał się dla Krasickiego o koadjutoryą biskupstwa warmińskiego; wypadki zaś tak prędko po sobie następowały, że 28 grudnia 1766 roku koadjutor został biskupem, a 2 stycznia złożył przysięgę senatorską na zamku i miał prawo zasiadania na sejmach w przyszłości. W parę dni po odebraniu tej przysięgi król pisał do stariej swej przyjaciółki i powierniczki, pani Geoffrin, o biskupie warmińskim, którego nazywa *Minetem*: „Jest dziś bogatym, a szczęściu jego publiczność przyklaskuje. Wiesz, że twarz ma piękną; twarz ta radość wyraża, --- a *ja go uczyniłem szczęśliwym*. Pomyśl, czy mi na niego spoglądać miło“... Przyjemność ta jednak niedługo, zdaje się, trwała; bo książę biskup odbywał wprawdzie przejażdżki po kraju, ale bynajmniej nie w celu jednania stronników królowi, lecz dla zabawy, dla dawania ślubów, dla wizyt urzędowych. Był rozrywany ksiądz biskup; obszerna a świetna koligacya nacieszyć się nim nie mogła, a Krasicki, który zawsze był w kłopotach pieniężnych, nie żałował przecież wydatków na hojne utrzymanie swojej służby i na uiluminowanie mitry książęcej. Było to miłem dla Krasickiego i jego rodziny, ale nie dla króla, który pragnął mieć z niego pomocnika politycznego. To też Poniatowski wkrótce spostrzegł, że nadzieje jego niezbyt prędko się sprawdzają, a spostrzeżenie to zaznaczył w liście do pani Geoffrin z dnia 13-go maja, wyrażając obawę, „ażeby ten

Minet tak miły, tak dowcipny, tak pilny“, który mu tyle był winien, nie stał się próżniakiem, nie dbającym o nic i o nikogo tylko o swe własne przyjemności i lenistwo swoje. „Przykro mi — dodaje król — że mam pewne poszlaki, które zdają się to zwiastować“.

Krasicki w listach do brata i wogóle do krewnych nie wzmiankuje wcale kwestyj politycznych, a co najwyżej przysłał jakiś dokument urzędowy lub półurzędowy, dodając, że z niego „uznać“ potrafi adresat, o co idzie. Treść listów zawsze dotyczy tylko stosunków prywatnych. Do pani Geoffrin, z którą tak jak Poniatowski prowadził korespondencją, również o kwestiach politycznych nie pisał. „Odebrałam list od Mineta — pisze raz pani Geoffrin do króla — Minet ostrożny, słowa nie mówi o sprawach teraźniejszych“. A ówczesne sprawy coraz groźniejszy przybierały charakter. Sejm z roku 1766 był klęską dla stronników reformy; zwalono na nim prawie wszystko, co na poprzednich sejmach dla dobra kraju przeprowadzić zdołano; nie zadowolniono nadto słusznym wymagań dysydentów, którym szło o zupełnie swobodne wyznawanie swojej wiary, a, jeżeli można, o równouprawnienie obywatelskie. Wskutek tego, wyszła deklaracja rosyjska, powstały konfederacje dysydenckie, konfederacja radomska; chaos w kraju był straszny.

Na dzień 25-go maja naznaczył król pełną radę senatu, na którą jako senator musiał także przybyć i biskup warmiński. Nie występował jednak na niej w sposób odznaczający się, a przynajmniej nie pozostał tego ślad żaden. Po trzydniowych obradach znowu się rozpoczynają przejażdżki Krasickiego: to przeprowadza zwłoki Prymasa do Łowicza, to koronuje cudowny obraz w Miedniewicach: ale o sprawach publicznych nie myśli. W sierpniu pisze król zirytowany do pani Geoffrin: „Przypadek nastreścił mi z ręczność powiedzieć kazanie, ale nie ostre — Minetowi.

Zrobiło ono pewne wrażenie, bo się przekonał zarazem, że głos publiczny był przeciwko niemu“.

Nastąpił smutnej pamięci sejm zwany delegacyjnym, na którym ze wstydem musiano się zgodzić na to, co lekomyślnie odrzucono rok przedtém. Sprawa dysydentów była jednym z głównych przedmiotów, o których mówiono. Papież Klemens XIII w trzech „breve“, wystosowanych do króla, do senatu i stanu rycerskiego, pochwalając żarliwość religijną sejmu z r. 1766, zagrzewał do takiegoż samego postępowania i obecnie; nuncyusz Durini w przemowie do szlachty zachęcał, żeby nie przyjmowali „owej djabelskiej komisji (delegacji), która miała usiłować religią katolicką i prawa narodowe zniszczyć“ ¹⁾. Zdaje się rzeczą pewną, że biskup warmiński poszedł za głosem papieża i nuncjusza: ale zbyt czynnie i zbyt śmiało opinii swojej nie wyrażał, tém bardziej, że po przeciwniej stronie stał jego niegdyś opiekun, Franciszek Salezy Potocki, tudzież — przyjaciel od serca, Ignacy Cetner, którzy podpisali między innemi „projekt aktu limity“, scharakteryzowany przez biskupa Sołtyka nader dosadnie, że ile w nim słów, tyle ciosów na wiarę i wolność... Jakoż wśród mów mianych na tym sejmie, zarówno przez duchownych jak świeckich, Dyaryusz, wydany przez Sozańskiego, nie wzmiankuje najkrótszego choćby odezwania się biskupa warmińskiego. Henryk Schmitt w „Dziejach panowania Stanisława Augusta“, nie cytując wprawdzie źródła swych wiadomości, ale widocznie mając je pod ręką, wspomina tylko ogólnikowo, że „prowincya pruska, która właściwie powinna była naradzać się z wielkopolską, oddzieliła się od niej i *miewała osobne posiedzenia* pod

¹⁾ Nolite amplecti diabolicam illam commissionem, quae vobis a comitiis nunc imminentibus proponetur, quaeque religionem catholicam et leges vestras evertere conatur.

przewodnictwem biskupa warmińskiego w pałacu tegoż“ (II, 279). W drugim miejscu, już nawet nie wymieniając biskupa warmińskiego i nie zaznaczając, czy obecny był na sesyi, powiada Szmitt, że prowincya pruska mimo groźb nie chciała zezwolić na ów projektowany „akt limity“. Zachowania zaś jej po usunięciu z sejmu Sołtyka, Załuskiego i dwu Rzewuskich (13-go paźdz.), szczegółowo nie kreśli, wzmiankując jednak wytrwałą postawę wojewody malborskiego. Dmochowski w mowie, mianej na cześć Krasickiego, powiada, że tenże „przejęty sprawiedliwem uczuciem na taką obrazę majestatu narodowego, radził, aby pōty zawiesić posiedzenia sejmowe, póki wzięte członki zgromadzeniu powrócone nie będą“. Tak zapewne wielu myślało; ale nikt tego głośno się nie domagał. Synowie Rzewuskiego, Chodkiewicz, Golejewski gorąco przemawiali za użyciem odpowiednich środków ku powróceniu senatowi członków; ale na przyznanie takiejże rady wyraźnie i Krasickiemu, nie mamy dostatecznych dowodów. Nieprawdopodobną ona nie jest; ale gdyby ją choć cokolwiek był zaakcentował biskup warmiński, niezawodnieby zanotowali mowę jego pisarze dyaryuszów. Zresztą zgodniejszém to było z usposobieniem Krasickiego dawać podobne rady pocichu, albo na prowincjonalném zebraniu posłów, niż ją wygłaszać wobec wszystkich zgromadzonych stanów. Na tém przypuszczeniu musimy poprzestać, dopóki nowych nie znajdziemy dokumentów. Bartoszewicz wprawdzie utrzymuje, że Krasicki wskutek swęj energicznęj rady „otrzymał w głos *podobno* rozkaz opuścić *natychmiast* i sejm i Warszawę“ ¹⁾; ale widocznie jest to jedynie wniosek oparty na słowach pochwały Dmochowskiego, bez żadnego potwierdzającego je dowodu. I owszem, sam Bartoszewicz dodaje, że Krasicki wyjechał

¹⁾ Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku, 1856, III, 43.

z Warszawy do Warmii dopiero dnia 6 listopada, a zatem w dwa tygodnie zgórą po limicie sejmu, która nastąpiła 19 października. Prócz tego w „Kalendarzyku politycznym“ na rok 1768 widzimy biskupa warmińskiego w spisie „rezydentów do boku króla Imci Pana Naszego Miłościwego do przyszłego sejmu“ od 1 czerwca do ostatniego septembra i od 1 octobra do 31 decembra.

Widzimy stąd, że Krasicki nie naraził wcale stosunków swoich, jako senator Rzeczypospolitej, opinia zaś publiczna wystawiała go nawet sobie jako kapłana niezbyt gorliwego w wierze, a zajętego wyłącznie swoim powodzeniem u kobiet i staraniem o coraz wyższą karierę. W jednej z karykatur wystawiono naszego biskupa, odprawiającego mszę przy ołtarzu; wokoło celebranta kręciły się, niby posługując mu, panny w robronach. W komedyi siedmioaktowej p. n. „Cnota uciemiona“ bezimienny autor przedstawił pod zmyślonemi nazwiskami osoby, które najważniejsze odgrywały role za czasów konfederacyi radomskiej i sejmu delegacyjnego. Między innemi znajduje się tu i Krasicki, jak twierdzi Bartoszewicz, przezwany *Umizgalskim*. Gra on tu „dziwną rolę bez koloru“; łąsi się przed jednym i przed drugim, a obojętny jest na rzecz publiczną; spekuluje na biskupstwo kujawskie po Ostrowskim, który chciał zająć miejsce Sołtyka; ale i stronnictwo dworskie nie dowierza mu także, gdyż postanawia jednocześnie użyć przeciwko niemu księdza kanclerza Młodziejowskiego (po Jędrzeju Zamojskim, który złożył pieczęć wielką koronną 15-go października 1767 r.). Inny znów bezimienny autor, który „cenzurował wszystkich biskupów polskich“, o Krasickim te wiersze zapisał:

Biskup warmiński *gładysz* gładkich sentymentów
Nie lubi mieć o *wiarę* trudów i zakrętów.

Czyli w tej, czyli w owej wierze być jest jedno;
Lepiej zawsze w rozkoszy, niż tam, kędy biedno ¹⁾).

Odrzuciwszy nawet wiele z wagi tych zarzutów, które pod piórem pamflecisty zwiększyć się musiały, zawsze przecież prawdopodobną będzie rzeczą, iż gorliwego biskupa w ten sposób nie przedstawianoby wcale.

Podobne było zachowanie się Krasickiego i czasu konfederacyi barskiej: nie stanął on wyraźnie ani po jednej ani po drugiej stronie, nie chcąc się nikomu narazić. Od roku 1768 aż do 1772 porzucił swoją rezydencją biskupią w Heilsbergu, a mieszkając stale w Warszawie, otworzył dom, dawał wieczory, na które schodzili się wszyscy ówczesni literaci, jak niemniej i król Poniatowski. Dowcipkowano, czytano wiersze, grano w karty, bawiono się wesoło, nie zachmurzając sobie czoła wspomnieniem okropnego nieładu, jaki w Rzeczypospolitej panował. Jeżeli mamy wierzyć jednej wzmiance listu pani Geoffrin do króla, to biskup warmiński miał być w drugiej połowie 1769 r. w Paryżu. Czy przejażdżka ta połączona była z jaką misją dyplomatyczną, wiedzieć niepodobna; chociaż łatwiej przypuścić, że — nie, gdyż król, zwątpiwszy o Krasickim, jako dyplomacie, wybrał sobie innego zdolnego pisarza, Trembeckiego, który od roku 1770 konferuje z jeneralnością konfederacyi barskiej, aczkolwiek bezskutecznie. Stosunki Krasickiego z królem były coraz bardziej naprężone. Nie posiadamy wprawdzie listów Poniatowskiego, w których swoje niezadowolenie z biskupa wyrażał; ale z odpowiedzi pani Geoffrin, będących zawsze wiernem echem słów królewskich, dowiadujemy się o „straszliwej niewdzięczności“ dawnego Mineta, nazywanego teraz już tylko biskupem warmińskim. „Czémże to był wprzód ksiądz Krasicki? — pisze pani Geoffrin.

¹⁾ Tamże, str. 34, 42, 43.

W. Królewska Mość pozwolił mi sobie powiedzieć, że niewdzięczność jest przywarą bardzo w Polsce pospolitą, a wogóle — w całej ludzkości. A co ją u was czyni powszechniejszą, to — to, że W. Kr. M. nie możesz raz wyświadczonych dobrodziejstw cofnąć, ani niewdzięcznych ukarać. W innym znów liście nazywa go „prototypem wszystkich niewdzięczników, jacy kiedykolwiek byli i będą na świecie“.

Pierwszy podział kraju w tém chyba zmienił położenie Krasickiego, że uszczuplił jego dochody biskupie, o czém zdaje się przyświadczać znana anegdota o obcięciu pół u płaszcza, a zatém — o niemożności wprowadzenia heretyka Fryderyka II do nieba. Z początku był wprawdzie Krasicki trochę niespokojny o swoją pozycję, lecz wkrótce zjednał sobie przychylność, a nawet *soi-disant*, przyjaźń króla pruskiego i żył sobie wygodnie, oddany trochę zajęciom duchownym, a więcej — zabawom świeckim. Urządza sobie apartamenta; ozdabia je; porządkuje bibliotekę zasobną w wiele rękopismów; bawi się sztukami pięknymi; zaprowadza teatr amatorski na swoim dworze, który się roi od ludzi; uprawia ogrodnictwo; zaopatruje piwnice; robi dalsze lub bliższe wycieczki do Berlina, Poczdamu, Królewca, Oliwy, Karlsbadu, Warszawy; odwiedza swoje miejsce rodzinne; stara się o odmianę biskupstwa; a od spraw politycznych stanowczo stroni, albo zbywa je szyderskim uśmiechem. Okres ten czasu najdokładniej, bo z listów samego biskupa, opowiedział Kraszewski; dla ogólnej charakterystyki ma on już znaczenie podrzędne.

Poznaliśmy wychowanie Krasickiego i pierwsze jego kroki na arenie publicznej; przypatrywaliśmy się, jak charakter jego urabiał się i kształcił, jak zewnętrzne okoliczności nań oddziaływały. Krasicki ma już około lat czterdziestu; wielkich zmian w umyśle i w charakterze jego spodziewać się już nie mo-

żemy; owszem, takim, jakim był, pozostanie już do końca życia. Nie utracimy zatem wiele, gdy szczegóły drobne życiorysowe w ich kolejnym po sobie następstwie pominie, a zwrócimy się do zbadania stanu duszy człowieka i pisarza. Kto chce poznać tryb codziennego życia, jakie się na dworze heilsberskim prowadziło, ten niech odczyta w II tomie zbioru dzieł Krasickiego „list imieniem brata do siostry“ i niech zestawie ze sobą wyjątki z korespondencji biskupa z rodziną, przywiedzione przez Kraszewskiego. Powstanie z tego miluchny obrazek rodzajowy, na który złożą się ludzie i przedmioty powszednie, ożywione również powszednimi myślami, a opromienione kiedy niekiedy odbłyskiem poezji. Ani wielkich zamiarów, ani groźnych katastrof, ani głębokich uczuć, odnoszących się do ogółu spraw krajowych lub europejskich, nie znajdziemy tu wcale. Życie płynęło tu, wedle starego ale trafnego porównania, jak strumień spokojny pomiędzy brzegami niskimi, zarosłymi trawą i kwiatami. Tak się ono przedstawiało przynajmniej nazewnątrz, w tém, co biskup sam dla innych z zajęć swych i myśli wypowiedzieć uważał za stosowne. Ale jakie było wewnątrz? — Co tam w głębi duszy zachodziło? — Czy to była natura, która wszystko wypowiadała słowy, co w duszy jej powstało i zagościło? — Czy też przeciwnie w duszy tej były kryjówki, z których czasami tylko, niespodzianie, może nawet bez woli autora, wydobywały się tajemnice serca i głowy?

IV.

Ktoby z powyższego przedstawienia chwiejności kroków Krasickiego na widowni politycznej chciał go potępić i odmówić mu uczuć patryotycznych, widząc w nim jedynie egoistę, dbającego przedewszystkiem o *wygodę*, a stąd nie

zabiegającego nawet gwałtownie o dostojęstwa kościelne, nie mającego silnej ambicji politycznej; ten z pewnością popełniłby omyłkę i niesprawiedliwość. Omyłkę — gdyż fałszywieby sobie wystawił charakter człowieka; niesprawiedliwość — gdyż złą, niesłuszną przykładaliby miarę do oceny wartości takiego charakteru. Nie wszyscy mają usposobienie i zdolność do zostania statystami. Narzucać komuś rolę polityka, kiedy on chce zostać filozofem lub poetą, jest to nie rozumieć natury ludzkiej, jest to rozkazywać płomieniowi, żeby chłodził.

Krasicki nie należał wcale do tych ludzi, co się rwą do czynu, co rozmyślając ustawicznie o ogóle społeczeństwa, czują w sobie siłę do przetworzenia go z gruntu; zakres i rodzaj jego uczuć, pragnień i popędów w szczerplejszych zamykał się granicach. Obdarzony z natury wrażliwością niepospolitą, ale niezbyt silną i głęboką, chwycił w lot wszystkie myśli, bystro oceniał przedmioty, wypadki i osoby, interesował się wszystkiem; lecz nie przywiązywał się stale do jednej myśli, którą za zbawczą mógłby poczytywać, nie lgnął mocno do jednego człowieka, któregoby mógł za przewodnika lub wyłącznego przyjaciela uważać. Uogólniając wszystkie szczegółowe wpływy, jakie karmiła tej jego wrażliwości się stawały, możemy odróżnić dwa wybitne, a wprost przeciwne sobie, pierwiastki. A naprzód, pierwiastek tradycyjny w najobszerniejszym znaczeniu wyrazu spletał się z najwcześniejszymi pojęciami, jakie w domu rodzicielskim, w szkole, w Rzymie, wśród zajęć kapłańskich przyswajał sobie umysł młody. Gdyby Krasicki żył w wieku XVI-tym, w wieku żywej jeszcze wiary, namiętnych sporów religijnych, byłby został znakomitym kaznodzieją, apologetą, może nawet pisałby świetne polemiczne utwory, któreby społecznym uwielbieniem lub oburzeniem przejmowały. Żył jednak w stuleciu XVIII. Ogół szlachty był i teraz re-

ligijnym, przywiązany co prawda więcj do części obrzędowej, aniżeli do dogmatycznj, ale zawsze kochającym te obrzędy aż do pewnego stopnia nietolerancyi i fanatyzmu. Dwór natomiast, ludzie wykształceni, lub mający do wykształcenia pretensję, zapatrywali się już na religiję chłodniej, bo na ustach Woltera widzieli uśmiech szyderczy, któremu odpowiadał takż uśmiech na ustach „całego świata wyższego“ we Francyi, będącego wzorem dla innych „światów wyższych“. Wolter był potęgą nietylko wobec oświeconego ogółu, ale nawet wobec głów koronowanych. Trembecki utrzymywał, że samo zbliżenie się do mieszkania filozofa działało skutecznie na ogładzenie i ukształcenie człowieka:

Grubsze straci przesady i rozumu przetrze,
Kto ma szczęście *fernejskie* oddychać powietrze.

Wolter wysławiał rozum i — tylko rozum; wtórowali mu encyklopedyści z Diderotem na czele; wszystko, co dotychczas miało być prawny, uległo zaprzeczeniu, krytyce surowej, napaściom gwałtownym i nieubłagany, szyderstwu lub nawet cynicznemu naigrzawaniu. Siłę wiary zastąpiono wyrozumiałą na wszystko tolerancją, indywidualną miłość bliźniego zamieniono na abstrakcyjną, a niekiedy zupełnie ułudną filantropiją; zamiłowanie tego, co było, tradycją kościelną i narodową poddano analizie drobnostkowej, z pod działania którj cało wyjść nie mogła. Obok niszczenia dawnych pojęć wytwarzano nowe: w historii, w prawodawstwie, w naukach przyrodniczych porobiono wiele odkryć, których zdobyczami dziś jeszcze się cieszymy. Cywilizacya ta świetna, różnobarwna, mająca w sobie złe i dobre pierwiastki, a będąca odwetem przeciw długoletniemu uciskowi wszelkiej swobody, musiała całym urokiem nowości działać na umysły świeże, nieprzyzwyczajone do samodzielnego myślenia; a ponieważ łatwiej przyjmują się powierzchowne

cechy niż zasady sięgające gruntu, przeto nic dziwnego, że na naszą przeszczepiona ziemię, na której nauka prawdziwa od lat stu ugorowała, wydała przedewszystkiem ładne z pozoru, ale cierpkie w smaku owoce. Nie jest to prosta igraszka dowcipu, ani też zdanie upartego w sądzeniu o rzeczach konserwatysty, gdy Krasicki redukuje cały wpływ ówczesnej filozofii na rodaków naszych jeżdżących za granicę do następujących nader szczupłych rozmiarów:

Cytuje więc autory w reformie powziętęj:
Wolter nie kazał słuchać w niedzielę mszy świętej;
Helwecyusz powiedział: dobre są rozwody;
Rousseau nieprzyjacielem był święconej wody;
Locke uznał w dziesięcinach wynalazek prosty;
Newton czterdziestodniowe nienawidził posty;
Diderot mniemał, iż źle bywać na kazaniu;
d'Alembert pisał książkę przeciw bierzmowaniu.

A jak dawni Polacy więcej się przywiązywali właśnie do wymienionych tu obrządków, tak też „wyperfumowani apostołowie“ reformy, mającej wypłenić „twardą dzikość“ starej słowiańszczyzny nie widzieli lepszego środka do jej przeprowadzenia nad powierzchowne, płytkie lub cyniczne wydrwiwanie starego obyczaju. Z cywilizacją francuską wchodziły i pożywne pierwiastki, ale one rozpowszechniały się bardzo powoli, przygotowując sobie dopiero umysły do pojęcia nauki na seryo.

Obok Woltera i encyklopedystów wystąpił jako ich i całej cywilizacji ówczesnej przeciwnik Jan Jakób Rousseau. Uważał on obyczaje swojej przybranej ojczyzny, Francyi, za zepsute z gruntu, ponieważ nie cnota, ale talent był przedmiotem szczególnych ich uwielbień i nagród. Cofał się więc z rozkoszą w całkiem wymarzoną a niezmiernie oddaloną przeszłość, kiedy jeszcze nie było na ziemi własności ustalonej, a zatem nie istniały także grabieże, oszustwa i mordy. Całą siłą swego głosu, który

w wypracowanych peryodach brzmiał dzwięcznie i uroczu, nawoływał do prostoty i prawdy, do wychowania naturalnego, nie zaś — sztucznego, do szczeręj a serdecznęj wiary w Boga, z pominięciem wszelakich innych dogmatycznych, a zwłaszcza obrzędowych szczegółów. Równocześnie zaś rzucał podwaliny nowego gmachu społeczno-politycznego, który przy całej fantastyczności swych zarysów, miał przecieź na szczycie wywieszoną chorągiew z napisem mówiącym o wolności i równości. Jakkolwiek tedy nader ważne cechy różnią go od spółczesnych, w tém jednakże zasadnicze ma z nimi podobieństwo, że istniejący porządek rzeczy zarówno w religii jak w polityce i organizacyi socyalnej poczytuje za nieznośny i dlatego dąży, teoretycznie tylko co prawda, do jego obalenia. I w jego piersi gorączkowo się kołace duch reformy i w jego słowach brzmi hasło rewolucyi.

U nas nietyłe polityczne, zwłaszcza w początku, ile wychowawcze poglądy, a społeczne utopie znajdują zwolenników, choć nie bez ważnych zastrzeżeń. Bardzo wczesnie, bo w trzy niespełna lata po wyjściu *Emila*, wypowiedziane tam zasady znajdują u nas wielbiciele: *Monitor* z roku 1765 poświęca kilka numerów sprawie wychowania a w XXXII-gim tak mówi o książce Roussa: „Widziałem w niej z admiracyą wraz i z żalem przy cudnym stylu i przedziwnie dobrych, mądrych, głębokich refleksyach obok z niemi *straszące każdego prawowiernego* sofizmata. Ile razy mię chęć brała na ojczysty język to dzieło wyłożyć dla nader wybornych w nim zawartych myśli; tyle razy zrażony owemi zdradniami, com wyżej wspomniał, pozorami, odstąpiłem imprezy, górala tego przykładem, który złoto kopać przestał dla wybuchających z drogiego kruszcu arsenikowych ekshalacyj“ (str. 244). Prosi tedy pijarów i jezuitów, ażeby z tej książki wyciągnęli „wszystko“, co całej Europy przy-

znaniem tak doskonale i pożytecznie o edukacyi ten *osobliwy człowiek* napisał; sam zaś przytacza w przekładzie ustęp, w którym Rousseau uczy, „jakiemi sztukami i niby podstępem wzniecić ochotę do nabycia wiadomości w dzieciach, albo w nich tłumić do niekarności skłonność, albo dać im *właśnie* poznać, a bardziej poczuć prawdziwe prawa i sprawiedliwości krynice“ I „Zabawy przyjemne i pożyteczne“, które od r. 1770 wychodziły pod redakcyą Adama Naruszewicza, a później Jana Albertrandego, dają przekład rozprawy Roussa o wpływie nauk na pogorszenie obyczajów, a jakkolwiek umieszczają i odpowiedź na tę rozprawę, żywo się nią jednak interesują i myśli jej sobie przyswajają.

Tak się zachowywali względem pism Roussa ludzie najrozumniejsi swojego czasu; ale tak zwany ogół oświecony chwytał i tu raczej pozór, raczej sofizmat, niż radę zdrową, niż spostrzeżenie głębokie. I nic dziwnego. Opozycja bowiem katolicka, tak w Europie jak i u nas, była w skutkach słaba, że nie powiem, żadna. Wyklinanie, palenie książek na stosie ręką kata, listy pasterskie: oto była broń, której używano przeciw napaściom sławionych i ulubionych pisarzy. Broń ta, dawniej tak skuteczna, naówczas już straciła moc swoją, a nawet obróciła się przeciwko tym, co nią walczyć jeszcze chcieli. Rozumowania używali we Francyi na pobicie przeciwników jezuici w *Journal de Trévoux*, ale nie zdołali zaćmić ich świetnością ani żywością stylu; a sposób ich dowodzenia nie zyskiwał sympatyi wśród publiki. Jeszcze mniej mieli powodzenia Fréron i Pallisot. Umysły więc były oddane zupełnie pod władzę ludzi, których każde słowo jak pobudka wojenna dźwięczało. U nas opozycja katolicka przedstawiała się daleko mniej energicznie. Obronę religii podejmują ludzie bez zdolności, którzy tłumaczą liche ramoty francuskie przeciw koryfeuszom oświaty skierowane, a często nawet nie rozumieją

tego, co tłumaczą, jak ów ks. Andrzej Trzeciński, co to poemat „O naturze rzeczy“ wziął za utwór „damy rzymskiej“ Lukrecyi... Dopiero pod koniec wieku zjawia się rubaszny ks. Karol Surowiecki, który oryginalnemi utworami zaczął przeciwdziałać wpływowi oświaty francuskiej. I poprzednio przez lat kilkadziesiąt najznakomitsi pisarze polscy, przejęci mniej lub więcej duchem reformy, byli to właśnie księża, co tłumaczyli lub naśladowali Woltera, Roussa, Thomasa, Raynala itd. Księża to właśnie byli posiewcami nowych idei, nurtujących naówczas wnętrza społeczne.

Jak ks. Bohomolec, ks. Naruszewicz, ks. Albertrandi, tak też i ks. Krasicki nie został apologetą zagrożonej wiary, chociaż z drugiej strony nie stał się ani Staszicem, ani ks. Kołłątajem. Wrażliwa jego w wysokim stopniu natura wchłonęła w siebie oba tak różne od siebie pierwiastki: tradycyjny i reformatorski; ale z powodu, że to, co weszło do składu tej natury, głęboko w niej nie nurtowało, ułożyły się owe pierwiastki do nader chwiejnej równowagi, tak że raz jeden, a innym razem drugi brał górę. W charakterach namiętnych i głębokich takie rozdwojenie ducha rodzić zwykło walkę okropną, która się sceptycyzmem lub pesymizmem kończy, gdyż nie mogą one znieść tych gwałtownych sprzeczności, jakie się w umyśle ich rodzą; a nie posiadając zdolności do ich zharmonizowania lub eliminowania, wpaść muszą w krańcowe zwątpienie albo o możliwości poznania prawdy, albo o możliwości osiągnięcia bytu szczęśliwego. Ale charaktery łagodne, o uczuciach spokojnych i cichych, nie doznają tych męczarni myślenia i dość łatwo dochodzą do kompromisu mniej więcej zadowolniającego z wprost przeciwnemi sobie poglądami. Umysł ich nie zapuszcza się w głębie teoryj, gdyż idzie mu przede wszystkim o rezultaty praktyczne najbliższego zastosowania; a praktyka ma tę własność, że potrafi ostre kanty

ścierać i do pewnej wygodnej, okrągłutkiej formy wszystko przyprowadzić.

Krasicki nie odrzucał ani powagi wiary, ani praw rozumu; nie sądził nawet, żeby między niemi zachodziła sprzeczność zasadnicza. Nie wnikał on w ostateczne podstawy nowego kierunku myślenia; nie odczuł silnie żadnego z haseł ówczesnej oświaty, ale łatwo sobie przyswoił niektóre poglądy, niektóre pojęcia i te stawiał spokojnie obok praw religii, nie troszcząc się wcale o ustalenie, ani hierarchiczną ich wartości, ani nawet ich ze sobą zgodności. Rozdwojenia w duszy nie czuł, choć ono tało się nieświadome w jej głębiach; dlatego to zdania Krasickiego są niby zawsze jednolite, niby wypływają z umysłu, który się ostatecznie uformował; a jednak przedstawiają one nieraz takie różnice, jak gdyby od dwóch odmiennych osób pochodziły; dlatego nigdy w nim nie dojrzysz zapału, a lekką warstwę sceptycyzmu na wszystkich jego utworach łatwo dostrzeżesz.

Z księgozbioru

WŁADYSŁAWA GRABOWSKI

VI.

W KRAKOWIE.

Odszukaniem tych, pozornie tylko w duszy Krasickiego pokonanych, sprzeczności, nie potrzeba się trudzić zbytecznie; nie potrzeba wyszukiwać pojedynczych wyrażen lub zdań; znaleźć je można w całych utworach lub ich częściach. Przeczytajmy drugą księgę „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadków“ (z r. 1776), gdzie nasz biskup warmiński skreślił obraz szczęśliwego w prostocie swojej, cnotliwego, choć nieuczonego społeczeństwa. Obraz ten, bez idei Roussa: o doskonałości człowieka żyjącego w stanie natury, — o szkodliwym wpływie nauk na obyczaje, — o własności indywidualnej, jako początku niezgód i wojen krwawych na świecie, — nie byłby takim, jak go nam przedstawił

Krasicki, który w chwili pisania sławnych owych „Przypadków“ zostawał widocznie pod bardzo silnym wpływem „obywatela gienewskiego“; chociaż w dwa lata po jego śmierci, ogłaszając swój „Zbiór potrzebniejszych wiadomości“ (1781) nie poświęcił mu ani słówka wspomnienia. „Przypadki“ nie są oczywiście kopią jakiegoś wzoru, ale, myśli zasadnicze są bez żadnej wątpliwości wzięte z pism Roussa. Społeczeństwo na wyspie *Nipu* żyjące i przedstawiciel jego w osobie *Xaoo*, posiada jeden grunt wspólny, pamiątkowy, który uprawiają kolejno „obywatele“, dzieląc następnie zebrane zboże na tyle części, ile jest osad na wyspie. „Gdy częśćka (zboża) do osady przyniesiona bywa, robi się z niej chleb i ten, na tyle kawałków, ile jest obywatelów w osadzie, podzielony, przy końcu żniwa każdy z wdzięcznością i uszanowaniem pożywa na pamiątkę, iż jesteśmy wszyscy zarówno jednego ojca dzieci“.

Nie dosyć jednakże na tém uroczystem wspomnieniu, i rzeczywistość odpowiadała mu w części. Osada, w której Doświadczyński znalazł przytułek, miała 120 gospodarzów, a „każdy z nich miał dom, pole i ogród, *wszystko pod równym wymiarem*“; wszyscy za równych się uważali, podatków nie płacili najmniejszych. Otóż, w tém idealnem społeczeństwie nie było słów wyrażających kłamstwo, kradzież, zdradę, pochlebstwo; nie było terminów prawnych ani lekarskich: „ale też ani dworaków, ani jurystów, ani doktorów nie masz“ — dodaje Krasicki. Nauk żadnych również nie było; książek ani widu; doświadczenie, praktyka, zastępowały u Nipuanów wszystko, nad czém napróżno biedzili się Europejczycy. I księży także, kościołów, zakonów itp. nie znalazł tu nasz Doświadczyński. Najczystszy *deizm* panował tu wszechwładnie; Nipuanie wierzyli w Boga; modlili się prywatnie wśród pewnych okoliczności; ale urzędowego kultu nie mieli wcale.

Rzecz warta zastanowienia, że niektóre nauki i sztuki europejskie, o których opowiadał Doświadczyński, znalazły u Xaoo słowa uznania; gdy tymczasem o religii i o kulcie nie rozmawiali ze sobą wcale, o chrześcijaństwie nawet nie wzmiankowali. Nipuanom dążenie do nabycia cnoty i wykonanie jej najzupełniej wystarczało i innego sposobu podobania się Bogu nie pojmowali.

Jeżeli w „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadkach“ Krasicki milcząc pominął kwestyą kultu religijnego, to w „Monachomachii“, żartobliwie wprowadzie, ale niemniej silnie skarcił kultu tego nadużycia. W r. 1778 pojawiła się w Warszawie książeczka z wyobrażeniem satyra i podpisem ΠΑΝ, której tytuł brzmiał równie zaciekawiająco jak niezwykle: „Monachomachia czyli Woyna mnichów“...

W tym samym roku, w którym umarł Wolter i w którym wyszła niedołączna broszura wymierzona przeciwko temu słońcu XVIII wieku, a tłómaczona z francuskiego przez akademika Andrzeja Trzecińskiego, — wychodzi pismo natchnione po części wpływem mędrca z Ferney, a stanowiące gwałtowną sprzeczność z półtorawiecznym nastrojem literatury polskiej. Autor śmiało i bez ogródki wyprowadza na jaw całą sromotę życia klasztornego i tym samym — w opinii ogółu — zadaje cios silny jednej z instytucyj kościelnych...

Od połowy wieku XVII, kiedy ortodoksja katolicka spętała u nas ostatecznie swobodny rozwój pojęć religijnych, unicestwiwszy znaczenie dysydentów, objęła rządy nad myślami teokracja i w potężnych trzymała je okowach. Ukształceni nie tylko nie śmieli, ale nawet nie mogli przekraczać szranek zakreslonych katechizmem, gdyż podejrzenie samo o zamiar podobny pociągało za sobą pogroźkę strasznego losu, jaki rzeczywiście osiągnął Łyszczyńskiego. Szlachcic nasz mniej dbał o swobodę myślenia w zakresie nauki i religii aniżeli o swobodę worka, bo gdy o tę cho-

dziło, nie wahał się zaczepić księdza zarówno słowem jak i szablą. Wyższe duchowieństwo posiadało dobra ogromne, a często bardzo usuwało się od ponoszenia ciężarów publicznych; wtedy szlachcic nie mógł tego ścierpieć i rwał się nieraz do korda. Księża brali dziesięcinę, która często wielce dokuczała bratu szlachcicowi; i wtedy także nie żałował gęby i ręki... Myśl swoją atoli, ten swój „czerep rubaszny“, jak Słowacki powiada, szlachta składała kornie na ołtarzu i rada, że kłopot badania na nią nie ciąży, wierzyła we wszystko, co jej do wierzenia podawano, zarówno w Tróję ś., jak w cudowność jakiego obrazka, który w interesie swego klasztoru zakonnicy za cudowny ogłosili; zarówno w dogmata jak i we wszelkie obrzędy, a nawet więcej w obrzędy aniżeli w dogmata. Widząc rozpustnych i sprzedajnych dostojników kościoła, sarkano wprawdzie, ale po chwilowym gniewie, schylano pobożnie głowę przed „suknią kapłańską“. Szanowano święte a raczej święcone pozory, nie wglądano zbyt pilnie w czyny duchowieństwa, mówiąc sobie, że należy je poważać za to, co mówi, a nie gorszyć się tem, co robi.

Krytyka rozpoczęła się dopiero z napływem fal oświaty francuskiej, z rozbudzeniem świadomości położenia narodu, który w bezrozumnych orgiach saskich zasnął był snem... nie błogosławionych, ale odurzonych.

Nie potrzeba tu przypominać, jak silną, jak namiętą była opozycja myślicieli francuskich od początku XVIII wieku przeciw fanatyzmowi i ciasnocie pojęć ortodoksji ówczesnej. Rozprawy, poemata, tragiedye, wiersze ulotne, słowa poważne i słowa lekkie spadały gradem na tych, co nieruchomość myśli albo wirowanie w szczupłym i ścisłym określonym kółku za cel ukształcenia umysłowego ogłosili.

Opozycja ta przeszła i do Polski, a gdy potężny i na-

der wpływowy zakon jezuitów runął, obalony przez najwyższego pasterza kościoła, w najortodoksyjniejszej nawet głowie mogła zrodzić się myśl, że szata kapłańska nie koniecznie *sama przez się* godna jest szacunku, że pojedynczy członkowie i całe zgromadzenia duchowne mogą a nawet powinny ulegać kontroli, sądowi, a nawet i karze. Ślepa wiara w ustalony porządek rzeczy zaczynała się zwolna zachwiać, a bezwarunkowe zaufanie do religijnych przewodników — słabnąć.

Wśród takiego usposobienia, pojawia się równocześnie w dwu umysłach polskich chęć wyjawienia tych nowych dążeń, chęć zaznaczenia, że kościelne także instytucje, podobnie jak wszelkie inne, ulegać muszą ogólnemu prawu oceny publicznej. Młodziutki szambelan króla Stanisława, Kajetan Węgierski i przeszło czterdziestoletni książę biskup warmiński piszą żartobliwo-satyryczne poemata — o duchownych. Pierwszy w „Organach” wyśmiewa wygodne próżniactwo, ciasnotę umysłu i kierowniczą nieudolność proboszczów; drugi zagląda w „Monachmachii” do zacisza klasztorного. „Organy” znano w r. 1778 tylko w rękopiśmie, gdyż druk rozpowszechnił je później dopiero; „Monachomachia” wydrukowana wówczas, doznała nadzwyczajnego powodzenia.

Opowiada Franciszek Ksawery Dmochowski, że Fryderyk II dał Krasickiemu w Sans-souci tenże sam apartament, w którym niegdyś mieszkał Wolter, mówiąc, że książę biskup w takim miejscu powinienby doznać natchnienia i coś pięknego napisać. Wynikiem onęj zachęty miała być „Monachomachia”. Anegdota ta jest i dość prawdopodobną, gdyż wspomnienie Woltera, pomimo przykrych zajęć, było pamięci Fryderyka II zawsze obecne, i charakterystyczną zarazem, gdyż wskazuje dobitnie pewną analogię pomiędzy satyrycznymi utworami filozofia fernejjskiego, a poemacikiem

biskupa warmińskiego. Wprawdzie Krasicki jako wzór poematu żartobliwego miał przed sobą „Pulpit“ Boala i czasami naśladował go wyraźnie; duch atoli przenikający całą „Monachomachią“ cechował się częściej gorzką satyrycznością Woltera, niż swobodnym uśmiechem pisarza z czasów Ludwika XIV.

Na samym zaraz początku poematu mamy smutny obrazek ówczesnych miasteczek naszych, które Krasicki „zbiorem pustek“ nazywa. Cóż w nich znajdujemy? Jakieś stare zamczysko w ruinie, trzy karczmy, cztery ułamki bram, gdzieniegdzie domki, a klasztorów dziewięć. Otóż i pierwsza goryczy pełna antyteza... Naokoło zniszczenie, bieda materialna, a w środku najporządniejsze, murowane domy dla tych, co sami nie pracując, żywią się z pracy biedoty. Ogromna liczba istot nieprodukujących żadnej materialnej wartości, równie znamienna dla dawnej Polski jak dla Hiszpanii, już sama przez się razi nas niezmiernie, bo choćby one wytwarzały jakąś wartość moralną, zawsze nadmiar ich byłby zawielenki. A jeżeli tej wartości moralnej nie wytwarzają?...

W wiekach średnich zakonnicy byli krzewicielami kultury i przechowawcami oświaty; uczyli ludzi uprawiać ogrody, wykonywać rzemiosła proste, czytać, pisać, malować, cenić naukę, sztukę i literaturę. Albo też klasztory były to przybytki rozmyślenia, skupienia ducha, modlitwy, surowego życia, oddzielone od wiru barbarzyńskich zabaw, hucznych biesiad, rozpustnej hulatyki; przybytki, do których chroniły się umysły pragnące spokoju i ciszy, nie wymagające od świata nic oprócz zapomnienia. Taki był zamiar tych, co je zakładali, i zamiar ten spełniały zakony przez czas pewien z chwałą i zasługą...

Czas ten atoli dawno minął, a ksiądz biskup warmiński patrzył już na zupełnie inne usposobienia i pragnienia. W poemacie swoim nie mówi on o takich stosunkowo nie-

licznych zakonach, co się nauczaniem młodzieży zajmowały, ale sięga tam, gdzie istotnie złe się rozpoczynało, bierze na oko zakony „bogomyślności“ tylko poświęcone. Ślubowały one ubóstwo, czystość obyczajów, udoskonalenie i uduchowanie życia... A tymczasem rozsiadło się u nich od wieków „wielebne głupstwo“, które czcicieli swoich doskonale „utuczało“. Próżniactwo i ospalstwo, pijatyka i „pobożne“ stosunki z dewotkami, ciemnota i zabobonność panowały tam bez podziału.

Wielebny ksiądz przeor dominikanów, obudzony hałasem w klasztorze, „pierwszy raz w życiu jutrzenkę zobaczył“, a pytając się o powody zamieszania, nie może innych przypuścić prócz następujących:

Cóż to za rozruch u nas niesłychany?
Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?
Czy wyschły kufle, gąsiory i dzbany?..

Jego zdolność rządzenia klasztorem zasadza się na tém, że umie pić doskonale i nie da się nikomu w tym względzie przewyższyć; jego zapobiegliwość względem braci objawia się w tém, że od „przeoryszy“ dostaje spore zapasy pierników toruńskich i sucharków masą cukrową oblanych. „Mięsiste jagody“ jego odpowiadają wybornie całego ciała objętości, bo gdy siadł, „ławy pod nim dubeltowe pękły“. A jego podwładni, to „dzieci kochane Morfeusza“, napiwszy się i najadłszy, nie są zdolne do wysłuchania z uwagą cokolwiek dłuższej mowy, i podczas niej snem błogim usypiają: oni zdolni są tylko do jednego — do tego picia. Ojciec Hilary, karmelita, nazywa ich „kuflowemi filarami“ i nie radzi wyzywać ich do walki na kufle:

Nie zdołasz wzruszyć gmachów starodawnych...
Znam ja ich dobrze, zna ich brat Antoni;
Pijemy dobrze, — ale lepiej oni!..

Jest to świadectwo znawcy.

Dominikanie — to zakon kaznodziejski *par excellence*, mający potęgą wymowy wpływać na poprawę obyczajów, na ugruntowanie wiary. Istotnie, ks. Sadok Barącz dał nam spis paruset nazwisk dominikanów, co się na jakiejs książce lub brosurze uwieczniły; ale przeciętnie biorąc książki te są albo mistycznej albo panegirycznej treści, a w dodatku liche, i autorom swoim wcale nie zapewniły zaszczytnego miejsca w historii umysłowości naszej. Krasicki też z wielką trafnością dał nam próbkę tej wymowy w sławnym głosie ojca Honorata: „Pisze Chryzypus o Alfonsie królu“ itd., w którym niedorzeczność i napuszeność łączy się najściślej z elementarnymi błędami historycznymi. W wydaniu „Monachomachii“ z roku 1778 są *noty*, prawdopodobnie pisane przez samego Krasickiego; w nich wskazywał ks. biskup ciemnotę bohaterów trochę dla ówczesnych czytelników dobitniej jeszcze niż w samym tekście. Otóż do owego sławnego głosu dodał on takie objaśnienie: „Podług ojca Honorata Chryzyp filozof, żyjący przed Chrystusem, pisał historią o którymkolwiek bądź Alfonsie, żyjącym zapewne po Chrystusie. Alfons wojował z Baktryanami, narodem będącym jeszcze za czasów Aleksandra W. Z Hiszpanii przeniósł plac wojny do Licyi, prowincyi azyatyckiej; zapewne wojsko płynęło przez piaski abisyńskie albo morze piaszczyste, a Alfons gryfami zajechał do rzeki Paktolu. U ojca Honorata Maury i Baktryanie są jednym narodem. Można się domyślać, że albo ojciec Honorat wiele czytał i pomieszały mu się w głowie wiadomości, albo że się usadził na to, aby pokazać, że nic nie umiał historii, chronologii i geografii“...

Taki był przedstawiciel zakonu kaznodziejskiego.

Nie świetniej przedstawia się i jego przeciwnik — zakon karmelitów. On właściwie przypadkowo chyba zajmował się u nas nauką i nawet liczbą nazwisk literackich nie

może zaimponować. To też Krasicki doskonale stan ten charakteryzuje, gdy powiada, że u karmelitów wiadano z „dawnéj powieści“ o istnieniu biblioteki, która gdzieś tam pod strychem się mieściła:

Był tam brat Alfons, lat temu trzydzieści,
I z starych książek poodzierał wieka.

Co więcéj, wstręt do książek był u nich tak wielki, że żaden z ojców nie chciał się podjąć szukania biblioteki: więc trudne to zadanie powierzono „osłom domowym“ tj. aptekarzowi i krawcowi. Ci na rozwalinach baszty starożytnej w spróchniałym lamusie znaleźli przecie jakieś stare szpargały, grubą warstwą kurzu pokryte.

Skutkiem tak niewybrednej uprawy umysłu, ojcowie karmelici wierzyli wprawdzie w zabobony i prognostyki; — ale zarazem cieszyli się łaskami u płci pięknej, bo odznaczały ich „wdzięki rubaszne i hoża uprzejmość“. Zarówno ojciec Rajmund, który przeczuwa nieszczęście, gdy wychodząc z celi zgubił pantofel, jak i kształtny, wysmukły, okazały Hiacynt u swojej Dorotki miłe przepędzali chwile... Nie dziwny się...

W szyszaku, w czapce, w turbanie, w kapturze,
Wszyscyśmy jednéj podlegli naturze...

Dewotka umiała być przyjemną i zręcznie podtrzymywała rozmowę, którą rozpoczynając od historycznych wypadków matki d'Agreda, od upiorów i strachów, umiała urozmaicić nowinkami o wszystkich przygodach mieszkańców miasteczka:

Postać jéj wdzięczna; oczy choć spuszczone
Przecież niekiedy błyszczą się jaskrawie;
Choć w świętej mowie, słóweczka pieszczone,
Krył się subtelny kunszt w skromnej postawie.
Westchnienie, wolnym jękiem powleczone
Umiała mieścić w potocznej zabawie.

Muszki z różańcem, wachlarz przy gromnicy,
Przy Hiacyncie — głos synogarlicy.

Takie były dwa walczące ze sobą obozy. Zwarcie się ich odkrywa nam siłę i niemoc zapaśników.

Zaczęli od scholastycznej dysputy, strzelali do siebie dyalektycznemi argumentami; ale bardzo prędko musieli tę broń porzucić, nie dlatego, że była stara i zardzewiała, nie dlatego, że ją w ucywilizowanej Europie oddawna już do muzeum archeologicznego złożono, ale dlatego, że nawet i taką bronią szermierzyć już nie potrafili. Oni umieli już tylko wysmażyć w swęj mózgowicy, przy pomocy obfitych wyziewów alkoholowych, jakiś panegiryk, w którymby mecenas musiał być przyrównany do ptaka, do dziwotworu i do statku weneckiego, jeżeli miał się w umyśle słuchaczy jako wielki bohater przedstawić...

A więc po krótkiej dyspucie musieli się chwycić argumentu ostatniego, ale dotykającego: poszli na pięście... Siła mięśni musiała wynagrodzić słabość masy mózgowej.

Przyznać im wszakże trzeba jedną zaletę. Pomimo krewkiego animuszu swego, pomimo gorącej fantazyi, pomimo rozbudzonej namiętności, którą zawiścią nazywają, umieją oni być zgodni... jeśli tylko powód do zgody będzie słuszny i rozumny. Czyżby go znaleźć było niepodobieństwem? Czyżby do tych głów kurzących się „tumanem mądrości“; czyżby do tych ust mięsistych i rumianych; czyżby do tych ciał tłustych i pulchnych nie przemówił żaden pojednawczy argument? Nie! pojednawcę tego znali wybornie czasy saskie, które potrzebowały go bardzo często. Znalazł się on i w klasztorze. Był to puhar, w który wlewano garniec wina odrazu... Taki pojednawca zawsze trafi do głowy i do serca:

Co niegdyś w Troi był posąg Pallady,
Co w Rzymie wieczne westalskie ognisko;

Tém był ten puhar, czczony przez pradziady,
Starożytności wdzięczne widowisko...

On téż i wśród mnichów pokój dawny przywrócił;
on sprawił, że ani jeden, ani drugi zakon nie myślał przy-
pisywać sobie pierwszeństwa w nauce, uważając taką kwestyę
za rzecz niewartą uwagi. Czyż nie lepiej w spokoju i w zgo-
dzie zjeść dobrze, wypić po staremu i wyspać się dowoli,
nie zaprzatając głowy jakimiś myślami, które sen i ape-
tyt odbierają?..

Próżność nauka! najszczęśliwsi — głupi!..

Mimowoli przypomina się opat cystersów, Mikołaj Wy-
życki, znany powszechnie pod przezwiskiem *Sitio* (opój),
o którym Bizardiére powiada, że wino wślawiło go więcej
niż opactwo, więcej niż wysoki urząd koronny, więcej niż
rodzina...

Chociaż „*Monachomachia*“ wyszła bezimiennie, wszyscy
jednakże odgadli autora, bo nikt naówczas nie pisał stylem
tak lekkim i żartobliwym, nikt z taką swobodą wierszy nie
„odlewał“, nikt zręczniejszym ostrzem satyry nie władał nad
księcia biskupa warmińskiego. Wrażenie sprawione tym
utworem było tém silniejsze i donioślejsze, że autor sam
był duchownym, dostojnikiem kościoła...

Byli naturalnie i tacy, co mu za złe wzięli targnięcie
się na „szatę kapłańską“, choć żartem tylko; ale większość
inteligencji była za postępowym biskupem, a uznając traf-
ność charakterystyki i wdzięk wykonania, poemacik za ar-
cydzieło poczytała, uczyła go się na pamięć, przy każdej
sposobności powtarzała jakiś wyjęty z niego docinek...
i naśladowała. „*Monachomachia*“ doczekała się trzech wy-
dań¹⁾ w samym wieku XVIII; po niej wyszła „*Antimona-*

¹⁾ Zazwyczaj podają bibliografowie, że pierwsze wydanie
nie ma oznaczonego roku; niektórzy historycy literatury, niewia-

chomachia, a następnie „Asketomoria“ nieznanego autora, wymierzona przeciwko mniszkom, która także miała drugie wydanie pod zmienionym napisem: „Sejm fartuszkowy“. W témże stuleciu generał Jasiński tworzył lekkie ale do-
tkliwe powiastki rymowane, kołące i szczypiące duchowień-
stwo zarówno świeckie jak i zakonne.

Niepospolite znaczenie „Monachomachii“ w dziejach walki z rutyną i zastarzałemi pojęciami widział umysł tak poważny, tak ściśle matematyczny jak Jana Śniadeckiego, który w rozprawie „O logice i retoryce“ zapewniał, że poemat ten wyszedł w najlepszej porze i najwięcej pomógł usiłowaniu Komisji Edukacyjnej i pracom akademii krakowskiej.

Dopiero w dobie reakcyi europejskiej po r. 1815, kiedy umysły, skołatane burzami rewolucyi francuskiej, skłonne były szukać spokojnego portu w religii, w obrzędowości nawet, wówczas i poemacik Krasickiego uległ srogim zarzutom tak dalece, że fanatycy, którym trudno było przełknąć zdanie, że autorem „Wojny mnichów“ był biskup, co został później arcybiskupem gnieźnieńskim, uciekli się do sofizmatów, ażeby zetrzeć „plamę“ z nazwiska dostojnika kościoła.

Ludzie wolnomyslni, chcąc oddziaływać przeciw obskurantyzmowi, który pod pokrywką religii w zacofanym obozie propagowano, chętnie naówczas zastawiali się nazwiskiem Krasickiego. Oprócz wydań zbiorowych, pojawiła się

donio na jakiej zasadzie, rok tego wydania mienią 1775; zdaje się jednak, że jeżeli ono nie było późniejszem od opisanego w tekście wydania z r. 1778, to może je na kilka ledwie miesięcy poprzedziło, gdyż Węgierski, dedykujący swoje „Organy“ Krasickiemu dnia 22 stycznia 1777 r. byłby wspomniał Monachomachią, tak jak wystawiał w tej dedykacyi Myszeidę i Doświadczyńskiego.

wtedy „Monachomachia“ oddzielnie. Leon Borowski, profesor uniwersytetu wileńskiego, napisał szczegółowy rozbiór pierwszej pieśni tego utworu, a minister oświecenia w królestwie polskiem, Stanisław hr. Potocki, pisząc swoje „Podróż do Ciemnogrodu“, która bardzo śmiało a nieraz dowcipnie ściagała fanatyzm i obskurantyzm, również się do przykładu arcybiskupa odwołał, świętym go nazywając. Wtedy to znany żarliwiec, ksiądz Karol Surowiecki w broszurze p. n. „Świstak Warszawski wyświstany“ (str. 23) taką Potockiemu wypalił perorę: „Nie zapieram, że imię tego prałata, niegdyś znanego mi z osoby, mogło z inszych względów tytułować się *świętym*, ale skąd nam dowiedzie Świstak, iż ten prałat autorem wymienionych paszkwilów, które od początku do dziś dnia przynajmniej z jego strony, kursują bezimiennie? Pewnie się na tém zasadzi: tak ludzie gadają, tak wiemy, tak zatwierdza publiczność... Żartuję ja z takiego gatunku demonstracyi w czasach, gdzie weszło w modę pod najcięższe imiona podszywać najzłośliwsze gryzmoły. Tak robił Wolter, tak Rousseau; czemuż nie który z naszych narodowych *półgłówków?*“...

Dzisiaj do tak grubych sofizmatów nie pozwalają sobie uciekać się nawet fanatycy, dzisiaj zgadzają się z tą myślą, że jednostki chociażby duchowne, chociażby dostojne, mogły błądzić; chcą więc jedynie ocalić honor zgromadzeń... W r. 1878 Stanisław Stojnowski, pisząc artykuł o Krasickim do Encyklopedyi kościelnej, wołał być niesprawiedliwym względem jednego biskupa, aniżeli przyznać, że niektóre klasztory w XVIII wieku nie spełniały już tych posług, dla jakich je założono. Zrobił on Krasickiego potwarcą, dodając, że nie tylko biskupowi, ale nawet świeckiemu katolikowi nie godziło się napadać na stan Bogu poświęcony. W końcu zapisał pośmiertne monitum, że należało Krasickiemu użyć swęj biskupięj władzy i naprawić, co było

złem w klasztorach, a nie szydzić z nich, przyczem autor tego napomnienia przeoczył, że nad klasztorami w w. XVIII biskup nie miał władzy, gdyż one należały jedynie do jurysdykcji swoich prowincyałów i generałów...

Na takie i tym podobne zarzuty, które w zamiarze tych, co je wygłaszają, skierowane są przeciw jakiegobądź krytyce duchowieństwa, niema lepszey odpowiedzi nad tę, jaką dał już sam Krasicki: „Szanujmy mądrych, przykładowych, chwalebnych; śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych“...

Że nie był to wybryk dowcipu chwilowego, że nie żałował biskup tego, co napisał, dowodem jest „Antimonachomacha“, gdzie wyraźnie już wypowiada zdanie, że nierozsądnem jest uprzedzeniem kłaść „zakonność w równę szali z wiarą“; gdzie Gaudenty zasadza sprawiedliwość na „mocy lub sztuce“; nie zaś — na prawdzie; gdzie opilstwo, gnuśność, ignorancja jeszcze raz za charakterystyczne cechy mnichów są podane; gdzie wreszcie uosobiona „prawda“ każe się zakonnikom poprawić, dodając ironicznie, że gdyby to, co autor o mnichach napisał, było potwarzą, to ona samaby „spełzła“.

Obok tych wyraźnych wyznań samego autora niepodobna również pominąć spostrzeżenia, że biskup warmiński, ilekroć mówi o religii, nigdzie nie robi nacisku na dogmata, ale jedynie na przepisy moralności; — że wpośród znacznej liczby swoich „uwag“, lub w „pismach różnych“, gdzie o najrozmaitszych rozprawia przedmiotach, żadnego nie poświęcił artykułu sprawie religii; — że wreszcie w „Zbiorze potrzebniejszych wiadomości“ zostawił króciutką i suchą o niej notatkę. Notatka ta, krótsza niż o „romansie“, brzmi, jak następuje: „Religia: poznanie prawe Boga i czci jemu należytej. Religia *przyrodzona* jest cześć, którą oddaje stworzenie stwórcy samym rozumem światłem wsparte. Reli-

gia *objawiona* jest cześć, którą stworzenie oddaje Bogu na fundamencie wiadomości, którą jej objawieniem dać raczył. Słowo *religia* trojakiemi sposoby w piśmie św. jest wyrażone. Bierze się najprzód za cześć powierzchowną, którą naród prawowierny Bogu oddawał. Powtóre — za prawdziwy sposób czczenia Boga, różny od wielorakich — z wymysłu ludzkiego pochodzących. Potrzebie — za też same nieprawne i guślarskie czczenia sposoby, jako twierdzi Paweł św. do Kolosseńczyków: *nemo vos seducat volens in humilitate et religione angelorum*“ (II, 446, 447).

Jeżeliby jednak z przywiedzionych tu, jakoteż z niewzmiankowanych ustępów, mianowicie w „powieściach wschodnich“ chciał ktoś zawnioskować, że biskup warmiński był w gruncie wyznawcą takiej „religii przyrodzonej“, jaką ówczesni filozofowie głosili; ten zbyt pośpiesznie przeniósłby charakterystykę Woltera na Krasickiego. Nie poświęcił wprawdzie biskup warmiński osobnego pisma obronie religii, ale też i filozofom nie dawał spokoju absolutnego, nawet przejmując niektóre ich poglądy. W tych samych bowiem „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach“, w których Rousseau dostarczył mu myśli do ułożenia księgi drugiej, znajdujemy w księdze pierwszej dowcipną wycieczkę przeciwko zwolennikom Woltera i Roussa w Warszawie. Jeden z mentorów Doświadczyńskiego uważa za konieczny warunek powodzenia na wielkim świecie warszawskim zyskanie sławy „galantoma, junaka i filozofa“; a określiwszy, co przez dwa pierwsze wyrazy rozumieć wypadało, tak o trzecim rozprawia: „Co do trzeciego punktu, masz Wmć Pan wiedzieć, iż wiek nasz terazniejszy, jest to wiek oświecony: *tak — jak angielskie fraki*, i filozofia w modę weszła. U *najmniejszych* (sic) dam zastaniesz Wmć Pan na gotowni tuż przy *węzłkach* i bielidle księgi pana Rousseau, filozoficzne dzieła Woltera i inne podobnego rodzaju pisma.

Trzeba więc koniecznie postawić się w stanie prowadzenia dyskursu, gdy Wmć Pana z téj strony zagadną. Nie rozumiej Wmć Pan, żeby dla téj przyczyny potrzeba było nieustannie czytać, aplikować się i wchodzić w *głębokie spekulacye*. Nie tak to trudno zostać filozofem, jako Wmć Pan rozumiesz: chwal tylko, co drudzy ganią; myśl, jako chcesz, byleby *osobliwie*; *kiedy-niekiedy z religii zażartuj*; decyduj śmieie, a gadaj głośno: przyrzekam, iż ujdziesz wkrótce za wielkiego filozofa“...

Co prawda, mówi tu Krasicki o powierzchownych jedynie światowcach, którzy z mody filozofią się popisywali: te same jednak szyderstwa stosował on i do głębokich „spekulacyj“. Znana jest dosyć powszechnie bajka o owym filozofie, co w Boga nie wierzył i śmiał się z wszystkich świętych, a gdy przyszła słabość, wiarą swą „nawet upiory“ uczcił. W satyrze „Złość ukryta i jawna“ filozofowie wystawieni są jako jawni gorszyciele, pyszni „mnóstwem szkarady“, jako „czcze światła, dymy nikłe“:

Leżą grzecznych bluźnierców dzieła na stoliku:
Gotowalniane mędrce, *tajemni badacze*,
Przewodniki złudzonych, wieków *poprawiacze*,
Co w zuchwałych zapędach, chcąc rzeczy dociekać,
Śmieją prawdzie uwłóczyć i na jawność *szczekać*.

W innéj satyrze p. n. „Przestroga młodemu“, każe omijać zdaleka „ponurego mędrca“ Wojciecha, co to „na-jeżony miną poważnie żarliwą“, wszystkie przedmioty ostrzej, a niczém nieposkromionéj, poddaje krytyce, gdyż u niego:

Za nic dawni pisarze, stare księgi — fraszki:
Dzieła wieków, to — płonne u niego igraszki.
Filozof jedném słowem i miną i cerą
Unosi się nad podłą gminu atmosferą:
Depce miałość uprzedzeń, a dając, *co nie ma*,
Stwarza nowy rząd rzeczy i wiary systema.

Zamiast tych reformatorskich nauk, Krasicki podaje młodemu regułę, która ścisłą zachowawczość za hasło ogłasza:

Okiełznaj dumne zdania pokory munsztukiem:
Wierz, nie szperaj, bądź raczej cnotliwym nieukiem,
 Niż mądrym, a bezbożnym. Tacy byli dawni,
 Równie a może więcej naukami sławni:
 Przodki twoi poczcivi, co Boga się bali,
 Co mogli, co powinni, oni roztrząsali;
 Umieli dzielić w zdaniu, o czym sądzić można,
 Od tego, w czym nauka *próżna i bezbożna*.

Tu także wyraźnie nakazuje młodzieńcowi, ażeby się tej trzymał nauki, która na zwolennika swego nie wkłada obowiązku wstydenia się, że jest chrześcijaninem.

Nawet przeciwko ideom Roussa, które przedtém sam przedstawiał, za dobre je uważając, w późniejszym wieku występuje Krasicki z tą stanowczością, jaka cechowała satyryczne słowa Woltera w tym samym przedmiocie:

Niegdyś mędrzec ponury piórem zbyt swobodnym,
 W złej sprawie sam patronem zostawszy i sędzią
Zapędzał człeka w lasy i chciał paść żołędzią.
 Znalazł uczniów; któryż błąd nie znachodził ucznie?
Omamiał wdziękiem pisma dość dzielnie i sztucznie;
 Nowość była ponętą, a wdziękiem — *zuchwałość*.

(Satyra: *Człowiek i zwierzę*).

Nie zaniedbuje również napominać kapłanów, ażeby w obronie wiary otwarcie i głośno przemówili i — nie dawali modnym filozofom obłąkiwać głów ludzkich (w Satyrze: *Pochwała milczenia*):

Milczenie was potępia, gdy myśl świecka trwoży:
 Świętą śmiałość, bezwzględna niesie zakon boży.
 Zbyt trwożliwą roztropność jak zgodzicie z stanem?
 Znać, czuć, mówić, dać przykład: to — jest być kapłanem.

A w kwestyi zakonów Krasicki w drugiej części „Pana Podstolego“ (z r. 1784) wypowiada poglądy, które jakkolwiek nie są prostém zaprzeczeniem poprzednio wygłoszo-

nych, przedstawiają przecież bardzo znaczną modyfikacją, jakiej te uległy z biegiem czasu. Niema tu biskup nic do powiedzenia przeciw zmniejszeniu osób i miejsc zakonnych, jeżeli liczba mnichów okaże się zbyt wielka, gdyż to „nie ubliży zakonności“; nie chce się nawet bardzo spierać z temi, co zakonników „nieużytecznemi“ w społeczeństwie członkami nazywają; jednocześnie wszakże podejmuje ich obronę, jako ludzi, którzy się stali „celem powszechnej prawie nienawiści“. Obronę tę wkłada w usta ojca Teodora, dalekiego „od fanatycznego uprzedzenia“ i poglądującego na rzeczy jako „świadek obojętny“. Otóż ojciec Teodor, przedstawivszy pokrótce dzieje założenia klasztorów i ich zasługi, zbija po kolei trzy główne zarzuty, odnoszące się do zbyt wielkiej liczby zakonników, do ich bogactwa i nieużyteczności. „Nie zdawało się przedtym, iż nas nadto — powiada — bo większa była chęć ku służbie bożej; bo nie mieli ojcowie nasi tego za utratę, co na chwałę bożą oddawali“. Bogactwa zakonów są raczej płodem imaginacyi niż rzeczywistością, gdyż na wyżywienie braci, na utrzymanie kościołów wiele potrzeba. Co do nieużyteczności, to „jeżeli mądrość świecka miała ten przywilej, iż nie zdawały się filozofy tylu sekt mniej potrzebną towarzystwa częścią, czemuż w podlegszej zostawać mają wartości bogomyślny żywot prowadzące osoby“? Na delikatnie wtrąconą przez jednego z rozmówców uwagę, że wdzięczność za dawno uczynione przysługi mogłaby czasem złe skutki pociągnąć, ojciec Teodor oświadcza: — że można umniejszyć i liczbę osób i liczbę miejsc zakonnych, — że zakonnicy gotowi są przykładać się, „choć z małych ułamków swoich“ do dobra ogólnego, — że przyczyną nieużyteczności mnichów jest samo społeczeństwo. „Niech bez względu na powierzchowność — powiada o. Teodor — mamy szacunek, gdyśmy na niego zasłużyli, staniemy się naówczas coraz bardziej godniejszymi (sic)

szacunku; niech wzgarda niesłuszną a uciążliwą nie gnębi nas, -- wzbije się młodzież nasza w lot dawnych poprzedników swoich; a natenczas znajdzie w zakonach kraj oświecicieli i pozna, jak niesprawiedliwie sądził nieuczynkami tych, których sam takimi uczynił". (Część II, ks. II, roz. 11).

Chcąc sobie wyjaśnić tę rozmaitość poglądów Krasickiego, nie można się uciekać do uwagi, że jedne były wyrazem niedojrzałej myśli, a drugie — głębszego zastanowienia; gdyż biskup warmiński, ogłaszając drukiem pierwsze swoje większe utwory, nie był młodzieniaszkiem; liczył bowiem lat 40, a zatem był w wieku, w którym zazwyczaj pojęcia są już ustalone, a przynajmniej nie ulegają zmianom zbyt wielkim, radykalnym. Niepodobna też, tembardziej, mówić o jakiejś lekkomyślności księdza biskupa, nie umiejącego ocenić wagi słów zwróconych do ogółu. Nie; — przyczyna owej rozmaitości leży głębiej, bo w rodzaju umysłu Krasickiego i w rodzaju wpływów, jakie na ukształcenie jego działały. Oba te czynniki sprawiły, że Krasicki w rozwoju pojęć swoich nie doszedł do jakichś stałych zasad rozumowych, któreby mu dawały nieomylną wskazówkę w rozplątywaniu powikłanych węzłów myśli i stosunków ludzkich, ale na każdy pojedynczy wypadek szukał rady w zdrowym rozsądku swoim, który mu, stosownie do okoliczności, to — tę, to ową stronę rozpatrywaną kwestyi ukazywał. I tak, kiedy Krasicki patrzył na zepsucie obyczajów wśród towarzystwa warszawskiego lub w palestrze, albo — na sejmikach i sejmach, wybornem mu się wydawało społeczeństwo, obchodzące się bez salonów, bez jurystów, bez posłów i prawodawców, — społeczeństwo żyjące na łonie natury, pocziwe, zacne, spokojne, nieuczone. Było to marzenie tylko. To też, gdy się zastanowił nad tem, czy marzenie to urzeczywistnić się może, gdy się

przyjrzał temu idealnemu społeczeństwu dokładniej, z innej strony, poprzednio nieoglądanej, wówczas musiał przyznać Wolterowi słuszość i potępić utopią Roussa. Podobnie rzecz się miała i z zakonami. — Gdy się przysłuchiwał dysputom teologicznym niesmacznym i jałowym; gdy spoglądał na pulchne twarze i „kurzące się łby“ zakonników; a zestawiał te objawy z pierwotną myślą założycieli klasztorów; nie mógł żartobliwemu usposobieniu nie pofolgować i nie napisać „Wojny Mnichów“; — ale, przypomniawszy sobie, że ta instytucja kościelna oddała przecież społeczeństwu europejskiemu niejedną ważną usługę, — że zużytkowanie jej zależy może od społeczeństwa, — że znajdują się w świecie takie charaktery, które jedynie w odosobnieniu żyć mogą, nie zaniedbał przy sposobności zwrócić uwagę ogółu na te niemałoważne względy.

To się odnosi do samej wrażliwości Krasickiego i podsyconego przez nią zdrowego rozsądku. A co do wpływów, jakie na nią działały, to oczywiście bez filozofii i obyczajów XVIII-go wieku nie byłoby zapewne „Monachomachii“, a bez religijnego wychowania i stanowiska biskupiego nie byłoby uwag o zakonach w drugiej części „Pana Podstolego“. Gdyby się Krasicki kierował w pojęciach swoich jakąś stałą zasadą; gdyby miał umysł głęboki i wszechstronny, obejmujący odrazu wszystkie względy, jakie się do pewnego przedmiotu odnoszą; słowem — umysł, jakim odznaczają się wielkie gieniusze świata; to powyższe wpływy wytworzyłyby w nim pewną jednolitą całość, w której wszystkie części harmonijnieby z sobą się łączyły. Gdyby znowuż umysł Krasickiego nie był tak wrażliwym, jak był; ale gdyby silnie zatrzymywał w sobie raz doznane wrażenia, raz wyrobione pojęcia; posiadalibyśmy twórcę paradoksów, człowieka jednostronnego, ale w jednostronności swojej konsekwentnego. Ani jedno, ani drugie nie miało miejsca.

Krasicki nie wytworzył w sobie, a przynajmniej nam nie przekazał żadnych dokładnych pojęć dotyczących ogółu wszechświata, lub ogółu myśli ludzkiej; ale cały ogromny szereg szczegółowych spostrzeżeń, które z łatwością wielką, z dowcipem nieraz świetnym i ze zręcznością do owego czasu w literaturze polskiej nieznaną, przed publicznością wygłaszał. Spostrzeżenia te, jedne — trafne, drugie — fałszywe, przychodziły mu luźnie; luźnie też były ogółowi przedstawiane.

Kochał on naukę; sławił doświadczenie; uwielbiał mądrość; ale rozumowi ludzkiemu nie przyznawał prawa badania wszystkiego bez wyjątku; wyśmiewał eksperymenta; w mądrości nawet miarę zachowywać radził. Doświadczenie przezeń zalecane była-to obserwacya gołemi zmysłami; gdzie już instrument był potrzebny, tam doświadczenie traciło u niego cenę. Czytelnicy pism Krasickiego łatwo przypomną sobie owę bajkę o spuściznie po filozofie, otrzymanej przez jakiegoś „nieboraka“. Znajdowały się tam globusy, alembiki, stosy papierów i szkiełka, a w końcu — wór dziurawy:

Wziął jedno szkiełko, patrzy — aż wór okazały;
Wziął drugie — a woreczek nikczemny i mały!...

Przekonawszy się w końcu, że worek był pusty, rzekł z westchnieniem:

Gdyby był *okiem*, *nie szkłem* na rzeczy poglądał,
I onby użył i ja znalazłbym, com żądał.

Mógłby ktoś zauważyć, że jestto uwaga prostaka, który bezpośrednią użyteczność praktyczną wyżej cenił, aniżeli dalekie zdobycze naukowe, jakie się teleskopem lub mikroskopem zdobywają; albo też — że to jest protestacya przeciw suchej, pedantycznej nauce w imię obserwacyi żywój i pięknej przyrody uczyniona. Uwaga ta jednak nie znalazłaby potwierdzenia w pismach Krasickiego, który niejednokrotnie sam staje na stanowisku owego bezpośredniego

użytylizmu. Że Xaoo na wyspie Nipu wypowiada swą niechęć przeciw „mierzeniu gwiazd i planet“, kiedy on zadawał się ich miłym widokiem; że, zdaniem jego, cel ciekawości naszej zmierzać winien „jedynie do tych rzeczy, które docieczone być mogą, a dociečeniem — *pożytek* przynieść“: to możnaby jeszcze przypisać owęj dążności do przedstawienia doskonałego kontrastu ze społeczeństwem uczoneń a zepsutem.

Ale te same myśli wypowiada Krasicki i w innych swych pismach już wprost od siebie. W satyrze „Pochwała wieku“ znajdujemy ograniczenie badań rozumowych i narzekanie na tych, co granice te przekroczyli:

Jest granica, za którą przechodzić *niewolno*,
Mając porę, ochotę i sposobność zdolną,
Dociekajmy — co możemy, — co dociec się *godzi*,
Wiek nasz w wielu odkryciach dawniejsze przechodzi.
Dzień dniu prawdę obwieszcza, godzinom — godziny;
Z pracy ojców szczęśliwe korzystają syny.
A do *zdatnego* rzeczy *stosując użycia*,
Nowe wiekom późniejszym gotują odkrycia.

W innej satyrze („Podróż“) czytamy radę, żeby się „trzymać poprostu skutków doświadczenia“ i zaraz potem dodatek: „dobry rozum, ale źle rozumem przesadzać“. Tak więc, tę jedynie naukę za dobrą, godną miłości i szacunku uważa, która pożytek materyalny, albowiem zachętę do cnoty przynosi, jak to przenośnie wyraził w bajce „filozof i chłop“, gdzie filozof, zagrzebany w książkach, musi ustąpić pierwszeństwa człowiekowi, który nawet czytać nie umiał. Jakż była mądrość chłopka? Rozśmiał się on ze zdumienia filozofa i rzekł:

Moje księgi wszystkie na dworze:
Wół, co orze,
Sposobi mię do pracy, uczy cierpliwości
Pszczoła — pilności,

Koń — jak być zręcznym,
Pies — jak — wiernym i wdzięcznym;
A sroka, co na płocie ustawicznie skrzeczy —
Jak lepiej milczeć, niżli gadać niedorzeczy.

Podobnież w powiastce p. n. „Seryf“ uczony Elim, zagłębiany w książkach, nietylko radzić sobie w stosunkach życiowych nie umie, ale nawet do straty wielu ludzi przyprawia, gdy tymczasem prosty, zdrowym jedynie rozsądkiem kierujący się Seryf dorabia się bogactw i powszechnego poważania.

W bajce „Motyl i Chrząszcz“ wypowiada Krasicki swój wstręt do eksperymentów naukowych. Dziecko łapie chrząszcza, filozof — motyla. Motyl żałował towarzysza swego, że musiał się kręcić w kółko po kiju; ale gdy go filozof wsadził na szkło, uznał, że pozorami się tylko łudził, gdyż „lepsze prostych dziwactwa, niż mądrych pieaszczoty“ ¹⁾).

Teoretyczna strona badań nie nęciła ku sobie biskupa; cały obszar dociekań naukowych, jaki za jego czasów tak wielkie robił postępy, mianowicie w dziedzinie nauk przyrodniczych, które bez eksperymentów w żaden sposób obejść się nie mogły, przedstawiał się mu jako ogromne pole mgłą pokryte i nie dające użytecznych owoców. Stąd też wytłómaczyć sobie można jego wstręt do agronomii teoretycznej, wypowiadamy niejednokrotnie zarówno w *Doświadczyńskim*, jak szczególnież w *Panu Podstolim*. Z tego również źródła, poczęści przynajmniej, wypływa lekceważenie sztuki lekarskiej i wyśmiewanie doktorów, które w różnych pismach, a mianowicie w bajkach (*Doktor; Doktor*

¹⁾ W „Zbiorze potrzebniejszych wiadomości“ zna Krasicki wyraz „*experimentum*“ tylko w znaczeniu prawném, według Statutu Litewskiego: *rozpiekanie się*, sposób rozkazu sądowego, aby stronę zwłóczącą przymusić do stawania u sądu. (I, 282).

i Zdrowie; Chłop i cielę; Kuglarze; Do doktora; ustęp w Myszeidzie) z pewnym uporem przeprowadzał; w czém zresztą nie był bynajmniej odosobniony; gdyż nietylko komedyopisarze, dla których wzorem i tutaj był Molière, ale tacy nawet ludzie, naukom przyrodniczym oddani, jak — *Staszic*, nader nizko cenili ówczesnych uczniów Eskulapa.

VI.

Z takiem usposobieniem umysłowém łączyła się odpowiadająca mu uczuciowość. Łagodne, spokojne, nigdy miary nie przebijające wzruszenia stanowiły podstawę podmiotowej strony życia Krasińskiego. Namietność silna, gwałtowna, choćby tylko chwilowa; entuzjazm, podnoszący do stopnia najwyższego uniesienia wszystkie uczucia człowieka wobec jakiegś osoby lub idei; a nawet głębokie lub rzewne przeżycie się jakąś szczęśliwą lub nieszczęsną okolicznością — nie znajdowały przystępu do tego serca, dla którego hasłem było horacyuszowskie „*ne quid nimis*“. Szanowało ono i umiało uczyć wszystko, co szlachetne i zacne; kochało się w tém, co było piękne; wołało zawsze prawdę niż fałsz; ale nie zapalało się do niczego; bo, tak samo jak umysł, nie zogniskowało w sobie ogółu uczuć i nie miało jednego jakiegoś wielkiego a ogólnego celu miłości, lecz promieniało powoli i na najrozmaitsze przedmioty. Kierowane zawsze „zdrowym rozumem“ ustrzegło się naturalnie wszelkiej chorobliwej przymieszki uczuciowej; nie podlegało modnej sentymentalności; owszem — bardzo dowcipnie wysmiewało ją w *Doświadczyńskim*: chociaż raz jeden, w opisie żalów żony Chodkiewicza („*Wojna Choc.*“ pieśń III, pod koniec), odnajdujemy obrazek zupełnie sielankowy w duchu drugiej połowy wieku XVIII-go. Równocześnie jednak nie

wzniosło się nigdy na wyżyny i nie porwało za sobą serc namiętnych, kochających silnie i gwałtownie.

Jak w umyśle Krasickiego, tak i w jego sercu tała się w głębi pewna dysharmonia, pewien niepokój, który się wyrażał w słowach niejaką sprzecznością; tak... że co raz uwielbiało, to drugi raz potępić było gotowe. Z natury usposobienia Krasickiego wynika, że ta dysharmonia nigdy nie przybrała rozmiarów olbrzymich, takich n. p., jakie nam przedstawił okres poezji pod wpływem Byrona rozwinięty; a nawet, w gruncie rzeczy, był to objaw odmiennego rodzaju. Rozstrój panujący w umysłach i uczuciach bajronistów pochodził z nadmiernie rozwiniętej drażliwości i z poczucia głębokiego tej sprzeczności, jaka pomiędzy duszą poetycką a światem prozaicznym zachodziła. U Krasickiego ani takiej drażliwości, ani takiego poczucia niema ani śladu. Sprzeczność w wyrażeniu swoich uczuć nie mogła pochodzić z niezgody pomiędzy jego usposobieniem a stosunkami światowemi; gdyż Krasicki był zupełnie prawie z rzeczywistości zadowolony; a to, co go w niej raziło, satyrą usunąć od siebie się starał, nie dochodząc przez to do rozpacz, lub krańcowego pesymizmu. Sprzeczność ta wynikała raczej z tych samych przyczyn, co i sprzeczność w jego poglądach. Uczucie jego w rozmaitych czasach do różnych stron tego samego przedmiotu zwrócone, nie mając ani silnej nienawiści, ani stałej miłości za niewzruszoną podstawę, rozmaicie się też objawiało. A gdy do tego przyłączymy jeszcze maleńką dozę sceptycyzmu, powstającą z uwagi na marność uczuć i zabiegów ludzkich, to wyjaśnimy sobie tę ruchliwą powierzchnią fal uczuciowych w sercu ks. biskupa warmińskiego.

Jednym z uczuć najwznioślejszych na ziemi jest bezwątpienia miłość kraju rodzinnego; bywa ono przedmiotem hymnów wzniosłych, namiętnego, choć najczystsze serc

wzruszenia, i tak zajmuje całą duszę człowieka, że społecznie na inne — miejsca nie zostawia. Zmienne jest, prawda, i ustawicznym wrażeniom podległe serce ludzkie, i długo w jakimś silnem natężeniu wytrwać nie może; a jeżeli bije potężnie i gwałtownie, jeżeli ulega częstym rozczarowaniom, — może niekiedy samo siebie wyszydzić i sporniewierać. W chłodnem, rozsądnem usposobieniu namiętność nie może nam posłużyć za wyjaśnienie nagłej zmiany; szukać go musimy w tém, że uczucia nie mają potężnej żywotności, lecz stają się do pewnego stopnia abstrakcyami, które na zimno dają się szeregować w sposób najrozmaitszy, nie dotykając człowieka jako istoty żywej, czującej.

Krasicki w poemacie *Żartobliwym* („Myszeis“) pomieścił stańcę, poświęconą poważnemu uczuciu miłości ojczyzny. Stanca ta w *korpusie kadetów* codziennie była odmawiana i wskutek tego spopularyzowała się w kraju. Nie mieści ona w sobie piękności poetycznych, ale wypowiada uczucia szlachetne, poprostu wprawdzie, ale powabnie:

Święta miłości kochanej ojczyzny!
Czują cię tylko umysły pocziwe.
Dla ciebie zjadłę smakują trucizny,
Dla ciebie — więzy, pęta nie zelżywe.
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny;
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe.
Byle cię można wspomódz, byle — wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

W parę lat po wydrukowaniu tej strofy pojawiła się w „*Monachomachii*“ strofa parodująca wiersz za wierszem jej myśli i słowa:

Wdzięczna miłości kochanej szklanice,
Czuje cię każdy: i słaby i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy.
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice:
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.

Byle cię można znaleźć, byle — kupić,
Nie żał skosztować, nie żał się i upić.

Takie przenicowanie własnego utworu nie dowodzi bezwątpienia zepsutego serca, nie czującego różnicy pomiędzy uczuciem wzniosłym a płaskim; ale jest oznaką serca lekkiego, ulegającego coraz nowym wrażeniom, które się nie mogło oprzeć poszeptom złośliwego dowcipu.

Do wzniosłego zresztą patosu nigdy się Krasicki nie czuł usposobionym, chociaż sposobności nie brakło. Przykładowo wspomnę tu tylko dzień 3 maja 1791 roku, którego wspomnieniu biskup warmiński hymn poświęcił. Jakżeż utwór ten jest chłodny, jakimi komunułami przepełniony; jak słabo wyraża uczucia, któremi napełniały się serca tych, co uczestniczyli w ówczesnej uroczystości! Przedstawia się on nam jako wynik musu moralnego raczěj, niż swobodnej twórczości poetyckiej. Nie żądamy od niego ani wspaniałych obrazów, ani słów porywających, bo to nie były cechy ówczesnego smaku poetycznego; szukamy tylko choćby silniejszego wyrazu, choćby takiego przebłysku uczucia, jakie w przemowie Naruszewicza z powodu tējże samēj okoliczności dostrzegamy. Ale szukamy napróżno. Są to wiersze *rozsądne* w całym znaczeniu tego wyrazu; autor prosi w nich Boga o „ ducha rady i męstwa“, o „podległość rządną“, o „wstrzymałość w swobodzie, a w działaniu — trwałość“, a dalej — prozaicznym trybem wymienia tych, którzy się mają stać uczestnikami „łaski bożej“, t. j. króla, radnych, rycerzy i mieszczanina z rolnikiem“. Brak spółudziału uczucia samego autora w tēm, co pisze, objawia się nawet w zaniedbanem wierszowaniu, we wstawkach, niepotrzebnych dla myśli, ale niezbędnych dla rymu, w pospolitości tych rymów, w braku wreszcie wszelkiej obrazowości. Podobneż cechy ma i „Modlitwa“ Krasickiego, składająca się z trzech

zwrotek czterowierszowych, których wartość poetyczną każdy łatwo oceni z przytoczenia jednej:

Stwórco! my, twoje stworzenia,
Chwałę Twoję świętą głosim;
Czym jesteśmy — twe zdarzenia;
Pozwoliłeś prosić, — prosim.

W jednym tylko kierunku silniej wyraziła się uczuciowość Krasickiego. Niekzemność społecznych, zepsucie obyczajów stołecznych, sprzedajność sędziów, głupota posłów, drapieżność urzędników — napełniały chwilową goryczą serce biskupa i wywoływały na jego usta gwałtowne wyrazy, które musiały trochę zadziwiać społecznych, przyzwyczajonych widzieć w pismach podecyfrowanych X. B. W. łagodną ironią, strofowanie bez żółci, spokój w uczuciach i zdaniach. Zdarzało się to jednak rzadko, a jednym z najpierwszych do takiego wystąpienia powodów był, jak się zdaje, sejm niecniej pamięci od r. 1773 do 1775 ciągnący się, na którym gospodarował Poniński z szajką do siebie podobnych. Wówczas to Krasicki napisał wiersz p. n. *Laur*, w którym naprzód zazdrości krzewowi, że nie czuje, ponieważ nieczułość często bywa pożądana, a potem powiada, że już on przestał być nagrodą cnotliwych:

Niegdyś od godnych wieńczenia noszony,
Zdobiłeś, zdobisz Sylle i Nerony...

A w końcu, zrobiwszy uwagę, że z wiekiem zginęły Olimpy, Parnasy, wydobywa z piersi okrzyk bolesny, rozczarowaniem napiętnowany:

Co jest — nie wielbię; *co będzie — nie tuszę;*
Laurze nie kwitnij; *zeszły wielkie dusze*¹⁾.

¹⁾ Wiersz ten drukowany był po raz pierwszy r. 1776 w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych“ (tom XIV, str. 154 — 5). Jako ciekawostkę bibliograficzną zaznaczę tu, że musiał być on znany poprzednio w rękopiśmie, gdyż zaraz pod nim wydru-

Poddaństwo albo „niewola“ chłopów, jak ją sam Krasicki nazywa, jest drugim tematem, wzbudzającym w sercu jego oburzenie na niegodnych panów. Jest jedna satyra poświęcona wyłącznie odmalowaniu kontrastu pomiędzy panem a sługą („Pan nie wart sługi“). Tu ironicznie naprzód rozpoczyna, wprowadzając sprawę sługi, który za potrącenie psa faworyta wziął plag „tylko pięćdziesiąt“. Jeden z rozmówców nazywa tego jegomości „najlepszym z panów“ —

kwano z jego powodu utwór dosyć obszerny p. n. *Sen*. Tu bezimienny autor, po wstępie przedstawiającym sen jako „prawdy tłómacza i prawdy oszczercę“, przytoczywszy przykłady snów Nabuchodonozora, Józefa w Egipcie, Hekuby, jak nie mniej — wyobrażenia gminu o nich, opowiada — swój własny. Senne marzenie zanosło go w tę stronę, gdzie „Sława miała swe łożę“ i gdzie laur ciągle zdobił błonie. Do Sławy przybywa Merkury i oznajmia, że laur, nieużyteczny już ziemi, zawadza. Sława, wysłuchawszy Merkurego, wybiera się wraz z nim do Jowisza z prośbą, ażeby przeniósł roślinę, której ziemia niegodną się stała, do nieba. Jowisz słucha łaskawie przełożeń Sławy i Merkurego, do których dołożyli swoje poparcie „Mars, Apollo i Rze-sza“, i twarzą nawet daje poznać, że się do ich prośby skłania; wyrok atoli swój zawiesza, nie chcąc absolutnie się rządzić:

Ważne są prośby, słuszne — nalegania,
Które niesiecie do nas za *Wawrzynem*;
Uskuteczniłbym sam wasze żądania,
Gdybym miał sądzić samowładnym czynem:
Chcę samowładnych kroków ślodzić ścieżki:
Już mnie znudziły lat przeszłych zamieszki.

* * *

Wszczęćby się mogły stąd w niebie rozruchy:
Jeden pochwali wyrok, drugi — zwini.
W słuszności ocznej są niezgodne duchy;
Tych — zysk, złość — owych sprzecznemi uczyni;
Tym zapobiegę mściwój bogów *zwadzie*,
Gdy rzecz ułatwim *na sejmowej radzie*.

Alluzya-to widoczna do sejmu, który w r. 1776 miał się zebrać.

bo stu plag nigdy nie dał. Tu już nie może utrzymać się drugi w spokojném usposobieniu, ale wybucha, piętnując owego pana przydomkiem jednego z owych tyranów:

Co dom czynią katownią; a na płacz nieczuli,
Z wnętrzości się człowieczych ku sługom wyzuli.

Inny znów pan „dał plag dwieście za strawne, a sto — za zasługi“; dwór podobnego jegomości przedstawia nam w następnym obrazku:

A jak niegdyś przed rzymskim konsulem topory
Niosły kar wykonać, bezwzględne liktory:
Tak przed srogim marszałkiem sążniste pajuki
Niosą *skórom pamiętne* boćkowskie kańczuki.
Wchodzi; — zewsząd jęczenia i płacze się wznoszą.
Oprawcy gdy rozkazy srogie nędznym głoszą,
Dom się wrzaskiem napelnia; — płacz sług pana cieszy.
Wspaniały jękiem nędznych, płaczem służnej rzeszy,
Rzuca groźnym spojrzeniem nieszczęśliwe losy;
Karmią *słuch Neronowy* płaczące odgłosy;
A w powszechnym nieszczęsnej czeladzi ucisku,
Gdy przekleństw, narzekania dań odnosi w zysku.
Czuje że — pan, bo gnębi...

Obok obrazka, którego jaskrawości nie potrzebujemy podnosić komentarzem, nie trudno mu wypowiedzieć i groźbę dla tych Neronów, nie trudno znaleźć słów na przedstawienie okropnego położenia służby:

Katów waszych, nie panów zjadłości igrzyska!
Nędzni! bydłeta z pracy, a sługi z nazwiska,
I płakać wam nie wolno, mówić — jeszcze gorzej!
Przyjdzie kara za słowem okrutna tym sporzój.

Ten rys miłości dla biednych i społecznie upośledzonych, który w mniej jaskrawych barwach nieraz Krasicki w „Panu Podstolim“ powtórzył, jak jest najpiękniejszą cechą filantropii XVIII-go wieku, tak i w autorze „Satyr“ najsympatyczniej na nas oddziaływa; dowodzi bowiem, że dla niedoli i cierpienia miał serce.

Trzecim wreszcie tematem, który żywszemi, namiętniejszemi uczuciami duszę Krasickiego przejmował, był widok zepsucia obyczajowego, prowadzącego kraj do ruiny. Szczegóły tego zepsucia kreśli nasz autor zazwyczaj spokojnie (dopiero pod koniec życia surowego na grę w karty powstaje, chociaż dawniej w „Panu Podstolim“ liczył ją dość obojętnie do przedmiotów wychowania młodzieży); ale je zebrał w jeden widok; nie poprzestał na uśmiechu ironicznym, na rysunku nienamiętnym, lecz zdobywał się na słowa przypominające choć w części oburzenie Naruszewicza:

Duchy przodków, nadgrody cnót co używacie,
Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie;
Jeśli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci,
Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
Jesteśmy — ale z gruntu skażeni, wyrodni;
Jesteśmy — ale tego nazwiska niegodni.

A porównywając dawny Rzym z krajem własnym, woła smutnie:

Rzym cnotliwy zwyciężał, Rzym występny zginał,
Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły;
Zbrodnie, klęsk poprzedniki i upadków posły,
Te go w jarzmo wprawiły; skoro w cnocie stygnał,
Upadł — i już się więcej odtąd nie podźwignął.

Podobne objawy dostrzega i w kraju:

Był czas, kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił,
Ten nas *nierząd*, o bracia, pokonał i zgubił;
Ten nas cudzym w łup oddał; z *nas* się złe zaczęło;
Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.

Były to jednak wypadki dość rzadkie. Zwykle Krasicki zachowuje ulubioną przez siebie miarę, nawet w naganach, nawet w wystawieniu najpodlejszych zbrodni, jak niemniej i — w sławieniu zalet. Pochlebstw, panegiryzmu nie znajdziemy nigdzie w pismach Krasickiego, a jeżeli pochwały, zresztą dość nieliczne, oddawane królowi,

niezbyt usprawiedliwionemi dziś nam się wydają, to nie powinniśmy zapominać, że sąd bezstronny o człowieku i monarsze nie mógł się naówczas wyrobić jeszcze, gdy droga jego życia w połowie zaledwie była znana. Krasicki, tak samo jak Naruszewicz, widział w królu, pomimo że nie zawsze w myśl jego działał, człowieka najlepszych dla kraju chęci, rozproszyciela ciemnoty, stanowczego przeciwnika czasów saskich, rządcę raczej nieszczęśliwego, niż — niezdolnego.

Tak w mierze utrzymywane uczucia części w każdym razie zwracały się w stronę krytyki, satyry, ironii, aniżeli w stronę pozytywnego kształcenia serc obywateli; części bawiły w krainie żartu niezbyt złośliwego, lekkiego, aniżeli — w dziedzinie ideałów. Wiersz do brata o *obowiązках obywatela*, odznaczający się rzadką w pismach Krasickiego powagą; niektóre ustępy w Wojnie Chocimskiej, w Panu Podstolim, — Życia z Plutarcha, przekład Ossyana: oto są główniejsze owoce niebardzo silnie uwydatniającego się popędu do stawiania ideałów; poczet natomiast dzieł, w których krytyka ma miejsce, przewyższa je niezmiernie. Wybornie kreśli Kraszewski to usposobienie autora *Satyr*. „Posłannictwem jego — powiada — było chodzić zawsze z uśmiechem na ustach, z tą słodką, dobroduszną ironią bez żółci, spokojną — która szczypie, ale nie rani; łaskoce, ale nie kaleczy; grozi, ale nie smaga; wyszydza bez gniewu, litując się i miłując“ (Aten. 1878, I, 408).

Że i tu nie obeszło się bez pewnego sceptycyzmu, łatwo się domyślić, znając ogólną naturę umysłowości Krasickiego. Stanowczego wypowiedzania swych uczuć, tak samo jak zdań, dosyć zręcznie unikał; nawet wogóle złych objawów potępiać nie chciał, jeżeli nie będziemy zwracali uwagi na powyżej zaznaczone wyjątki. Pokazuje się to z „Pochwały wieku“, gdzie przedstawia bardzo smutny obraz społeczeń-

stwa, gdzie o nauce ówczesnej, na przykład, wypowiada zdanie, które później rozślawiło się przez pisma Gervinusa, że „co się wszerek zyskało, wgląb' się utraciło“, że nauka poszła w handel, że zysk pobudza do pisania i t. d.; a przecież nie orzeka, czy to — lepiej, czy — gorzej w stosunku do czasów dawniejszych, ale kończy mantaignowskiem — *może!*

VII.

Zdrowy rozsądek i uczuciowość spokojna, niezdolna do zapału, zastosowane do krytyki przeszłości, uwalniały umysł ludzki od mnóstwa baśni nagromadzonych przez łatwowiernych kronikarzy i łatwowierniejsze jeszcze podania ustne w rodach znakomitych przechowywane; wprowadzały do badań żądanie prawdopodobieństwa; upodobniały dawnych półbogów do ludzi zwykłych; oczyszczały słowem atmosferę dziejów z pierwiastków ułudnych i mglistych. Równocześnie jednak ten zdrowy rozsądek i ta mdła uczuciowość wszystkie osobistości i wszystkie wypadki historyczne ściągały do poziomu jednostajnego, który najlepiej odpowiadał pojęciom i pragnieniom wieku XVIII; zacierwały różnice, zachodzące pomiędzy ludźmi z czasów starożytnych i średnich, ze wschodu i północy; nie pozwalały wnikać w naturę tak zwanych „przesądów i zabobonów“, tj. mitów i legend; obniżały poziom entuzjazmu, bohaterских poświęceń, nadzwyczajnych wysiłków i sprowadzały je do zwykłej gry interesów, jaka się w gabinetach dyplomacji XVIII wieku rozgrywała. Krytyka starożytnych pisarzy ze stanowiska zdrowego rozsądku mogła być dowcipna, a nawet w wielu wypadkach zupełnie słuszna, ale nic więcej dać nie mogła nad zachwianie wiary w świadectwo jakiegoś pisarza, lub postawienie mniej więcej prawdopodobnego

domysłu. Była ona dosyć łatwa dla rozumu bystrego i miała bardzo wiele powabu dla pisarza, który błyszczał dowcipem; nie mogła jednak obiecywać żadnych trwałych rezultatów. Ażeby je osiągnąć, należało porównywać ze sobą źródła, odczytywać napisy, gromadzić wiadomości o monetach, posągach, grobowcach, albo też (jak odnośnie do czasów średniowiecznych) grzebać się w dyplomatach, układać roczniki i dzienniki, radzić się pomników literackich itd. itd.

Krasicki posiadał niemałą erudycją, szczególniej w dziale literatury, jak o tém świadczy „Zbiór potrzebniejszych wiadomości“ i rzecz „O Rymotwórstwie i Rymotwórcach“; ale specjalnego wykształcenia historycznego nie miał: pomimo uporządkowania manuskryptów heilsberskich, do długiego i pracowitego ślęczenia nad staremi rękopismami brakło mu przedewszystkiem cierpliwości; dorywczo robił sobie notatki do swojej encyklopedyi, do Korony Niesieckiego; wypisywał treść listów Erazma Roterdamczyka do znakomitości polskich XVI stulecia; lecz na tém koniec. A tu uśmiechała mu się myśl Woltera przetrząśnienia dziejów cywilizacyi powszechnej w całym jej przebiegu i opowiedzenia publiczności zręcznie i dowcipnie swoich poglądów na ważniejsze w historyi wypadki. Pokusa była zbyt silna, ażeby jej nie uległ żywy umysł ks. biskupa. Opowiada więc nam, że znalazł przypadkiem zapiski naocznego świadka wypadków dziejowych, który miał balsam, zabezpieczający mu nieśmiertelność, i wędrował z jednego miejsca na drugie, stosownie do tego, gdzie ciekawość jego obfitszej spodziewała się zdobyczy. Pod tym fantastycznym płaszczem ukrywa Krasicki Plutarcha, Liwiusza i Tacyta; a zbrojny ich powagą wędruje po starożytnym świecie, poczynając od wyprawy Aleksandra Macedońskiego przeciwko Porusowi. Więcej jednak zawsze dowierza swemu zdrowemu rozsądkowi, niż podaniom historyków i śmiało, że nie powiem —

lekkomyślnie, poprawia ich w tém, co się mu prawdopodobnem nie wydaje. Ludzie i wypadki maleją; poważna szata starożytna pokrywa się różnobarwnemi łątkami; ale zarazem ginie cudowność i bajeczność. Nie potrzebujemy zbyt wiele ustępów przytaczać, ażeby czytelnicy nabrali wyobrażenia o sposobie traktowania dziejów. Weźmy np. to, co mówi Krasicki o wychowaniu Aleksandra. „Wychowanie Aleksandra takowe było, jakie *zwyczajnie* dzieci królewskich. Sprowadzony Arystoteles lepiej się jeszcze *znał na dworszczyźnie* niż na filozofii. Uczeń z wiadomością niektórych *terminów uczonych* ¹⁾ zyskał wielką o sobie opinią, mistrz — fawor u dworu. Ów sławny list Filipa do Arystotelesa, w którym bardziej się cieszy z przyszłego mistrzostwa tego mędrca, niż z urodzenia syna, *dziełem był płodnej imaginacyi* uczniów Arystotelesowych“. I tak, świadectwa dziejopisów jednym zamachem pióra — zniweczone...

O tém, jak Krasicki sądził wypadki ze stanowiska swego czasu, a nie przenosił się myślą w dawne wieki, starając się zrozumieć ich odmienne obyczaje i pojęcia, łatwo się przekonać z opisu przyjęcia Ottona przez Bolesława Chrobrego: „W lat dwa potem, gdyśmy z Rzymu powrócili, przedsięwziął cesarz pielgrzymowanie do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Przyjął nas ludzko i wspaniale Bolesław, zwany Chrobry, naówczas książę polski, ale nie było tyle sukna w Gnieźnie, a może i w całej Polsce, żeby na mil kilka drogę nim usłał. Stało nam to za sukno, że od samej granicy drogi kazał naprawić, mosty ubezpieczyć, karczmy na trakcie porządne postawić“. Ze stanowiska zdrowego rozsądku nic nie można zarzucić takiemu przypuszczeniu, ale kto zna wieki średnie i wie o ówczesnych usposobieniach królów i narodów, dbających raczej o po-

¹⁾ Zupełnie tak jak Mikołaj Doświadczyński.

wierzchozną świetność, niż o rzeczywisty dobrobyt, ten prędzej uwierzy w owo sukno, aniżeli w naprawione mosty i porządne karczmy.

Z taką samą swobodą przeczy Krasicki zależności Polski od cesarstwa niemieckiego w X wieku. „Wdzięchen ludzkości Bolesławowój Otton mianował go królem, ale Bolesław śmiało mu odpowiedział, iż w tym jego łaski nie potrzebuje, bo — ani jego poddany, ani mu podległy. Kazał więc natychmiast dawniej już zrobioną koronę przynieść i sam ją sobie na głowę włożył“. Podobnie w „Powieści prawdziwej o kamienicy narożnej w mieście Kukurowcach przez Błażeja bakałarza“, gdzie wypadki i ludzie zostali już z umysłu zmniejszeni, o tym samym fakcie odwiedzin, takie czytamy sprawozdanie: „Powiadają i to, iż burmistrz blizkiego miasta (Otton) przyjechawszy jednego razu *na kiermasz* do Kukurowic, zrobił go (t. j. właściciela kamienicy narożnej, Bolesława) wójtem; ale co miał za prawo burmistrz *skądiną*d robić wójta u sąsiadów, którzy, gdyby im się było podobało, mogliby sobie sami zrobić takiego wójta, jak on. Bajki-to więc, które podobno owi sąsiedzi wymyślili i podali innym do wiadomości, bo pierwój od Kukurowczanów umieli pisać i czytać“.

Niemniej zastanowienia godną jest rzeczą, jak wielkie, wspaniałe wypadki karłowatą i śmieszną nawet przybierają postać, gdy się je w świetle drwiącego dowcipu, albo Marchońskiego rozsądku, obejrzy. Któżby mógł odgadnąć znaczenie unii lubelskiej z następującego przedstawienia rzeczy, które Błażej bakałarz o kamienicy kukurowieckiej podaje? „Już to się powiedziało, jako dwoja czeladź pod jednym panem nie mogła się pomiędzy sobą zgodzić. Jedni powiadali: my dawniejsi; drudzy mówili na to: tacy my dobrzy, jako i wy; i każdy z nich rozumiał, że jemu pierwszość i władza, drugim następstwo i wykonanie tego, co

nakaże, przystoi. Po wielu sprzeczkach i kłopotach do tego przyszło, iż *ostatni pan i dziedzic dwu owych kamienic* nie miał ani czasu, ani sposobności wstrzymywać je tak, jakby należało. Mysząc więc, jakimby sposobem gmach w całości utrzymać, a widząc, iż się już ściany gdzieniegdzie poczynęły rysować, spostrzegł, iż *rynna* między dwoma dachami, na którą się wody z obudwu zlewały, nie dostarczała takiemu spadkowi: postanowił przeto *na obudwu kamienicach dać jeden dach*; ile że były sobie równe, a staraniem dawniejszych dzierżycielów *facyata jednakowa*. Wiele trzeba było koło tego i starań i prób i pogroźek i obietnic, *ba i datków*, żeby przywieść czeladź do imania się takowój roboty; a to dlatego, iż się już byli na dobrym bycie (jak to mówią) rozbrykali: każdy, zdawna do mieszkania swojego przyzwyczajony i wprawny, połączenia takowego w jedno nie chciał, osobliwie owi, co się to byli następnie złączyli. Musiał więc pan, żeby ich ująć, dać im więcej jeszcze do mieszkania, niżliby byli pierwój na jego przodkach wytargowali: wybrali sobie więc, co chcieli. Przecież przyszedł czas nakoniec, iż po wielu krzykach, hałasach i zwłokach stanął na obudwu domach jeden dach. Dalej pomału i na to się dali przywieść i nakłonić, iż *drzwi z jednej kamienicy do drugiej wybito*: a czeladź już złączona w mieszkaniu, mając je takie, jak tylko chciała, *zapomniawszy o panu i o budowli*, zaczęła używać dobrych czasów¹⁾.

Konfederacya barska dostarczyła Krasickiemu wątku do napisania satyrycznego poematu p. n. *Myszeis* (1775). Taki jest przynajmniej domysł pana Gruszczyńskiego, którego wywody wydają mi się wielce prawdopodobnymi¹⁾. Prze-

¹⁾ O znaczeniu Myszejdy Ignacego Krasickiego. Napisał dr. Gruszczyński. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. 1863, str. 28.

prowadza on w pracy swojej tę myśl, że Myszeis była utworem allegoryczno-satyrycznym, przedstawiającym stosunki polskie przed — i po pierwszym podziale. Do końca pieśni czwartej miał Krasicki, jak utrzymuje p. G., krytykę wypadków historycznych za cel swęj alegoryi. Popiel, co to się brzydził „jarzmem publicznej usługi i wodze rządów słabą ręką trzymał“, zmuszony oddać rzeczywistą władzę faworytom, „harpiom państwa“, którzy niesyci jeszcze byli „łupem zdartego ubóstwa“, przedstawiał Stanisława Augusta. W kraju „ochota mężna zupełnie wygasła“, a okrzyki marsowe w zupełne poszły zapomnienie. Pochlebstwa na dworze monarchy nie dopuszczały głosów prawdy: i „pan i naród szalał na przemiany“. Król kaprysem się jedynie powodował; przez dni dziewięć z okładem kochał statecznie *myszki*, to jest szlachtę, wyobrażającą stronnictwo niechętnie wszelkiej obcej gwarancyi; ale raz dowiedziawszy się o „kocie wybornym“ Mruczysławie (Repnin), cały swój afekt przeniósł na ten ród myszkom nieprzyjazny: „zginęły myszki z dobrym swoim bytem“. Nieszczęściem myszki zostawały w ciągłym ze szczurami (t. j. stanem senatorskim, magnatami wogóle) sporze. Gryzomir (t. j. Adam Krasiński) żałośnym głosem zachęcał ich do zgody, gdyż nie czas było wtedy wszczynać zwady; ale słowa jego odbiły się o uszy zebranych na naradę myszy i szczurów bez żadnego skutku:

Od dawnych bowiem czasów, na przemiany,
Szczurów i myszy złączone narody
Wspólnie się gryzły; a choć *wszystkie stany*
Traciły przez to ojczyste swobody:
Przecież duch złości niepohamowany
Sprawiał, że sprzeczne w każdej konjunkturze,
Myszowskie zdania szczurom, myszom — szczurze.

Tak się też stało i w chwili owej ważnej, gdy Mruczysław został Popiela faworytem. Na radzie zaczęły się wzajemne przymówki szczurów i myszy; powstał hałas

i wrzawa; napróżno Gryzomir wołał, żeby ratowali ojczyznę przy zgonie; w odpowiedzi usłyszał tylko krzyk: „niechaj ginie wolność przeszła“. Gryzomir musiał zawezwać pomocy cudzoziemskiej, co daje się także do konfederacyi barskiej wybornie zastosować, gdyż i ona szukała poparcia we Francyi i Austrii; następuje walka szczurów i myszy przeciw kotom z bardzo rozmaitem szczęściem prowadzona.

Dokładnemu przeprowadzeniu paraleli pomiędzy wypadkami opowiedzianymi w Myszeidzie, a faktami dziejowymi przeszkadza zakończenie, które myszom zwycięstwo daje, gubi Popiela, zabija Mrucysława. P. Gruszczyński stara się załatwić tę trudność twierdzeniem, że Krasicki przewidział detronizacyą Stanisława Augusta. Wszelkie jednak przewidywanie dosyć wątpliwą ma wartość, jeżeli na naukowych danych się nie opiera; mnie się więc zdaje, że niebezpieczeństwo śmierci, na jakie wystawiony był król wskutek porwania przez konfederatów, mogło usprawiedliwić wzupełności autora, który musiał pozostać wiernym legendzie o Popielu, obranej za punkt porównania z panowaniem Stanisława Augusta. Trzeba przytém wziąć i to na uwagę, że Krasicki, ogłaszając swój utwór, musiał zatrzeć wiele miejsc zbyt wyraźnie przypominających znane osoby lub zdarzenia, ażeby nie obrazić na siebie króla, któremu Myszeidę ofiarował. Tém także tłómaczyć sobie należy ów rys pijaństwa Popielowego tak niezgodny z usposobieniem i nałogami króla Stanisława. Obecnie w Myszeidzie pozostały tylko fragmenta pomysłu pierwotnego, nie zaś doskonale od początku do końca przeprowadzona i utrzymana alegorya. I z tych ułamków jednak widać, jak, obok trafnych spostrzeżeń do ówczesnych rozterek w kraju zastosowanych, Krasicki chłodno patrzył na wypadki, z żadną stroną nie sympatyzując.

Wogóle biorąc, gdzie Krasicki wspomina jakiś szczegół

z przeszłości krajowej, a zwłaszcza — przeszłości najbliższej siebie, to nie tylko nie pomija cieniów ją pokrywających, lecz owszem cienie te ze szczególnym zamiłowaniem w duchu surowej krytyki wytyka dosadnie. Obywatele na to się na sejm zjeżdżali, ażeby brać, zwodzić, pić, jeść i „dawnym zwyczajem“ gryść się wzajem.

A czyniąc wszystko *płochym* ¹⁾ duchem napastniczym
Jak przyszli bez niczego, tak wrócili z niczem.

(List do J. B.)

Kiedy Doświadczyński, zachęcony przez ministra, chciał zostać posłem, musiał się przedewszystkiem upić z bracią szlachtą kilka razy; a gdy na sejmik *jednego* tylko kucharza przywiózł ze sobą, wyśmiali „dzikość“ jego dobrego sąsiedzi. A kiedy wieść ich doszła, że p. Mikołaj miał ze sobą tylko dwa antały wina, sam Imć Pan Podkomorzy wręcz zdecydował, że o jego poselstwie „nie tuszy“. Trzeba mu więc było kupić coprędzej w pobliskim „klasztorze“ wina wyborowego beczek kilka, trzeba było dostać kucharczów; „że zaś było pieniędzy dostatkiem, poszło wszystko i prędko i dobrze“. Umysł i wola obywateli były na sprzedaż; głupota, brak zupełny zmysłu politycznego, głównie cechowały wyborców. Gdy odczytano punkta instrukcyi dla wybranych posłów, okazało się, że nie było *żadnego*, któryby się odnosił do dobra publicznego, ale „natomiast rekomendacye jednych do krzeseł senatorskich, drugich — na ministerya, najwięcej zaś — do łaskawego Jego Kr. Mści szafunku *panis bene merentium*; przydano tylko *reparacyą ratusza* lubelskiego i piotrkowskiego“... Imć Pan Sędzia, nestor owej ziemi, z której Doświadczyński posłował, doprasza się, ażeby wybrani posłowie domagali się odebrenia „sum neapolitań-

¹⁾ Waryant rękopiśmienny (w Bibliotece Krasieńskich znajdujący się) brzmi: *podłym*.

skich“ i otwarcia „gór w Olkusz“ . Zgodzili się na to wszyscy; dołożono jeszcze „aprobacyą kilku funduszków i dwóch świętych nowo beatyfikowanych kanonizacye“. Gdy Doświadczyński zaczął krytykować niektóre wyrażenia instrukcy i gdy zrywanie sejmów nazwał „podłością i niegodziwością“, Imć Pan Podkomorzy przyrównał go do cielęcica, które chce być mędrszym od wołów; a wśród rzeszy szlacheckiej rozeszła się pogłoska, że szanowny kandydat był heretykiem... Przyjechawszy do Warszawy, był najprzód pytany: do jakiej partyi należy; a gdy wyraził swoje zadziwienie, że w Rzeczypospolitej są tyrani rozkazujący i jurgiel-towi posługacze, usłyszał przycinek, że znać po nim pobyt na dalekiej wyspie. Ministrowie, senatorowie obiegają Doświadczyńskiego, ażeby zyskać go sobie dla jakiegoś partykularnego interesu. „Przyszedł dzień zaczęcia sejmu; weszliśmy do izby; marszałek stariej laski ze zwykłemi ceremoniami sejm w tumultie i wrzasku nieznośnym zagał. Przez *dwa dni* nie mogliśmy się doczekać obrania marszałka; trzeciego — przyniesiono *manifest zrywający sejm*. I tak, sześciomiesięczne całego narodu intrygi i koszty skończyły się na bolesnej oracyi marszałka stariej laski, przy pożegnaniu uskarżającego się na nieszczęśliwe losy ojczyzny“. (Księga III, rozdz. XIV).

Nie potrzebuję przypominać, jak Krasicki przedstawia trybunał lubelski i jak nam kreśli obraz dawnego wychowania młodzieży, bo szczegóły te są powszechnie znane. Do uwielbienia więc przeszłości nie był wcale skłonny i zarzucał jej (w wierszu do Krzysztofa Szembeka, koadjutora biskupa płockiego) „dzikość, fanatyzm, płoche uprzedzenie, ślepotę“, których ofiarami padają dusze szlachetne, dążące do poprawy zastarzałych wad i błędów. Na cześć jej napisał wprawdzie „Wojnę Chocimską“, ale jakże pochwały te są zimne, jak wymuszone! Są one raczćj wynikiem tematu

poetycznego, który domagał się cnót bohaterskich, niż serdecznego ukochania tego, co minęło.

Zdawałoby się z powyższego, że Krasicki nigdy nie powinien był wzdychać za przeszłością i widzieć w niej ideału, z którym terażniejszość porównana zawsze tracić musi na uroku i wartości; zdawałoby się, że całym sercem przylgnąć był powinien do nowej epoki reform zbawien-nych, epoki rozszerzonego światła i podnieconych uczuć obywatelskich. Istotnie, Krasicki w wierszu do Szembeka, otwarcie powstaje przeciw „sławnemu hasłu: *niech będzie, jak było*“ i zachęca do śmiałego przeprowadzenia reform:

Walczyć z gminem należy, kto go chce oświecać.

Mimo to, niejednokrotnie żałuje nasz biskup dawnych dobrych czasów; nie powiada wprawdzie, kiedy one były; ucieka w przestrzeń jakąś nieoznaczoną, mglistą, gdzie panowała cnota, gdzie rodzili się zacni obywatele, dbający więcej o dobro publiczne, niż o swoje własne. Stąd — czytamy u niego ogólnikowe pochwały „bitego gościńca, co starzy ubili“; stąd — pisze „gderania starego Bartłomieja“, według którego wszystko, co było dawniej, było jak się należy; stąd — „w ścisłym rzeczy obrachowaniu i porównaniu kto wie, czyby nie znalazło się to, iż więcej jest teraz złego, niż było przedtém“; stąd — zdanie, że „kształtnie czynią dzisiejsi, lepiej jednak — starzy“, że „my pozorni, oni — trwali“; stąd — takie wykrzyki: „nad nasz polor prostotę ja dawną przenoszę; Świat się przepolerował i bodajby był dziki!“ Co więcej, nawet oświata bynajmniej nie cieszy Krasickiego; gnębi go ksiąg rozlicznych mnóstwo: bajki, dykcyonarze i wszelkiego rodzaju piśmiidła; nie wielką zasługę przypisuje wynalazcy druku, gdyż ten druk sprawia, że za jedno dobre pismo mamy sto gupstw drukowanych:

Poszła w handel nauka, kramnicą — drukarnie:

Głód kładzie pióro w rękę, zysk do pisma garnie,

Mają dowcip na zbyciu w ten jarmark otwarty,
Jak kramarze na łokcie, autory — na karty.

Jest-to bezwątpienia sprzeczność, gdy widzimy, że ten sam człowiek, który tak surowo ganił przeszłość, teraz ją za wzór stawia czasom swoim; ale sprzeczność ta nie wynika z nagłej zmiany przekonań, tylko z ogólnego usposobienia autora. Dopóki wpatrywał się w szczegóły owęj przeszłości, satyryczny jego umysł nie mógł nie dostrzedz wad strasznych, które za jego czasów spostrzeżono dokładnie i starano się wykorzenić; gdy atoli tak samo spojrzał w terażniejszość, dążność do reform zesła na plan dalszy a nawet znikła, natomiast zaś przedstawił się oczom jego obraz rozkładu obyczajowego. Wiek XVIII obok świetnych zdobyczy naukowych, obok wybornych dzieł dowcipu i filantropijnych usposobień, nie posiadał dzielnych charakterów, któreby nam siłą moralną imponować mogły. Obyczaje, z początku lekkomyślne, stały się w końcu bezwstydne; wyższe warstwy straciły prawie zupełnie poczucie moralne i wszelki ideał etyczny, zamieniając go naprzód na estetyczny, a potem na ideał użycia rozkoszy tego świata w formie jakiegokolwiek. Szulerstwo, dworactwo, podstęp, hipokryzja, brak godności moralnej, sprzedajność, lubieżność są cechami śmietanki towarzystwa. Krasicki wybornie zauważył rozmaite rodzaje tych zdrożności i w pismach swoich, a mianowicie w „Satyrach“, chłostał je lekkim, ale silnie się wrażającym biczkiem. A że dla kontrastu potrzebował przeciwstawić obrazowi zepsucia jakieś ogólnikowe przynajmniej wspomnienie ideału, wziął więc to, co zwyczaj odwieczny zarówno w społeczeństwie, jak w literaturze uświęcił, to jest zupełnie nieokreślone, na pół mityczne „dawne dobre czasy“. Nie stanowiły one w jego umyśle jakiegś ściśle określonej epoki, jakiegś rzeczywistości, mającej cechy wyraźne, gdyż nigdy ich szczegółowo nie przedstawił; ale

były raczej wyrazem życzeń, żeby teraźniejszość starała się je na ziemię z mgły podniebnej sprowadzić

VIII.

Zdrowy rozsądek i chłodna uczuciowość, zastosowane do spraw wielkiej wagi na szerokiej arenie życia publicznego rozstrzygających się, musiały wydać taki sam rezultat, jak w odniesieniu do poważaych, wspaniałych wypadków dziejowych. Zgodnie ze swoim chłodem, jeżeli nie wstrętem, do akcji politycznej, Krasicki nadzwyczaj rzadko zabierał głos w dyskusyi tyczącej się kwestyj państwowych. Właściwie mówiąc, raz tylko jeden zaznaczył dobitniej zdanie swoje w tym względzie i to w kształcie broszury, której bez obawy nadużycia wyrazu tytuł pamfletu nadaćby można. Istotnie nadzwyczaj zadziwiającą było rzeczą, że w książce, która specjalnie zająć się miała skreśleniem obowiązków szlachcica ziemianina („Pan Podstoli“) nie tylko niema wskazówek postępowania politycznego, ale nawet wypowiada się przekonanie, że ziemianin stronić powinien od „politycyzmu“. Przygodnie zaś poruszono tylko pytanie co do przeznaczenia starostw, które nie „chlebem zasłużonym“, ale „chlebem chytrze wydartym“ nazywa, lecz to dopiero w III-jej części „Pana Podstolego“, która za życia autora nie wyszła z druku (Cz. III, księga III, roz. I). Spółcześni czuli bezwątpienia ten rażący brak w „Panu Podstolim“ i usiłowali go dopełnić według możliwości. Jakoż we 4 lata po wyjściu drugiej części „Pana Podstolego“ wyszło z druku pismo w podobnej formie napisane, a przeznaczone wyłącznie roztrząsaniu obowiązków ziemianina jako *obywatela kraju* ¹⁾.

¹⁾ *Obywatel* z dewizą: *Si quid novisti rectius istis, Candidus imperti; si non, his utere mecum*. Tom I. W Warszawie.

Znając atoli usposobienie księcia biskupa, łatwo nam zrozumieć, dlaczego w ideale swego ziemianina zaprzęta się jedynie przepisami moralności, przystojności, oświaty i ekonomiki. „Politycznym“ zdaniem Krasickiego to „coś nakształt febry peryodycznej, która czy trzydniowa, czyli co czwarty dzień przypadająca zostawia przedział do odpoczynku, nim chorującego zaczepi“. Co dwa lata następuje *crisis*; wtenczas wybierają medyków. „Lekarzów — powiada K. — dosyć; ale choćby dobre recepty dali, w złym stanie apteka; może się więc nie znajdą lekarstwa przepisane, albo, choćby się znalazły, kto wie, czy będą takie, jakowych potrzeba“ (Pisma różne. W wydaniu Lewentala t. IV. str. 357).

Otóż nadeszła była wielka *crisis* w r. 1788, zebrano się na sejm, który najświetniejsze rokował nadzieje, który nie tylko Warszawę, ale i kraj cały jakimś radosnem, entuzjastycznem napełnił uczuciem, i który w świecie myśli, w świecie teoryj politycznych tak świetnym od „konstytucyi swojej zajaśniał blaskiem“. Krasicki występuje wtedy właśnie ze wspomnianym powyżej pamfletem, któremu daje napis „Organy“ ¹⁾. Przedstawia się on tutaj, jako człowiek

W drukarni pana Dufour, kons. Nadw. Jk. Mości i Dyrekt. Druk. korp. kad. 1788, stron 328 w 16-ce. Znany mi jest tylko tom pierwszy.

¹⁾ Pierwszym, który przyznał „Organy“ Krasickiemu, był Feliks Bentkowski, znający je z egzemplarza rękopiśmiennego. W tomie I swojej „Historji literatury polskiej“ na str. 404 pisze on: „Wiersz przeplatany prozą p. t. *Organy*, wystawujący okoliczności i osoby działające w czasie sejmu r. 1788, znany mi jest tylko w rękopiśmie, lubo trafność dowcipu, żywa imaginacya, owa przyjemna gładkość i dworna satyryczność godnym go ze wszęch miar druku czynią“. W drugim miejscu (I, 485), wymienia sam jedynie tytuł. Odtąd historycy piśmiennictwa i biografowie powtarzali tę wiadomość; a nawet Bartoszewicz nie podał o Organach bliższych szczegółów. Dopiero Kraszewski bliżej

bardzo, ale to bardzo chłodno zapatrujący się na ówczesną rozgorączkowaną wraz z sejmem Warszawę, jako obserwator bystry, dostrzegający od razu śmieszności pośpiesznego i nierozważnego działania, jako dowcipniś, który nawet w najkrytyczniejszej chwili nie chce stracić swego *bon mot*, bo to *bon mot*, niewypowiedziane, sprawiłoby mu niezmierzenie przykrą emocją krztuszenia się. Skład sejmowy porównywa do organów, w których każdy klawisz czyni swą powinność, stosownie do tego, jak zagra *Lucchesini*, organista. Głównymi sprężynami działania są „duma wraz z zemstą za ręce ujęte“. Z nadziei stronnictwa patryotycznego dowcipnie się wyśmiewa: „król pruski — powiada —

Mówią wszyscy, że wspaniały,
Nie chce zysku, ale chwały;

nas z niemi zapoznał z egzemplarza drukowanego. W bibliotece Ordynacji Kasińskich znajdują się dwa odmienne pod względem redakcyi egzemplarze drukowane i jeden pisany, różniący się od tamtych stylistycznie w wielu miejscach; ja mogłem korzystać z nich przy opracowywaniu studyum niniejszego. — Zdziwić może, dlaczego Dmochowski nie tylko nie pomieścił „Organów“ w kompletném wydaniu dzieł Kasińskiego, ale nawet nie wspomniał o nich w mowie na cześć K-go mianej. Okoliczność jednak ta nie powinna decydować o autentyczności autorstwa „Organów“, jeżeli zważymy, że jest to utwór satyryczny skierowany przeciwko tej chwili z ostatnich lat bytu Rzeczypospolitej, która dla zwolenników konstytucyi 3 maja po upadku była ideałem wszelkiej doskonałości, tak — że każde targnięcie się na jej chwałę poczytaneby było za najsrozsze ubliżenie przeszłości. Mówca, który chciał wszystkie promienie blasku skupić na czole swego bohatera, nie mógł przypominać owych sarkazmów na działalność sejmu 4-letniego, jeżeli nie pragnął oburzyć na siebie słuchaczów zgromadzonych w sali zebrań Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Są atoli inne trudności, *pozornie* przynajmniej nie pozwalające uważać K-go za twórcę „Organów“. Autor tej broszury opisuje szczegółowo działalność sejmu z pierwszych 10-ciu tygodni jako widz naoczny zasiadziały w Warszawie; przedstawia się nam jako

A widząc orła białego,
Nadto z pierza odartego,
Ofiaruje swe starania
Do piór dawnych odzyskania
Z warunkiem jednak na tym,
By biały został srokatym.

A sarkastycznie dodaje: „patryoci, jak widać, są z strony króla pruskiego; nie wiem zaś dotąd, czyli w wolnym narodzie patryotyzm przez kogo zagrzewany być powinien, i czyli kto obcy władać nim może; słyszę tu jednak głosy powszechności, że nam to na lepsze wyjdzie; ja mówię: daj Boże“!

Marszałków sejmowych (Stanisława Małachowskiego i Kazimierza Sapiehę) przedstawia w sposób niezbyt pochlebny; przyznaje im wprawdzie pewne zalety, ale zaraz dodaje ta-

człowiek, który na każdym posiedzeniu był, wsłuchiwał się w mowy, badał pulsa usposobień publiczności, interesował się posłuchami, anegdotami. Tymczasem wiadomo, że ks. biskup warmiński przybył do Warszawy dopiero w lipcu 1789, a zatem na owych sławnych posiedzeniach, na których rozprawiano o 100 tysięcznym wojsku znajdować się nie mógł. Gdyby więc Kr. chciał był opisać sejm z własnego widzenia, wybrałby zapewne chwilę bliższą swego przyjazdu, nie zaś oddaloną prawie o rok cały. Z drugiej wszakże strony narzekania i szyderstwa Krasickiego tak są podobne do opinij wyrażonych w listach brata jego Antoniego, który w początkach sejmku 4-letniego bawił w Warszawie, starając się o beneficyum jakiekolwiek, byleby intratne, dla ks. biskupa warmińskiego, że łatwo przypuścić, iż ks. biskup napisał swój pamflet wedle relacyj brata; a chcąc starannie zamaskować autorstwo swoje, zmyślił swoją bytność w Warszawie i charakter naocznego widza. Poglądy w „Organach“ wyrażone, tudzież styl są tego rodzaju, że bez trudności przyznać je można Krasickiemu, zwłaszcza gdy się porówna je z tém, co okolicznościowo o sejmach polskich wogóle z powodu sejmku grodzieńskiego i o „politycyzmie“ napisał. Tak rozwiązuję trudności sobie samemu zrobione; a opowiadam o przebiegu swych myśli na tém miejscu dlatego, ażeby w téj ciekawej sprawie wywołać dyskusyą.

kie wady, które prawie niweczą wrażenie stron dobrych: Oto jego słowa, w których rozpoczyna od sylwetki Małachowskiego:

Pierwszy układny, grzeczny, pokorny;
Frant w gruncie serca, ale frant przezorny:
Przyjaciół tronu i jego powagi;
Lecz ten z narodem nie ma przewagi.
Doczekał się téj cechy na swojej siwiźnie,
Że króla, tron szanując, wiernym jest ojczyźnie.
Drugiego ty znasz dobrze, a ja — ledwie miernie:
Nadto słaby w wyrazach, bym go oddał wiernie.
Natura go swojemi obsypała dary:
Dowcip, rozum, przytomność, wymowa bez miary
Pełen wszystkich talentów, lecz cóż z nich, niestety!
Miłość własna nim rządzi i ładne kobiety ¹⁾.

Postępowanie posłów przedstawia nam jako hałaśliwą zabawę nierozumnych młodzieniaszków, którzy, nie znając ani potrzeb kraju, ani sposobów zaradzenia im, popisują się patryotycznymi frazesami, stanowią prawa bez względu na to, czy one będą mogły być wykonane, czy nie. Najdotkliwszej szykanie poddał uchwałę co do stutysięcznego wojska; najwięcej tu rozwinął dowcipu i bystrości umysłu. Prawodawcy wyznaczają na papierze sto tysięcy wojska, i zamiast pomyśleć o jego wystawieniu, zapłaceniu i opatrzeniu, już niemi najswobodniej rozporządzają, odbierają ziemie, zawierają alianse i poprawiają „rząd w bezzurzędzie“. „Szczęściem — dodaje nasz satyryk — nastąpione zimna przypomniały gorącym prawodawcom, że gołe wojsko w pole wyjść nie może; a tak zaczęto myśleć o formie ubioru, choć dotąd ubierać nie masz ani czym, ani kogo; uchwalono tedy najprzód wojsku głów golenie: oj! gdyby byli

¹⁾ W rękopiśmiennym egzemplarzu „Organów“ niektóre miejsca są odmienne. *Drugi* marszałek „wszystko zyskał w narodzie oprócz jednej wiary; a rządzi nim „duma, lekkość i mściwe kobiety“.

zaczęli od swoich, nie stroiliby tak wojska“! Narzeka w dalszym ciągu na przepisanie wojsku stroju narodowego, bardzo trafnie dodając, że zamiast głowy golić, lepiej otrząsnąć pudr z włosów, zamiast stroić w białe lederwerki, dać czarne, zamiast kontuszków powiększyć płacę (lenung) i lepiej już, żeby się cały stan cywilny ogolił, i żeby zbytków zaprzestał. Po tym zwrocie poważniejszym ciągnie autor dalej sarkastycznie, że nie myśli przebierać wojska, aby nie przemarzło, „bo podobno zimowe kwatery w konstytucyi odprawi; prócz tego powiadają, że przez papier wiatr nie przewiewa, gdyby nawet i przez lato tak zostać miało, to namiotów potrzebować nie będzie“...

Drugim punktem, na który satyryk uderza, to utworzenie zarządu wojskowego z pomiędzy obywateli, co mu przypomina „komisję wojskową“, a całą różnicę pomiędzy dawnym a nowym urządzeniem w tem upatruje, że „tamten bałwan był z drzewa, a ten jest gipsowym“. Na możliwy zarzut ze strony czytelnika, że naród jest baczny, że obywatel bezpiecznym się staje, „bo rękojmią Stany“, że za przestępstwo rządu może być hetman karany, bez względu na osobę; odpowiada epigramatem:

Tak więc rząd określony; a cóż robi złego?

Prawda, że mało; jednak nic dobrego.

W ten sposób załatwiwszy się z obrazem i krytyką „dziesięciu niedziel sejmowania“, zastanawia się nad widokami przyszłości. I tu również daje dowody trafnego przewidywania, bystrego spostrzegania, a zarazem jakiejś obojętności na los niedaleki. Jeżeli mamy być darcy — powiada — niechże nas drze orzeł o jednej głowie... Kombinuując zaś ówczesne wypadki polityczne, przewiduje, że sąsiedzi wzajemne szkody nagrodzą sobie podziałem Polski. Ratunek widzi aż w *cudzie*, chociaż nie zaniebuje mówić zwykłych ogólników, że rozpacz może jest zbyteczna, że

czas wszystko przerobi. Kończąc zaś, wyrzeka na stronnictwa, mówiąc z westchnieniem: „jak nie dzielić, gdy się dzielim sami“? A na złe, na owę chorobę „politycyzmu“ przepisuje receptę, bardzo łatwą do skreślenia, ale bardzo trudną do wykonania w aptece krajowej: zaleca „zgodę“ i „ufność w królu“ ¹⁾).

Satyra ta nie pozostała bez odpowiedzi. Nieznany mi autor dał ją w broszurze p. n. „Wieśniak Warszawskiemu Orgarmistrzowi na Organy z *Myślewic*“. Był to gorący zwolennik stronnictwa patryotycznego i starał się zarówno prozą, jak wierszem, odeprzeć złośliwe zarzuty autora „Organów“, posiłkując się zarówno rozumowaniem, jak uderzeniem w struny sercowe. Odpowiedź ta nie jest tak niedołązną, jaką się Kraszewskiemu wydała; bo jakkolwiek wiersze w niej są po większej części liche; proza natomiast jest nieraz bardzo wymowną. A co się tyczy treści, to istotnie nie odznacza się ona tą bystrością, jaka cechuje „Organy“; ale zaleca się natomiast gorącością uczuć i wielką ufnością w przyszłość. Autora „Organów“ traktuje z początku delikatnie, ale w miarę zapalania się przechodzi do ostrych przycin-ków; widzi w nim wielbiciela „północnego bożyszczu“, nazywa go nieukiem, który nie powinien psuć sobie głowy wymyślaniem wskazówek dla tak rozumnego grona, jakim były sejmujące Stany. Nie mogę tu przytaczać punktów jego odprawy danej po szczególe autorowi „Organów“; zwróćę jedynie uwagę na dwa ustępy, w których wyjaśnia swoje

¹⁾ Charakterystyczną jest rzeczą, że gdy Trembecki w roku 1784 przed sejmem grodzieńskim gorąco zachęcał Krasickiego w nadzwyczaj misternie ułożonej przemowie wierszem do poparcia potężnym wpływem swego słowa polityki królewskiej, biskup warmiński pozostał na wezwanie głuchym; tak — że za całą odpowiedź pod tym względem pozostał nam list, proszący przyjaciela o donoszenie mu nowin z Grodna.

zapatrywanie się na stosunek stronnictwa patryotycznego
i na stosunek króla do narodu:

Biały z czarnym jednogłowym,
Choć odmienne orły z pierza,
Nie chcą ni ten, ni ten owym
Władać; tylko chcą przymierza.
Łączą wspólne wzajem siły
Dla przeciwnych mocarstw spisku,
Pragną, by ich uwielbiły
Wieki późne; — a nie zysku.
Chociaż z sobą staną w rzędzie,
Na murawie, czy na piasku,
Ten białości swój nie zbędzie,
Ów pozyska więcej blasku.

Na radę zaś autora „Organów“, żeby mieć „ufność
w królu“, i być zgodnemi, nasz republikanin odpowiada:

Potwór natury jedność to takowa,
Gdy ogon, głowę do swojego sądu
Przewrotnym trybem porywa, nie — głowa.
Brońże nas, Boże, takiego nierządu!
Nie od promieni słońce, lecz promienie
Zawisły z blaskiem od słonecznej kuli.

Jeżeli replikant ulegał złudzeniom optymizmu i każdy
krok sejmujących Stanów za dowód najgłębszej mądrości
uważał; to Krasicki, bystro dostrzegłszy ich słabe strony
i poddając szczegółowe rady bardzo trafne, nie umiał prze-
cież szerszym wzrokiem swoim ogarnąć horyzontów, nie
potrafił ocenić ważności chwili ówczesnej, która nie tylko
nam potomnym, ale i głębszym umysłem tamtej już epoki
przedstawiała się jako niezmierniej doniosłości sytuacja
dziejowa. Nie tak jak Kołłątaj lub Staszic, którzy widząc
braki i wskazując zarazem sposób zaradzenia im, wiedzieli
przecież, że sejm rozpoczynający się, — to nie była zwy-
kła *crisis* dwuroczna, lecz *crisis* wiekowa; Krasicki prze-
ciwnie zamyka się w kole spostrzeżeń, któreby były na

miejscu w zupełnie normalnych warunkach. Nie strona wielka, ale komiczna uderza jego satyryczne oko; stąd — to zamiłowanie do wyśmiewania szczegółów drobnych, a dyktanckie traktowanie ogółu sytuacji.

Nie myślę bynajmniej robić zarzutu Krasickiemu z tego, że serce jego nie wezbrało ani westchnieniem miłości, ani goryczą oburzenia; że wielki wypadek dziejowy był dla niego zwykłym zjazdem półgłówek; gdyż zarzuty podobne równałyby się żądaniu, ażeby autor miał inną głowę i inne uczucie, t. j. żeby przestał być sobą. Uwagi powyższe mają na celu wskazanie jedynie faktu, że z takim usposobieniem, jakie miał Krasicki, z takim rodzajem umysłu i uczucia nie podobna było stanąć na równi z sytuacjami wzniosłymi, lub tragicznymi. Ażeby stanąć na równi, potrzeba było mieć serce płomienne i umysł, który swoje przyrodzone przymioty wykształcił głęboką znajomością świata duszy zarówno w teraźniejszości, jak i w przeszłości.

Nie wypada jednak stąd, ażebyśmy lekko mieli cenić takie uczucie i taki umysł, jaki posiadał Krasicki. Są to bowiem potęgi, które rządzą największą liczbą interesów i są sprężyną działania największej liczby ludzi. Wszystkie niemal szczegóły życia rodzinnego, gospodarskiego należą do ich atrybucyi; wszystkie klasy narodu rozpoczynają od nich, a przeważna liczba jednostek pozostaje na ich poziomie aż do śmierci. Rzadko które indywiduum wdziera się na szczyty inteligencji i schodzi w przepaściste głębie namiętności; bo na szczytach boi się dostać zawrotu głowy, a w głębiach lęka się uledz zaduszeniu... Prócz tego i ci nawet, co wdzierają się na wierzchołki, lub się zapuszczają w przepaście, nie potrafią tam długo przebywać, i wyjąwszy chwile wielkiego uniesienia czy natchnienia, żyją tak samo jak przeciętna masa ludzi; posługują się ich pojęciami, ulegają ich usposobieniu i nałogom; gdyż w przeciwnym

razie delikatna natura organizacyi ludzkiej przy zbyt silnem i zbyt częstem nateżeniu ulegałyby rozkładowi.

Krasicki nie pisał dla jednostek wybranych, ale — dla ogółu, chcąc go widzieć jak można najlepszym w zakresie mierności. Wyśmiewał więc wady, karmił występki, odwodził od ślepego, czyli jak sam nazywa „owczego“ naśladownictwa wszystkiego, co dawała zagranica, a mianowicie Francya; występował przeciwko zastarzałym uprzedzeniom i przesadom, o ile one nie były zbyt silnie ugruntowane w sercach czy umysłach narodu; dawał rady i wskazówki nieraz nadzwyczaj trafne i łatwe do wykonania, bo dotyczyły przeważnie drobnych interesów życiowych. Każdy szlachcic mógł się rozkoszować „Żoną modną“ spoglądając na swoją potulną i posłuszną połówicę, mógł się uśmiechać z zadowoleniem, patrząc na obrazki przebiegów prawniczych, lub intryg sejmowych, siedząc sobie spokojnie w izbie, lub obchodząc pola. Bo i ta strona nawet, która nam tak rażącą się wydaje w pisarzu zesłowiecznym, ten brak skłonności do polityki podzielała bezwątpienia bardzo znaczna część szlachty, której więcej chodziło o zagon rodzinny, o sprawy zresztą województwa swojego, niż o szerokie plany polityki ogólnej, dla jej umysłu niezbyt przystępne. Długie dwa wieki prywaty przytępiły w jej umyśle poczucie solidarności w interesach publicznych. Ogół też doskonale rozumiał swego utalentowanego przedstawiciela i rzecznika; uznawał wyższość jego wiedzy, doskonałość jego talentu i ulegał potężnemu jego wpływowi. Pisma Krasickiego były nadzwyczaj chętnie czytane; krytyka literacka ich nie dotykała, gdyż prawie nie istniała; a krytyka publiczności, objawiająca się naówczas w wierszach okolicznościowych, lub pamfletach wogóle, niezmiernie rzadko pozwalała sobie zganić myśli ks. biskupa. Zdarzyło się to dwukrotnie tylko, o ile dotąd wiadomo. Raz — gdy ks. biskup

napisał swoje „Monachomachią“, oburzył się jakiś anonim na jego satyrę i wyrzucając mu, że nikogo wogóle dotąd nie pochwalił, że „rząd, prawo, szlachcic, kupiec, zakonnik, małżonek trafił na zadzierzgnięty od niego postronek“, w szczególności wyrzuca mu napisanie „Wojny Mnichów“:

W liczbie pism twych napadłem jedno nieposłednie,
W którym drwisz z duchowieństwa zbyt ostro, zbyt przednie.
Szkaplerze, krepy, (hardy!) splamiłeś kaptury,
Odkryłeś człowieczeństwo prawie aż do skóry.
Śmiać się każesz z pijaków, głupców przewielebnych.
Temi gardzisz, których ja miałem za potrzebnych.
Sądziłem, że autorem duch był libertyński;
Zdziwiłem się, poznawszy, że — biskup warmiński.

Drugą burzę wywołały „Organy“. Autor odpowiedzi, robiąc aluzję do nazwy utworu, który nicuje, odpowiada, że „altówka W Pana wrzaśliwa liczne i *wielkie* przeraziła uszy“ (str. 17); a drwiąc z jego satyrycznych zapędów, nie szczędzi przymówek osobistych:

Przewrotny umysł dobre zepsuć może,
Lecz złe naprawić ciężko-to, nieboże.
Lepiejbyś pono strawił czas ten drogi
Na tym, żeś w zdanie i skromność ubogi!
Pleciesz, co ci się w twój głowie zaświeci;
Zręczniejbyś plątał pod kądzielą nici.
Tam białej plotąc płci takowe fraszki,
Znalazłbyś chwałę, zażyłbyś igraszki;
Lecz między mądrych wszedłbyś mężów grono,
Strzeż głowy, — by ci jej nie ogolono!

Lecz obok tych dwu przykrych głosów, ileż to było uwielbień ze strony małych i wielkich, znanych publiczności i pospolitych rymopisów. Dość przypomnieć sobie wspaniałe dwa utwory Trembeckiego, chwale ks. biskupa poświęcone, dedykacją „Organów“ Węgieńskiego i wiersz tegoż na wody karlsbadzkie; tryumfalny niemal przejazd Krasickiego z Heilsberga do rodzinnego Dubiecka; ażeby

mieć wyobrażenie o uczczeniu zasług popularnego pisarza. Z pomiędzy mało znanych hołdów wymienię dwa z dwu różnych chwil piśmiennej działalności ks. biskupa¹⁾. Jeden zaadresowany jest do „autora Myszoidy“ (sic); w 6-cio wierszowych słabych strofach nieznany autor opłakuje krewną Krasickiego Kossowską, a na samym początku mieści tę charakterystyczną pochwałę talentu jego, którą później ustawicznie już powtarzano:

Ty, co dowcipem, łatwością myślenia
Bawiąc nauczasz, śmiejąc się, poprawiasz;
Winny ci Muzy polskie zadziwienia;
Sam sobie w dziełach nieśmiertelność stawiasz.
Ale zbyt trudny do naśladowania i t. d.

Drugi wiersz z okoliczności przyjazdu Krasickiego do Warszawy w czasie sejmu czteroletniego dnia 8 lipca 1789. Autor podpisał się literami: W. B. Z. R. Z. B. K., a jakaś nieznana ręka wypełniła ołówkiem skrócenia słowami: Wojciech Zacharkiewicz, Rejent Ziemski Brzeski Kujawski. Po hiperbolicznych pochwałach, w których Krasicki okazuje się wyższym nad Focyona, Sokratesa, Posydoniusza, Antystenesa, Owidyusza, Horacego, kreśli jego zasługi względem piśmiennictwa:

Witam Cię, książę, od wszech ukochany!
Tyś u nas wskrzesił chęć literatury.
Niejeden Polak nie był dotąd znany,
Że pisać, mówić potrafi z natury,
Cztery drukarnie tutaj próżnowały;
Rzadki w nich z pismem bywał przywitany,
Bo do pism serca śmiałości nie miały.
Dopiero umysł przez ciebie zagrzany.
Teraz jest *dziewięć* i nie wystarczają:
Każdy dla kraju myśl w piśmie wydaje;
Nawet próżniaki już księgi czytają...

¹⁾ Dwa te wiersze znajdują się w Bibliotece publicznej w Warszawie.

Z kolekcji
WŁADYSŁAWA GRABOWSKIEGO
W KRAKOWIE

Ciekawą wielce jest rzeczą, że autor przypisuje Krasickiemu zasługę nakłonienia Wilhelma do aliansu z Polską, co tak rażąco odbijałoby od myśli wypowiedzianych w „Organach“:

Tyś dał sposoby pisania, myślenia,
Tyś nas uszpionych niedawno obudził,
Tyś nam przełożył wielkie upodlenia...
Twoje-to dzieło, biskupie gorliwy,
Żeś zbłągał serce Wilhelma wielkiego.
Za co i teraz i po śmierci żywy
Będziesz wielbiony momentu każdego.

Życzy mu wreszcie sto lat życia i zdrowia, tudzież przeniesienia na biskupstwo siewierskie, by „zasług pełen tu wiekował z nami“:

Złość i nienawiść nie będąc w przeszkodzie,
Bo któż nie przyzna tobie patryocie,
Gdy lauru nie chcesz, żeś wart być na przodzie,
Wszak tego światła potrzeba twój cnocie...

Najświetniejszym atoli sposobem uznania była pokupność nowalijek warmińskich. Żaden nasz autor wieku XVIII-go nie doczekał się tak wielkiej liczby wydań jak Krasicki. To najwymowniej dowodzi, że usposobienie jego, uczucia i poglądy znajdowały silny oddźwięk w umysłach. Pozostaje nam tylko wskazać, w jakiej formie treść ta się przejawiała.

IX.

Ażeby ocenić stronę artystyczną utworów Krasickiego, nie dosyć jest znać jego usposobienie, trzeba jeszcze pamiętać wśród jakiej atmosfery literackiej na świat je wydawał. Był on jednym z tych, co chcąc oczyścić język i smak z trywialnych naleciałości XVII-go wieku, za wzór obrali sobie piśmiennictwo francuskie klasyczne. Duch kla-

syczny wytworzył się we Francyi pod wpływem wymagań dworu, wśród towarzystwa eleganckiego, ugrzecznionego, nie znoszącego otwartych objawów silnej namiętności, lecz ukrywającego tego rodzaju objawy pod najwyszukańszymi formami. Język, z którego wyrzucono mnóstwo wyrazów, zarówno technicznych jak malowniczych, stracił barwność i jędrność, a stał się natomiast jasnym i ścisłym. Poezya marzycielska nie znajdowała ani odpowiednich wyrazów w języku, ani odpowiedniego upodobania w guście tych, co się nią zajmowali. „Nigdy tu — jak mówi H. Taine — nie słyhać mimowolnego okrzyku wrażenia żywego, ani zwierzeń poufnych duszy przepełnionej, która dlatego tylko w samotności wyrazów używa, ażeby zrzucić z siebie ciężar jakiś i swobodnie się rozwijać“. W malowaniu charakterów odtwarzano tę tylko stronę, która jest spólna wszystkim ludziom dobrze wychowanym, a pomijano najzupełniej te cechy indywidualne, które odróżniają jednych od drugih. W opisach miejscowości są tylko najogólniejsze określenia, które do każdej okolicy zastosować się dadzą. Różnica obyczajów w najrozmaitszych epokach dziejów nie istnieje; wszystko się upodabnia do tych przyzwyczajzeń i nałogów, jakie w XVIII-tym wieku panowały; wszyscy przemawiają jednakowo stylem wykwinnym, krasomówskim. Fantazya musiała się poddać najściślejszej komendzie rozsądku.

Krasicki w usposobieniu swoim najmniejszej nie znajdował przeszkody do poddania się regułom tego smaku, który we Francyi powstawszy i do najwyższego stopnia się wyrobiwszy, przebiegł już całą Europę i wtedy właśnie, gdy w Anglii, a nawet w Niemczech zaczynało się powoli wyswobadzać się z pod jego wpływu, zawitał do nas wraz ze wszystkimi ideami francuskimi XVIII-go stulecia. Jemu hołdując, nie doszedł wprawdzie nasz biskup do tej bezbarwnej gładkości stylu, za jaką ubiegali się poeci księstwa

warszawskiego, ale wykluczył ze słownika wiele wyrazów i wiele zwrotów, które niegdyś w XVI-tym wieku tyle życia nadawały pismom Reja, Górnickiego, Kochanowskiego. Już Brodziński w rozprawie „O klasyczności i romantyczności“ zauważył, że Krasicki „nie zbogacił, prawda, języka tylą szczęśliwemi wyrażeniami co Kochanowski i niektórzy późniejsi; ale pierwszy nadał mu *potoczną łatwość i jasność*, przy szczerości i zwięzłości“ ¹⁾). Wyrzucając mnóstwo wyrazów czysto polskich, używał natomiast w znacznej ilości, mianowicie w prozie, wyrazów łacińskich, które przeszczepione na grunt polski traciły zupełnie malowniczość, jeżeli ją posiadały, gdyż etymologiczne ich znaczenie dla ucha polskiego było niezrozumiałe; a wskutek tego wyraz przybierał cechy zwykłej cyfry.

Wraz z zeszczupleniem zasobów językowych, częścią przez ich zaniedbanie, a częścią przez abstrakcyę, zmniejszała się liczba szczegółów malowniczych, charakterystycznych zarówno w opisach miejscowości, jak i w rysunku charakteru. Zamiłowania natury Krasicki nie posiadał, był tylko lubownikiem ogrodów, to jest sztucznych wytworów. Wprawdzie okazał pod tym względem większą skłonność do angielszczyzny aniżeli francuszczyzny; mimo to opisów lasu, góry, strumienia, rzeki nie zostawił, jakkolwiek w tym autorze, z którego wiele zaczerpnął myśli, w Roussie, miał już świetnego poprzednika. Jego krajobrazy o tyle tylko są polskie, o ile europejskie; ale żadnych cech indywidualnych nie posiadają. Weźmy np. pod uwagę krajobraz tak malowniczy jak widok Gopła; cóż o nich powiada nam „Myszeis?“ Oto przedstawia nam „rozległe i żyzne pola“, jezioro „wiekopomnie sławne“, cienie „ponadbrzeżnych drzew: brzóz, topoli, buków *starodawnych*“, dalej „ptastwo *rozliczne*“

¹⁾ Pisma K. Brodzińskiego. Poznań, 1872, III, 71.

i „echo zabawne“, dalej jeszcze „doliny, wzgórki *zielone i żywe*“, które „miłą patrzącym czynią perspektywę“. Dziśszy czytelnik mógłby pomyśleć, że to jakieś suche streszczenie poetycznego opisu — i pod tym względem omyliłby się najzupełniej, gdyżby nie poznał jednej z cech najcharakterystyczniejszych poezji „klasycznej“. Rzeczywiście same abstrakcyjne określenia, same najogólniejsze kontury, bez najmniejszego zamiłowania w malowniczych szczegółach, stanowią tu cechę opisów przyrody.

Podobnie rzecz się ma i co do siedzib ludzkich. Są one przedstawiane w grubych konturach, bardzo pośpieszenie, a tak niemalowniczo, jakby je pióro rejenta kreśliło. Na dowód odczytajmy króciutki opis mieszkania „Pana Podstolego“, a zatém osoby głównej w całym utworze: „Obszerny dziedziniec, płot z kołów wielkich sporządzony otaczał; ten zewsząd obsadzony był wybujałemi do góry wierzbami; *na środku* cztery lipy rozłożyste stały, pod każdą z darnia siedzenie, *w środku* stół kamienny. Po prawej ręce była porządna oficyna kuchenna z izbami, jak-em miarkował, dla czeladzi; po lewej stały stajnie, wozownie, na boku murywany lamus z żelaznemi u okien kratami i okiennicami, na przeciwko niego śpichlerz. Dwór sam był z drzewa na *dobrem* i znacznie od ziemi wzniesioném podmurowaniu. Weszliśmy do izby; na *środku* stał stół dywanem tureckim okryty; kredens był przy drzwiach tacami, pułkami, dzbanami srebrnemi i złocistemi ozdoby; naprzeciwko drzwi wisiał portret króla Jana“. Nie jest to, ściśle biorąc, opis, ale proste wyliczenie przedmiotów, zrobione nie dla sztuki, lecz wyłącznie dla pokazania gospodarności „Pana Podstolego“. Możnaaby wreszcie nazwać zbiór tych zarysów planem architektonicznym, ale w każdym razie nie obrazem skończonej budowli.

A jak w obrazowaniu natury i siedzib ludzkich pomi-

jał Krasicki rysy charakterystyczne, indywidualne, tak w kreśleniu fizyognomij nie obchodzą go istotne cechy osobistości wziętęj pod uwagę; a w przedstawieniu jęj charakteru znajdujemy przymiotniki ogólnikowe, abstrakcyjne, zamiast dobitnych, wyraźnych lub też subtelnych pociągów pędzla. Pana Podstolego znamy więcęj z jego ubrania, aniżeli z fizyognomii, z której autor dał nam poznać tylko „twarz poważną, rumieniec czerstwy, wąs siwy“. Jest to więc, jak widzimy, *maska* jedynie, mająca tę własność, że chodzi i rozprawia. Nie wiedzielibyśmy nawet, czy ma jakie uczucia, gdyby nas sam nie raczył zawiadomić o swoim serdecznem usposobieniu dla żony, dzieci i ludu wiejskiego. Zdrowy jego rozsądek natomiast poznajemy w każdym niemal wymówionem słowie, bo okazanie jego dla autora nie było przecież rzeczą trudną. W „Monachomachii“ występuje około 50 osób; ale bylibyśmy w prawdziwym kłopotcie, gdyby nas poproszono o odrysowanie choćby kilku. Wyglądają one jak te głowy w tłumnych zebraniach, kiedy je szkło fotografa odbije; są do ludzkich podobne, ale fizyognomij nie mają. Tak i w Monachomachii wystawiamy sobie tłum opasły, rodzaj masy zbitęj z powtykanemi na wierzchu kurzącemi się łbami. Najwyraźnięj atoli pokazuje się ta cecha fantazyi Krasickiego w poemacie, który z natury swojej wymaga obrazów plastycznych. Wiadomo, że już spółcześni uważali „Wojnę Chocimską“ za najślabszy utwór Krasickiego; różne zdania swojego podawali racye; najważniejszą jednak, według mnie, był brak charakterów indywidualnych, żywych, w którychby biła krew, wrzała namiętność. Takich charakterów niema tu ani śladu; są natomiast automaty, które poeta najogólniejszemi zaznacza epitetami.

Takim-to trybem rekomenduje nam poeta Żurawińskiego „szacowną wieku ozdobnego powagą i otoczonego

gronem *wielorakim*“, a potem Sobieskiego, idącego „w ubite sławnych przodków ślady“; Zawiszę „pięknego, raznego i hożego“. Nawet naczelný wódz wyprawy, Chodkiewicz, plastycznie nam się nie przedstawia (pieśń II, strofa 16). Do takich abstrakcyjnych ludzi, których możnaby wziąć za jeden i ten sam niewyraźny cień osoby, gdyby nie epitet „stary“ lub „młody“, czytelnik nie może czuć sympatii, ani antypatii, z tój prostej przyczyny, że ich nie zna ani z ciała, ani z duszy: są to uosobienia męstwa, odwagi, porywczowości, gniewu, nienawiści i t. p. uczuć, które w tój formie na ziemi się nie pojawiają.

Żywioł fantastyczny o tyle mógł znaleźć uwzględnienie, o ile służył albo za allegoryę, albo za sposobność do satyry. Wiadomo, w jak komiczny sposób zużytkował Krasiński baśń ludową o czarownicach, na Łysiej górze sejmikujących (w „Myszeidzie“); a gdy z przepisów poetyki potrzebował tak zwanej maszyny poetycznej w „Wojnie Chocimskiej“ nie potrafił jej przeprowadzić nie tylko już poetycznie, ale wprost... poważnie. On w istnienie czarownic i widome mieszanie się diabłów do spraw ludzkich nie wierzył; więc jakże mógł osiągnąć w wystawieniu takiego epizodu tój skali złudzenia, ażeby choć na chwilę czytelników obalamucić? Nie ośmielił się też wyprowadzić na scenę szatańców; ograniczył się jedynie na opisaniu przygotowań do zaklęć, czynionych „potrzykroć okropnym głosem“, przyczem ze stanowiska swego nie zaniedbuje dodać, że czarownik „wyzionał bluźnierstw szkarady zelżywe“.

A gdy je coraz mnoży i przyczyni,
Szum głuchy powstał, jęki przeraźliwe
Dały się słyszeć z pobliskiej jaskini,
Dopiero z trzaskiem jakoby po gromie
Duchy stanęły *widomie*.

Poczem za kulisami poematu następuje narada z piekielnymi duchami, które przyrzekają pomoc wojsku tureckiemu. Ale, jakby na dobitkę, autor nie chcąc pozostawić najmniejszej wątpliwości, że to tylko puste igraszki, nie zaniedbuje w drugiej z kolei strofie nacechować wszystkie owe machinacye z djabłami jako „podłe zabobony“. Tak więc, fantazyja musiała siedzieć spokojnie i nie psuć wrażenia zdrowych, trzeźwych myśli, nie igrać swobodnie ze światem marzeń, legendy i baśni. Stanowisko takie fantazyi było bezwątpienia korzystne dla wydobycia jednostek i mas całych z więzów zabobonu, ale ubożyło niezmiernie zasoby poezyi, która musiała rozsądkowi w zupełności ulegać. Ale téż w téj sferze zdrowego rozsądku porusza się ona swobodnie, a chociaż nie obejmuje obszernych pomysłów, w ścieśnionym przecież zakresie stwarza arcydzieła.

Należy to do cech charakterystycznych fantazyi Krasickiego, że przeprowadzić jakiegoś wielkiego pomysłu w sposób artystyczny nie potrafi, przekładając iść za natchnieniem dowolnego niemal kojarzenia się myśli, bez starannego obmyślenia pewnych grup, któreby w harmonijnym układzie całości należyte miejsce znaleźć mogły. Obszerne jego utwory pod względem kompozycji są szeregiem dosyć luźnie ustawionych szczegółów, które zwiążuje w całość jakaś myśl naczelna, artystycznie nie uczłonkowana. „Pan Podstoli“ jest pod tym względem utworem typowym. Składa się on obecnie z trzech części, a wiemy od Dmochowskiego, że Krasicki miał napisać czwartą; ale gdyby ją nawet był napisał, nie byłby zaokrąglił tego utworu w skończoną artystycznie całość. Takie dzieła mogą mieć zarówno trzy, jak pięć, dziesięć lub sto części, stosownie do tego, jak autorowi przybywa spostrzeżeń; a że spostrzeżenia te wywoływane bywają przez najbliższy otaczający nas przedmiot, a wywijają się skutkiem naturalnego kojarzenia się

wyobrażeń; więc też mogą być nieskończone, tak jak ilość rzeczy, zjawisk i stosunków w przyrodzie i wśród społeczeństwa. A jak w podziale głównym, tak i w konstrukcyi mniejszych części — ten sam tryb pisania zachowany, tak, że znowuż pojedyncze księgi i rozdziały mogłyby urosnąć do nieskończoności, lub się zmniejszyć, a rzecz artystycznie pozostałaby w tym samym stopniu niedoskonałości. Mniej byłoby spostrzeżeń, to prawda; ale strona formalna utworu nicby na tem nie ucierpiała. Podobną uwagę zastosować można i do większych, t. j. obszerniejszych dzieł Krasickiego. Przypadki Doświadczyńskiego, Historia, Wojna Chocimska, Myszeis, Monachomachia i Antymonachomachia są to utwory, które nie mają w sobie spójni artystycznej, nie mają zogniskowania promieni na jakiś punkt wybitny.

Rzecz z pozoru dziwna, że ten autor, co się tak wstawił dowcipem, co tyle pięknych prób tego dowcipu zostawił nam w pismach swoich, tak słabym okazał się w komedyi. Wszystkie jego sztuki komiczne, nie wyłączając nawet stosunkowo najlepszych („Krosienek“ i „Pieniacza“), nie posiadają ani charakterów prawdziwie komicznych, ani akcji żywo prowadzonej, chociaż w wyrwanych ustępach mogą się podobać. Jeżeli się zastanowimy nad tem, com poprzednio o rodzaju fantazyi Krasickiego powiedział, zjawisko to dziwić nas przestanie. Wiadomo, że komedye Woltera są najsłabszemi ze wszystkich jego utworów. Krasicki posiadał dowcip tegoż gatunku co i Wolter: był to dowcip słowa, który zachwycać mógł w określeniach i orzeczeniach, w dyalogu wreszcie, ale nie mógł stworzyć sytuacji komizmem nacechowanej, gdyż do tego potrzeba *fantazyi plastycznej*, któraby ludzi przedstawiała w przyrodzonej ich całości, a nie ułamkowo, częściowo, abstrakcyjnie. Stąd Krasicki na scenę dowcipną niejednokrotnie się zdobył, ale całości komicznej nie stworzył.

Kreślić malutkie obrazki o niezbyt jasnym kolorycie, robić dowcipne spostrzeżenia, podpatrzeć słabą stronę w ludziach i umieć ją doskonale ująć: oto zakres, w którym Krasicki dochodził doskonałości. Kilkoma obrazkami ożywił „Przypadki Doświadczyńskiego“, opisując jego wychowanie domowe, pobyt w Warszawie, konszachty jurystowskie w Lublinie, zabiegi wreszcie sejmikowe i sejmowe. Mniej ich już stosunkowo do całości jest w „Panu Podstolim“, bo najgłówniejsze to są: odwiedziny całej rodziny sędziego, po części okrężne, a najbardziej wizyta pana kasztelanica „z żokejsem“ tak doskonała, że ją za najlepszą w całym „Panu Podstolim“ uznacbym się ośmielił.

W utworach atoli, które z rodzaju swojego mniej wymagają fantazyi, ponieważ źródłem ich głównem jest rozsądek, Krasicki jest nieporównanym. Nie powiem nic nowego, gdy „Bajki“ i „Satyry“ za najlepsze pod względem artystycznym dzieła jego poczytam. Tu był Krasicki w swoim żywiole, tu tworzył jak mistrz. Bajki jego nie są to bajki Lafontain'a: długie, szczegółowe, opisowe; ale przeciwnie są one jak najzwięźlejsze (mianowicie pierwsza serya, gdyż druga, w późniejszym wieku pisana, czasami rozwlekłością grzeszy). Szło tu o ujęcie jaknajtreściwsze pewnej przestrogi moralnej, tudzież o wypowiedzenie jej w sposób najprzyjemniejszy, najdowcipniejszy: tu każdy epitet ma już swoje znaczenie, już nas nie razi swoją ogólnikowością, tém bardziej, że autor tak doskonale zazwyczaj charakteryzuje naturę zwierząt, od których maski pożyczają. Bajki są tak wykończone, że nie mogą być ani krótsze, ani dłuższe, gdyż poeta matematycznie niemal je odmierzył.

Tęż samę zaletę mają w znacznej części i „Satyry“. Nie są to suche i nudne kazania, nie są paszkwile na osobistości pisane, któreby straciły wartość wraz ze śmiercią zaczeplonych; ale są to szkice ułomności i przywar, szkice

nakreślone lekko, z miłością pewną dla osób niemi oszpeconych, z pobłażaniem dla wszystkich wyszydzonych grzeszników. W szkicach tych wszędzie jest dowcip nie gryzący, nie szarpiący wnętrzości, ale dowcip spokojny i łagodny, który pozwala się uśmiechać nawet temu, który czuje jego dotknięcie i do pewnego stopnia słuszność zarzutu uznaje. Niekiedy są tu nawet lekko kreślone obrazki. Przypominam: „Żonę Modną“, to istne arcydzieło Krasińskiego, drugie mniejsze, chociaż niemałe: „Pijaństwo“ i trzecie: „Życie dworskie“. Zdaje się, że choćby je kto raz odczytał, nigdy nie zapomni postaci tam przedstawionych i tych rysów, drobnych wprawdzie, ale tak charakterystycznych. Kiedy n. p. zwolennik spirytualiów opowiada kamratowi swoje przygody, czyż to nie z natury zdjęty obrazek:

. . . . W południe się budzę;
Cięży głowa jak ołów; krztuszę się i nudzę;
Jejmość radzi herbatę — lecz to trunek mdlący...
Jakoś koło *apteczki* przeszedłem niechcący,
Anyżek mię *zaleciał*; trochę nie zawadzi:
Napilem się więc *trochę*; może mi poradzi.
Nudno przecie: ja znowu; już mi rażniej było.
Wtym dwu z uczyły wczorajszej kompanów przybyło:
Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?

Albo obrazek damy, ówczesnej elegantki, wychowanej w Warszawie, kiedy jedzie na wieś ze świeżo zaślubionym małżonkiem:

Siada jejmość, a przy niej suczka faworyta;
Kładą skrzynki, skrzyneczki, woreczki i paczki,
Te od wódek pachnących, tamte — od tabaczki:
Niosą pudło kornetów, jakiś kosz na fanty,
W jednej klatce kanarek, co śpiewa kuranty,
W drugiej — sroka; dla ptaków jedzenie w garnuszku,
Dalej kotka z kocięty i mysz na łańcuszku.

Chcę siadać, *nie masz miejsca*; żeby nie zwlec drogi,
Wzięłem klatkę pod pachę, a suczkę na nogi...

Nie skończyłbym tak prędko przytoczeń, gdybym choćby najświetniejsze tylko miejsca chciał uwadze czytelnika uprzytomnić; byłby to trud niepotrzebny; każdy otworzywszy księgi satyr, bez trudności znajdzie dowody tego mistrzostwa w kreśleniu sylwetek o zarysach lekkich, ale trafnych i poprawnych, lub też w obrazowaniu sytuacji, w których jedna, albo najwyżej trzy osoby występują. Mamy tu już ludzi rzeczywistych, a nie ich abstrakcyjne określenia; ludzie ci są jeszcze wprawdzie oświeceni z jednej tylko strony, ale punkt obrany przez poetę do patrzenia na nich tak jest wybornie położony, że przy pomocy wyobraźni dopełniającej możemy odtworzyć sobie to, co poeta w cieniu pozostawił. I sytuacje owe nie są to ogniska wielkich lub małych namiętności ludzkich, nie są to jednak wcale pozy manekinów, lecz co najmniej czuć w nich tętno żywych modelów. Poecie idzie tu nie tylko o nauczanie czytelnika, ale o odtworzenie istotnego życia; dydaktyzm zespolił się tu najlepiej, najdoskonalej z artystem.

X.

Miejsce, jakie Krasicki w dziejach oświaty naszej zajmuje, rozmaicie dotychczas było określane. Ci, którzy nie zajmują się szczegółowo rozbiorem zdań o piśmiennictwie naszym, zdziwią się może, gdy powiem, że w sądach o jednym z najwybitniejszych, a zatem najbardziej znanych pisarzy, panuje chaos niezmierny. Na nicby się jednak nie zdało, gdybym tu porządkiem chronologicznym wypisywał różnorodne, wprost ze sobą sprzeczne niejednokrotnie, po-

głady; wolę więc ująć je w pewne grupy i wyrzec się chętki zabawienia czytelników kosztem różnorodności ludzkich inteligencji. Uprzedzić jednak muszę, że zgrupowanie to będzie miało za zasadę ogólne tylko rysy, że zatem uwzględnić w niem nie mogłem zdań odnoszących się do wszystkich pojedynczych utworów Krasickiego, które wyjątkowo tylko dla większej wybitności sądów przytoczę.

Najprzód, osądzili Krasickiego wyznawcy tych samych, co i on, pojęć o pięknie i poezji. Hasło dał Dmochowski, który w mowie mianej w Towarzystwie Przyjaciół Nauk po śmierci ks. arcybiskupa gnieźnieńskiego nazwał go gieniuszem i postawił tak wysoko, że nikt nad niego wyższym być nie mógł. Dmochowski nie był bynajmniej zaślepionym panegirystą, nie taił usterek uwielbianego poety, ale widział w nim takie zalety, że najwyższa nazwa, jaka ludziom dostać się może w udziale, nie wydawała mu się niewłaściwą w zastosowaniu do autora *Monachomachii*, *Podstolego*, *Bajek* i *Satyr*. Też samą miarę do oceny stopnia doskonałości Krasickiego przykładali najznakomitsi krytycy okresu klasycznego: Euzebiusz Słowacki i Stanisław hr. Potocki. Różnili się oni w szczegółach tylko, w sądzie o tym lub owym utworze; ale i dla nich Krasicki był pisarzem, w którym rozum, uczucie i imaginacja doszły do najwyższego stopnia harmonijnego zjednoczenia, i sprawiły, że poeta „zasiadł na szczycie Parnasu polskiego“, a nadto, że „nikt ze współczesnych pisarzy ani więcej, ani lepiej, ani nawet użyteczniej nie pisał polską prozą“ (*Pochwały, Mowy i Rozprawy* Stan. hr. Potockiego, I, 149).

Wobec tak bezwarunkowego niemal uwielbienia było to dowodem wielkiej odwagi, gdy Leon Borowski, wykładający w uniwersytecie wileńskim poetykę i retorykę, poważył się, z całą zresztą ostrożnością i omówieniami, zaprzeczyć „*Monachomachii*“ wykończenia artystycznego. Na-

pisał on bardzo szczegółowy komentarz do pierwszej pieśni tej komicznej „epopei“, i dopiero po t m mozoln m przygotowaniu zakonkludowa ,  e „Monachomachia“ — to igraszka dowcipu, to dorywczy p  d pi ra;  e wi cej w niej uderzaj  pi kno ci *szczeg  owe*, to jest dowcip i weso    w pojedynczych obrazach, w osobnych wymys ach i strofach, ni eli „trudna sztuka w *porz dn m z   eniu ca  ci*“. Dodaje wszak e natychmiast: „Ta w  snie pi kno   szczeg   w sprawuje,  e dzie a Krasickiego tak si  podobaj  i zawsze si  podoba  b d , bo zawsze wi ksza liczba czytelnik w zdoln  jest czu  przyjemno   obrazu lub charakteru osobno wzi tego, ni eli oszacowa  wszystkie zalety powie ci rymotw rcz j, mianowicie znaczniejsz j, powa nej lub weso ej — w j j zamiarze, post pie i ca kowitym uk adzie“¹⁾. By o to pierwsze bardzo trafne spostrze enie pod wzgl dem kompozycji artystyczn j w utworach ks. biskupa warmi skiego. Zrobione ono zosta o *  propos* Monachomachii i ostro nie, jak widzimy, zastosowane do innych obszerniejszych poemat w.

Drugi sp  cznie da  si  s ysze  g  s, kt ry inn  cech  charakterystyczn , ale ju  odno nie do rodzaju talentu, nie mia o zaznaczy . By  to cichy g  s Kazimierza Brodzi skiego, kt ry w siedlisku klasycyzmu polskiego zauwa y  mimochodem,  e Krasicki nie *wznosi si * w pie niach lirycznych, nie „u ywa“ *tkliwego* rodzaju poezji, nie pisze, „w zapale lub rozrzewnieniu“, ale ma natomiast humor szcz  liwy²⁾.

¹⁾ „Uwagi nad Monachomachi  Krasickiego“ (w Dzienniku Wile skim z roku 1818, tom II, str. 284—299 i 471—486). Przytoczone powy ej, ko cowe zdania znajduj  si  na str. 485.

²⁾ W rozprawie o klasyczno ci i romantyczno ci drukowanej najpr d w „Pami niku Warszawskim“ z r. 1818.r Pisma, III, 71.

Ten cichy głos zmęźniał następnie w prelekcyach w uniwersytecie warszawskim przez Brodzińskiego mianych. Tu już wprost poszedł przeciw opinii panującej i tytułu „gieniuszu“ zaprzeczył. „Krasicki — mawiał — nie był gieniuszem, któryby znamienitą epokę i zmianę do literatury sprowadził; nie był wielkim filozofem, któryby innego ducha przelał w swoją społeczność. Poezya jego nie zrobiła zmiany w rzeczypospolitej uczonych polskich, nie zyskała naśladowników, a przynajmniej — tylko takich, którzyby i na inną jakąkolwiek drodze zawsze jedynie do świątyni zapomnienia trafili“. Nie poprzestaje atoli na tym negatywnym poglądzie; stawia on równocześnie wysoko jego zasługi około oświaty. „Był to — powiada — pożądanym dla narodu *i wieku* swojego pisarz, który najprostszą drogą wskazywał ziomkom to, na co ich uwagę najpierw zwrócić należało. Nie był on reformatorem, ale ozdobą literatury; nie był twórcą nowego ducha w narodzie, ale wesołym światłem rozpędzał tę ciemność, która jeszcze z nieszczęśliwych poprzednich czasów została. Żaden szkolny i górny filozof nie byłby tego w swoim czasie, co on, dokonał!“ ¹⁾

Zarówno jednak Borowski jak Brodziński, stali jeszcze na gruncie tradycyjnym; pojmowali oni, że może być inna, prócz klasycznej, poezya, ale na chwilę nawet nie przypuszczali, żeby Krasicki poetą, i to znakomitym poetą, być nie miał. Owszem, Brodziński nawet na prelekcyach, a więc tam, gdzie najmniej potrzebował się krępować względami na zdania klasyków, utrzymywał głośno, że Krasicki jestto najlepszy *malarz* wieku swojego, najwięcej narodowy poeta, a zarazem, że najwięcej od dawnych i nowych poetów się różni; stwierdzał tylko dawniej wyrzeczone przez siebie zdanie, że poecie temu „zbywało na głębokiemi czuciu,

¹⁾ Pisma, wyd. Pozn. 1872, IV, 294.

równie jak na wzniosłości imaginacy¹⁾. To ostatnie spostrzeżenie równie było trafnem, ze względu na rodzaj talentu Krasickiego, jak trafnem było zdanie Borowskiego ze względu na jego artyzm. Podzielił je potem jeden z głębszych krytyków, Konstanty Podwysocki, który w dwa lata po śmierci Brodzińskiego napisał swój piękny artykuł o Krasickim, będący niemal parafrazą i umotywowaniem słów twórcy „Wiesława“, chociaż zapewne znane one były Podwysockiemu tylko w tej formie, w jakiej się pierwotnie w „Pamiętniku Warszawskim“ pojawiły. „Krasicki — powiada on — nie miał mocnych (tj. *silnych*) uczuć, — umysł lekki, wesoły, pełen dowcipu i żartu; gdzie tylko od tych naturalnych własności swoich nie odbiegał, był nieporównany, wolny od widocznego przymusu, od natrętnej chęci powrotu do własnych swoich natchnień, którą powaga przedmiotu, albo niewłaściwość położenia uparczywie wzbraśniały“. A akcentując silniej to, co niegdyś Borowski wypowiedział, powiada, że próby wyższej poezji Krasickiego zupełną odznaczają się miernością. „Oceniając je podług prawideł ówczesnych, mało mają ruchu imaginacyi, niezręcznie zastosowanej czasem do wysokości położenia, mało energicznej dykcji, podniesionej do wielkości obrazu; zgoła wiersz nawet miękki, słaby, *ułożenie przedmiotu* nie odpowiadające wysokim zdolnościom pisarza... Lekkie jedynie poezye stanowią jedyne, ale niezaprzeczone, prawo (Krasickiego) do potomności *jako poety*“²⁾.

Tymczasem obok estetyki, która nie zrywała stanowczo z temi pojęciami o pięknie, jakie niedawno za jedyne

¹⁾ Tamże, str. 354.

²⁾ „Rusalka“ wydawana przez Aleksandra Grozę. Część II, Wilno. 1839, str. 32—71.

prawdziwe uchodziły, rozwijała się estetyka inna, niesformułowana jeszcze w zasadach, ale twierdząca dumnie, że od niej dopiero prawdziwy pogląd na istotę natchnienia datować się będzie. Estetyka ta powstała u nas wraz z objawami tak zwaney poezyi romantycznej, a posiłkowała się w razie potrzeby spostrzeżeniami braci Schleglów i transcendentalnej filozofii. Dla niej stało się rzeczą bardzo wątpliwą, czy przed wiekiem XIX-tym istniała w literaturze polskiej poezya, czy też nie; a w takiem zakwestyonowaniu całej przeszłości poetyckiej Krasicki musiał oczywiście stracić na cenie ogromnie.

Ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, jakie miał przekonanie o Krasickim twórca nowego kierunku poetyckiego, Mickiewicz, w okresie swojej działalności twórczej. Na nieszczęście zdania jego o talencie biskupa warmińskiego wogóle nie posiadamy; wiemy tylko, że kiedy jeszcze pisał klasyczną recenzją Jagiellonidy, niżej stawiał ten poemat nad Wojnę Chocimską; a potem, gdy do krytyków i recenzentów mowę zwrócił, zarzucając im nieuctwo, zaznaczył, że „dzieła Krasickiego okazują różnostronne kształcenie się poetyckie na wzorach łacińskich, włoskich i francuskich“ ¹⁾. Takie urywane zdania nie mogą nas oczywiście poinformować o tém, jak największy nasz poeta oceniał doniosłość talentu jednego ze swych poprzedników. Dopiero z okresu towianizmu datuje taki sąd całkowity. Mickiewicz, który wtedy uważał zapał i wiarę za jedyne dźwignie wielkich zmian społecznych, który powstawał przeciw pretensjom rozumu analitycznego, nie mógł naturalnie ocenić całkiem obiektywnie pisarza, odznaczającego się chłodem uczucia i bystrością rozumu. Mickiewicz powiada, że Krasicki, jako pisarz, zajmuje miejsce wysokie: jest niezmiernie dowcipnym;

¹⁾ Dzieła A. Mickiewicza. wyd. paryż. 1868, IV. 148, 182.

a chociaż w komicznych poematach swoich nie okazał wiele twórczego wynalazku, ma formę zupełnie sobie właściwą, tok leciuchny, styl podobny do śpiewu, do szczebiotania ptasiego poezji słowiańskiej; przytęm pełen wykończenia i precyzji prozy francuskiej... „W charakterze nie miał zjadliwości; był z przyrodzenia prawdziwym rusinem południowym; posiadał żywość kozacką ukształconą na sposób włoski; był to małorusin w obyczajach, w powierzchowności, w formie poetyckiej mający coś włoskiego“. Dotąd są określenia stron dodatnich, dotyczących jakby powierzchni umysłu; teraz następuje odkrycie niejako sprężyny głównej ukrytej w jego wnętrzu: „Jeden fizyolog francuski, chcąc oznaczyć różnicę charakterów, podzielił ludzi na czaszkowych, żołądkowych i piersiowych. Według tego podziału możnaby powiedzieć, że Krasicki był doskonałym wzorem pisarza żołądkowego (abdoménien); wyborczy stan tego organu dawał mu humor przedziwny, obdarzał go wesołością niemal płochą, trzymał w ciągłym usposobieniu do śmiechu. Był on nierównie weselszym od Boileau, a prawie tak dowcipnym jak Wolter“¹⁾.

Wielki umysł, nawet wtedy, gdy był opanowany przez fałszywą doktrynę, nawet sądząc surowo zasadnicze usposobienie Krasickiego, nie zapomniał o jego zaletach, nie odsądził go od miana poety; nazwał go nawet „znakomitym pisarzem satyr“, celującym wesołością i zręcznymi zwrotami. Wprawdzie same satyry jako rodzaj poetyczny nie znajdowały u niego wielkiej ceny; uważał je bowiem za utwory, w których inteligencja walczy z imaginacją i nakoniec ją pożera. Dla niego prawdziwa poezja mieściła się wyłącznie niemal w „owym pierwiastku boskim, co po-

¹⁾ Literatura słowiańska, rok II (1841 — 42), lekcja XVI (8 marca 1842).

rywa człowieka w górne krainy“. W każdym jednak razie umiał przynajmniej do pewnego stopnia przenieść się w swym sądzie na stanowisko wieku, w którym Krasicki działał.

Inaczej było u fanatycznych zwolenników romantyzmu ożenionego z filozofią transcendentalną. Jeden z najskrajniejszych przedstawicieli tego kierunku, Edward Dembowski, wydał też najostrzejszy, znany mi sąd o działalności Krasickiego. *Jako poeta* nie ma K. według niego „najmniejszej oryginalności“, naśladuje lub przekłada bardzo miernie; szczególnie w rodzaju poważnym brak mu „natchnienia i jedności a takiego braku niezdolna zastąpić ogłada“. „Dowcip i afektowana lekkość — mówi D. — rażą w pisarzu, żyjącym w smutnej i poważnej życia narodowego dobie. Stąd komika Krasickiego, jako powierzchowna na dowcipkowaniu oparta. a nie wgłębiająca się w serce społeczeństwa rozrżnięte, jest cikliwą i nudną. Jedne tylko bajki nie są bez zalet, ale i te po części miatkie, a często mogące dzieciom w serce miasto miłości i czci narodu samolubną oględność wpoić. *Jako prozaik*, nie mając gruntownego wykształcenia, nie dobrego nie mógł napisać“¹⁾.

Z potępiającym głosem romantyków łączył się wyrok tych, co chcieli cudzoziemski romantyzm zastąpić literaturą ludowo-narodową, czerpiącą zarówno natchnienie jak barwę ze źródła słowiańskiego i z obyczajów krajowych. Goszczyński, poczytując za niepoetyczny cały okres stanisławowski (w Nowej Epoce literatury polskiej“ 1835) nie mógł z niego wyłączyć i Krasickiego. Ropeleski w artykule napisanym z powodu „Pamiętek Imć. Pana Seweryna Soplicy“ uważał „Pana Podstolego“ za postać nie mającą nic życia, nie prawdy, za figurę zupełnie konwencyonalną, za obraz szlach-

¹⁾ Piśmiennictwo polskie w zarysie, 1845, str. 295, 296.

cica, jakim go widzieć pragnęli panowie XVIII-go wieku, gdy sami scudzoziemczali radzi go byli hodować w swojskich wyobrażeniach, dlatego właśnie, że je uważali za ciasne; a przez to wyrobić pomiędzy nim a sobą różnicę cywilizacyi, gdy inną prawo krajowe nie przypuszczało... W Satoryrach i Doświadczyńskim wyświecił Krasicki, zdaniem Ropoleskiego „niejedną ciekawą stronę polskiego towarzystwa; ale to światło przedrzeźniające, zamiast być pomocą dzisiejszemu malarzowi przeszłości, razi mu owszem źrenicę i przeszkadza temu lubemu wejrzeniu na wsteczne czasy, z którego się rodzą obrazy historyczne“.

Przyczyną tych i wielu innych jednostronnych sądów, które w owych czasach rzadko znajdowały przeciwników ¹⁾, było najprzód przekonanie, że to tylko jest pięknem, co poezya romantyczna lub ludowa wytworzyła, a powtóre, wstręt do idei filozoficzno-społecznych XVIII-go wieku, które nazywano płytkami, tak jak cywilizacją tego stulecia, mianem „ogłady“ piętnowano. Przychylniejszy atoli pogląd na działalność Krasickiego nie ustalił się skutkiem usunięcia tych dwu przekonań, ale wskutek przesadnego rozwinięcia jednego z żywiołów poezyi narodowej, a mianowicie: bezkrytycznego uwielbienia przeszłości najbliższej, z której pozostała jeszcze żywa tradycja, a zatem uwielbienie wieku XVIII-go na gruncie krajowym. Wtedy wszystko, co do dawniejszych odnosiło się czasów, otaczano czią niemal bezwzględną, bo zastrzegano się tylko przeciwko tym lub owym ustępom. Uwielbienie takie bywało gołosłowne i nieraz pełne sprzeczności; gdyż wielbiciele, będąc zarazem zwolennikami tak zwanąj romantycznąj poezyi, nie wiedzieli

¹⁾ Znany mi jest tylko pisany w r. 1840 artykuł Waleryana Wróblewskiego w „Athenaeum“ 1841, V, 87—105, który walczy w obronie oryginalności i narodowości Krasickiego“.

częstokroć, jak sobie w zestawieniu tak różnych sfer poetycznych poradzić.

Dopiero w czasach najnowszych, kiedyśmy i z gorączki romantycznej ochłonęli i na błędy przeszłości krytycznie patrzeć zaczęli; kiedyśmy nadto doszli do sprawiedliwszej, spokojnej oceny cywilizacji francuskiej XVIII-go wieku, można było bezstronny wydać sąd o pisarzu, który i bezwarunkowego uwielbienia i bezwarunkowej nagany już był doznał¹⁾. Dzisiaj łatwo nam przyjść do przekonania, że zarówno dowcip, jak i entuzjazm, mogą być żywiołem poezyi; dzisiaj wiemy, że epoka racjonalizmu była u nas konieczną, ażeby mgły przesądów i ciemnoty pierzchnęły; dziś zdrowy rozsądek nie doznaje takiego lekceważenia, jak za czasów szalonej romantyki, zwłaszcza u niższych jej przedstawicieli. To też dzisiaj, nie możemy w Krasickim, ze względu zarówno na strony ujemne, jak i dodatnie jego charakteru i talentu nie uznać najświetniejszego, najbardziej uzdolnionego reprezentanta inteligencji polskiej w XVIII-tém stuleciu. Były w tym wieku daleko ucześnie, daleko poważniejsze, a nawet nieco poetyczniejsze od niego umysły; w niektórych względach (np. w politycznym) byli ludzie bez porównania większy niż on wpływ wywierający; ale nie było żadnego, któryby przystępnością sposobu pisania, rodzajem talentu, ilością i doborem pomysłów mógł skuteczniej wpływać na ogół. Nawet najmniej powabna cecha jego osobistości: brak siły charakteru, oraz brak skupienia i zogniskowania niepospolitych uzdolnień, jest właśnie cechą cha-

¹⁾ Najnowszemi pracami o Krasickim są rozprawa W. Nehringa p. n. „Poezye Krasickiego“, pomieszczona w jego „Studyach literackich“ Poznań, 1884, str. 179—230, oraz studyum A. Asnyka, pomieszczone w „Nowej Reformie“ i „Wędrowcu“, 1884.

rakterystyczną tego ogółu, dla którego Krasicki pisał. Rozpowszechnił on niezmierną masę wiadomości pewnych, niezawodnych, mnóstwo wskazówek i rad nadzwyczaj praktycznych i zdrowych, ale rozpowszechnił także chwiejność przekonań i ten dyletantyzm myśli, który na każdy specjalny wypadek obmyśla specjalną maksymę.

1879.

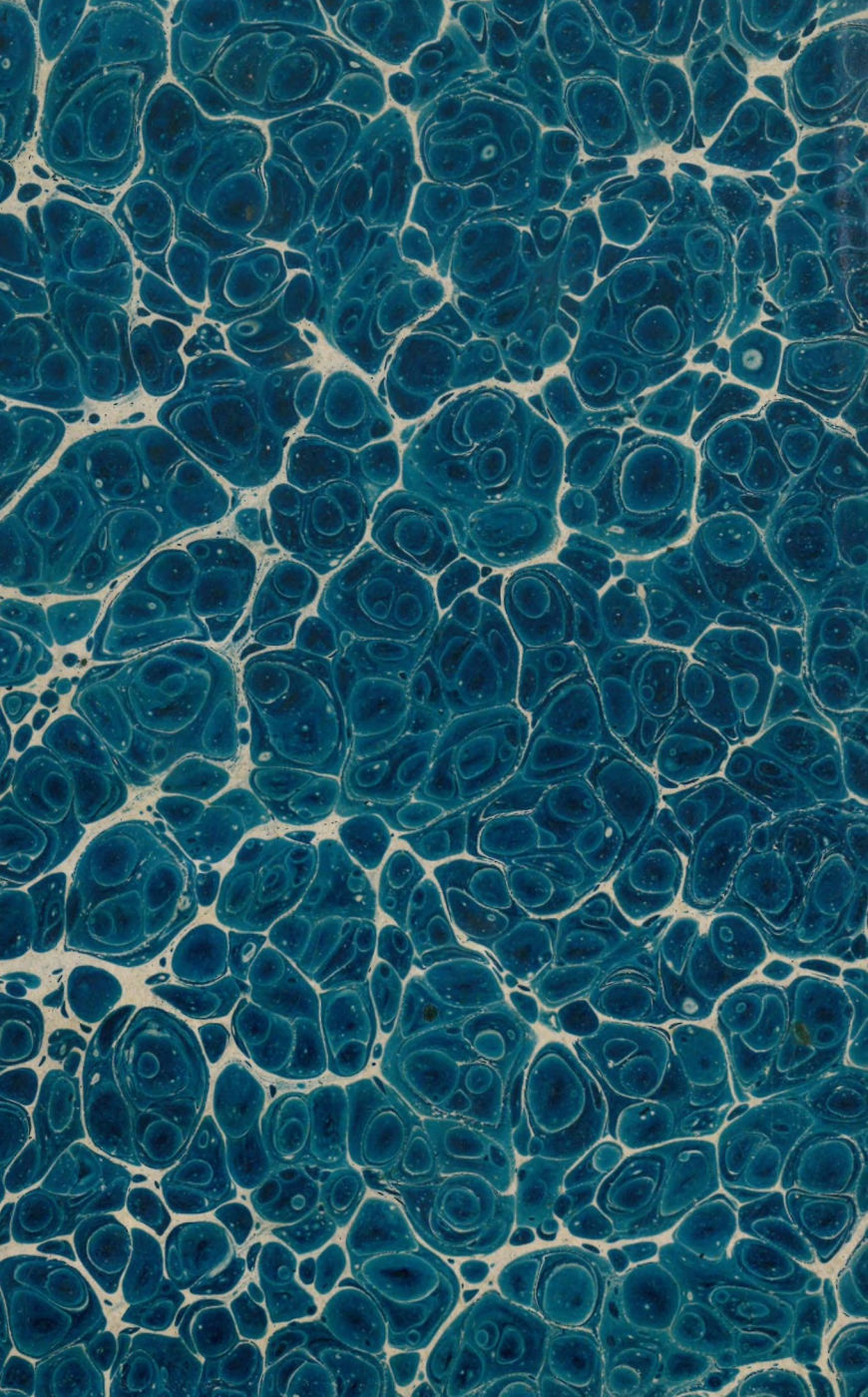


Nr. Inw. 2334



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Artyści i artyzm	7
II. Sobótka. Zestawienie dwu wieków i dwu indywidualności	75
III. Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego	121
IV. Zapomniany poemat Wacława Potockiego	145
V. Epopeja z czasów saskich	177
VI. Charakterystyka Ignacego Krasickiego	211





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

261988

Biblioteka WSP Kielce



0045193